

PROWINCJA

• KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 1 (51) • 2023



Darczyńcy Kwartalnika Prowincja



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

Publikacja została dofinansowana z budżetu
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2023 roku”



Bank Spółdzielczy w Dzierzgoniu



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos One

PROWINCJA

**KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW**

Nr 1 (51)

2023

Redakcja

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny
Wacław Bielecki – sekretarz redakcji
Piotr Napiwodzki
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Stali współpracownicy

Krzysztof Czyżewski, Paweł Zbierski, Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Jan Chłosta,
Wiesław Olszewski, Adam Langowski, Krystian Zdziennicki

Projekt okładki

Mariusz Stawarski

Str. III i IV – Zdjęcia uczestników Warsztatów Fotograficznych przy Uniwersytecie III Wieku Sztumskiego
Centrum Kultury: Janina Zaniewska, Wacław Bielecki (prowadzący warsztat), Bożena Trzcińska, Urszula
Westfal, Krystyna Kogut, Ewa Grzeca, Henryk Biskup, Wacław Gładczuk (str. IV okładki).

Skład komputerowy i przygotowanie do druku

Ewa Krefft-Bładoszewska

Druk

Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81–574 Gdynia

Wydawca

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82–400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614
prowincja@onet.pl, www.prowincja.com.pl

Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:

Sztumskiemu Centrum Kultury, Kwidzyńskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury oraz
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim.

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury – Sklep Tabularium
Zakład fotograficzny Foto Mono II w Sztumie, Plac Wolności 19
Sklep papierniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy:

Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082–0291

www.prowincja.com.pl

Nakład 400 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

Pięćdziesiąta pierwsza „Prowincja”	5
 Poezja	
Krystyna Lars	6
Krzysztof Czyżewski	14
Biblioteka Poezji Ukraińskiej „W obliczu wojny”	14
 Proza	
Jerzy Niemczuk – Królowa nieszczęścia	23
Łukasz Walendziak – Wioska na skraju szaleństwa	26
 Esej	
Andrzej C. Leszczyński – Okruchy	36
 Na tropach historii	
Grażyna Nawrońska – Z dziejów winiarstwa, cz. II (do XIX wieku)	42
Jan Chłosta – Związki Ignacego Danielewskiego z Warmią	48
Wiesław Olszewski – ...Po Niemcu Poll... ..	53
Ryszard Rząd – Historie nie tylko malborskie (10)	
Flataurowie z ulicy Długiej	60
Radosław Kubus – W kręgu kultury materialnej mieszkańców Żuław na przełomie XVIII i XIX wieku	67
Andrzej Lubiński – Msze żałobne, rewizje i werbunki na Powiślu i Kociewiu w latach 1861-1865	73
Piotr Podlewski – Kogo pochowano w katedrze w Kwidzynie? Część 1	80
 Wędrowki po prowincji	
Alicja Łukawska – Żuławskie opowieści. Powroźnik z Kończewic	86
Adam Langowski – Młyny ziemi sztumskiej (1945–1950)	98
Arkadiusz Welniak – Piaski albo Descansar, czyli o życiu i twórczości Alfreda Wellma	112

„Tyle o sobie wiemy, ile nas sprawdzono...” Z Marcinem Owsieńskim rozmawia
Andrzej Kasparek. Część I 122

Prowincje bliskie i dalekie

Marek Suchar – Niezwykli goście jerozolimskiego hotelu „American Colony” 131

Prowincje bliskie i dalekie

Krzysztof Czyżewski – Notatki słów i obrazów (18) 139

Radosław Wiśniewski – Polin 2022 – III 152

Muzyka

Wacław Bielecki – Zapiski melomana 161

Galeria Prowincji

Wacław Bielecki – Ziemia sztumska w fotografii 177

Okiem fotosnajpera

Piotr Opacian – Oko w oko z królem Amazonii 179

Czego ci matka nie powie...

Paulina Hoppe-Gołębiewska – Mitologia macierzyństwa 184

Młodzi piszą

Maja Bilewicz 186

Recenzje

Janusz Ryszkowski – O co modlić się nie należy 188

Piotr Napiwodzki – Konferencje filozoficzne Maksymosa z Tyru 189

Andrzej Kasparek – „I cóż po filozofie w czasie marnym?” 192

Janusz Ryszkowski – Cicha nuta wyjęta z tomów przeszłości 194

Noty o autorach 197

PIĘĆDZIESIĄTA PIERWSZA „PROWINCJA”

Witamy w 2023 roku. Okładka mistrza Mariusza Stawarskiego zaprasza do naszej prowincjonalnej wspólnoty. Wszyscy są w domu, jest zabawa, muzyka i dobre słowo, a tak naprawdę słów wiele, wszak nasz kwartalnik to tysiące, setki tysięcy zapisanych słów. Niniejszym numerem rozpoczynamy drugą pięćdziesiątkę, a to znaczy, że nieuchronnie zmierzamy do setki i się nie zmieniamy, w odróżnieniu od naszych peseli.

Poetycko rok rozpoczynamy debiutującą na naszych łamach Krystyną Chwin (pseudonim Krystyna Lars) i kolejną odsłoną poezji ukraińskiej, którą wytrwale promuje Krzysztof Czyżewski w swoim sejneńskim Pograniczu. W prozie również debiutanci w naszym kwartalniku – Jerzy Niemczuk, komediopisarz i scenarzysta telewizyjny, między innymi serialu „Ranczo”, oraz Łukasz Walendziak, dla którego jest to pierwsza w życiu publikacja, o tyle ważna, bo dotycząca wyjątkowych i transgresyjnych życiowych doświadczeń. Andrzej C. Leszczyński o światopoglądzie, czyli próbie odpowiedzi na odwieczne pytania: Jaki jest świat? Co ja w nim robię? Jak winienem postępować?

W historycznej części Grażyna Nawrońska kontynuuje archeologiczny wątek z europejskich dziejów wina, a po Powiślu, Żuławach, a nawet Warmii oprowadzają nas Wiesław Olszewski, Jan Chłosta, Ryszard Rząd, Radosław Kubus, Andrzej Lubiński i Piotr Podlewski. Do wędrówek po naszej prowincji zaprasza Alicja Łukawska, tym razem prezentując sylwetkę powroźnika z Kończewic. Adam Langowski uwiecznia powojenne młyny na ziemi sztumskiej, Arkadiusz Welniać przypomina sylwetkę Alfreda Wellma z dawnych Piasków, a Andrzej Kasperek rozmawia z Marcinem Owińskim o pracy w Muzeum Stutthof i jego ważnych publikacjach historycznych.

Z prowincji nieco dalszych Krzysztof Czyżewski z Sejn, czule żegna między innymi Grigorija Kanowicza, wielkiego litewskiego pisarza, który wiele lat temu wyemigrował do Izraela, ale swego domu tam nie odnalazł. Radosław Wiśniewski w kolejnej odsłonie cyklu Polin 2022 nawiedza Pińczów, Działoszyce i Lelów, a Marek Suchar w Jerozolimie odsłania tajemnice amerykańskiego hotelu, w którym bywało wielu wybitnych pisarzy i reżyserów.

Wacław Bielecki odwiedza sale koncertowe, już nie pandemicznie, a na żywo, między innymi w Bydgoszczy, Katowicach czy Gdańsku. Poza spełnianiem swoich muzycznych pasji Wacław Bielecki prowadzi także warsztaty fotograficzne dla studentów Uniwersytetu III Wieku. Fragment tych pasji prezentujemy Państwu w Galerii Prowincji. Paulina Hoppe-Gołębiewska w swoim cyklu „Czego ci matka nie powie...” tym razem nieco wiosenno-optimistycznie, przynajmniej w odautorskiej deklaracji. Uruchamiamy też nowy dział, no może działik, pod nazwą „Młodzi piszą” (prosimy nieco starszych poetów, by się nie obrażali, wszak poeta to wyłącznie młodość, ale jakoś tych piszących nastolatków chcieliśmy wyróżnić). Na początek wiersz Maji Bilewicz ze Sztumu, z nadzieją, że w jej ślady pójdą i inni nastoletni poeci. Zamiast do szuflady ślijcie swoje przemyślenia i złote myśli na adres redakcji: prowincja@onet.pl

W imieniu redakcji życzę ciekawej lektury i ciepłej, słonecznej wiosny. Radujmy się budzącym się życiem i chwytajmy każdy dzień, bo on jest właśnie dla nas.

Leszek Sarnowski
Redaktor Naczelny Kwartalnika „Prowincja”

Krystyna Lars



ELEGIA WIECZORNA NA CHWAŁĘ CZARNOMORZA

Pieśń I

Spójrz tam, gdzie nie chcą patrzeć nasze oczy
Ponad rubieże zastawione nocą, gdy w dołach ciemnych
Drzemiący żołnierze, liczą pod skórą uszione zranienia
Co wciąż czekają, by wzejść żywym ogniem
nad senne blizny omylnych przeznaczeń
Gdy bandażami Pisma woła niebo
Szarpie gałązką suchą jarzębiny
Liczy na piasku nieznajome kroki
I chce zapomnieć, co samo mówiło
Przez tysiąclecia do milczących domów
W których dogasa płomyk Ewangelii

O, chłopcze cichy z tryzubem na piersiach
Nad tobą wieją zorze i ulewy, co się wspinają
Ponad ciemne morza do swych kołyszek
Zawsze niepoprawnych, w których się grzeje
Nadzieja odważna na śmierć uspioną pod krawędzią hełmu
Choć ziemia dudni wozami z Północy
A poprzez stepy ciągną pochody olbrzymów
Co się ścigają w laponiskach ognia
W cieniach i zorzach nad suchą ojczyzną
Której sennymi serca limanami podpływa do nas
Czarna łódź wieczorna, by nas zaprosić
Na ucztę ślubów dawno zapomnianych
Co się rozpała pod powałą nieba

Gdy ręce podajemy nad kałużą ognia,
W której nieśpiesznie umiera przyjaciel,

Niosąc nad słońca ciemność Morze Czarne
Przez gąszcz bodiaków, klonów i jarzębin
Pod bramę spalonego domu, w którym
Zaśpiewać nie chce uchylone okno
Co skrzydłem szyby pobrzękuje w ciszy
Licząc na niebie błyski nienawistne
których nawet sam Pan Bóg nigdy nie policzy

Pieśń II

Cicho zbieramy się pod czernią nocy
Czekając w ziemi na swe zmartwychwstanie
Wierząc w ukryte pod piórami wrony
Zimowe amulety mrozu i zwątpienia
Sny, ciernie słońca, co serca otwiera
gestem kamienia nad powierzchnią morza
Wskazując dom, pod którym przyjdzie nam umierać

Nie bądź nieufny wobec tych, co kłamią
Czcij ojca swego, gdy ci ból zadaje
Śnij na kolanach piosenkę stepową
Licząc, że morza podchodzą pod okna
I zagładają płataniną błysków do naszych kuchni
Gdzie na twardym stole mąka się śnieży
Pod ręką dziewczyny, lepiąc kołaczce
W ciszę zapomnienia, gdy cień, co szuka światła
Od pobielanej ściany powoli odchodzi
W bluszcze ciemnokrwawe, co piszą twoją pochyłoną
Głowę, choć list za ramą świętego obrazu
Wzywa do porzucenia ślubnych fotografii
Pobrażowiałych od gorzkiego ognia

Pieśń III

Szukajcie w gruzach stłuczonych zegarów
W których cichutko wiatrem pobrzękuje
Czas, co nas niesie ponad taflę lodów
Przez wielkie pola, w górę, zmierzchem ziemi
Byście znów mogli przeliczyć na palcach
Wielką i niepodzielną dziedzinę niewiedzy
I zbiera wokół stołu umarłych rycerzy
Których niezmiennie oblicze oddechu
Powtórzyć śmierci swojej nie potrafi

Bo cicha, mocna jak butelka wódki
Co śpi w plecaku, czekając odważnie
Na dzień, gdy wszystkie zagubione cienie
Zbiorą się pilnie pod obrozą cerkwi
I znów zapieje kogut, czarny płomyk nocy
Na przebaczenie losu, co się miał narodzić
Pod bramą ognia, w ogromnej powodzi
Światła i nieba, byśmy przebudzeni
Z sobą na zawsze odeszli złączeni

Pieśń IV

Dokąd idziecie, gdy was wołam nocą
Nad rzekę, co się wlecze lasem i pustkowiec
By nad brzoźami wypatrywać sennie
Tego, co zagubione, lecz nie pogubione
Gdy senna białość spóźnionego portu
Odtwiera nas na wiatru bramy
I zasypuje puchem lotnym pierza
Domy i stajnie z obrokiem
Pacierza, gdy niebo zwija w mroku
Podsłoneczną jasność z wstążek przedślubnych
W srebro zaplątanych
Wijąc palcami kolczaste zasięki
Co dogasają szwabachą nagrobną
Na płytach granitowych
Z imionami zmarłych
Które się nie chcą
W słonecznik przemienić

Dzwon, który w tarczę cynową uderza
Wciąż poszukuje minut bez godziny
Domy wysokie z balkonami mocy
Polerowane do blasku niedołą
Umarłych plemion
Co się wyzwalają od tych w żelazie,
Którzy wciąż bezsennie
Strachem budują swoją nędzną przyszłość
Pod lichą, gładką skórą popielnego cienia
Zstępując w lata wciąż niepoliczalne
zbierając ziemię w kłaki ze stali
I podpalając całe miasta śpiące
W łunie szpitali, na piosence krwi

By głód, co drzemie w babilońskiej nocy
Przełamał mrozem słoneczne promienie
W których czekamy na los naszych dzieci,
Gdy się nad wodą w popiół przemieniają
Rzucając w chmury wciąż piłkę czerwoną
Co się odbija od sufitu nieba
Z którego oni chcą wymazać gwiazdę
dom prowadzącą przez pustkowia stepu
w stronę zielonej zorzy nad brzegami morza
które otwiera się pod drzazgą słońca
na pożeganie wrogów, co nadchodzą

Pieśń V

Nie czekaj na tych, co ślą obietnicę
Kryjąc zamiary ponad murem cienia
Nie wierz, że chcą cię na zawsze ocalić
Niosąc pod niebo pustą przepowiednię losu
Który nie ufa żadnej spopielonej cerkwi
Wciąż świecąc żarem ponad pustą rzeką
W zwęglonych kopuł złym ikonostasie

Rąk nie podawaj tym, co mówią: bracie
A nożem prują prześcieradło nieba
Byśmy bandaże mogli tkać wrzecionem
lamp, co wygasły w lodowych klinikach
Gdzie dzieci nasze tracą sens i zdrowie
Na odczytanie sinych liter Pisma
Codziennie wypisanych na poblądłej skórze
Chłopców i tarczach uspionych zegarów
Które po zmierzchu biją w blachy domów
Gdy niepodległe gasimy pod sercem
Płomienie nocy, która nie nadchodzi
Na los i stratę, której nie masz w sobie
Bo wiesz, że nie jest zapisane tobie
Jak równy z równym zasiadać przy stole
Przy którym biesiadują królowie potężni.

Żołnierze z błota, krwi i przerażenia
Grzęzną w żółtych transejach z rozpalonej gliny
Z twoją na piersiach małą fotografią
jak gdyby mieli w sobie małe słońce

Co im oświeca noce spadające
Żelazem, ogniem na zwęglone pola
Dobrego losu, którego nie zmogą
Nawet nieufne godziny przed świtem
Gdy zorza sypie ponad pola czarne
iskry poblądle w wąwozach jarzębin
Gasnące cicho w uśpionych mokradłach
W olchach szukając ułudnych przeznaczeń
Wiecznie nieprzeplaconej grozy odnowienia

Pieśń VI

O, gdybyż dwie jaskółki nadmorskie
Co ciągną w niebo smugę światła z cerkwi
Spadły na wodę, w burtę krążowników,
Co się przyssały do wysokich klifów
I jad węzowy snują w pajęczynach
Pryskając ogniem na słomiane dachy
Uśpione w pustych limanach obłoków
I topią nocy ołowianym mrokiem
To, co odważne, mocne, niepodzielne
Choć kamień, woda i liść rozmarynu
Uparcie wierzą na złość nierozsądnym

Że wieże ognia rozpięte nad lasem
Znów przełamane będą na kłamstwo i prawdę
Choć ci, co wciąż pukają do drzwi nienawiści
Usną na brzegu z liściem w pustych palcach
Licząc, że niebo nachylone w morza
Pobłogosławi ziemi nieodkrytej
Gdzie uzbrojeni w litość i nienawiść
Mocni i podli, silni i bezpieczni
Siedzą na pustych krzesłach
W domach niepamięci

Ale im rzeka, co pod niebo płynie
Nad swe porochy wzburzona niewiedzą
Mści się pod skarżą z naruszonej gliny
Za chłopców z kulą pod sercem stulonym
W którym otwarta iskra tętnicową drogą
Piosenkę narysuje na poblądłej skórze
Byśmy zebrali z rośnej stali nieba

Wielkie i poniechane słowa, których już nie trzeba
Czekać z gałęzią złamaną jastrzębi
Na dzień, co dzwoni niesłyszalną głębią
Pod samo słońce spalonego stepu
Gdzie stosy ognia ponad niebo biją
Karząc tych, co przybyli w żelaznych pochodach
By śledzić w piasku ciemne ślady Boga

Pieśń VII

Śmierć cyrylicą pisze nam na skórze
Bylinę jasną jak pieśń o Igorze
Ogniami sypiąc na pościel zebraną
Pod oknem, w którym siedzi osiwiwały starzec
I na różańcu piosenkę wydzwania
Na pokuszenie wnukom i niedzieli
W której rozsiedli się święci anieli
I na spódnice spalonych młodyc
sieją okruchy próchna niepodległe

Cóż nam pomoże krucha gałąź Pisma
Na której siedzą miasta i kościoły
Gdy dzieci nasze uchodzą za morze
By się w popioły nierozważnie zmienić
I na bębnekach stukać przepowiednie
Których słuchać nie pragną wysokie jałowce
Gdy ogień wchodzi w ciemną bramę lasu
I nie chce widzieć ptaków i jeleni
Wciągając zielen w nasze gorzkie sprawy
By śmierć zajrzała sosnom do korzeni

Pieśń VIII

O, jestem panną, co plecie warkocze
Dymu, pełznące po pogodnym niebie
Palcami z lodu niosę mirrę i kadzidło
By posypywać z góry poburzone miasta
Na chwałę losu i miarę zniszczenia
Bo zabić znaczy nową formę nadać
rzeczom, by się zbudziły mocą przeznaczenia

O, niepodległa, bezlistna szafarko
Łask ognia złego i dobrych popiołów
Racz w swej ogromnej, suchej niepłodności
wciąż nas omijać na swym pustym trakcie
Bo choć nie naszą rzeczą jest buntować
Przeciwko nocy kwiaty i pąkowie
Dębów i sosen, jagód i jarzębin
Bądź pozdrowiona z dalekich podróży
Gdzie drzewa bronią swojej niepogody
I wodę niosą w chłodnych liściach nocy
Na pomylenie prawdy z nienawiścią
I choć się chylą na potrójną chwałę
Twoich budowli z cmentarnych kamieni
Czekaj nas tylko tam, gdzie los niepoważny
Naszej odwagi nigdy nie odmieni

Pieśń IX

Niech cię osłania kolumnada ciszy
Bluszcz co oplata milczeniem ruiny
Żebyś się mogła zanurzyć w roztoczach
Nad brzegiem morza, z którego czyhają
Czarne okręty z miotaczami ognia
Na rozświetlenie pogubionych nocy
Gdy wieczne wycie syren od góry zawiewa
Płaczem i krzykiem, płosząc ciemne stroje
W które się przyobleka miasto niepodległe
Licząc płomyki świec w ciemnościach piwnic
Gdzie przyczajeni nad książką uczniowie
Uczą się pilnie alfabetu ognia
Śpiącego cicho pod powieką nocy
A wrona, co ją niebo przemieniło
W znak podświetlony na chwałę uśmiechu
Kraży nad miastem, nie poznając ulic
Którym się toczą czarne eszelony
Tych, co odeszli na wzgórze z kamienia
Nad którym czuwa noc i sen, co przemienia
Ból w nieodkrytą obietnicę kartę
Na której ktoś wypisał przebaczenia łzę

Pieśń X

Czegóż ci życzyć dziewczyno z Odessy
Rękę unosząc na tve pożegnanie
Pod niebem z ciemnego od ognia popiołu
Po którym płyną obłoki płomienne
dzieci spalonych na gruzach przedszkola
Gdzie świerszcz i mrówka szukają nadziei
Pod cegłą kruchą rozbitą na pył

Krzysztof Czyżewski



BIBLIOTEKA POEZJI UKRAIŃSKIEJ „W OBLICZU WOJNY”

Biblioteka Poezji Ukrainy „W obliczu wojny” doczekała się już drugiej serii, czyli kolejnych dziesięciu dwujęzycznych ukraińsko-polskich tomików wierszy. Wśród autorów znaleźli się zarówno poeci znani w świecie, jak Oksana Zabuzko czy Serhij Żadan, jak również po raz pierwszy publikowani w języku polskim – Hałyna Hulijewa, Darija Suzdałowa. Podobnie rzecz się ma z tłumaczami – są wśród nich poetki i poeci z dużym dorobkiem translatorskim, jak Bohdan Zadura czy Aneta Kamińska, oraz debiutujący na polu przekładów z języka ukraińskiego, jak Joanna Lewandowska czy Agnieszka Wolny-Hamkało.

Druga seria Biblioteki potwierdza odczucie dzielone przez wielu czytelników przy lekturze pierwszych dziesięciu tomików, a mianowicie szczególną dojrzałość poezji ukraińskiej tworzonej od 2014 roku. Nie ma w niej nadmiaru patosu, a tym bardziej tonu propagandowego tak charakterystycznego dla poezji tworzonej podczas innych katastrof wojennych, choćby w latach drugiej wojny światowej. Nie znajdziemy też u twórców ukraińskich wielu śladów daniny płaconej czasowi, owego, tak charakterystycznego choćby dla poezji polskiej okresu stanu wojennego, obniżenia lotów poetyckich. Jest wręcz przeciwnie – poezja ukraińska ostatniego okresu nabrała wysokich lotów: jest bogata formalnie, wielogłosowa pokoleniowo i topograficznie (Biblioteka obejmuje poetów tworzących w dawniej rosyjskojęzycznych regionach Ukrainy, którzy dopiero w ostatnim okresie zaczęli tworzyć w języku ukraińskim), oczyszczona z wielosłowności i romantycznego poetyzowania, odważna w swym minimalizmie i szacunku dla słowa przylegającego do rzeczywistości.

Gdyby pokusić się o mini-portrety wszystkich dziesięciu poetek i poetów drugiej serii, mogłyby one przedstawiać się na przykład tak...

HANNA OSADKO

Przyjechała do Krasnogrudy jesienią, z Tarnopola, razem z córką Sonią. Tyle świetlistej energii, ciepła i cichej pracowitości wnosi w nasz polodowcowy krajobraz... Przyjechała jak tylko zdołała się podnieść po śmierci męża, zabitego na wojnie. Podnosząc się (bo czy można tu użyć czasu dokonanego?), podnosi ze sobą cały świat. Z miłością zabiera maluchy z pracowni „Gucia Zaczarowanego” w podróż do królestwa wyobraźni, tworzy bajeczne



ilustracje do książki dla dzieci, którą zaraz wydamy po ukraińsku i polsku, pisze... Jest też niezrównaną kucharką – jakż to stół wigilijny będziemy mieli w tym roku!

W krótkiej autobiografii zamieszczonej w tomie „73 emocje”, przełożonym przez Agnieszkę Wolny-Hamkało i mnie, napisała o sobie: „Lubię wędrować, lubię czarne czereśnie i Bradbury’ego. Bardzo lubię lubić... każdy ma swoje szczęście. Dla mnie tym szczęściem jest dostrzeganie życiowych drobiazgów, często niewidocznych dla innych, odciskających głęboki ślad na tym, co myślę i jak czuję”. Obroniła doktorat z filozofii, jest autorką pięciu tomów poezji i krótkiej prozy, wielu książek dla dzieci, które często sama ilustruje. Była wielokrotnie nagradzana za twórczość literacką i plastyczną. Na koniec dodaje: „Tak to więc wygląda. Ale, proszę przyznać – w porównaniu z czarnymi czereśniami i Bradburyem to są prawdziwe głupstwka. Nie mówię już – w porównaniu z Miłością, która jest ponad wszystko”.

Wiersze Hani są mikrokosmiczne, intymnie międzyludzkie i wierne temu, co tata mówił przez sen: trzymają się ziemi, korony drzew i dzieci. Tym bardziej bolesne się stają, gdy wdziera się w nie zbrojna agresja, jak w wierszu „Wyliczanka o wojnie” (przeł. AW-H):

Jest jak w dziecięcej wyliczance –
jeden, dwa...
dwa i ćwierć,
dwa i pół,
dwa i włos,
włos wypada,
trzy zaczynam...
i fru!

Suchą szmatą ze szkolnej tablicy pamiątkowej ścierasz to białe
słowo „wojna” –
słowo siwe,

ciągle wraca,
 wali pięściami w drzwi,
 woła „mamo!” jak niemowlak połykający gorzkie powietrze,
 przekłęte...
 Cały świat wisi na tym włosku,
 wokół niego wirują sny.
 Opadają ręce.
 Niekończące się czekanie na wieści, jak czekanie na korytarzu
 przed egzaminem –
 „może nie wezwą mnie jeszcze tym razem?”
 Tymczasem staruszka niesie
 w popękanych rękach woreczki z nasionami –
 to koper i pietruszka, burak i marchew, aksamitki, lewkonia...
 „ziemia nie może czekać – mówi mi –
 bo już pachnie wiosną...
 bo trzeba zasiewać pole nawet wtedy, kiedy trwa wojna...”

IJA KIWA

Wiersze Iji Kiwej przylegają do nas trwale, napętniają nam kieszenie śniegiem z palonych w niebiańskiej bibliotece książek. I nawet, gdy je spłoszymy, niezdolni długo ustać na jednej nodze uwagi, powracają echem zerwanych do lotu, bijących o wodę skrzydeł: „... kwiat jeziora nabierał w usta kaczek z kaczetami / i wypuszczał na wolność jak zakurzony promień słoneczny”. Przeciw wojnie trzeba iść, cały czas iść; mówić, cały czas mówić; o kamienie ostrzyć myśli, słowami utrzymywać nóż w kieszeni przebaczenia i uczyć się, od poetki uczyć się poruszania „na koniuszkach piór” – aż poczujemy przyptyw mocy i odwagi, w żadnym razie ślepej, precyzyjnie dosięgającej światła. Aż dziw, że z tych wierszy, rozzdzierających ciszę, płynie taka siła spokoju o prawdę.

Ija Kiwa urodziła się w Doniecku, skąd wojna wygnała ją najpierw do Kijowa, potem do Lwowa. Wojna wygnała ją także z języka rosyjskiego. Włada biegle kilkoma językami, tłumaczy poezję polską, białoruską i angielską. Opublikowała książkę rozmów z białoruskimi pisarzami zaangażowanymi w walkę z reżimem. Tom „Czarne róże czasu” przetłumaczyła Aneta Kamińska, w epilogu wzbogacając go o dwa swoje wiersze (jeden w tłumaczeniu Iji Kiwej) oraz o wiersz ukraińskiej poetki dedykowany tłumaczce. Na koniec do poetyckiego dialogu przyłącza się Alicja Rose, autorka posłowania oraz wiersza „Słuchając na zoomie, jak Ija Kiwa czyta wiersz o wojnie”. Tom otwiera nadająca ton całości „pierwsza kartka zimy”, ale na dziś wybieram inny wiersz:

ciągnie za rękaw dziecięcej łyzy listopad
 ty odstępujesz ją jak cukier w sklepiku sąsiada
 mówisz sobie: poczekaj tam za lasem

widziano białe jelenie

mówisz: to czas powraca
 jak odbicie w lustrze
 i wybiega na ulice jak choroba
 która nawlekła na oczy mury szpitala

powtarzasz: tam za horyzontem serca
 jarzębina już rozpałała ogień
 i kiedy kładziesz ją pod język
 – uczysz się ptasiej mowy

i toczysz ją jak puste butelki imion
 i wyciskasz pamięci wyblakły atrament
 tak między żebrami noc huśta swoje sztandary
 żebyśmy uczyli się poruszać na koniuzkach piór

wbijamy więc w ziemię kulawy taniec
 jak wbijają wojnę w życie każdego drzewa

WASYL MACHNO

Podróżując lata temu do Czortkowa śladem Karla Emila Franzosa, autora cudownego „Pajaca” i fascynujących opowiadań, którymi żywił się później geniusz Josepha Rotha, natrafiłem na ślad Wasyla Machno. Bywa, że wędrowki do świata minionego przynoszą odkrycie żywego. Przydarzyło się to również Wasylowi, który podróżując śladem poety Bohdana Antonycza, o którym pisał doktorat, spotkał w Sanoku Janusza Szubera, co zaowocowało wieloletnią przyjaźnią. W wierszu adresowanym do ukraińskiego przyjaciela, Szuber pisze: „będziemy czytali razem nasze wiersze, / aby udowodnić sobie i słuchaczom, / ile w krótkim teraz zdoła unieść język”.

Tłumaczył na ukraiński wiersze autora „O chłopcu mieszkającym powidła”, podobnie jak Zbigniewa Herberta i Anny Frajlich, z serbskiego Vasco Popy, z angielskiego Johna Ashbery’ego. W Polsce podróże prowadzą go również do Dubna koło Leżajska, gdzie urodził się jego ojciec. Spotygam Wasyla przede wszystkim w East Village na Manhattanie, gdzie mieści się Ukraiński Narodnyj Dim, Towarzystwo Naukowe im. Szewczenki, z którym jest związany, i dobra ukraińska restauracja. Na przeprowadzkę za Atlantyk (nie uważa się za pisarza emigracyjnego) zdecydował się w 2000 roku. Wcześniej studiował i tworzył w Tarnopolu, gdzie był członkiem grupy poetyckiej Zachodni Wiatr. Wiersze pisze po ukraińsku. Jest ważnym głosem Ukrainy w świecie, przede wszystkim angielskojęzycznym, ale też w Polsce i innych krajach. Od zawsze walczył z sowietyzacją/rysyfikacją kultury ukraińskiej, samym Ukraińcom zarzucając, że zbyt mało ją znają. Wojna walkę tę tylko nasiliła. „Psalmy” są tego najlepszym dowodem. Ich tłumaczem jest Bohdan Zadura, któremu

zawdzięczamy także wcześniej wydane w Polsce książki Wasyla, w tym zbiory poezji, prozę sylwiczną i wybór esejów. Przytaczam wiersz, którego akcja toczy się na drugim od Nowego Jorku brzegu rzeki Hudson, choć o „trzymający się świat na wodzie poezji” walka trwa przecież na każdym brzegu wojny z „ruskim mirem”.

Czytanie w New Jersey

Przyjechałem by czytać w zardzewiałym New Jersey
słuchacze się tłoczyli przy wejściu w kolejce
hałasowali czekali póki ich nie wpuszczą
wiersze i koncert pianisty w programie
pierwszy raz do tego miasta przyjechałem
dziwne – na ulicach prawie pusto

bulgotali w sali i szumieli jak strumień
na którym powietrza zawisły struny
zaczęli się usadzać – krzesła zaskrzypiały
czytanie odbywało się w miejskim teatrze
co przeczytać temu miastu
i co ich rzece przeczytać miałem?

kiedy pierwszy głos mikrofonu dotknął
i drut się wypełnił verslibrową formą
ktoś z publiczności pił herbatę ktoś chipsy otwierał
lecz sala się nie stała jednym radarem czy uchem
i poetów prawie nikt nie słuchał
i każdy stał samotny jak strażnicza wieża

to była przypadkowa zbiórka pieniędzy
ktoś przyszedł z domu ktoś szedł z poczty tędy
ktoś z dziećmi wprost z niedzielnej szkoły
przyszli jak przychodzą na rockowe koncerty
albo jak na mszę niedzielną do cerkwi
jak mleczko posiadawszy półkolem

na tym czytaniu w New Jersey siedziałem
jakby przy brzegu rzeka mnie trzymała
brzeg mleczny mgłą przykryty
wrzeszczały dzieci i biegały po sali
dla poezji w ogóle litości nie miały
i dla poetów – także ani krztyny

i kiedy przyszła kolej na moje czytanie
chwilę przed nimi uprzejmie postąłem

i powiedziałem że trzeba posłuchać ciszy
a słowa potrzebują uszu i zrozumienia
że poezji z tlenem połączenie
niebieskim alkoholem płonie i dyszy

i wszyscy ucichli choć dzieci dokazywały
ale potem i one z sił poopadały
i ucichły jak rzeki uciszają się w deszczu
zaczęłam od „Wojny” – czyli od ostrzałów
które poszczękują jak kasowniki w tramwaju
i grzechoczą w nocy potłuczonym szkłem

powiedziałem że w moim kraju ich rówieśnicy
pogubili uciekając spodniki i buciki
i wybici ze snu siedzą w piwnicach noce i dnie
ich oczy są przejrzyste jak Świtezi tonie
świecą się w nich dalekie przybrzeżne ognie
i sine ryby szorują płetwami po dnie

powiedziałem: o nic naprawdę mi nie chodzi
każdy wiersz sobie z czegoś tam się rodzi
każdy kwiatek na jakiejś łodydze się wznosi
i cienki głosik na całą Ukrainę
podaje ramię tej czerwonej kalinie
i jak może z ziemi ją podnosi

byłem wdzięczny za to prowincjonalne New Jersey
za te portowe światła nad wodą przymarznione
za urwisów w sali i ich rodziców do tego
za to że trzyma się świat na wodzie poezji
na mleczu róży bzie i hortensji
pomiędzy światłem i ciemnością dwóch brzegów

OLHA BRAHINA

Olha Brahina przybyła do Krasnogrudy na początku wojny. Przybyła z Kijowa, razem z mamą. W wierszach nie raz przywołuje rodziców, których pamięć pozwala jej odsonić przepaść między teraz a kiedyś. Rozmawiała z nimi po rosyjsku, i w tym języku pisała pierwsze wiersze, prozę poetycką i powieść „Pelikan”, na rosyjski tłumaczyła poezję Kati Farris, Joy Harjo i Johna Higha. Wiersze z tomu „Woda pamięci” mają posmak leksykalnej świeżości i mocy wyobraźni, bez nalotu patyny słów zużytych. Język ukraiński tworzy się tu niejako od początku, litera do litery, niby ziarno do ziarna, jak w ogrodzie rozerwanym

wybuchem granatu. Powstające w świetnie dopełniającej się współpracy Julii Fiedorczyk i Natalii Trochym przekłady wiernie oddają ciemny, a jednocześnie ożywczy ton tej poezji. Wiersze Olhi zaskakująco kontrastują z jej obecnością w świecie – osoby zdawałoby się nieśmiałej, milczącej, a przynajmniej nieskorej do słownej wylewności – są odważne, czasem wręcz ekshibicjonistyczne, fragmentami pisane epicką frazą, na pełnym oddechu, niby pieśń śpiewana białym głosem.

ta przestrzeń będzie działać póki nie pękną zegary
 póki te zamrożone ciała nie obróćą się w proch
 mamó, tato, zniknęliśmy, nie dotrą od nas żadne wieści
 do świata żywych i pewnych siebie
 wykryto nas, w parę chwil wykrojono
 wzór, który jednak do niczego nie pasuje
 za ciasno na tym świecie, gdzie wszystko musi zostać
 po staremu
 kto nas wymyślił, zamknął w więzieniach sensu
 w czterech murowanych ścianach opowieści sygnowanej
 przez autora
 było nas za dużo lub za mało
 tak jak pragnienia, żeby żyć pełnią życia, a całą resztę zostawić
 na później
 dopóki wszystkiego nie skreślisz, niczego sobie nie
 przypomnisz
 musisz odgadnąć litery
 słowo samo się przecież nie złoży
 trzeba zburzyć ściany
 zobacz co jest na zewnątrz
 inaczej to życie
 nigdy nie będzie naprawdę nasze

OŁEH KOCAREW

Poezja Ołeha Kocarewa wyrasta z tradycji ukraińskiej awangardy. Wspólnie z Julią Stachiwską jest redaktorem antologii „Ukraińska poezja awangardowa (1910–1930)”. W Polsce jest znany co najmniej od roku 2011, kiedy to Aneta Kamińska opublikowała antologię swoich przekładów „Cząstki pomarańczy. Nowa poezja ukraińska”.

W „Egzekucji” wojna wciska się w każdy zakamarek codziennego życia – do pustej lodówki, gdzie nietknięty pozostał ser „rosyjski”; w partię szachów z córką; w pierwszą miłość kotów w ostrzeliwanym mieszkaniu; w sen powracającego uchodźcy; w przewagorowany alarm lotniczy; w performance z litewską poetką, w Kwiecień siedzący na wozie

bojowym... I wszędzie tam, gdzie wojna zajrzy, zamiast ostatecznego spustoszenia i nicości jest poezja – prześmiewcza, zakochana w szarym i wyluzowana, choć strzelają „żebyśmy się nie wyluzowali”. Żadna egzekucja nie jest tutaj ostateczną, bo katowski topór nie sięga sukni weselnej w głębi nocy, w witrynie „w jakimś celu oświetlonej”. W wierszach Ołeha Kocarewa, mieszkańca Buczy, wojna jest wszechobecna, ale nie zwycięska – może nie na pierwszej linii frontu, ale w zakamarkach życia, na podwórkach serc i w dłoniach szukających ciepła wojna ulega poezji, ośmiesza się tępym myśleniem, czmycha do czołgów, a jej cyniczny uśmiezek zamiera cierpkim grymasem pustosłowa. Choćby na najmniejszym froncie, przegrana wojny jest zwycięstwem nad nią.

Umawialiśmy się nie pisać już wierszy o alarmie przeciwlotniczym

czytaliśmy wiersze
w parku któregoś awangardysty
zapomniałem
piliśmy cydr potem zaczął się
alarm przeciwlotniczy
na uniwersytety nikogo nie wpuścili
sklepy zamknęli
choćbyż zniżek nie skasowali
trzeba było zejść
do toalety publicznej
całowaliśmy się w reflektorach
luster i kaffi
umawialiśmy się nie pisać już
wierszy o alarmie przeciwlotniczym
graliśmy wodą muzykę
miska na pieniądze pisuariesy
okazała się magnetyczna
zakładaliśmy ją na głowy
i monety spływały nam po włosach
jak ozdoby
sycyjskich księżniczek

Wsparcie Ukrainy w tej okrutnej wojnie to bieg na długi dystans. Zwłaszcza teraz, w czas coraz ostrzejszej zimy, gdy wielu Ukraińcom brakuje światła i ciepła, nie możemy zaniechać pomocy. Program rezydencyjny Pogranicze/Ukraina trwa nieprzerwanie, a obecnie robimy wszystko, by go poszerzyć – <https://www.facebook.com/krzysztof.czyzewski.54/posts/10159938830782855>

Wciąż potrzebujemy Państwa zaangażowania. Jest po temu nowa okazja. Wydaliśmy tomiki z drugiej serii Biblioteki Poezji Ukraińskiej „W obliczu wojny”: Olha Brahina (tł.

Julia Fiedorczyk i Natalia Trochym), Alja Hulijewa (tł. Joanna Lewandowska), Ija Kiwa (tł. Aneta Kamińska), Ołeh Kocarew (tł. Aneta Kamińska), Wasyl Machno (tł. Bohdan Zadura), Hanna Osadko (tł. Agnieszka Wolny-Hamkało i Krzysztof Czyżewski), Darija Suzdałowa (tł. Krzysztof Czyżewski), Iryna Szuwałowa (tł. Aneta Kamińska), Oksana Zabużko (tł. Bohdan Zadura) i Serhij Żadan (tł. Aleksandra Zińczuk).

Wszystkie dziesięć tomików (nie będą sprzedawane pojedynczo) można nabyć wpłacając przelew z dopiskiem „Darowizna na wsparcie twórców z Ukrainy” w wysokości 50 zł lub więcej na konto Fundacji Pogranicze: konto PL: PL92 1240 5891 1111 0010 4401 1913 konto EUR: PL26124058911978001052340366 konto USD: PL53124058911787001042509362 BIC/SWIFT: PKOPPLPW Płatność PayPal: <https://www.pogranicze.sejny.pl/en/payment/>

PS. Nie zapominajcie Państwo podawać adresów, na które mamy kierować przesyłkę. Jeśli to nie będzie możliwe przy przelewie, to można przez FB.

Jerzy Niemczuk



KRÓLOWA NIESZCZĘŚCIA¹

Pod cmentarzem przed sklepem ze zniczami Bartek zaparkował samochód. Daleko nie ujechał. Stał z uchylonymi szybami zza których wciąż dobiegało dudnienie i niesło się nad grobami, jakby miało umarłych zmobilizować do zmartwychwstania. W oknie Bartek kręcił obrotowym regałem z nielicznymi książkami. Na regale książki religijne oraz inne o życiu pięknych kobiet na poziomie nieosiągalnym na mazurskiej prowincji, a także o psychopatycznych zbrodniach, które i tu się zdarzały pod wpływem alkoholu. Książki stały obok siebie w porządku sacrum i profanum. Na półkach pod ścianami leżały zgrzewki zniczy we wszystkich kolorach i wyszukanych kształtach a także sztuczne wieńce oraz kwiaty wykonane w Chinach z precyzją, której natura mogłaby pozazdrościć. Bartek przrzucał książki z lekkim rozbawieniem. Pałka zerknął na niego kontrolnie.

– Są jakieś nowości? – zapytał Bartek i roześmiał się głośno.

Pałka skinął głową z lekkim obrzydzeniem, ale i zrozumieniem dla ludzkich słabości, sięgnął do przeszklonej szuflady, obok kasy fiskalnej. Leżały tam w równych rzędach zapalniczki, dopalacze, kilka ekspozycyjnych petard o różnym kalibrze oraz sztucznych ogni. Obrót na życiu pozagrobowym był gwarantowany, ale niezbyt wielki, bo mieszkańców w Mrokach było niewiele i niekiedy przez tydzień nie było żadnego pogrzebu, więc właściciel sklepu rozszerzył asortyment o uciechy doczesne. Doświadczenie z dopalaczami Pałka miał za sobą. Jedno tylko, ale intensywne. Próbował wtedy zabić, zgwałcić, wyskoczyć przez okno, utopić się, uciec przed demonem wielkości białoruskiej ciężarówki i zagrzebać się w kałuży. Na szczęście jego ryk przebił się przez nagłośnienie dyskoteki w „Latającej Śwince”. Koledzy z zespołu Dr Hyde związali go w porę taśmami do dachowego bagażnika. Przeżył i więcej przeżywać już nie chciał. Doktor Neuer ledwo go z tego wyciągnął.

Sięgnął do szuflady po nowy preparat pod nazwą „4D”.

– Bierze? – zapytał Bartek, przyglądając się ciekawie czterem diablom na opakowaniu.

– Ja nie brałem – odparł Pałka. Zniechęcać do zakupu nie próbował, żeby nie utracić zajęcia, więc tylko odczytał ceremonialnie ostrzeżenie, że torebka jest egzemplarzem kolekcjonerskim i jej zawartość nie nadaje się do spożycia. A potem powoli i starannie składał preparatu. Zawierał BZP, kanabinoid, mefedron, TFMPP, fly agaric (w tym wypadku muchomor czerwony), szałwiewieszczą i (co by to nie miało znaczyć) calea zacatechichi. Bartek słuchał przez uprzejmość. Chemia go nie interesowała, zresztą mało czym się w szkole interesował, nie wykazując przy tym zdolności. Jego oceny lokowały się raczej w rejestrze:

¹ Fragment książki Jerzego Niemczuka, *Królowa nieszczęścia*, Wydawnictwo TYTUŁ Krystyna Chwin, Gdańsk 2022.

pała, gała, lufa. Do głowy by mu nie przyszło, żeby cokolwiek czytać, a co dopiero małymi, ledwo widocznymi literami.

Wyszli przed sklepik na papierosa. W sklepie palenie było zabronione ze względu na zagrożenie pożarowe, a nawet dyrektywy unijne, które do Mroków jakoś dotarły. Bartek drgał kompulsywnie w rytm łomotu zza samochodowej szyby. Łomot był żywą reklamą obecności Bartka i jego domytej beemki w przestrzeni publicznej. Budził respekt. Nawet wśród psów i ptactwa. Bartek lubił, kiedy nad jego głową podrywały się stada kawek, gdy przejeżdżał obok parku nad domowym jeziorem albo gawronów nad Mroczką. Dawał wtedy na maksa, to płoszyły się wcześniej i mniej ptasiego gówna lądowało na masce. Tak to sobie wykombinował.

Pałka palił spokojnie. Wiedział, co to relaks i dawał ciału odpocząć. Grał w kapeli Dr Hyde, dorabiał w Ziomalach na eventach, bo tak się ostatnio mówiło w Mrokach na wesela i chrzciny oraz imieniny znaczących mieszkańców.

– Na trening? – zapytał zaciągając się podrabianym marlboro, które na targowicę w Mrokach przebyło długą drogę przez Litwę aż z Estonii, żeby tu za pół ceny obrócić się w popiół. Grywali razem w KP Mroki. Bartek na lewej pomocy, Pałka na prawej obronie. Mroki miały w sobotę treningi, jeśli w tym dniu nie rozgrywały meczu.

Bartek machnął lekceważąco ręką. Czyli też nie miał zamiaru iść. Do muzyki dołączyły dzwony z kościoła. Biły emerytowanemu dyrektorowi podstawówki, który dożył dziewięćdziesięciu dziewięciu lat w dobrym zdrowiu i zginął tragicznie potrącony przez samochód swojego byłego ucznia. Dyrektor był legalistą, a na starość ta jego cecha przybrała formę obsesji. Kiedy na parę dni przed swoimi setnymi urodzinami napotkał na drodze samochód, który wjechał na pasy, pomógł sobie laską i wgramolił się na maskę, żeby w ten sposób sforsować przeszkodę. Kierowca dał do tyłu, dyrektor spadł z maski i już się nie podniósł.

Pałka spojrział na zegarek. Mniej więcej za godzinę kondukt powinien dotrzeć w okolice cmentarza. Gdyby nie pogrzeb, zamknąłby sklep na dwie godziny i dotarł na trening. Po południu nagrywał z Dr Hydem demo, w dyskotecce nie grali tego dnia, bo jako Ziomale w swojskim rytmie discopolo odslugiwali wesele w Giwajtach. Cały zespół gardził tym gatunkiem szczerze, ale trzeba było z czegoś żyć, opłacić bunt wobec świata, zanim uda się wdrzeć na toplistę.

Na drodze pojawił się Kamil. Machnął im ręką. Odprowadzali go wzrokiem, dopalając litewskie marlboro. Czubkami butów zagrzebali pety w błocie przed sklepikiem. Bartek zeszywniał na widok nadjeżdżającego z drugiej strony radiowozu.

– Po ciebie? – zapytał Pałka.

Bartek nie odpowiedział. Wsiadł do samochodu i odpalił silnik. Ruszył, gdy radiowóz minął cmentarz, jadący w stronę warsztatów i hurtowni.

*

Kierowca zerknął we wsteczne luterko i zwolnił. Czarne bmw przyspieszało na nierównościach drogi. Trącił Albina.

– Ty to ten gnojek, co mu dowód zatrzymałem dwa tygodnie temu. Jeździ na łysych gumach. Gładkie jak kondony. Na beczela. Takich łysych to w życiu nie widziałem. Zawracamy?

Albin był po cywilnemu, nie miał tego dnia służby, ale czapka drogowki leżała pod przednią szybą.

– Jedzie od Ediego. Pewnie zmienił gumy – odpowiedział leniwie, jednak bez przekonania. Prędeż mu było warsztatu, żeby obejrzeć swój prawie nowy, od lat wyczekiwany wóz.

– Dużo dałeś? – zapytał kierowca.

– Dużo więcej, niż chciałem – odparł Albin ostrożnie. Wpisali wyższą sumę do umowy, żeby nie było podejrzeń.

Przed warsztatem Sosnowski nosił wiadrem przepalony olej do stojącej na świńskiej przyczepie beczki. Na widok radiowozu zmarł w bezruchu z otwartymi ustami. Przyczajony. Policja to policja, wszystkiego się po nich można spodziewać. Sam ich widok zmusza człowieka, żeby szukał w sobie winy i, zanim będzie za późno, iść w zaparte albo się i przyznać. Nie do niego. Do warsztatu. Odetchnął.

Edi wyszedł przed garaż, wycierając dłonie zatłuszczoną szmatą. Podał policjantom łokieć.

– Akumulator wstawię, koła dokręcę i można jechać.

Albin obchodził auto, w nabożnym skupieniu przyglądając się detalom.

Sosnowski próbował zasztalować beczkę krowim łańcuchem, żeby się nie wywróciła na nierównościach, jednak łańcuch okazał się za krótki, żeby go dwa razy owinać, na jeden raz za długi. Owinał więc raz. Jako tako się totrzymało, a nawet jakby co, to strata nieduża. Ruszył ostrożnie.

Łukasz Walendziak

WIOSKA

NA SKRAJU SZALEŃSTWA¹

Nazywam się Łukasz Walendziak. W 2015 roku stałem na skraju przepaści. Limit głupot, błędów i porażek już wyczerpałem. Za mną były spalone mosty, a dookoła zgliszcza. W akcie desperacji zdecydowałem się na ucieczkę przed samym sobą. Bilet w jedną stronę do Nepalu. Byłem tam już wcześniej w latach 2011–2012, a więc nie leciałem w ciemno. Przyszłość stała jednak pod dużym znakiem zapytania.

Moje starania, aby w jakimś stopniu ogarnąć swoje życie, przez długi czas przypominały „szyfrowe prace”. Wiele razy, gdy już widać było światło w tunelu, następował zwrot akcji i znów trzeba było zaczynać od zera. Nowe miejsce, nowa robota, nowe wyzwania. Z perspektywy dnia dzisiejszego, śmiało mogę jednak stwierdzić, że cały ten trud nie poszedł na marne. Były to korepetycje w zakresie odpowiedzialności, samodzielności, radości życia czy poczucia własnej wartości. Droga była kręta, ale krajobrazy malownicze. O efektach tej odnowy psychicznej i biologicznej niebawem.

Pseudonim „Doktor Borsuk” został mi nadany podczas pracy w kawiarni artystycznej. Towarzystwo przywykło do faktu, że wykonuję prace porządkowe i organizacyjne. Odwiedzali nas goście z całego świata. Nie brakowało więc okazji do różnych pogawędek. Szybko wyszło na jaw, że takie tematy jak literatura, sztuka, filozofia czy medycyna nie są mi obce. W wiosce przedstawiałem się „Luka”, ale ponieważ parokrotnie musiałem wcielić się w rolę lekarza czy też znachora, ksywka przyłgnęła do mnie na dobre. Dodam tylko, że w mieście stołecznym Katmandu czy też w okolicach parku narodowego Chitwan nie jestem postacią anonimową.

¹ „Wioska na skraju szaleństwa” to fragment większej całości, która dopiero powstaje. Jest to mieszanka wspomnień i refleksji. Obserwacje rzeczywistości radykalnie różniące się od tej, w której dorastałem i zmian, które zachodziły we mnie samym. Jeżeli bowiem kiedyś nie mogłem znaleźć swojego miejsca, to dziś, mam wrażenie, gotów jestem wieść szczęśliwe życie gdziekolwiek na świecie.

ALINA

Alina miała dwanaście lat, gdy została żoną. Jej mąż miał wtedy trzynaście lat. To dosyć ekstremalny przykład związku wczesnomatrzeńskiego. Młody zaliczył po drodze kilkuletnią przygodę z edukacją, młoda nie była w szkole ani razu. Na brak pracy domowej nie mogła jednak narzekać. Na polskiej ziemi panowały z tego co mi wiadomo podobne zwyczaje, tyle tylko, że kilkaset lat temu. Różnica czasu? Różnice kulturowe? Moje zdumienie wywołane prymitywnym stylem życia, lokalną tradycją, brakiem prądu oraz bogactwem natury było ogromne...

Byłem już wcześniej w okolicach parku narodowego Chitwan. Wizja zapakowania się do jeepa w kilka osób uzbrojonych w aparaty fotograficzne i natrętny przewodnik, który będzie starał się zabłysnąć swoją znajomością języka angielskiego oraz zasypać swoich nowych przyjaciół ciekawostkami, to bardziej tortura niż przygoda. Coś w sam raz dla kogoś, kto przedtem za granicą był raz czy dwa. Na przykład na wycieczce do Egiptu organizowanej przez biuro podróży.

Spędziłem tam wtedy zaledwie parę dni, w parku byłem raz. Kilka godzin spaceru, potem powolne dryfowanie kilkunastometrowym canoe. Cisza na pokładzie, załoga pod wpływem muchomorów delektuje się naturą, dźwiękiem, powietrzem. Niekiedy wymiana uśmiechów w milczeniu potrafi wyjaśnić znacznie więcej niż niekończąca się dyskusja. To było podczas mojej pierwszej wizyty w Nepalu. Sporo się zmieniło od tamtej pory. Z turysty przerodziłem się w uchodźcę – powsinogę. Wioskę odnalazłem dzięki jednemu z przyjaciół imieniem Nandu. Z całą pewnością będzie jeszcze okazja o nim napisać, gdyż nie było to jedyne odkrycie jakiego dokonałem przy jego pomocy. To on był organizatorem pierwszej wycieczki do dżungli. Dzięki niemu też miałem okazję skorzystać z leczniczych właściwości psylocybiny.

Egzystencja w takich okolicznościach przyrody to doświadczenie, które zmieniło moje życie. Odnalazłem swoje miejsce, swoją wolność, siebie. Dla dzieciaków z najbiedniejszych rodzin to jednak często brutalna lekcja pokory i przetrwania. Popularny klaps nadal jest tu podstawowym środkiem komunikacji na linii rodzice – potomstwo. Jeżeli jestem w stanie zrozumieć zasadność kary cielesnej, gdy dziecko coś ukradło lub naraziło na niebezpieczeństwo zdrowie czy też życie kolegi czy koleżanki, tak łomot kijem za zwykle gapiostwo to już bezmyślność trudna do zaakceptowania.

Alina prowadziła coś na kształt domowej kawiarenki. Poza herbatą na mleku, którą pije się tu z rana, specjalność zakładu stanowiła potrawa o wdzięcznej nazwie czat-pat. Zupka chińska na sucho, ryż dmuchany, cebula, chili, ziemniak, ogórek, fasola, ocet i sos sojowy. Taka tam sałatka, im bardziej ostro i kwaśno, tym lepiej. Codziennie rano przewijało się przez to miejsce kilkunastu klientów. Najmłodszy – herbata i słodki precel. Najstarsi – herbata i papieros bez filtra, zdecydowanie gorzki w smaku. Dzieciaki jak tylko wyszarpią od kogoś jakiegoś drobne, od razu wałą tu jak grom z jasnego nieba. Dla mnie to! Dla mnie tamto! Za dziesięć rupii, za dwadzieścia! Niektóre z nich bez butów, większość zasmarkana. Ten cały gang przedszkolaków to moi najlepsi przyjaciele. To od nich nauczyłem się jak niewiele może człowiekowi wystarczyć do szczęścia.

Młoda dwa razy dziennie gotowała ryż. Na zapleczu chatki była dodatkowa izba, która robiła za kuchnię i składzik na drewno. Lokalna społeczność nie może liczyć na rozmaite cuda nauki oraz techniki, ale głód w oczy nikomu tutaj nie zagląda. Ryż to podstawa diety. Do tego rzeki pełne ryb, ślimaków, krabów – wystarczy połapać. Dziki szpinak, owoce lasu – wystarczy pozbiierać. Zabójstwo dzika grozi więzieniem, jednak kilkadziesiąt kilogramów mięsa to nie tylko zapasy, ale także pokaźny zastrzyk finansowy. Tubylcy potrafią zarzykować. Większość rodzin ma w okolicach chaty mniejszy lub większy ogródek. Fasola, kukurydza, pomidor, chili, mięta, czosnek. Luksus.

Alina była przyzwyczajona do roboty od najmłodszych lat. Była pełna niezwyklej energii. Wyglądało na to, że ta praca sprawia jej przyjemność. Dbanie o warzywa w ogródku, kilka kaczek oraz dwa króliki w zagrodzie. Serwowanie porannej herbaty oraz ciastek. Prowadzenie prostych rachunków i zakupy w oddalonym o kilka kilometrów miasteczku. Codziennie chodziła do lasu. Przede wszystkim po drewno, żeby było jak gotować. Poza tym zbierała rozmaite zioła i owoce, które mają wartości tak odżywcze, jak i lecznicze. Śpiewała piosenki, śmiała się i podskakiwała jak mała dziewczynka, ale gdy ktoś wyprowadził ją z równowagi, potrafiła wykrzykiwać najgorsze przekleństwa, wymachując przy tym nożem, sierpem lub siekierą. Ta dziewczyna nie wiedziała co to strach, ale gniew potrafił zamienić ją w czarownicę.

Przez kilka miesięcy jedliśmy wspólne posiłki. Ja chodziłem do pracy i prowadziłem zajęcia sportowe dla dzieciaków. Początkowo dokuczał mi trochę upał, ale kondycja szybko się poprawiła, a organizm dostosował do panujących w tej tropikalnej okolicy warunków. Taki pracownik jak ja, to dla każdego z kolejnych szefów atrakcja. Dla większości mieszkańców wioski zagranica minus Indie i Chiny równa się Ameryka. Jeden na dziesięciu słyszał o takim kraju jak Polska. Jako obcokrajowiec, w domyśle Amerykanin, który mówi w języku nepalskim, bez problemów porozumiewałem się z resztą załogi. Ponieważ zależało mi, aby jak najwięcej nauczyć się w zakresie uprawy czy hodowli oraz zadbać o kondycję, do swoich obowiązków podchodziłem bardzo poważnie. Praca fizyczna pomagała mi pozostać z daleka od alkoholu. Przeciętna dniówka to pięć dolarów, ale pracodawcy zadowoleni z mojej postawy dorzucali zawsze jakiś bonus. Mięso, mleko, trawę. Pracowałem na stawach rybnych, fermie drobiu, kopalem rowy, rąbałem bambusa. Do dyspozycji miałem szałas na szczudłach, konstrukcja typowa dla otoczenia.

Kilka rodzin namawiało mnie, bym z nimi zamieszkał, ale mi odpowiadała swoista niezależność. W nocy po wiosce grasują zwierzaki. Jelenie, dziki, nosorożce starają się upolować dla siebie co nieco pszenicy czy kukurydzy. Szakale wyją do księżyca przy akompaniamencie świerszczy. Te dźwięki i krajobrazy są niesamowite. Zakochałem się w tym miejscu, dobrze mi tu. Gdyby jacyś podstępni szpiedzy wytropili mnie i odesłali z powrotem do cywilizacji, byłoby mi bardzo smutno. Oczywiście życie w tej malowniczej okolicy niesie za sobą pewne niewygody czy wręcz niebezpieczeństwa. Sranie w krzakach, pranie w rzece, możliwe upały i ulewy. Spotkanie z niedźwiedziem w nocy czy przypadkowe nadeptnięcie na jadowitego węża. Nie odnotowałem jednak zbyt wielu wypadków samochodowych ani napadów na tle rabunkowym. Zero ataków terrorystycznych.

Bezrobocie zarezerwowane wyłącznie dla ludzi niezainteresowanych robotą. Biedota zawsze może znaleźć sobie zajęcie na polu. Ciężka praca, minimalne wynagrodzenie.

Z drugiej strony: zero podatków, licencji, zezwoleń. Start od zaraz, zakwaterowanie oraz wyżywienie w pakiecie...

*

Pozwolę sobie teraz przytoczyć anegdotkę z ojczyzny. Po dziewięciu miesiącach spędzonych w ośrodku readaptacyjnym MONAR Gaudynki, dzięki uprzejmości rodziny, miałem do dyspozycji ekskluzywną kawalerkę w Piasecznie wynajęta na trzy miesiące. Postanowiłem znaleźć zatrudnienie gdziekolwiek byle czym prędzej, aby zagospodarować większość czasu oraz mieć jakieś dodatkowe środki finansowe do dyspozycji. Praca w supermarkecie przyprawiłaby mnie jednak o depresję. Szkoły zawodowej nie ukończyłem, fachu w ręku nie mam, elektryk czy mechanik ze mnie żaden. Na budowie chłanie od rana murowane... Doszły mnie wtedy wieści o finansowanym ze środków UE projekcie modernizacji parku miejskiego i terenów zielonych. Bingo – pomyślałem. Szukamy osoby dyspozycyjnej do prac porządkowych. Jestem. Udałem się do urzędu gminy i miasta, aby oświadczyć swoją gotowość do podjęcia pracy. Procedura zatrudnienia okazała się niezwykle karkołomna.

„Przede wszystkim musi pan okazać certyfikat osoby bezrobotnej” – poinformowała mnie pani w okienku.

„Wie pani, prawdę mówiąc, nie posiadam, ostatnie kilka miesięcy spędziłem na Cyprze jako animator kultury” – skłamałem, aby uzasadnić jakoś brak udokumentowanej aktywności zawodowej w ostatnim czasie.

„Nieistotne, takowy dokument powinien pan wyrobić w urzędzie pracy przy ulicy takiej a takiej, proszę wrócić za kilka dni.”

„Dziękuję za informacje, do zobaczenia.”

W urzędzie pracy komplikacji ciąg dalszy:

„Niestety, ale jako osoba, która nie posiada meldunku na terenie gminy, nie może pan zostać zarejestrowany jako osoba bezrobotna w powiatowym...” – rozpoczął urzędnik państwowy w swoim eleganckim garniturku.

„Rozumiem, że jako osoba bezdomna nie mam prawa ubiegać się o certyfikat osoby bezrobotnej, niezbędny do podjęcia pracy zawodowej” – przerwałem w pół zdania wyraźnie podirytowany. Ostatecznie tymczasowy meldunek umożliwił wystawienie warunkowego dokumentu pod tytułem „ten pan jest bezrobotny”. Cały kabaret trwał nieco ponad tydzień, gdy ponownie zawitałem do urzędu gminy, okazało się, że szczęścia mogę spróbować za dwa tygodnie, gdyż na ten moment „wyczerpany został limit beneficjentów projektu finansowanego ze środków funduszu...”. „Ciekawe ile te formy do ciasta z licencjatem z klawiszologii zarabiają? Pewnie dwa razy tyle co te biedaki, które biegają po parku z grabiami i plastikowym workiem” – zakpiłem w głębi duszy.

Przedstawiłem sytuację rodzinie na niedzielnym obiedzie. Obiecałem, że będę się dalej rozglądał za robotą, snułem też jakieś długofalowe plany. Poprosiłem o dodatkowe wsparcie. Do swojego mieszkania wracałem wyposażony w pieniądze, komputer, telefon, zegarek. Wszyscy byli pełni nadziei, że w końcu stanę na nogi. Poszedłem w melanz. Trzy

miesiące później nadawałem się już wyłącznie na kolejny odwyk lub do psychiatryka. Nie było możliwości, abym w takim stanie odwiedził rezydencję rodziców, ale ojciec zgodził się ze mną spotkać w restauracji. Wybłągałem ostatnią szansę – bilet w jedną stronę. Dałem słowo, że już nigdy nie będę zwracał głowy, stanowił problemu, prosił o pomoc. On zaryzykował. Ja starałem się dotrzymać słowa.

*

Wracając do dżungli. Nie ma komputera, internetu, telefonu. Jest zarcie, jest robota, jest Alina, jest pięknie. Wstaje o piątej rano, ekipę mamy czteroosobową – „kareta asów” można powiedzieć. Palimy i ruszamy nad rzekę Raptii, to tutaj krokodyle atakują od czasu do czasu śmiałków kłusujących na tłuste węgorze i inne grube ryby. Krótka odprawa w swojej leśniczówce, dowiadujemy się, co to za misja czeka dziś nasz traktor i jego dzielną załogę, po czym ruszamy do roboty zanim zrobi się okropnie gorąco. Spotkanie towarzyskie, praca zawodowa, poranny W-F i National Geographic w jednym, nie ma co narzekać. Po południu piłeczka, gramy po jedenastu, praktycznie codziennie. Jedyne, co nam czasem stanie na przeszkodzie, to ulewa. Tropikalne deszcze to nie londyńska mżawka a tutejsze boisko to nie Wembley. Tak czy inaczej jest wesoło.

Alina mogła ważyć jakieś pięćdziesiąt kilogramów. Tygrys nawet dziesięć razy tyle. Nie dał jej żadnych szans. W ciągu ostatnich dziewięciu lat to trzeci taki przypadek w okolicy. Minęło kilka miesięcy od tego wydarzenia, a młodsza siostra notorycznie mi o sobie przypomina. Ja noszę na lewym ramieniu pamiątkę, a w sercu stratę. Gdzieś powoli rodzi się nadzieja, że spotkamy się ponownie i będziemy siedzieli przy ognisku. Na wieki wieków. Amen. Ktoś może uznać, że to wina muchomorów, schizofrenia, podpowiada ktoś inny. Ja bym polemizował. Chwilowo jednak nie widzę takiej potrzeby...

WUJEK

Wujek na swoje bogate doświadczenie zawodowe, pracował od najmłodszych lat. Reperował rowery, pompy wodne, pracował w rozmaitych restauracjach. Później prowadził swój warsztat. Złota rączka, można powiedzieć. Ten człowiek jest encyklopedią wiedzy, jeżeli chodzi o uprawę warzyw. Ogród, pole, sad. Pracy jest sporo, ale rodzina liczna. Najmłodszy Alex ma dwa lata. Ośmioletnia Sandhya pomaga w ogródku i przy opiece nad swoim młodszym bratem. Dwunastoletnia Sabrina pracuje w polu, pomaga przy gotowaniu. Dziesięcioletni Bundheshwor łowi ryby i pomaga ojcu przy rozmaitych naprawach. Mamuśka potrafi rąbać drewno i prać bieliznę jednocześnie. Najstarszy syn Dibas ma dziewiętnaście lat. Jest kierowcą minibusu i wspomaga rodzinę finansowo. Wujek ma też niemałe doświadczenie w zakresie konsumpcji alkoholu. Pod wpływem tej substancji zamienia się w nikczemnego awanturnika. Jego mowa w kompletny bełkot. Jego miłość w ślepą agresję...

Na początku roku wracałem do wioski w fatalnej kondycji zdrowotnej, finansowej i psychicznej. Nie jest żadną tajemnicą, że alkohol mi nie służy. W ostatnich latach „Nie piję dla

przyjemności”. Piję ze złości, piję, gdy mam ochotę zrobić komuś krzywdę, ale po krótkim namyśle kieruję tę agresję przeciwko sobie. Piję, gdy mam wszystkiego dość. Jestem jak Obelix, swoją dawkę magicznego napoju przyjąłem za młodu. Nie piję piwa, nie sączę kolorowych drinków przez słomkę. Wałę cztery szklanki gorzały jedna po drugiej. Jak nie pomaga, wałę kolejne dwie i kolejne... Do skutku, aż padnę na ryj. Ocknę się po godzinie i piję dalej. Do ostatniego grosza, potem ile się da na kredyt i w końcu bolesna odtrutka. Kilka bezsennych nocy. Jakikolwiek posiłek to natychmiastowe wymioty. After Party.

Wiadomość o śmierci Aliny mnie zdemolowała. Poddałem się natychmiast. Przebywałem wtedy w stolicy. Zajmowałem się głównie handlem. Zaopatrywałem środowisko w materiał łatwopalny wysokiej jakości oraz kwasy z odpowiedniego źródła. Prowadziłem rozmowy w sprawie załatwienia swojego problemu z wizą, a raczej jej brakiem. Były nawet jakieś widoki na interesy na linii Polska – Nepal. Ubrania, naszyjniki i inne duperele. Miałem przy sobie nieco ponad tysiąc dolarów. Świeża odzież, nowy telefon, co nieco towaru. Nigdy wcześniej, nigdy później podczas mojej trzyletniej jak dotąd przygody w Nepalu nie byłem w tak korzystnym, z materialnego punktu widzenia, położeniu. Chciałem zarobić jeszcze trochę i wracać na wioskę. Kilka tygodni później zataczałem się na boso po centrum Katmandu. Plan miałem prosty. W tym mieście zawsze znajdzie się ktoś, kto poleje albo pożyczy dolara. Około godziny jedenastej straciłem przytomność. Jeden ze znajomych znalazł mnie na ulicy. Ocucił i wręczył dziesięć dolarów na taksówkę do szpitala.

„W szpitalu to ludzie umierają” – pomyślałem.

Podziękowałem za pomoc i udałem się niezwłocznie uzupełnić braki alkoholu w organizmie. Wiedziałem jednak, że potrzebuję odpocząć. Próbowałem skorzystać z Internetu, by zorganizować sobie jakąś pomoc, jednak nie bardzo szło mi trafianie w klawiaturę, ciężko było zebrać myśli. Mój organizm miał naprawdę dosyć, wysłał ostatnie ostrzeżenia.

„Po upadku potrafię wstać” – zanuciłem w myślach. Postanowiłem jak najszybciej udać się na południe. Jakiś nieznajomy podarował mi klapki, miło z jego strony. Co jakiś czas postój, czarna herbata, coś słodkiego. Pozbierałem resztki sił. Bilet kosztuje cztery dolary, do dyspozycji miałem siedem i pół. Czas podróży zależy od sytuacji na drodze. Jeżeli miała miejsce jakaś kraksa lub trwają roboty drogowe, ruch potrafi być wstrzymany na kilka godzin.

„Może powinienem poczekać do jutra, ruszyć z rana” – pomyślałem.

„Nie zawracaj...” – wyszeptał wiatr.

Towarzyszyły mi lekkie zawroty głowy. Nie czułem się komfortowo. Klaksony, spaliny, wrzaski. Kątem oka dostrzegłem dwóch młodych mężczyzn. Zmieniali koło w swoim samochodzie dostawczym średniej wielkości.

„Się zapytam” – sam do siebie.

„Do zobaczenia w lesie” – obilo mi się o uszy.

Chłopaki nie mówili za bardzo po angielsku. Kolejny raz znajomość języka nepalskiego okazała się kluczem do sukcesu. W połowie drogi z Katmandu do Pokhary leży miejscowość Mugling. Tutaj się rozstajemy. Warunki na trasie mieliśmy wzorowe. Kierowca był trzeźwy, co nie jest w Nepalu regułą, a jego pomocnik podarował mi kilka gram zioła. Dziękuję i do widzenia. Teraz to już z góry, byłem dobrej myśli.

Środek nocy, 60 km do pokonania, urojenia przestały dokuczać. Zapaliłem i zamówiłem herbatę w przydrożnej postojowni. Na miejscu kobieta w słusznym wieku, wygląda na zmęczoną. Nie w nastroju, by zadawać głupie pytania w stylu: „co ja tu robię sam w środku nocy bez bagażu, kim jestem i dokąd podążam”. Komfort. Chwilę później w lokalu zjawiał się tajemniczy mężczyzna, w wieku około sześćdziesięciu lat. Podróżował na motocyklu marki Royal Enfield. Długie siwe włosy, broda i białe szaty, miałem wrażenie, że oto sam Jezus mi się objawił. Jointem nie pogardził. Wiele nie rozmawialiśmy. W zasadzie podziękował jedynie za poczęstunek i dodał, że zamierza dotrzeć na granice z Indiami „nim nadejdzie świt”. Zapytałem, czy mogę się zabrać kawałek w tamtą stronę, wracam do domu. Godzinę później byłem 10 km od celu. Spokój. Słońce zacznie wschodzić za jakąś godzinę.

Szedłem powoli od czasu do czasu popijając wodę z czyjejś studni. Gdy dotarłem na miejsce, było już jasno, ale wciąż wcześnie. W styczniu poranki są chłodne, dzieciaki mogą pospać nieco dłużej. Ognisko już się pali. Mamuśka się krząta, gotuje herbatę, zamiata podwórko. Wujek szykuje poranną rację suszu roślinnego, który zaraz zapłonie w glinianej fajce. Oboje cieszą się z mojego powrotu. Zdaję im szybka relacje – coś o trudach podróży i chwilowych kłopotach zdrowotnych. Po śniadaniu udałem się na spoczynek w hamaku. Czuję się, jakbym wrócił na swoje miejsce po niekończącej się tułaczce, jakbym leżał w kołysce, z której wypadłem przez jakieś kosmiczne nieporozumienie. Spałem jak zabity. To, że Alina nawiedziła mnie we śnie, da się wytłumaczyć w sposób prosty i logiczny. Była uroczą, młodą dziewczyną. Była mi bliska, a jednocześnie dzika i tajemnicza. Jej tragiczna śmierć w tak młodym wieku wywołała ogromne emocje, były one jeszcze świeże. To, co działo się ze mną później, będzie mi wytłumaczyć znacznie trudniej...

MAMUŚKA

Spałem cały dzień. Mamuśka obudziła mnie, gdy kolacja była już gotowa. Mięso z bawoła, góra ryżu, szpinak, kilka małych rybek, które dzieciaki złapały po szkole z okazji mojej kolejnej wizyty. Bywa jednak, że głód nie idzie w parze z apetytem. Jedzenie bardzo smaczne, przygotowane z miłością, ale smażone mięso i pesto z chili na zdewastowaną wątrobę to ryzykowne rozwiązanie. Mój żołądek po ostatnim maratonie porządnie się skurczył, nie był w stanie pomieścić pół porcji ryżu. Wujek zaproponował coś mocniejszego „na trawienie”, ale moja odpowiedź brzmiała „nie, dziękuję”. Wyjaśniłem, że za kilka dni będę w pełni sił, ale na razie muszę trzymać dietę i co nieco odpocząć. Abstynencja alkoholowa jest niezbędnym warunkiem mojej przyzwoitej egzystencji w jakimkolwiek społeczeństwie. Niektórzy ludzie tego po prostu nie rozumieją.

„Tylko trochę, będzie Ci się lepiej spało w nocy, hehehe” – Wujek wystartował raz jeszcze.

„Wujek, wątroba.. Ja już swoje w życiu wypilem. Usiądziemy, zapalimy, pogadamy. Dobrze Cię znowu widzieć.”

Podczas wieczornej konwersacji ustaliliśmy, że przez najbliższe kilka dni będę pomagał w ogrodzie i odrabiał lekcje z dziećkami. Zapewniłem, że moje problemy ze zdrowiem to nic poważnego, że z każdym dniem będę czuł się lepiej. Odmówiłem wizyty u lekarza. Wynegocjowałem z Mamuśką specjalną dietę, bez mięsa, jajek, oleju, chili, czosnku

i cebuli. Ludzie w Nepalu nie odżywiają się w systemie śniadanie, obiad, kolacja. Wczesnie rano herbata i coś słodkiego, żaden to posiłek. W okolicach godziny jedenastej Khana. Trzy podstawowe składniki to Dal – Bhat – Tarkhari, w kolejności: polewka z soczewicy, gotowany ryż, warzywa. Po południu przekąska – Khaja, zazwyczaj smażone mięso. Obecnie preferuję banany z jogurtem. Wieczorem ponownie Khana. Mamuśka specjalizuje się w dodatkach, pasta czosnkowa, przecier z pomidorów i mięty, kiszona rzepa z musztardą. Wszystkie składniki pochodzą z domowego ogródka. Czad.

Na potrzeby rekonwalescencji ustaliliśmy specjalny tryb żywienia. Pięć razy dziennie trochę ryżu z mlekiem lub warzywami. Mini porcje.

„Jak małe dziecko” – śmiała się Mamuśka – „Jak nie będziesz porządnie jadł, to nigdy nie wyzdrowiejesz, może chociaż trochę mięsa?”

„Mamuśka, wątroba musi odpocząć. Za dwa tygodnie będę jadł za dwóch”. Podziękowałem. Za dziesięć minut Mamuśka powraca z kubkiem gorącego mleka i kilkoma plackami z pszenicy.

Wujek z Mamuśką mają na własność spory kawałek ziemi. Jak na standardy panujące w okolicy, to przynajmniej klasa średnia. Szczypiorki, koperki i ogórki rosną w miesiąc. Ryż w trzy miesiące. Taki cykl to zapas na cały rok. Jeżeli dzikie zwierzęta nie spowodują większych strat, część plonów trafi na lokalny bazar i zasili domowy budżet. Największy skarb stanowią nasze drzewa owocowe. Cytryna, mango, lichii, papaja, banan. Bajka.

Wujek miał sensowny plan i co nieco majątku w postaci jeszcze jednego kawałka ziemi kilkanaście kilometrów na wschód. Jakiś czas temu pojawił się kontrahent, rozmowy były na finiszu. Budujemy nowy dom, dwa pokoje gościnne, dwa do dyspozycji rodziny. W trzysobowym składzie: Inżynier, Dibas i ja postawiliśmy betonową konstrukcję. Czas operacyjny dwa tygodnie. Za drewniane okna i framugi odpowiadał dodatkowy majster. Do zainstalowania został dach. Blacha, dwóch fachowców, jeden dzień roboty. Solidny dach w porze deszczowej to naprawdę kluczowa sprawa. Odwiedziło nas dwóch moich znajomych, Turek i Anglik. Rodzina zadowolona. Planujemy kolejne kroki. Po takim trzytygodniowym turnusie rehabilitacyjnym miałem teraz trochę czasu dla siebie. Postanowiłem wykorzystać to do maksimum. Biegi długodystansowe z rana, wizyty u znajomych, wyprawy na ryby. Rower z koleżanką, piłka z dziećmi. Powrót do domu, a tam Wujek z kolejną delegacją coraz to dalszych krewnych oraz ich znajomych. Komentarze, gratulacje, ognisko i kilka flaszek. Miesiąc temu schorowany, dziś wulkan energii, miałem ochotę na wszystko poza alkoholem. O swoją abstynencję byłem spokojny, ale wiedziałem, że jak tak dalej pójdzie, to Wujek rozpęta kolejną wojnę domową.

Wujek mówi łamanym angielskim. Skończył trzy klasy podstawówki, potem szukał szczęścia w różnych zakątkach Nepalu. Kumaty gość, zawsze coś przekreśli, wielokrotnie używa nowopoznanych zwrotów w niewłaściwym kontekście, ale śmiało można się dogadać. Tak długo, jak jest trzeźwy. Mamuśka zna po angielsku kilka słów: Good Morning. Bye-bye. No problem.

„Luka a jak jest to po angielsku?” – zapytała ostatnio niosąc dynie. „Pumpkin” – odpowiedziałem. „Bambgin” – powtórzyła dosyć niezgrabnie, uroczym się za to roześmiała. Codziennie porozumiewamy się w języku nepalskim. Podstawowe sprawy: zakupy, samopoczucie, pogoda, wieści ze wsi. Podział obowiązków domowych i do dzieła. Mamuśka

idzie jak przecinak. Wszędzie jej pełno, a muszę zaznaczyć, że najmłodszy członek rodziny wymaga więcej opieki i uwagi niż inne dzieci w jego wieku. Szalony mały dzikus. Pozostałe dzieciaki nie tylko szykują się do szkoły same. Dbają o siebie jak należy i wydatnie pomagają w domu. Rodzice i najstarszy syn zwracają się do mnie Luka. Młodzież woła na mnie Wujek. Alex jeszcze niewiele kuma. Jest za to specjalistą w dziedzinie destrukcji otoczenia.

SANDHYA

Sandhya to połączenie małej księżniczki z atomówką. Jej zainteresowania to: nurkowanie w rzece, zbieranie ślimaków, kopanie czego popadnie, wrzaski, piski i śmiech do upadłego. Warunki do przygotowania na olimpiadę ma jednak nieszczerłone. Jej przezwisko „Munti” oznacza w języku nepalskim mniej więcej tyle, co „łamaga”. Wynika to z faktu że zanim nauczyła się chodzić, potrafiła już biegać i skakać. Ten mały diabeł tasmański po prostu nie pasuje do stosowanego w domu modelu wychowania. Spartańska dyscyplina i sroga ręka ojca plus wrzaski, groźby i bluzgi matki. Gdyby ktoś zapytał mnie o upodobania polityczne, to takowych nie posiadam. Jeżeli chodzi o poglądy, to bliżej mi do pana Janusza Korwin-Mikke aniżeli pani profesor Magdaleny Środy. Jak mi szło w gimnazjum? Nie chodziłem. Studia? Bym chciał, to bym pewnie ukończył. Zwiedziłem trochę świata, kilka książek przeczytałem. Co zrobić, żeby ośmioletnia dziewczynka, talent sportowy czystej wody, nie była przymuszana agresją fizyczną lub psychiczną do „bicia cicho” lub „siedzenia w kącie”? Twardy orzech do zgryzienia.

Od dawna zastanawiam się, jak poukładać te puzzle. Wujek chodzi na dwie zmiany: „raz trzeźwy, raz najebany”. Mamuśka kocha swoje dzieci, ale mentalnie porusza się w epoce kamienia łupanego. Dibas ma dobrą pracę, nie pali, nie pije, dba o siebie i wspiera rodzinę. Jego rówieśnicy snują się bez celu po wsi naćpani klonozepanem czy jakimś innym lekarstwem dostępnym w aptece po znajomości. Sabrina jest odpowiedzialna, dobrze się uczy, opiekuje się młodszym rodzeństwem i jest wiecznie uśmiechnięta. Jej rówieśniczki szturmują właśnie serwisy randkowe dla gimnazjalistów na wagarach. Znak czasu. Bundeshwor mimo młodego wieku sporo zdążył się już od ojca nauczyć. Na przykład jak w dosłownym tego słowa znaczeniu spierdalać na drzewo, kiedy pijany w sztok tatuś postanowił na swoim dziesięcioletnim synu wyładować kolejną porcję agresji. Mówię poważnie, młody to prawdziwy małpison, stary to terrorysta.

Sandhya to ADHD do kwadratu, dobrze byłoby posłać ją na dodatkowe zajęcia do klubu sportowego, ale taki to trzeba by było najpierw założyć, a później poprowadzić. Jej rodzice za chwilę znowu zafundują jej łomot z byle powodu.

I co teraz? Telefon na policję nie wchodzi w rachubę z wielu powodów.

Po pierwsze – Nie mam telefonu

Po drugie – Nie dzwonię na policję

Po trzecie – Nawet gdyby ktoś się tam dodzwonił, a dwóch dzielnych funkcjonariuszy w mundurach straży wiejskiej zjawilo się na miejscu zbrodni (nie wcześniej niż dzień później), to spisaliby co najwyżej protokół z awantury.

Po czwarte – Gdyby ktoś jednak wpakował Wujka za kratki na kilka miesięcy, co wtedy?

Po piąte – Rodzina została bez głowy, która zapewnia jej byt.

Po szóste – Po tygodniu wszyscy zapomnieliby o zamieszaniu, a dzieciaki żyły w przekonaniu, że to ich wina, że "mogły być grzeczne".

Któregoś pięknego wieczora Wujek był trzeźwy, a co za tym idzie rozdrażniony. Mamuśka też była nie w sosie. Dibas był poza domem, ja wróciłem zmęczony i głodny. Natężenie agresji w powietrzu rosło stopniowo. Mamuśka z Alexem na rękach bluzga jak najęta. Wujek też operuje zdecydowanie wulgarnym językiem, wymachuje metalową rurą. Między rodzicami Bundhe i Sabrina, próbują załagodzić sytuację. Bezskutecznie. Wujek usuwa dzieciaki z linii strzału i obiecuje swojej żonie porządnego wpierdol. Sandhya przerażona szlocha w kącie.

„Ruszaj się!” – to huknął piorun. Wziąłem krótki rozbieg i potraktowałem Wujka w hokejowym stylu – wejście barkiem. Wujek odbił się od betonowej ściany i stracił przytomność, żelastwo wypadło mu z rąk.

„To mi się podoba!” – znowu zagrzmiało. W międzyczasie Mamuśka przeszła do kontrataku, rozpoczęła okładanie Wujka rurą. Ten odzyskał przytomność i rozpoczął wyc do księżycy z bólu i złości. Ulewa rozpuściła się na dobre. Mam dość...

„Wyobrażasz sobie, że jesteś zarazem wodą, ogniem, powietrzem i ziemią?” – zapytała Alina.

„Tak sobie właśnie to wyobrażam... i widzę Cię, gdy wpatruję się w płomień, słyszę Cię, kiedy wieje wiatr” – odpowiedziałem.

„Jesteś niesamowity”

„Jesteś nie z tej ziemi”

Znajoma energia oddaliła się powoli nucąc cichutką swoją ulubioną piosenkę.

Andrzej C. Leszczyński



OKRUCHY

ŚWIATOPOGLĄD

Chyba najpojemniejszą formułą mówiącą o człowieku jest ta, która ujmuje go jako istotę światopoglądową¹. To znaczy taką, która uwewnętrznia rzeczywistość (makrokosmos) i staje się jej nosicielem (mikrokosmosem). Pogląd na świat – świat „jako taki” – będący teoretyczną i egzystencjalną postawą obejmuje treści metafizyczno-egzystencjalne, co oznacza, że ma charakter indywidualny. Takie jest bowiem z natury rzeczy doświadczenie ludzkiego losu – śmierci, cierpienia, wiary czy miłości. Metafizyczno-egzystencjalny charakter światopoglądu wiąże się z tradycją niemiecką. Tomasz Mann w „Rozważaniach człowieka apolitycznego” z nadzieją pisał o duchowości (Innerlichkeit) mającej gwarantować, że Niemcy nigdy nie będą przedkładać problemów społecznych nad wewnętrzne doświadczenie jednostek². Prywatność światopoglądu wiąże się z jemu tylko właściwą aktywnością podmiotu. Nie jest to więc obraz w jakimś sensie zobiektywizowany („światoobraz” – Weltbild³), lecz raczej czyjś pogląd, czyjś punkt widzenia na świat (Weltanschauung), na życie (Lebensanschauung); czyjeś „przeżywanie” świata. Heidegger: „[...] byt uchodzi za bytujący o tyle tylko i w takiej mierze, w jakiej jest w to życie wnoszony i do niego odnoszony, tzn. w jakiej jest prze-żywany i staje się prze-życiem” (tłum. Krzysztof Wolicki). Z całości bytu – Karl Jaspers określa go mianem Ogarniającego (das Umgreifende) – człowiek wyodrębnia się jako podmiot uwikłany w określone sytuacje. Niektóre spośród nich same zmieniają się, na niektóre można wpływać, są też takie, które zachowują trwałość. Jaspers nazywa je sytuacjami granicznymi, pozostającymi poza możliwościami zmiany. „[...] muszę umrzeć, muszę cierpieć, muszę walczyć, podlegam władzy przypadku, nieuchronnie wikłam się w winę” (tłum. Anna Wołkowicz).

Strukturę światopoglądu wyznaczają trzy najczęściej wskazywane problemy – pytania: [1] Jaki jest świat? [2] Co ja w nim robię? [3] Jak winienem postępować? Łatwo zauważyć, że problemy te odpowiadają trzem klasycznym działom filozofii: ontologii, epistemologii i aksjologii (szczególnie w jej normatywnych dziedzinach). W sensie materialnym (treściowym) istota światopoglądowa może więc być określana mianem istoty filozofującej, co wyrażają takie sformułowania, jak „Primum philosophari, deinde vivere” (najpierw

¹ Inne określenia, to m.in. homo sapiens, homo socius, homo faber, homo religiosus, homo ludens.

² Podmiotem zbiorowym jest, wywodząca się z tradycji francuskiej, ideologia. Mieści w sobie problematykę, która odwołuje się do doświadczeń wspólnotowych – gospodarka, polityka, edukacja itp.

³ Określenie Martina Heideggera, por. „Czas światoobrazu” („Die Zeit des Weltbildes”).

filozofować, potem żyć), czy „Non est necesse vivere, necesse est philosophari” (Nie życie jest koniecznością, lecz filozofowanie). Filozoficzne dociekania budują samowiedzę, dzięki której życie zyskuje cechy egzystencji (łac. ex sisto znaczy „wychodzić z”, „wydobywać się” – tu: z nieświadomości). Kartezjusz: „żyć i nie filozofować to po prostu mieć oczy zamknięte i nie próbować ich nigdy otworzyć”. Na egzystencjalny sens filozofowania wskazuje Seneka: „Filozofia nie jest sztuką dla ludu, ani dziełem przeznaczonym na pokaz. Nie polega na słowach, ale na czynach. Nie uprawia się jej dla rozrywki zabicia czasu, czy też dla rozproszenia próżniaczej nudy: filozofia kształtuje i tworzy duszę, zarządza naszym życiem, kieruje działaniem, wskazuje, co robić i czego zaniechać, dzierży ster i wytycza trasę żeglarszom miotanym falami. Bez niej nikt nie może żyć ani bezpiecznie, ani beztrudno: w każdej godzinie zdarza się niezliczona ilość przypadków, w których musi się u niej szukać porady”.

Odmienność światopoglądu i filozofii ma charakter wyłącznie formalny. Światopogląd jest zazwyczaj niespójny, stwarzający wrażenie zmienności, i arbitralny (nieuzasadniany). Filozofia – przeciwnie – jest spójna (tworzy system), stała (gdy się zmienia, jest już inną filozofią) oraz pryncypialna (uzasadniana). Jest teoretyczna, abstrakcyjna (ἀφαιρέσεως w rozumieniu *Arystotelesa*; „oderwana” – abstrāctiō), w pewien sposób „martwa”. Tymczasem światopogląd – pisze Leszek Kołakowski („Światopogląd i życie codzienne”, 1957) – musi być „przeżyty” wewnątrznie. „Żadna doktryna nie stanie się poglądem na świat, jeśli nie będzie przeżyta uprzednio jako zaspokojenie rzeczywistego pytania”.

Jednym z celów ideologicznych inżynierii jest kształtowanie pożądanego, zgodnego z doktryną modelu człowieka, jego światopoglądu. Nie tak dawno operowano jedynie słusznym pojęciem światopoglądu naukowego, dziś szuka się edukacyjnych sposobów pozwalających wywieść światopogląd z przesłanek religijnych. Co do naukowości światopoglądu – byłaby ona, można sądzić, możliwa jedynie w odniesieniu do dwóch pierwszych pytań, dotyczących rzeczywistości i uwikłania w nią człowieka. Trzeciego, normatywnego elementu – zdaniem wielu najistotniejszego – w żaden sposób nie da się związać z dwoma poprzednimi. Nie sposób wywieść z naukowego opisu jakichkolwiek powinności, co lapidarnie wyrażał Dawid Hume („No Ought from Is”, „Gap between should and Is”). Jednak i dwie pierwsze kwestie trudno oprzeć na nauce. Zdaniem Karla Jaspersa nauka stoi wręcz na antypodach światopoglądu (egzystencjalnej filozofii). Jest powszechna i zmienna, a światopogląd indywidualny i trwały. Odwołuje się do fizycznego wymiaru bytu, a światopogląd do metafizyki. „Nauka bada byt empiryczny, który niezależnie od bytu osoby badającej jest tym, czym jest. Filozofowanie pyta o byt, który będzie doświadczany przez to, że jestem sobą; o bycie mogę dowiedzieć się tylko w taki sposób, w jaki istnieję dzięki sobie. Stąd też wiedza filozoficzna zależy od mojego bytu, jest jego samoupewнением” (tłum. Anna Staniewska).

Światopogląd jest zbiorem trwałych przekonań (gr. *πειθώ*), przeświadczeń wziętych nie z nauki, lecz z wiary, własnych doświadczeń i mniemań (gr. *δόξα*). Trwałość ta bywa dostrzegalna w takich przejawach, jak posługiwanie się własnym, niezapożyczonym językiem, a także zachowanie swego emotywnego odnoszenia się do świata (coś akceptuję, czegoś

innego nie). Tak pojęty, jest cechą dorosłości⁴. Władysław Tatarkiewicz na drodze do filozofii (tak tytułuje swój esej i książkę: „Droga do filozofii”, 1971) wyszczególnia dwa etapy, dwa obrazy świata – obraz naturalny i obraz naukowy. Pierwszy obejmuje świat będący zbiorem istniejących realnie, mających określone właściwości, rzeczy materialnych. Człowiek to rzecz wiedząca o innych rzeczach. Zdobywa wiedzę sam, dzięki „zaufaniu” do świata. Drugi etap rozszerza wiedzę potoczną, porządkuje, uściśla, dowodzi i koryguje błędne domysły. Zdaje się, że mniej znaczy dla światopoglądu niż pierwszy. „Człowiek – pisał Leszek Kołakowskiem w przywołanym esej – nie przyswaja sobie światopoglądu przez sam fakt, że jest przekonany o prawdziwości jego twierdzeń”.

ELZENBERG

Myśliciel znakomity, doceniany przez nielicznych. Jest Henryk Elzenberg autorem kilku książek, w tym najbardziej znanej, prowadzonego przez pięćdziesiąt sześć lat dziennika filozoficznego zatytułowanego „Kłopot z istnieniem”. Oto kilka fragmentów wziętych z tej książki.

13 X 1907. „Pytanie: gdzie jest tak zwane ja? Oto wczoraj znajduję się sam w pokoju i zaczynam myśleć o sobie, ale myśląc tak mam dwa dziwne wrażenia. Po pierwsze: wrażenie, jak gdyby żadna z tych moich myśli nie wychodziła z głębi mojego ja, tylko jak gdyby wszystkie były z zewnątrz przywiane. Po drugie: przedmiotem tych myśli byłem ja, a jakoś one tego ja nie znajdowały. Przesuwały się po szczegółach, wypadkach, stosunkach, pojęciach, ale do środka nie docierały.

I teraz także, gdy piszę, nie czuję, żeby to »ja« pisało.

Jak myślę, to nie istnieję, nie mam świadomości siebie; istnieje tylko to o czym myślę. Świadomość zaś zyskuje człowiek najbardziej przez cierpienie, choćby zwyczajny fizyczny ból; jak mnie ząb boli, to wiem, że jestem”.

15 V 1910. „Śmierć tym większym bywa postrachem, im życie jest uboższe i bardziej wegetatywne; a im bardziej duchowe, kulturalne, bogate w siły i w pełni rozwinięte, tym lęk przed śmiercią jest mniejszy. A nie przeciwnie, jakby można pomyśleć”.

26 VII 1912. „Do świętości wiedzie droga poprzez grzech; kto nie grzeszył, i to ciężko, świętym nie będzie. Bo dopiero walka z grzechem otwiera w człowieku te głębie sumienia, z których może narodzić się święty. Człowiek zaś uczciwy nie grzeszy – ale też jest tylko uczciwy”.

13 II 1915. „Ciężko jest budzić się ze snu, z krainy zapomnienia, i zamiast świata jakim go pan Bóg stworzył a Homer i Szekspir poezją ozłocili, zastać ołowiane sklepienie śmierci i jałowe ściernisko polityki”.

16 XI 1915. „Celem życia jest: w swojej małej jednostkowej duszy odbić jak najwięcej kosmosu”.

⁴ Sergiusz Hessen („Istota i znaczenie poglądu na świat”) zauważa, że dziecko nie ma dystansu do świata, który jest jego „przedłużeniem”.

21 II 1917. „Opanowywać swoje odruchy, to właściwie nie czyni człowieka ani trochę lepszym czy szlachetniejszym. Bo cóż, że ja swoim reakcjom łeb uknęczę, jeśli ten odruch we mnie powstał, moja wyobraźnia tym właśnie przedmiotem się zajęła, moje pragnienie ku niemu dało się pociągnąć, cała moja istota, jak woda w próżnię, rzuciła się w tym właśnie kierunku! To, czym ja naprawdę jestem, jest przez ten proces w całości już określone; późniejsze opanowanie może mieć znaczenie tylko praktyczne. Nie wystarczy opanowanie, potrzebne jest przeobrażenie. Wstrząs, który duszę rozbija i robi z niej coś całkiem innego”.

9 XI 1930. „Mówi się, że przyjaźń dla zwierząt jest często tylko stroną odwrotną niechęci, nawet nienawiści do ludzi. Dawniej na to się oburzałem, dziś myślę, że jest w tym pewna racja. Nie całkowita; przy tym obstać. »Skaut jest przyjacielem zwierząt«: tak stoi na poczesnym miejscu w prawie skautowskim; a skaut jako żywo nie jest mizantrop. A u małych dzieci przyjaźń dla zwierząt jest w znacznej mierze objawem pierwotnej, nienaruszonej życzliwości dla każdej istoty”.

14 III 1931. „Samobójstwo jest tą rezerwą, ta ostatnią linią obronną, stanowiącą dla nas rękojmię, że poniżej pewnego punktu ponizenia, upokorzenia, rozbicia wewnętrznego itp. nikt i nic nas zepchnąć nie może. Świadomość, że zawsze można popełnić samobójstwo, to nasze kryte tyły w walce życiowej. Zupełnie inaczej można się wtedy ustosunkować do każdej sprawy; życie nie tylko jest spokojniejsze, ale i o wiele piękniejsze”.

7 X 1946. „Chryścianizm, ten zorganizowany, masowy, ten, który był i jest siłą społeczną, to po prostu organizacja Wielkiego Odczepnego dla Absolutu. Mija się ze swoim powołaniem religia, która aż tak zasadniczo uświęca ziemskość [...]”.

3 VI 1955. „Całe bodaj życie nie doceniałem różnic i przeciwieństw w światopoglądzie jako źródła wrogości między ludźmi: zanadto byłem pod sugestią [...] że każdy światopogląd jest opcją w pewnym sensie irracjonalną, i że w warunkach starcia jest raczej pięknym turniejem rycerskim niż walką na śmierć i życie, walką na noże. To było błędne; obserwując nie tylko drugich, ale w wielu wypadkach i siebie, z biegiem czasu musiałem uznać, że różnice światopoglądów to, dziś jak za czasu wojen religijnych, źródło może nienawiści na świecie”.

14 XI 1961. „Filozofia »terapeutyczna« w stylu Wittgensteina, to ów głąz, którym niedźwiedz u La Fontaine’a zabija muchę na czole swego przyjaciela człowieka. Muchą jest problematyka filozoficzna. Ta – nie ma co mówić – została arcydokumentnie zmiażdżona.

Poważnie i bez niedźwiedzia: Wittgenstein nas częstuje lekarstwem na coś, co nie jest chorobą. »Wyleczyć się« z problematyki filozoficznej to wyleczyć się z człowieczeństwa. Żaden szanujący się człowiek nie zamieni życia uświetnionego problemami, nawet ciężkimi, na życie bezproblemowe”.

ŚWIATOPOGLĄD JAKO IDEOLOGIA I PROGRAM POLITYCZNY.

PRZYPADEK ADOLFA HITLERA

Eberhard Jäckel w książce zatytułowanej „Hitlera pogląd na świat” (1973, tłum. Anna Danuta Tauszyńska) przytacza, nieporadnie wyrażone, przeświadczenie autora „Mein

Kampf” o możliwości oddzielenia funkcji polityka i twórcy programu politycznego („Programmatiker”). Program ten, jego trwałość, winny być wyprowadzane z „fanatycznego światopoglądu”. Hitler zbudował taki właśnie światopogląd wcześniej, już w czasie pobytu we Wiedniu (1907–1913), gdy – pełen oczekiwań od świata, gardzący pracą i bezskuteczną demokracją – kształcił umiejętności oratorskie i polemiczne. „W tym czasie uformowałem sobie obraz świata i pogląd na świat, które stały się granicznym fundamentem mojej ówczesnej działalności”. Przytaczany przez Jäckela brytyjski historyk, Hugh Rewald Trevor-Roper („Hitlers Kriegsziele”), uznaje Hitlera za męża stanu i filozofa państwowości: miał odrażającą, a zarazem wspaniałą wizję historii, świata i państwa. Z tej wizji wziął przekonanie o zadaniu, jakie nałożyła nań Opatrzność – zbudowania raz jeszcze wielkiego niemieckiego imperium, Tysiącletniej Rzeszy. Domagał się odrzucenia – podpisanego także przez Niemcy – traktatu wersalskiego. Pisał w „Mein Kampf”: „Jesteśmy wybrani przez los na świadków katastrofy, która stanie się przemożnym potwierdzeniem słuszności narodowej teorii rasistowskiej”.

Przeciwstawienie polityka i wizjonera (Programmatiker) oznacza konieczność uznania nadrzędnego wobec struktur politycznych bytu osobowego, wywodzącego swe uprawnienia ze światopoglądu ogarniającego rzeczywistość (prawdziwy) stan świata i wskazującego właściwe (słuszne) kierunki postępowania. Oto credo Hitlera: „Zadaniem twórcy programu jakiegos ruchu jest ustalenie jego celu, polityk zaś powinien dążyć do realizacji tego celu. W związku z tym rozumowanie pierwszego jest zdeterminowane odwiecznymi prawdami, podczas gdy o działalności drugiego decyduje raczej każdorazowo praktyczna rzeczywistość. Wielkość jednego polega na absolutnie abstrakcyjnej słuszności jego idei, doniosłość drugiego – na prawidłowej postawie [...], przy czym cel twórcy programu powinien mu służyć za gwiazdę przewodnią”. W ten sposób indywidualne, światopoglądowe źródło programu rychło przeobraża się w obligatoryjną, ideologiczną doktrynę partii i narodu (dwa rozdziały „Mein Kampf” zatytułowane są: „Światopogląd a partia”, oraz „Światopogląd a organizacja”)⁵.

Wbrew opinii Trevora-Ropera, odnajdującego w programie Hitlera wizje „wspaniałe, choć odrażające”, zdecydowana większość ówczesnych i dzisiejszych badaczy zgodna jest co tego, że trudno tam znaleźć jakiegokolwiek oryginalne, własne idee i pomysły autora. „Jego wielkie teoretyczne działo – pisze Jäckel – od początku zostało uznane za utwór nie do przeczytania, a z czasem stało się najmniej czytany bestsellerem literatury światowej”. Jedynym celem hitlerowskiej ideologii (narodowego socjalizmu) jest „całkowite zrewolucjonizowanie wszystkich pierwiastków ładu” (to słowa Hermanna Rauschninga z 1938 roku), mające przynieść władze pozbawioną ograniczeń. Harold Joseph Laski („Reflections on the Revolution of Our Time”, 1943) wyraził rzecz jednoznacznie: „Pozbawiony wszelkich zasad, był [Hitler-acl] przede wszystkim – jak wskazuje »Mein Kampf« – oportunistą, dla którego teoria żadnego nie ma znaczenia i który dąży po prostu do władzy jako celu samego w sobie”⁶. Jeszcze dobitniej ujął rzecz Alan Bullock („Hitler. Studium tyranii”, 1969), którego zdaniem zżerała Hitlera „w najczystszej i najbardziej brutalnej formie chęć posiadania

⁵ Sergiusz Hessen pisał o ideologii jako światopoglądzie zwyrodniałym, podporządkowującym obraz świata potrzebom działania.

⁶ Cyt. za: E. Jäckel, dz. cyt.

władzy, w niczym nie przypominająca dążenia do zwycięstwa idei, jak w przypadku Lenina czy Robespierre'a – jedyną ideą nazizmu była władza i panowanie dla samej władzy i panowania [...]”.

Dla zachowania władzy Hitler szukał wsparcia ze strony sojuszników. Nie brał pod uwagę Francji. Nienawidził Churchilla (szanował Stalina), mimo to myślał o Anglii, która jednak nie dała się wciągnąć w jego plany. Zostały Włochy. Zimny, racjonalny antysemityzm i plan wytepienia światowego żydostwa nie przeszkadzał w wypowiedaniu zdawkowych uwag na temat przydatności Żydów jako wrogów (można wyobrazić sobie taką relację, w której niezbędnym wrogiem są Niemcy albo Arabowie).

Tuż po wojnie, w 1946 roku ukazuje się szkic Friedricha Meinecke zatytułowany „Czy hitleryzm ma przyszłość?”. Nie kryjąc odrazy, autor na tytułowa pytanie odpowiada negatywnie. „Nawet jeśli wstrząsający i hańbiący jest fakt, że spółce przestępców udało się zniewolić naród niemiecki na okres 12 lat [...], to właśnie ten fakt zawiera w sobie także element ukojenia i pociechy. Naród niemiecki nie zapadł bez reszty na chorobę przestępczych przekonań, lecz przeszedł jednorazową ciężką infekcją na skutek podanej mu trucizny”. Poza tym, dowodzi Meinecke, trudno wyobrazić sobie pojawienie się postaci podobnej do Hitlera. „Jednorazowa była to więc osobowość, jednorazowy układ, i tylko wewnątrz tego układu mogło jej się udać dojść do władzy i zmusić naród niemiecki do pójścia przez pewien czas fałszywą drogą” (tłum. Elżbieta Kaźmierczak).

Można pogratulować autorowi optymizmu i tego, że nie doczekał (zmarł w 1954 roku w Berlinie Zachodnim) zjawisk jawnie przeczących jego wywodom. Choćby tych bliższych i dalszych zza wschodniej granicy. Ryszard Krynicki: „Faszyści znowu zmieniają koszule/swoje i swoich ofiar”.

Grażyna Nawrołska



Z DZIEJÓW WINIARSTWA

CZ. II (DO XIX WIEKU)

„Złoty wiek” winiarstwa w okresie średniowiecza miał swoją kontynuację w czasach nowożytnych. Uprawa winnej latorośli w Europie i umiejętności produkcji win, gdy wszystkie odmiany należały do jednego gatunku *vitis vinifera* powodowało, że wytwarzane wina miały zbliżony do siebie smak. Starano się jednak je różnicować poprzez dodawanie rozmaitych dodatków, m.in. miodu, ziół, różnych owoców.

Rozpoczynająca się w końcu XV wieku epoka wielkich odkryć geograficznych zapoczątkowała uprawę winnej latorośli i produkcję wina „na nowo odkrytych” przez Europejczyków terenach. Szczepy *vitis vinifera* zostały przewiezione do Ameryki Środkowej i Południowej. Pierwsze winnice założono w Meksyku w 1522 roku, kolejne w Peru (1540 r.), Chile (1554 r.) i w innych krajach tego regionu. W celu zintensyfikowania uprawy winorośli, nakazano hiszpańskim osadnikom sadzenie określonej liczby szczepów, np. na każdego zatrudnionego indiańskiego niewolnika obowiązywało posadzenie jednego tysiąca szczepów. W Peru na stu tysiącach akrach ziemi uprawnej posadzono tysiące szczepów, a z otrzymanych winogron znacząca część produkowanego wina była eksportowana do całej Ameryki Południowej. Większość tworzonych winnic w Nowym Świecie była zakładana przez zakon franciszkanów, co podyktowane było przede wszystkim względami religijnymi (liturgia). Jednak dość szybko latyfundia świeckie zaczęły uprawę winnej latorośli i produkcję win na dużą skalę myśląc nawet o eksporcie do Hiszpanii, co wywołało gorący sprzeciw jej mieszkańców.

W Nowym Świecie zaczęły się szybko upowszechniać także rodzime gatunki winorośli, które były odporne na miejscowe warunki klimatyczne. Obecność owadów, grzybów czy pleśni będących zagrożeniem dla europejskich szczepów, nie szkodziła lokalnym odmianom, takim jak np. *v. rotundifolia*, *v. munsonioana*, *v. rupestris*, *v. rotundifolia*, *v. munsonioana*, *v. rupestris*, *v. labrusca*.

Około 1650 roku Holendrzy przywieźli szczepy winnej latorośli do Południowej Afryki, a Anglicy zawieźli je do Australii (1788 r.) i Nowej Zelandii (1819 r.).

Krwawa wojna trzydziestoletnia w Europie w latach 1618–1648 pomiędzy katolikami i protestantami spustoszyła nie tylko tereny upraw winnej latorośli w Nadrenii i Alzacji, ale także na znacznych obszarach północnej i wschodniej Europy, powodując zniszczenia winnic na rozległych powierzchniach. Po zakończeniu działań wojennych, od połowy XVII wieku, następowało odradzanie się winiarstwa. Jednym z przykładów może być opactwo Hautvillers, w którym mnich Pierre Dom Pèrignon od 1668 roku „pracował” nad udoskonaleniem produkcji wina. Udało mu się otrzymać białe wino wysokiej jakości także z czarnych winogron. Stało się ono bardzo popularne, z biegiem lat o cechach musującego

trunku, które było również traktowane jak lekarstwo, w przeciwieństwie do ciężkich czerwonych win burgundzkich.

Znaczący wzrost produkcji winiarskiej spowodował wprowadzenie szeregu zmian, zarówno w sposobie przechowywania wina, jak i w jego transporcie. Jednym z ważniejszych momentów było rozpoczęcie wytwarzania na dużą skalę dębowych beczek przeznaczonych do przechowywania wina, ale także do jego transportowania (Ryc. 1). Zanim jednak napełniono je trunkiem, zaczęto powszechnie stosować tzw. siarkowanie, które polegało na paleniu w nich świec zanurzonych w siarce. Po napełnieniu beczek



Ryc. 1. Transport beczek z winem (XVI w.)

winem zabieg ten powodował stabilizację wytworzonego trunku, jednocześnie zapobiegał wtórnej fermentacji. Kupcy dodawali także alkohol gronowy do wina przed ich wysłaniem, aby w „lepszej kondycji” dotarło do odbiorców. Pierwsi tę metodę zastosowali Holendrzy. Mieli oni również znaczący udział w zakładaniu nowych winnic na osuszonych bagiennych terenach Niderlandów.

Ważnym elementem powodującym upowszechnienie spożycia, jak i dużego eksportu win, była produkcja grubościennych bardzo wytrzymałych szklanych butelek, których produkcja rozpoczęła się na początku XVII wieku w Anglii, w hucie szkła Holdena i Goleneta. Szybko także rozpoczęło się ich wytwarzanie w tzw. leśnych hutach w różnych częściach Europy.

W siedemnastym stuleciu pojawiły się słodkie ciężkie wina, które dojrzewały przez długie lata. Do ich produkcji przyczyniło się przypadkowe odkrycie na winogronach tzw. szlachetnej pleśni, czyli grzyba *Botrytis Cinerea*. Odkrył go i po raz pierwszy zastosował w produkcji winiarskiej ksiądz Szepisi Laszko, winiarz z miejscowości Tokaj. Pleśń ta miała ogromne znaczenie początkowo w wytwarzaniu węgierskiego tokaju, a później znalazła zastosowanie w produkcji słodkich trunków w wielu innych ośrodkach winiarskich.

Na początku XVIII wieku miało miejsce ochłodzenie klimatu w Europie, a prawdziwa klęska zima dotknęła mieszkańców kontynentu w latach osiemdziesiątych XVIII wieku. Niezwykle surowe zimy spowodowały ogromne zniszczenia prawie na wszystkich plantacjach. Pod koniec osiemnastego stulecia i na początku dziewiętnastego w wielu krajach miała miejsce kasata klasztorów, a tym samym – głównie benedyktyni i cystersi, którzy zakładali winnice i produkowali wina – przestali się tym zajmować. Właścicielami winnic stał się król i prywatni właściciele. W pierwszej połowie XIX wieku nastąpił ponowny, spokojny okres rozwoju winiarstwa. Znaczący rozwój nauki, w tym odkrycia Ludwika Pasteura, Emillia Mariceau oraz Eduarda i Hansa Büchnera, pozwoliły udoskonalić produkcje win. Odkrycie przez badaczy roli drożdży w procesie fermentacji i utleniania spowodowało zmiany w technologii wytwarzania trunku. W związku z intensyfikacją produkcji wina, prowadzono także prace nad udoskonalaniem wytwarzanych butelek, a przez



Ryc. 2. Butelki do wina (XVII-XVIII w.)

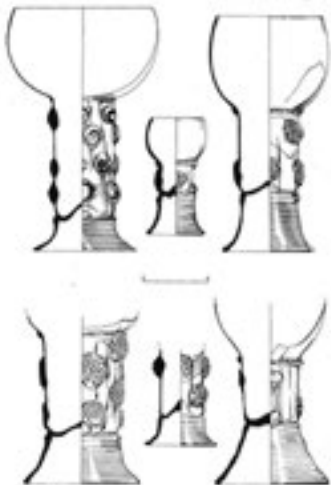


Ryc. 3. Butelka do wina typu Kuttrolf (XVII w.)

zróżnicowanie ich kształtów produkowano wiele nowych form (Ryc. 2, 3). Butelki były często oznaczane pieczęcią z inicjałami producentów lub ich nazwiskami, nazwą miast lub znakami heraldycznymi.

Na początku dziewiętnastego stulecia zaczęły pojawiać się etykiety umieszczane na butelkach. Popularnym naczyniem do picia wina były szklane kielichy typu Römer, produkowane w Czechach, Niderlandach, Niemczech (Ryc. 4, 5).

Stabilny rozwój winiarstwa w Europie został ponownie gwałtownie przerwany w połowie XIX wieku. Przyczyną była mała żółta mszyca – filoksera winiec – która wraz z odpornymi na nią sadzonkami winorośli z Nowego Świata została przywieziona do Europy. Rozpowszechniła się w Europie bardzo szybko atakując korzenie sadzonek, uniemożliwiając tym samym roślinom pobieranie z gleby soli



Ryc. 4. Szklane puchary do wina – Römer (XVI-XVII w.)



Ryc. 5. Szklany dzbanek do wina (Czechy XVII w.)

mineralnych i substancji odżywczych (Ryc. 6). W bardzo szybkim czasie zostały zniszczone w Europie, a także w Rosji, Australii, Nowej Zelandii miliony hektarów winnic. Uchroniły się jedynie plantacje w Chile, które nie sprowadzały sadzonek z innych krajów. Odkrywcą filoksery i jej szkodliwego działania na winorośl był francuski botanik prof. Jukec-Émile Planchon w 1868 roku. Na przełomie XIX i XX wieku rozpoczęto odbudowywanie winnic. Tradycyjne dotychczas odmiany *vitis vinifera* szczepiono odpornymi na filokserę podkładami wyhodowanymi z odpornych odmian amerykańskich. Powoli „odbudowywano” winnice, które wcześniej uległy tak ogromnym zniszczeniom. W ten sposób rozpoczęła się era współczesnego winiarstwa.



Ryc. 6. Filoksera na korzeniach winorośli i jej formy życiowe, wg <https://www.italiapozaszlakiem.com/filoksera/>

SŁÓW KILKA O WINIE W POLSCE

Znajomość uprawy winorośli pojawiła się na ziemiach polskich prawdopodobnie z upowszechnieniem chrześcijaństwa. Prekursorami zarówno uprawy jak i wytwarzania wina byli zakonnicy, zwłaszcza benedyktyni (m.in. Tyniec, Mogilno, Lubin) i cystersi (m.in. Jędrzejów, Wąchock, Sulejów, Koprzywnica), co wiązało się przede wszystkim z zapotrzebowaniem na wino mszalne, chociaż nie tylko.

Już w Bulli Gnieźnieńskiej z 1136 roku jest wzmianka o winnicach w opactwie łęczyckim (Ryc. 7). Później winnice zaczynają być zakładane przy szpitalach, co wiązało się m.in. z faktem traktowania trunku jako środka leczniczego. W dwunasto – i trzynasto-wiecznych źródłach ikonograficznych spotykamy sceny związane z działalnością winiarską. Od tego czasu wino staje się luksusowym napojem zamożniejszej części społeczeństwa, oprócz pełnienia oczywiście niezbędnej roli w liturgii chrześcijańskiej. Dlatego w XIV i XV wieku odnotowano największe nasadzenia winorośli obejmujące rozległe obszary (Ryc. 8). Winnice zakładano przy klasztorach, zamkach, obok dużych i mniejszych miast, m.in. w Państwie Krzyżackim, Królestwie Polskim. Można przypuszczać, że zachowane do dzisiaj nazwy niektórych miejscowości, np. Winnagóra, Winnica, Winiary, Winogrady są świadectwem tej działalności.



Ryc. 7. Drzwi gnieźnieńskie – udeptywanie winogron



Ryc. 8. Winoobranie (1530 r.). Fresk na zamku Buonconsiglio, Włoczek



Ryc. 9. Zabawa przy winie i muzyce (XVII w.)
wg <https://www.marekkondrat.pl/blog>

Oprócz produkowanych na miejscu win, znaczący udział w spożyciu miał import dobrego trunku, m.in. z Węgier, Górnej Nadrenii (reńskie), Hiszpanii (malaga, alikent), Portugalii (porto), Italii. Regres miejscowego winiarstwa nastąpił w szesnastym stuleciu, a jedną z przyczyn było ochłodzenie klimatu, czyli tzw. mała epoka lodowa nieprzychylna uprawie winnej latorośli. Także następujące zmiany w sposobie produkcji, a więc upowszechnienie siarki jako środka konserwującego i znaczący wzrost importu dobrych win spowodował ograniczenie krajowych nowych nasadzeń.

We wczesnym okresie nowożytnym (XVI-XVII w.) wino nadal było trunkiem ekskluzywnym, niedostępnym np. w karczmach na prowincji, a jedynie w większych ośrodkach miejskich i zespołach klasztornych (Ryc. 9). Mieszczanin Jan Gawiński, zostając szlachcicem, tak pisał: „Nie pił wina gmin, tałatajstwo lecz książęta, szlachta, państwo lub rad osoby publiczne gdzie miasto polityczne”

Przełom szesnastego i siedemnastego stulecia to początek tzw. palenia gorzałki, czyli produkcji zdecydowanie mocniejszych trunków. Dość szybko przyjęły się one w Rzeczypospolitej, podobnie jak określenie „Pije jak Konarzewski”. Osobą tą był generał żyjący w XVIII wieku, który podobno miał „bardzo mocną głowę” i w picciu trunków dzielnie dotrzymywał kroku Anglikom, najmocniejszym w ówczesnej Europie w tej dziedzinie.

W XVIII i XIX stuleciu tereny uprawy winorośli na obszarach Rzeczypospolitej znacznie się zmniejszyły. Mimo, że wcześniej liczne plantacje znajdowały się wokół Krakowa, Sandomierza, Płocka, Torunia, Elbląga i wielu innych miast, to ich zasięg stopniowo się kurczył. Wino nie było specjalnie preferowanym trunkiem wśród ludności, a wymagająca i trudna uprawa winorośli też nie przynosiła spodziewanych efektów. Preferowane było przede wszystkim piwo, a potem gorzałka (okowita). Zwiększający się import lepszych win przyczynił się także do zmniejszenia zasięgu winnic.

Wino to napój o bogatej historii. Początkowo nazywany trunkiem bogów i kapłanów, z czasem zyskiwało większą popularność wśród „zwykłych ludzi”. Wzrastająca systematycznie produkcja wina spowodowała, że uprawa winorośli swoim zasięgiem objęła cały świat.

Były i są gorsze gatunki tego trunku. Są także wspomnienia związane z winem. Było przecież wśród nas wielu amatorów popularnego „wina pisanego patykiem”, „jabola”, „wina marki wino” czy „J-23”, które może nie było wykwintne, ale np. na praktykach studenckich – i nie tylko – towarzyszyło nam razem z piosenką:

„więc pijmy wino archeolodzy,
utopmy troski w rozbitym szkle...”

Na zdrowie !!!



Można zamawiać na provincia@onet.pl

Jan Chłosta



ZWIĄZKI IGNACEGO DANIELEWSKIEGO Z WARMIĄ

Spośród działaczy Pomorza Ignacy Danielewski (1829–1907) był pierwszym, który bezpośrednio wsparł w staraniach narodowych warmińskich chłopów. Stało się to w sierpniu 1885 roku, gdy urządzono dwa wiece w sprawie cofnięcia rozporządzenia Nadprezydenta Prus Wschodnich i Zachodnich z 14 lipca 1873 r. o usunięciu nauczania języka polskiego w szkołach ludowych w zaborze pruskim. Przyjechał wtedy do Olsztyna na zaproszenie miejscowych Warmiaków, którzy w Boże Ciało 4 czerwca tego samego 1885 r. zawitali do Torunia, aby prosić redaktora „Gazety Toruńskiej” o pomoc w zredagowaniu w tej sprawie petycji do sejmu pruskiego i biskupa warmińskiego. Danielewski „był doskonałym mówcą, nie oszałamiał frazesami niezrozumiałymi, ale mówił spokojnie i dostatecznie przekonująco [...] Słuchając go wiedziało się, że to co mówi, było obmyślane i przygotowane należycie. Był chętnie słyszany i słuchany mówcą wiecowym; o wartości wymowy niech świadczy ta okoliczność, że lud całe ustępy mów jego pamiętał i powtarzał długie lata”¹. Dlatego właśnie do niego przyjechali.

W mniemaniu Warmiaków pozbawieniem nauczania języka ojczystego i religii uczyniono wielką krzywdę dzieciom polskim. Pomiędzy ośmioma Warmiakami przybyłymi do Torunia znajdowali się znani już wcześniej Danielewskiemu: Andrzej Samulowski z Gietrzwałdu, Franciszek Szczepański z Lamkowa i przyszły redaktor „Gazety Olsztyńskiej” Jan Liszewski z Klebarka Wielkiego. Znani może nie osobiście, ale już z podjętych działań narodowych, opisywanych zresztą w czasopismach takich jak „Przyjaciel Ludu”, „Przyjaciel” czy też „Kalendarza Majstra od Przyjaciela Ludu”, prenumerowanych również na południowej Warmii. Wymienieni nadsyłali też korespondencje do tych gazet, najczęściej Samulowski i Szczepański, ale też Józef Kupczyk z Bartągu, czy Jan Kikut z Brąswałdu, który zwierzył się, że w parafii duszpasterzuje przybyły z Litwy ks. Franciszku Kaupowiczu (1799–1871), który wygłaszał tylko polskie kazania i nauczył parafian pieśni *Boże coś Polskę*.

To właśnie na prośbę Danielewskiego, po sprzedaniu w 1867 roku w Chełmnie „Nadwiślanina”, zaczął w Toruniu wydawać pierwszy dziennik na Pomorzu „Gazetę Toruńską”², Szczepański podjął się agitacji na Warmii, aby redaktorowi zapewnić mandat poselski w sejmie pruskiego na drugą kadencję. Pospieszna agitacja może nie dała większych wyników, ale później A. Samulowski może z pewną przesadą podkreślił, że „tamto działanie na początek znacząco”³.

¹ Ks. A. Mańkowski, *Ignacy Danielewski (1829–2907)*, w: *Szkic biograficzno-literacki*, Toruń 1908, s. 8.

² T. Zakrzewski, *Ignacy Danielewski*, w: *Słownik biograficzny Pomorza Nadwiślańskiego*, t. I. Gdańsk 1992, s. 292–294.

³ J. Jasiński, *Świadomość narodowa na Warmii w XIX wieku. Narodziny i rozwój*, Olsztyn 1983, s. 177

Dwa lata później w 1869 r. w wydawanym w Chełmnie „Przyjacielu Ludu” zwrócił się do czytelników z prośbą o pomoc 29-letniemu poetce Andrzejowi Samulowskiemu, wtedy jeszcze mieszkającemu w Sząbruku, który „od jedenastu lat leży na łożu boleści, w biedzie i w wielkich cierpieniach”⁴. Dalej napisał, że „nie zaznał on innej szkoły nad szkołę elementarną w sząbruckiej parafii, przecież do tyle z nauki korzystał, że gładko się wypisać umie po polsku, jak tego kilkakrotnie dawniej bywały w >Przyjacielu< dowodem listy spod Olsztyna. Teraz coraz to więcej krępowany cierpieniem i niedostatkiem, zamilkł w „Przyjacielu”. Ojciec jego, mający niewielki mająteczek chałupniczy, wykosztowawszy się przy tym na chorobę syna przez lat tyle, jest w biedzie nie małej [...] Chorowity Andrzej był już raz u wód morskich, gdzie go li miłosierdzie gości kąpielowych utrzymywało, a choć kuracja ta pomogła mu, powtórzyć jej dla zupełnego braku środków nie mógł. W bieżącym miesiącu przyjazd biskupa warmińskiego, dr Krementza, który zwiedził parafię sząbrucką, obudził samorodnego poetę [...] Napisał dwa hymny, jak je nazwał, z tej okazji, na przywitanie i pożegnanie ks. biskupa. Miejscowy proboszcz ks. [Jan] Rysiewski doręczył wraz z krótkim tłumaczeniem oba wiersze ks. biskupowi, który przyjął je z radością i „Przyjacielowi Ludu” do ogłoszenia przesłać kazał. [...] „Przyjaciel” podaje jeden z tych hymnów. [...] Do tego łączy usilną prośbę za biednym chorowitym autorem tych wierszy [...] Prosimy więc zająć się składką na tego poetę z ludu, poetę polskiego z Warmii, a zebrane pieniądze odesłać na ręce proboszcza Rysiewskiego do Sząbruku”⁵. A oto dwie pierwsze zwrotki z tego hymnu:

Błogosławiony Bóg, który swego
Obdarza sławą za ich cne zasługi
„Błogosławiony, który w imię Pańskie
Przychodzi” zwiedzać gminy chrześcijańskie!
Raduj się gmino i bądź stą szczęśliwa,
Gdyż Arcypasterz dziś do nas przybywa.
Witaj nam – witaj, Najprzewielebniejszy
Księżu biskupie, Ojczy najmilejszy!
My Cię uprzejmie dzisiaj nasze bramy
Również i serca szczerze otwieramy.
Kornie Cię prosim o błogosławieństwo,
Abyśmy mieli nad grzechem zwycięstwo⁶.

Danielewski wsparł także innego Warmiaka, syna powstańca listopadowego, który osiadł w Ornećcu, Karola Emiliana Sieniawskiego (1843–1923), w podjęciu studiów historycznych na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Wrocławskiego⁷. Po 31 latach Danielewski wspominał: „Przybył do mnie chłopiec młody i bardzo łamaną polszczyzną począł opowiadać swoje położenie. Trzeba było mi było brać język niemiecki do pomocy. Dowiedziałem się wtedy, że złożył właśnie egzamin abituriencki w jednym z gimnazjów warmińskim i że chce się poświęcić naukom historycznym i filozoficznym. Że się nazywa S.[ieniawski], jest z ojca Polaka, lecz matka po polsku nie umiała. On przecież czuje się Polakiem z własnej

⁴ Majster [Ignacy Danielewski], *Polski poeta wśród ludu na Warmii*, w: „Przyjaciel Ludu” 1869, nr 43, s.2

⁵ Tamże,

⁶ Tamże.

⁷ M. Pocijewska, *Karol Emilian Sieniawski. Życie i twórczość*, Olsztyn 2016, s. 15; Por. T. Oracki, *Słownik Biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla XIX i XX wieku (do 1945 roku)*, Warszawa 1983, s. 284–285.

chęci i ukradkiem prawie, po polsku się nieco nauczył, pragnie tego więcej, stąd chciałby iść na uniwersytet we Wrocławiu, gdzie wielu Polaków. Był bez funduszków. Udało się znaleźć dla niego zapomogę. Studiował we Wrocławiu z sukcesem znakomitym. Żył jako Polak z Polakami, nauczył się wybornie po polsku i jako pisarz historyczny i geograficzny polskimi dziejami zjednał sobie znaczenie, a jako wybitny Polak ściągnął nawet na siebie prześladowania⁸. Dodać trzeba, że K. E. Sieniawski jako stypendysta Towarzystwa Pomocy Naukowej Prus Zachodnich napisał dwutomowe opracowanie *Biskupstwo Warmińskie*⁹ i otrzymał w 1876 r. pierwszą nagrodę Akademii Umiejętności w Krakowie.

Powróćmy jednak do pamiętnego spotkania w Toruniu. Obok Samulowskiego, Szczepańskiego i Liszewskiego w tym gronie ośmiu przybyłych Warmiaków mogli być: Jakub Mazuch z Raszagu, Antoni Sikorski i Piotr Sznarbach z Gietrzwałdu, Andrzej Kaber z Woryt i Józef Thiel z Czerwonki. Redaktor Danielewski był zdumiony postawą i stopniem zaangażowania w przedsięwzięcie, w którym pragnęli uczestniczyć. Napisał o tym niespełna po roku: „Byli to wysłannicy z krainy >czystej chłopskości<, sami chłopci, bo włościanie, kmieciowie chodzący za pługiem, z kosą podczas żniw, a gdy trzeba to i za bydłem, wzięli sobie do serca dolę przeszło 50 tysięcznej ludności, mówiącej po polsku, która zamieszkuje dwa dekanaty Warmii południowej, jej krańca: olsztyński i wartemborski (obecnie barczewski), które rozpościerają się przez powiat olsztyński aż het w reszelski i poza miasto Reszel, skąd ks. [Juliusz] Dinder, przyszedł arcybiskup poznański rodem¹⁰. I dalej: „Gdy więc owych ośmiu przybyło w roku zeszłym [tj. 1885 r.] po radę do rodaków swoich w Prusach Zachodnich, a każdy z nich chłop w chłopa, jak dąb, wzrostem i muskularną postawą o wyrazistych rysach twarzy, jakby z grubego wióra tylko co wyciosanych. Gdy nadto w swej gwarze rzecz przedstawili, żądając pomocy w ratunku dziatwy i przyszłego pokolenia od upadku moralnego i zdziczenia, które zaniedbuje nauki religii przez narzucenie niezrozumiałego języka, obcego w szkole i Kościele, patrzone na nich jakby na ludzi z jakiegoś zapadłego świata, słuchano z natężeniem, aby zrozumieć i ze zdziwieniem zachwycającym, jakby głosu wracający spoza grobu¹¹. Dano im więc radę, aby urządzić dwa wiece w Olsztynie i Wartemborku [teraz Barczewo]. Sam Danielewski zredagował petycję i zapowiedział swój przyjazd na Warmię. Uwzględnił przy tym sugestię, jaką jeszcze w liście z 7 listopada 1872 r. skierował do niego ówczesny poseł do sejmu pruskiego Ignacy Łyskowski, aby w petycjach kierowanych do władz pruskich w okresie kulturkampfu zwracano przede wszystkim uwagę na sprawy narodowe¹².

Wiece na Warmii odbyły się 15 i 16 sierpnia 1885 r. Poza wystąpieniami na wiecach podpisywano następującą petycję z żądaniami ojców rodzin: „1. Aby polskie dzieci uczono religii świętej we wszystkich oddziałach po polsku; 2. Aby też dzieci uczono we wszystkich oddziałach polskiego czytania i pisania tak, żeby one opuszczając szkołę dobrze to umiały rachunków zaś ich uczono tak, aby równo dobrze po polsku i po niemiecku umiały

⁸ Majster [Ignacy Danielewski], *Warmia II*, w: Dziennik Poznański, [dalej DP], 1895 nr 112 z 16 V

⁹ K. E. Sieniawski, *Biskupstwo warmińskie, jego założenie i rozwój na ziemi pruskiej z uwzględnieniem dziejów, ludności i stosunków jeograficznych ziem dawniej krzyżackich*, Poznań 1878

¹⁰ I. Danielewski, *Korespondencja „Słowa”. Kraina chłopskości*, w: Słowo (Warszawa), 1886, nr 105 z 12 V

¹¹ Tamże.

¹² Ks. A. Mańkowski, *Walka kulturalna a początki polskiego liberalizmu religijnego*, w: Mestwin, dodatek do „Słowa Pomorskiego” 1928, nr 10 z 25 IX

rachować; 3. Aby nauczyciele przy szkołach z polskimi dziećmi dobrze umieli po polsku.” W uzasadnieniu znalazły takie zdania: „My jesteśmy przecież tak samo poddany mi króla jak i Niemcy, tak sam płacimy podatki i przelewamy krew na rozkaz króla jak i oni, dlategoż zatem dzieci nasze są tak upośledzone, że ich uczą w języku, którego one nie rozumieją, a przez co nie tylko nie mogą się tyle nauczyć co dzieci niemieckie, ale owszem głupieją. My mamy przekonanie, żebyśmy ciężko zgrzeszyli przeciw Bogu, gdybyśmy mieli zostać czym innym jak tym, czym nas Bóg stworzył tj. Polakami i katolikami”¹³.

W końcu znalazło się sformułowanie: „My mamy przekonanie, że byśmy ciężko zgrzeszyli przeciw Bogu, gdybyśmy mieli zostać czym [kim] innym jak tem czym nas stworzył tj. Polakami i katolikami”¹⁴.

Około 150 osób przybyło na wiec w Barczewie. Tam również nauczyciele próbowali przeciwstawić się uchwaleniu petycji, ale zgromadzeni rodzice wyrazili pełne poparcie treści w niej zawartej¹⁵. Następnie we wsiach pod Olsztynem i Barczewem zebrano pod petycją 3435 podpisów ojców rodzin i 86 podpisów katolików na Mazurach. Była to liczba znaczna, bo podpisali ją wyłącznie ojcowie rodzin.

Dyskusja nad tekstem petycji na posiedzeniu komisji szkolnej i plenarnych obradach Landtagu nie zmieniła antypolskiego zarządzenia. W „Gazecie Olsztyńskiej” o tym napisano: „Wiedzieliśmy z góry o tym, że petycja nasza uwzględniona nie zostanie, ale daliśmy przynajmniej znak życia, a to na początek wystarczy”¹⁶. Władze niemieckie uznały, że wiece mogły dojść do skutku w wyniku działalności redaktora Danielewskiego z Torunia. Były na spokojnej dotąd Warmii czymś nowym i mogą „zaszkodzić sprawie spokoju na południowej Warmii”¹⁷. Wyróżniały się zresztą niską frekwencją na wiecu w Olsztynie i brakiem udziału w nich duchowieństwa.

Poświęciłem tym dwom wiecom z 1885 roku tyle miejsca, bo one stanowiły nadzwyczaj ważne działanie w budzeniu świadomości narodowej na południowej Warmii. Do nich często w następnych latach będą się polscy Warmiacy odwoływali. Zresztą skutkiem wieców i petycji były narodziny „Gazety Olsztyńskiej”, której pierwszy numer ukazał się 16 kwietnia 1886 r. Środki na zakup maszyny drukarskiej, wynajęcie lokalu w Olsztynie i kupno papieru pochodziły z trzech różnych źródeł, a więc Komitetu Niesienia Pomocy Mazurom i Ślązakom z Poznania, w którego imieniu Stanisław Kłobukowski dostarczył jeszcze w 1884 r. Janowi Liszewskiemu na cele wydawania gazety 670 marek¹⁸, nadto 600 rubli przekazał Józef Gašiorowski w imieniu Polaków skupionych wokół petersburskiego czasopisma „Kraj” oraz, co należy podkreślić, także miejscowi chłopię¹⁹. Nie można wykluczyć, że dołożył do tego jeszcze ks. Walenty Barczewski, który wiedział o założeniu „Gazety”²⁰.

¹³ J. Obląk, *Sprawa polska ludności katolickiej na terenie diecezji warmińskiej w latach 1870–1914*, w: *Nasza Przeszłość*, 1963, t. 8, s. 102–103.

¹⁴ E. Sukertowa-Biedrawina, T. Grygier, *Walka o społeczne i narodowe wyzwolenie, Przewodnik po wystawie*, Olsztyn 1956 s. 31–35.

¹⁵ J. Jasiński, *Wiec i petycja warmińska z 1885 roku*, w: *Komunikaty Mazursko-Warmińskie*, 1987, nr 2, s. 201.

¹⁶ *Gazeta Olsztyńska* (dalej: GO.) 1886, nr 36 z 6 V.

¹⁷ R. Traba, *Ermländische Zeitung wobec spraw polskich w zaborze pruskim w latach 1885–1886*, KMW, 1984, nr 4 s. 345.

¹⁸ W. Chojnacki, *Sprawy Mazur i Warmii w korespondencji Wojciecha Kętrzyńskiego*, Wrocław 1952, s. 284–285, List J. Sembrzyckiego z 15 V 1884 r.

¹⁹ J. Jasiński, *W sprawie „Gazety Olsztyńskiej”*, w: *Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego*, 1969, t.8, z. 2, s. 181

²⁰ Por. J. Chłosta, *Ks. Walenty Barczewski a „Gazeta Olsztyńska”* w: *Echa Przeszłości*, 2012, t. XIII, s. 225–234.

„Ermländische Zeitung” podała tylko krótką informację o wydaniu pierwszego numeru polskiej „Gazety Olsztyńskiej” i wyraziła opinię, że nie pomoże to wiele polskości na południowej Warmii. Tymczasem nadprezydent prowincji Gustaw Schieckmann widział w tym zagrożenie i zabiegał o to, aby tak jak dotąd duchowieństwo stroniło przed polskim pismem.

W 1892 roku urządzono kolejne wiece w sprawie nauki religii w języku polskim. Kierowano w tej sprawie petycją do biskupa warmińskiego. Ostatecznie Biskup Andreas Thiel uzyskał zezwolenie z rejcencji na wprowadzenie jednej godziny w tygodniu na nauczanie religii w języku polskim w szkołach na południowej Warmii, ale tego zarządzenie nie podano do publicznej wiadomości²¹.

Danielewski wciąż interesował się położeniem Polaków na południowej Warmii. Jak w końcu września 1890 r. Eugeniusz Buchholz drukował w toruńskiej oficynie Józefa Buszczyńskiego, która była poprzednio własnością Danielewskiego, okazowy numer „Nowin Warmińskich”, to Danielewski pragnąc dowiedzieć się czegokolwiek o nowym czasopiśmie, skorzystał z obecności Buchholza w Toruniu i zaprosił go na rozmowę. Mógł być uprzedzony przez Polaków z Olsztyna o inicjatywie wydawania drugiego polskiego pisma na polskiej Warmii. Dostrzegał w „Nowinach” konkurencję w zdobywaniu prenumeratorów dla „Gazety Olsztyńskiej” z programem bliżej związanym z ruchem polskim w zaborze pruskim. Niechętnie do przedsięwzięcia Buchholza odniósł się również tylko co założony w Krakowie „Kurier Polski”²². Buchholz był jednak uparty i wydawał „Nowiny”, ale po trzech kwartałach z powodu wciąż powiększających strat zawiesił pismo.

X

Danielewski reagował na wciąż powtarzane przez władze pruskie i biskupa warmińskiego słowa, że polskość została sztucznie przeniesiona na Warmię przez propagandę Wielkopolską, a przecież zgodnie z prawdą: „idea narodowości w miejscowych Polakach obudziła się tu sama z siebie, samorodnie, z żywotności wewnętrznej ducha polskiego, bez czyjejkolwiek namowy lub podburzenia, bez najmniejszej agitacji skądinąd na Warmię wprowadzoną. Katolicki lud polski na południowej Warmii, skoro tylko miał sposobność porównywać siebie z innymi Polakami i katolikami zarazem, poznał swoje zaniedbanie, swoje upośledzenie, swoją krzywdę, swoje w rozwoju umysłowym, swoje upośledzenie, swoją krzywdę, swoje niedomaganie w rozwoju umysłowym i językowym i ten gwałt, który mu wynaradawiające prądy zadają, a który się obraca i w poniżeniu społeczne”²³. Podkreślał, że w tym przebudzeniu ważne były Objawienia Matki Bożej w Gietrzwałdzie. Przybywające wciąż licznie pielgrzymki do tego sanktuarium dały Warmiakom sposobność przekonania, iż Polacy należą do wielkiego i rozsiadłego narodu. Poznali między pątnikami wielu ludzi wykształconych, niekoniecznie biedaków, a więc także ludzi wyższego stanu.

²¹ J. Jasiński, *Świadomość narodowa na Warmii*, dz. cyt. s. 296,

²² J. Chłosta, *Niemiec z >polską duszą. Nad biografją Eugeniusz Buchholza*, Olsztyn 2016, s. 41–42.

²³ Majster [I. Danielewski], *Warmia*, w: *Dziennik Poznański* 1895, nr 110 z 14 V,

Wiesław Olszewski



...PO NIEMCU POLL...

Powierzam Obywatelowi tymczasową administrację gospodarstwa rolnego po niemcu [pisownia oryginalna] Poll we wsi Książęce [winno być Książęce], gm. Nowy Dwór o obszarze 13 ha. wraz z zabudowaniami. Tej treści pismo Referatu Osiedleńczego Starostwa Powiatowego w Gdańsku z dnia 4 sierpnia 1947 roku otrzymał mój dziadek Franciszek Olszewski. Oznaczało to rozpoczęcie nowego życia rodziny, jak się okazało także kolejnych pokoleń, w przestrzeni gdzie jeszcze dwa lata wcześniej żyła rodzina Niemca Poll – Bernarda Poll.

Po załatwieniu wymaganych formalności 23 sierpnia 1947 roku na stacji Nurzec podstawiono dla rodziny moich dziadków dwa „bydłęce” wagony, które mogły pomieścić piętnaście ton ładunku. Według zachowanego kwitu przewozowego załadowano dziesięć tysięcy kilogramów. Pociąg wyruszył wioząc rodzinę do nowego życia.

26 sierpnia na kwicie przystawiono stempel Punktu Etapowego w Olsztynie, kolejnego dnia – PUR-u Malbork. Nazajutrz wagony dotoczono do Nytychu, tu wówczas kolej normalnotorowa, zniszczona wojną, kończyła się. Sprzęty przeładowano na wąskotorówkę. Z inwentarzem na furmance i uwiązany do niej rodzina podróżowała już dalej drogą. Wśród rozległych wtedy jeszcze topielisk, z krzyczącymi nad głowami „białymi wronami” – jak mówili o stadach mew.

Pierwszym, który pojawił się w nowym obejściu z pękiem polnych kwiatów, był Jan Książek, nowy sąsiad. Jemu przydzielono gospodarstwo po Niemcu Bunde, właścicieli dużego majątku, na bazie którego utworzono później PGR Różewo. Pan Jan był postacią barwną – żołnierz wojny 1920 roku, osadnik wojskowy na Wołyniu, jowialny, krępy jegomość, który dożył prawie stu lat. Zmarł bezpotomnie. Obecnie na jego i jego „Natalki” – jak zwykł mówić o swojej żonie – zapuszczonej mogile administracja cmentarza zawiesiła kartkę: „grób do likwidacji”.

Tak rozpoczęło się pionierskie życie na Żuławach.



23 sierpnia 1947 roku na stacji Nurzec podstawiono dla rodziny moich dziadków dwa „bydłęce” wagony, fot. Fotopolska

Wiedzę o poprzednich gospodarzach przyniósł inny sąsiad – Edmund Kalisz – w czasie wojny robotnik przymusowy w pobliskim majątku. Postać jeszcze barwniejsza, jeden z tych, co przybywali tu mając „...w głowie i w kieszeni wiatr...”, jak pisał poeta o osadnikach.¹ Urodził się na Kujawach, w 1940 roku mając zaledwie 14 lat trafił na roboty przymusowe na Żuławy. — *Kupił mnie* — wspomina dziś — *za 14 „rajehsmark” i 50 fenigów Bunde z Różowa. Tęgo drania ja póki życia nie zapomnę...* pisała reporterka „Dziennika Bałtyckiego”². Niepokorny, w 1943 roku trafił do Stutthofu za to, że zaatakował swego gospodarza widłami. Udało mu się przeżyć. Po wojnie postanowił osiąść w tymże Różewie, na ziemi której – choć niedobrowolnie – się uczył i nauczył. W 1948 roku, podobnie jak mój dziadek i kilkunastu innych osadników, dostał urzędowy nakaz opuszczenia zajętego gospodarstwa³. Próbował osiąść w niedalekim Kmiecinie, tak jak inny wysiedlony Andrzej Głowacki, późniejszy poseł na Sejm PRL, który we wspomnieniach pisał: *W maju otrzymaliśmy zawiadomienie, że nasze gospodarstwa zostaną włączone do Państwowych Nieruchomości Ziemijskich (obecnie PGR-y). Zaproponowano nam wybór innego gospodarstwa. Przesiedleniu podlegało dwanaście gospodarstw z Różewa, z których stworzono PGR Różewo. Rozpoczęliśmy starania dla obrony zagospodarowanego terenu.(...) Na moim gospodarstwie zabudowania rozebrano. Byłem wcześniej delegowany przez sąsiadów do Związku Samopomocy Chłopskiej w tej sprawie, lecz prezes nie starał się wcale uświadomić nas, tylko oświadczył, żebyśmy byli cicho, bo możemy znaleźć się tam, gdzie jeszcześmy nie byli.(...) Pozostało nam z sąsiadami poczynić przygotowania do osiedlenia się na innych gospodarstwach. Cały nasz zapał i chęć do gospodarowania przygasły.(...) Z wrodzonym chłopskim uporem przywiązałem się do objętego gospodarstwa. Po włożeniu tak dużego trudu i wysiłku było mi ciężko przeżyć zawiadomienie, że muszę opuścić swoją – jak wówczas uważałem – własność. Nie pomogły starania ze strony kilkunastu rolników z Różewa. Mając prawo wyboru, postanowiłem przesiedlić się do Książęcogo, obecnie Kmiecina. Na zebraniu zgłosiłem się na obiekt niezagospodarowany. W siedlisku był duży dom, lecz w złym stanie, bo trafiony czterema artyleryjskimi pociskami. Była tylko stodoła. Chlewy i obora były spalone. Przydzielono mi to gospodarstwo. Formalności urzędowe polecono załatwić w gminie i w Urzędzie Ziemijskim w Gdańsku. Następnego dnia zgłosiłem się do sołtysa po zaświadczenie na przydział. Sołtys, oficer ludowego wojska polskiego z lat 1943–1945, wydał mi zaświadczenie i radził, bym jak najszybciej udał się do gminy po dokumenty, bo inny rolnik, nazwiskiem Kalisz, chce objąć to gospodarstwo.*⁴ Nieuchronnie doszło do konfliktu między osadnikami. Ostatecznie w Kmiecinie zamieszkał Głowacki, Kalisz po licznych zawirowaniach osiadł ostatecznie w Tujsku, gdzie do dzisiaj żyje jego rodzina. Wspomnienia Edmunda Kalisza przybliżyły nowym mieszkańcom wiedzę o poprzednich – Pollach.

Gdy w marcu 1945 roku czerwoarmiejcy weszli do oblanego wodą gospodarstwa, w mniejszym z pokoi domu znaleźli trzy trupy: gospodarza, jego żony i młodej dziewczyny, której wcześniej tu nie widziano, Pollowie nie mieli córki. Wszystko wskazywało na samobójstwo. Prawdopodobnie byli jednymi z tych, którzy nie zdołali się już przeprawić przez Wisłę w Kiezmarmku, a strach przed okrucieństwami pchnął ich do targnięcia się na

¹ Konrad Łapin, pseud. Jacek Kasprowy, „Szli na zachód osadnicy” źródło: wikipedia.

² Dziennik Bałtycki, nr 51 1970–03-01/02

³ Prowincja nr. 3(49) 2022 s. 37–48.

⁴ Żuławiacy Wspomnienia Osadników Żuławskich, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1973.

życie. 8 lub 9 marca przyszedł rozkaz ucieczki. Gospodarze zabrali mnie ze sobą. Udaliliśmy się wozem konnym w kierunku przeprawy na Wiśle w Kiezmarku. Jak tam dotarliśmy, zobaczyłam ogromną rzeszę ludzi z zaprzęgami końskimi, którzy próbowali przekroczyć Wisłę. W tym czasie nadleciały rosyjskie samoloty. Wybuchające bomby zabiły wielu ludzi i zwierzęta. Spowodowało to ogromne zmieszanie. Konie i ludzie tonęli w Wiśle. Słyszałam jęki i lament. To było piekło. Gospodarz zawrócił. Opisuje ten czas Regina Trzos pracująca przymusowo w niedalekim sąsiedztwie⁵. Żołnierze kazali polskim robotnikom zakopać zwłoki pod oborą, ci jednak, uważając Pollów z przyzwoitych ludzi, zawieźli je na cmentarz i tam pogrzebali. Najbliższym był cmentarz mennonicki w Różewie, tam spoczywają do dziś, choć byli katolikami.

Niemiec, po którym dziadek mój objął gospodarstwo, nie zawsze nazywał się Poll, do 1936 roku nosili nazwisko Pollakowsky. Jeszcze po wojnie poniewierał się szyld gospody, którą prowadzili i widniało na nim nazwisko, jak się okazało, w czasach hitlerowskich zbyt mało germańsko brzmiące.

Budynki gospodarstwa pochodzące najprawdopodobniej z 1843 roku, o czym informowała chorągiewka wiatrowskazu na szczycie stodoły oraz data wycięta na ozdobnej belce domu, zbudował wcześniejszy właściciel. Na wiatrowej chorągiewce oprócz daty 1843 znajdował się jego trzyliterowy inicjał. Gospodarstwo w ówczesnym *Rosenort* nabył ojciec Bernarda. Jego brat Walter zginął na froncie w 1916 roku. Na odkrytych w trakcie remontu kościoła w Kmiecinie w 2012 roku ukrytych pod tynkiem dwóch tablicach upamiętniających poległych mieszkańców parafii figuruje i jego nazwisko.

Remont kościoła w Kmiecinie był skrupulatnie śledzony i komentowany na bardzo aktywnym wówczas i popularnym portalu internetowym *Marienburg.pl*. Odnotowano na nim oczywiście odkrycie pod warstwą tynku pamiątkowych tablic w Kmiecinie. *I ciekawostka ukryta pod zaprawą cementową położoną w 1958 r. – pamiątkowe tablice z nazwiskami żołnierzy poległych w czasie I Wojny Światowej.* – zamieścił jeden z internautów⁶. Oprócz wpisów wyrażających zachwyt z dokonanego odkrycia i słów uznania dla tych, którzy wówczas, w roku 1958 tablic – śladów niemczyzny, nie zniszczyli, pojawił się i taki: *Pewnie im się nie chciało, zachłapać jest prościej i szybciej (czasem lenistwo i bylejąkość mają swoje dobre strony). W ten sposób zrobiono z wieloma denkmalami, a teraz w niektórych miejscowościach pracownicy usuwa się wtórne powłoki. W końcu jest to pamiątka śmierci mieszkańców wioski, tragiczna historia ludzi, którzy zostali zabici z powodu durnych wojen. Super, że coś takiego odnaleziono w Kmiecinie*⁷. Jest to osąd dla tamtego pokolenia wielce niesprawiedliwy, i dziś, i wtedy nie byłoby problemem rozbić i zniszczyć, zatynkować to większy wysiłek, a wyryty w świeżym tynku rok to niewątpliwie swoisty szyfr – znak dla naszego pokolenia. W tamtym czasie był to nawet przejaw odwagi.

Bernard Poll z jakichś powodów miał tylko jednego syna, Helmuta. Rocznik 1925, w 1943 roku powołany został do wojska, dom rodzinny ponownie zobaczył dopiero po dwudziestu latach. Miał szczęście, nie trafił na front wschodni, walczył za *Führera* w Norwegii. Za zabranego syna otrzymała rodzina młodego Polaka, robotnika przymusowego. Wiele jeszcze

⁵ Taki był Malbork... wspomnienia, opracowanie B. Krauze i P. Topolski, Malbork 2016.

⁶ <http://www.marienburg.pl/viewtopic.php?t=3019>

⁷ <http://www.marienburg.pl/viewtopic.php?t=3019&postdays=0&postorder=asc&start=30&sid=475956c2a40fcd4add016bdc90f069bb>

lat po wojnie w oborze, nad żłobem krów, znajdowała się prycza, miejsce jego życia poza pracą. Prycze te były wykonywane prawdopodobnie według odgórnego wzoru, w sąsiednich bowiem gospodarstwach zamontowano identyczne.

Do pierwszego spotkania dawnych i obecnych gospodarzy doszło w 1973 roku, tuż przed Wielkanocą. Do furki podeszło troje ludzi, jeden z nich, taksówkarz, jak się okazało, zawołał: *Macie gości!* Dwojgiem, sprawiających wrażenie mocno zdezorientowanych, ludzi byli Helmut Poll i jego żona. Brak wspólnego języka nie pozwolił dowiedzieć się o wiele więcej. Helmut, porozumiewając się pozawerbalnie, wskazał pokój, w którym przyszedł na ten świat. Dopiero przy następnej wizycie dowiedział się, że to również w tym pokoju jego rodzice zesłali z tego świata odbierając sobie życie.

Kolejna wizyta nastąpiła bardzo szybko, po dwóch dniach. Ośmieleni pozytywnym, zdecydowanie nie wrogim, przyjęciem, Polowie przyjechali ponownie. Tym razem towarzyszył im kierowca znający niemiecki, można więc było się porozumieć. Było to popołudnie Wielkiej Soboty, atmosfera prawie świąteczna. Przy odświętnym już stole moich rodziców rozpoczęły się opowieści. Okazało się, że byli na sentymentalnej wycieczce Niemców urodzonych w tych stronach. Zakwaterowani w Elblągu od rana zwiedzali grupowo swe rodzinne Prusy, po obiedzie robili indywidualne wyprawy do miejsc dzieciństwa. Pani Poll również urodziła się na Żuławach. Brak wspólnego języka nie utrudnił zrozumienia swych odczuć i przeżyć. Zwłaszcza mama moja, która nigdy nie przestała tęsknić do swych ukochanych stron rodzinnych, rozumiała ich stan ducha doskonale, nie potrafiła i nie chciała ukryć swego. Na koniec Niemcy wręczyli, nam, dzieciom, drobne upominki, mama odwdzięczyła się drobiazgiem, popłynęły łzy wzruszenia, były uściski.

Dom i pozostałe budynki wyglądały już zupełnie inaczej niż zapamiętał je Helmut z czasów młodości. Spróchniałe drewniane ściany obory i stodoły zastąpił mur, trzcinowe strzechy na wszystkich budynkach zamieniono na modny wtedy eternit. *Podług rozumu i przepisów przeciwpożarowych* – jak zachwalał bratu z Ameryki swe poniemieckie budynki Kazimierz Pawlak w kultowych „Samych Swoich”. Zabudowania wyglądały tak jak opisano je później w „Katalogu zabytków osadnictwa holenderskiego w Polsce”⁸. *Nr 49 – zagroda holenderska w typie wzdłużnym usytuowana po płn. stronie wsi, za Kanalem Różewo, szczytowo do kanału, z domem od płd., wyższymi budynkami gospodarczymi. Budynek mieszkalny wzniesiony w 1839 r. na kamiennym podmurówce, drewniany, z węglami przesłoniętymi deską imitującą pilaster tokański, z oszalowanym pionowo szczytem, o krokwiowo – dwujętkowej więźbie dachowej, dwuspadowym dachu przykrytym eternitem; plan dwutraktowy, o szerokim traktem wsch. z wielką izbą w płd. – wsch. narożniku, czarną kuchnią w trakcie wielkiej izby i dwudzielną sienią w formie litery L; elewacja szczytowa 3-osiowa, w szczycie na dole kwadratowe okienka umieszczone są po bokach szerokiego okna środkowego, nad nim umieszczono okienko kwadratowe; elewacja frontowa 5-osiowa, z wejściem na 2 osi przesłoniętym gankiem o bogatej dekoracji laubzeginowej.* Wiele się zmieniło, ale wiele też zachowało się z czasów „niemieckich”, co z sentymentem rozpoznawał gość.

Gruntowny remont starzejących się budynków miał miejsce w latach 1967 i 1970. Wcześniej niejasna sytuacja prawna, naciski kolektywizacyjne i *łęk przed powrotem Niemców* czyniły

⁸ <http://holland.org.pl/art.php?kat=art&dzial=zul&id=toc&lang=pl>

życie beznadziejnym, a już zupełnie zniechęcały do inwestowania. A tu tymczasem nadchodzą pierwsze listy od Niemców na adres ich byłych domów. Wyjechali na zachód przed zbliżającym się frontem, a teraz zwracają się do zamieszkałych w ich dawnych domostwach osadników, aby dbali o zajęte domy, zostaną za to odpowiednio wynagrodzeni. Nadchodzą też inne



Nr 49 – zagroda holenderska w typie wzdłużnym usytuowana po płn. stronie wsi, za Kanalem Różewo ok. 2000 r., fot. Katalog Budownictwa Holenderskiego

listy z pogroźkami, że prawowici właściciele po powrocie rozliczą się za zajęcie ich gospodarstw. Wspominał jeden z osadników⁹. Wieści takie w rozmiarach zwielokrotnionych rozchodziły się szybko. Dlatego gospodarując na Żuławach dziadkowie naprawili uszkodzony wojną dom na Podlasiu, dokupili tam kilka hektarów ziemi. Tak postępowało wtedy wielu i nie można nie dostrzegać tego oceniając stan dbałości ich o zamieszkiwane tutaj domostwa. Dla wielu dziś słowa krytyki tamtego czasu przychodzą zdecydowanie zbyt łatwo.

Problem ten zaczęły w końcu dostrzegać i doceniać jego wagę władze państwowe, zwłaszcza po przemianach października 1956 roku. „Stabilizacja praw własności w osadnictwie na Ziemiach Zachodnich to warunek wstępny zwiększenia produkcji rolnej” głosił tytuł w Dzienniku Bałtyckim¹⁰. Zaisniała więc woła polityczna, ale trzeba było przeprowadzić skomplikowaną procedurę techniczno-prawną. *Podstawę regulacji tego prawa stanowi akt nadania, który przynosi tytuł własności. Łączy się z tym przeprowadzenie regulacji granic gospodarstw, szacunku — wraz z wydaniem orzeczenia o cenie gospodarstwa, wystosowanie do sądów wniosków o założenie ksiąg wieczystych i wreszcie założenie przez sądy tych ksiąg. Pełne więc uwłaszczenie jest wynikiem współpracy pracowników uwłaszczeniowych, geodetów i sędziów oddziałów ksiąg wieczystych, wreszcie sądów powiatowych* — informował reporter gazety. Podkreślić trzeba wzmiankę o cenie gospodarstwa. Osadnik nie dostawał go za darmo, cena wyliczona była w kwintalach żyta i spłata rozłożona z reguły na 20 lat. Otrzymanie aktów nadania, a zwłaszcza dokonanie sądowych wpisów w księgach wieczystych, zmieniło nastawienie gospodarzy do „swoich” od tej pory gospodarstw, zaczęto dbać również o budynki, remontować je, a nawet budować nowe.

Pracująca u nas ekipa remontowa była firmą rodzinną: senior rodu, już po siedemdziesiątce, jego syn około pięćdziesięcioletni i wnuk Fredek, syn córki nestora. Pochodzili spod Mławy, gdzie mieli niewielkie gospodarstwa. Ponieważ gospodarstwa były małe, całe życie wyjeżdżali za pracą. Przed wojną do niedalekich Prus na sezonowe prace w rolnictwie, a ponieważ mieli zawsze zmysł do „murarki i ciesielki”, to dawali im pracę przez cały rok,

⁹ Żuławiacy Osadników Wspomnienia Żuławskich, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1973.

¹⁰ Dziennik Bałtycki, nr 195 1957–08-17

przy remontach i budowach. Całą wojnę też pracowali w niemieckim majątku już nie całkiem dobrowolnie. Tam urodził się najmłodszy z trójki, otrzymał na chrzcie Fryderyk, bo za niemiecko brzmiące imię dostawała rodzina kartki na cukier. Po wojnie zaczęli za pracę przyjeżdżać na Żuławy. W okolicy wyremontowali, ale też i zbudowali, wiele budynków. Kiedy u nas prowadzili pierwszy remont, my z bratem mieliśmy dziewięć i dziesięć lat, plac budowy był dla nas bardzo atrakcyjnym miejscem. Przebywaliśmy na nim o wiele więcej, niżby życzyli sobie budowlańcy, bo i przeszkadzaliśmy w robocie i o nieszczęście nie było trudno. Szczególną niechęć okazywał nam średni z rodziny, dość mrukliwy osobnik. Pewnego razu wyprowadzony z równowagi wykrzyczał: *K...mac, ludzi najmują do buraków, płacą im, a ci tu wariują, zamiast pognać ich do roboty!* Nastąpiła chwila ciszy, po której senior rodu, po namyśle, spokojnym głosem powiedział: *Jak jest gospodarz, to i ludziom da zarobić i sam ma, jak jest dziad, to sam nie ma i ludziom zarobić nie da.* Bardzo się wtedy poczułem dumny ze swoich rodziców.

Niedługo po wizycie przyszedł list, w którym pani Poll dziękowała za gościnność i serdeczne przyjęcie. Podkreślała, jak wielkie mieli obawy wybierając się w odwiedziny i jak tym większa jest ich wdzięczność za dobre przyjęcie. Przez pewien czas panie korespondowały. Listy z Niemiec przychodziły pisane po polsku pod dyktando, przez sąsiadkę Pollów, lub po niemiecku, wtedy mama prosiła naszą sąsiadkę-autochtonkę o przetłumaczenie. Treść była bardzo „familijna”. Mama żartowała z nas, że przyszedł list od „stryja”. Wszak dom, w którym mieszkaliśmy, był ojcowizną i naszego ojca, i jego. W większości korespondencja nie zachowała się, istnieje list z 1975 roku, pisany niewprawną, ale całkiem poprawną polszczyzną, w którym nadawczyni prosi o przyjęcie kuzynostwa jej męża, którzy wybierają się do Polski, chcieliby nas odwiedzić, bo też w tych stronach się urodzili. „... *Kuzynka mojego męża, chce również po wielu latach, Polskę odwiedzić, gdzie jako małe dziecko dzieciństwo spędzała. Znajduje się to również, gdzie Wasza rodzinka mieszka, i nie jedne urodziny razem się gościli. Wy może się dziwić, ale my często o naszych rodzinnych stronach wspominaliśmy i przypominamy sobie chętnie naszą młodość i różne przeżycia z naszych młodych lat*”. Nie dziwili się rodzice!

Pamiętam, że byli u nas ci Niemcy, był to jednak gorący czas żniw, trwała młocka, na krótko tylko zamilkła młocarnia, by chwilę porozmawiać przy stole. Krewny miał mniej szczęścia niż Helmut, walczył na wschodzie, później kilka lat spędził w syberyjskiej niewoli. Wyniszczenie organizmu było cały czas wyraźnie widoczne. Z wielką radością goście fotografowali się przy dorodnych koniach ojca, ten zaprzęg również przypominał im dzieciństwo.

Jak bywa w takich sytuacjach, po pewnym czasie, korespondencja się urwała. Codzienne sprawy były zawsze pilniejsze. Kolejny list przyszedł po wielu latach, jesienią 1992 roku. Pisany przez *Frau* Poll po niemiecku. Informuje w nim, że poznali pana Arkadiusza Rybaka ze Starego Pola, że będą u niego, ale chcieliby i nas odwiedzić. Z racji swej pracy miałem kontakty z dr. Rybakiem, dyrektorem Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Starym Polu. Telefonicznie umówiliśmy się na zamku w Malborku, w działającej wówczas restauracji w dawnym kościele św. Wawrzyńca (pan Arkadiusz był przewodnikiem po Muzeum Zamkowym). Helmut przyjechał ze swoim młodszym synem Karlem-Heinsen, dwudziestokilkulatkiem

i nieco od niego starszym kuzynem. Po obiedzie ruszyliśmy w drogę do moich rodziców. Panowie Helmut i Arkadiusz wsiadli do mego „malucha”, młodzi Niemcy swoim mercedesem jechali za nami. Helmut z sentymentem przypominał niemieckie nazwy mijanych miejscowości. Na miejscu goście upewniali się, czy mogą bezpiecznie zaparkować drogi pojazd, kradzieże samochodów w ówczesnej Polsce były na porządku dziennym. Było, naturalnie, przyjęcie przy zastawionym stole, rozmowy, wspomnienia. Starszy Poll oprowadzał syna, pokazywał obejście.

W trakcie rozmowy pojawił się temat zmiany ich nazwiska w latach trzydziestych. Młodego Niemca zamurowało, spojrział wytrzeszczonymi oczami na ojca, ten tylko skinął głową. Widać było bardzo wyraźnie, że była to skrywana tajemnica rodzinna. Na pożegnanie Helmut obdarowany został wspomnianą tu chorągiewką spróchniałego już wiatrowskazu ze szczytu stodoły. I tym razem nie obeszło się bez łez wzruszenia.

Niedługo przyszedł, pisany po niemiecku list, datowany 18.10.1992 roku:

Mój mąż jest już od tygodnia w domu i ma dużo do opowiedzenia. Przede wszystkim o Wąskiej gościnności, za którą chciałabym w imieniu mojego męża i mojego syna serdecznie podziękować. Szczególnie wzruszeni jesteśmy przekazaniem chorągiewki wiatrowej. Traktuję to jako wielki, przyjazny gest i wieczną pamiątkę. Sprawiliście nam tym ogromną radość.

Dla naszego syna Karl-Heinsa była to także podróż pełna przeżyć. Opowiadaliśmy mu od czasu do czasu o życiu w naszej starej ojczyźnie. Ale teraz on może to sobie lepiej wyobrazić.

Dalej pisze pani Poll o niedawnych narodzinach wnuczki Moniki, córki ich starszego syna Hartmuta i jego żony Gerlinde. I kończy w jakże familijnym tonie:

Tak, dzieci już mają dzieci, a my starzejemy się. Od naszego poznania się z Wami minęło 20 lat. Jesteśmy już obydwój rencistami, ale mamy nadal dużo pracy w domu i ogrodzie.

Kończę już mój list i życzę Państwu dużo zdrowia, które w naszym wieku jest najważniejsze, i dla Pani i dla Pani rodzimym wszystkiego dobrego.

Ihre Familie Helmut Poll.

Nie wiem czy mama odpisała na ten list, była to chyba ostatnia korespondencja, relacje się urwały. Po latach dowiedziałem się określną dość drogą, że Helmut Poll nie żyje, i że sam życie sobie odebrał. Tak jak jego rodzice w tragicznym marcu 1945 roku.



Pociąg wyruszył wioząc rodzinę do nowego życia, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Ryszard Rząd



HISTORIE NIE TYLKO MALBORSKIE (10) FLATAUEROWIE Z ULICY DŁUGIEJ

Architektoniczną perełką ul. Kościuszki (dawn. Langgasse) w Malborku jest willa mieszcząca dziś muzeum miejskie. Jako że przez wiele lat budynek był własnością jednej z najbogatszych i bardzo aktywnych w ówczesnym mieście rodzin żydowskich, przypomnijmy pokrótce dzieje tej mniejszości wyznaniowej. Pierwsi Żydzi pojawili się w Malborku już XIV i XV w., jednak ze względu na dekret „*de non tolerandis Iudaeis*” nie było to osadnictwo stałe. Ograniczenia te zniesiono dopiero na mocy ustaw z lat 1808 i 1812. Już w 1813 r. do miasta przybyło pierwszych sześć rodzin żydowskich. Rok później **ukonstytuowała się gmina wyznaniowa. Wyznaczono też miejsce na Wielbarku na pochówki zmarłych.** W sierpniu 1826 r. gmina zwróciła się do miasta z prośbą o pozwolenie na budowę synagogi na Starym Mieście. Uzyskano jedynie zgodę na adaptację na ten cel znajdującego się tam starego spichlerza. W 1856 r. Nadprezydent Prus Zachodnich zatwierdził statut gminy żydowskiej w Malborku. Ustalono jej granice, a administrowanie powierzono 3-osobowemu Zarządowi i 9-osobowemu Kolegium Reprezentantów. Kolegia powoływane na mocy ustawy z roku 1847 decydowały o najważniejszych sprawach miejscowej społeczności. Wybierały m.in. zarząd, rabina, kantora i mohela (rzezaka). Wzrost liczby członków malborskiej gminy w 2 poł. XIX w. doprowadził do wybudowania w latach 1897–98, kosztem 40 tysięcy marek, nowej synagogi przy ówczesnej Schulstrasse. Budynek wzniesiono w modnym wówczas w całej Europie stylu mauretańskim. 10 listopada 1938 r. spalono ją w trakcie nocy kryształowej – nazistowskiego pogromu Żydów w Niemczech. Zniszczenie synagogi było znakiem końca malborskiej gminy żydowskiej.



Aaron Conitzer (1789–1873)

Od ok. 1900 do 1933 r. właścicielem wspomnianej na wstępie willi przy Langgasse była rodzina Flataurow. Opowieść o niej zaczniemy jednak od przybliżenia historii innej rodziny – Conitzerów. Ich losy splotły się bowiem nierozdzielnie.

Pierwszym uchwytnym w źródłach przedstawicielem rodziny Conitzerów był kupiec Israel (1765–1793) z Warszawy. W mieście tym urodził się także jego syn Aaron (1789–1873). Dzięki swoim staraniom w czerwcu 1812 r. wraz z rodzicami znalazł się na liście Żydów, którym udzielono praw obywatelskich w Królestwie Pruskim. Wówczas otrzymali też nazwisko Conitzer. Około roku 1815 przeprowadzili się do Sępólna Krajeńskiego, gdzie Aaron ożenił się z Genendel Kalenscher

(1790–1829) z Nakła. Doczekał się siedmiorga dzieci (Rosalie, Florentine, Israela, Mosea, Alexandra, Salomona i Osera). Moses (1822–1902) w 1850 r. przeniósł się do Jeżewa koło Świecia i ożenił z Ernestine Bennheim (1824–1902) z pobliskiego Lniana. Tam urodziło mu się siedmioro dzieci: Rudolf, Sara, Rachel, Nathan, Alexander, Hermann i Lothar. Z początkiem lutego 1882 r. zamieszkał z rodziną w Kwidzynie. Wynajął lokal przy Marienburgerstr. 1 (ob. ul. Braterstwa Narodów) i wspólnie z synami założył sklep tekstylny-odzieżowy „*M. Conitzer & Söhne*”. Pomysłodawcą przedsięwzięcia był najstarszy z synów, Rudolf (1851–1932), który już od lipca 1878 r. prowadził swój własny, znakomicie prosperujący interes w Świeciu. To właśnie jego sukces skłonił braci i ojca do otworzenia wyżej wymienionej firmy w siedzibie rejencji, Kwidzynie. W sklepie obowiązywały stałe ceny i nie można było się targować. Zgodnie z pomysłem Hermanna Conitzera (1862–1936) klienci płacili wyłącznie gotówką. Nie mogli co prawda korzystać – jak bywało wcześniej – z zakupów na kredyt, ale dzięki wydatnej poprawie płynności dostaw towarów były one o 8–10 procent tańsze.

Po kilkunastu latach przedsiębiorstwo przeobraziło się w koncern o zasięgu ogólnokrajowym, w szczytowym okresie posiadającym około 30 domów towarowych. W 1927 r. dołączył do niego potentat branży odzieżowej – znana w Niemczech firma Hermanna Tietza (późniejsze „*Hertie*”).

Córki Mosea wydane zostały za dwu znakomicie zapowiadających się przedsiębiorców kwidzyńskich. Sara (1853–1922) około 1873 r. za Lesera Flatauera (1844–1922), Rachel (1855–1937) w 1882 r. za Marcuse Marcusa (1856–1920).

Rodzina Flataurowiczów pochodziła z okolic Świecia. Na przełomie XVIII i XIX w. handlem detalicznym trudnił się tam Michael Moses i jego syn Rafael (1803–1877). W czerwcu 1812 r., tak jak wspomniani wyżej Conitzrowie, otrzymali oni prawa obywatelskie i nazwisko – Flatau. W 1843 r. Rafael ożenił się z Pauline Nathansohn, która rok później urodziła syna, wspomnianego wyżej Lesera. Ów, w latach 70-tych XIX w., usamodzielnivszy się zamieszkał w Świętem koło Grudziądza. Tam, z małżeństwa z Sarą Conitzer, urodziło się mu trzech



Moses Conitzer (1822–1902)



Rudolf Conitzer (1851–1932)



Hermann Conitzer (1862–1936)

synów: Arnold, Max i Raphael. Zapewne w latach 80-tych XIX w. Flatauerowie przeprowadzili się do Kwidzyna, gdzie niebawem weszli w wielce korzystne układy handlowo-rodzinne. W 1898 r. szwagrowie, Leser Flatauer i Marcuse Marcus, uruchomili w Kwidzynie wspólną firmę – wielki młyn parowy „*Markus & Flatauer*” przy Bismarckstraße 26 (ob. ul. 3 Maja). Leser był także właścicielem kamienicy w Grudziądzu przy Oberthornerstraße 34 (ob. al. 23 Stycznia).

Pamiętać należy, że wspomniane wyżej małżeństwo Lesera i Sary nie było pierwszym związkiem rodzin Flatauerów i Conitzerów. Pokolenie wcześniej ciotka Lesera (siostra ojca), Flora (1823–1886) wyszła bowiem za Israela Conitzera (1820–1886).

22 października 1874 r. na świat przyszedł syn Lesera, Arnold. Około 1899 r. osiedlił się on w Malborku z zamiarem otworzenia razem z Conitzerami nowego sklepu, którego miał być współwłaścicielem. Plany te nabrały tempa, gdy 26 lipca tegoż roku niespodziewanie spłonęła znaczna część Starego Miasta, w tym ewangelicki dom modlitwy przy Hohe Lauben 21–22. Conitzerowie natychmiast wykupili te dwie parcele i zapewne dzięki swojej niebagatelnej fortunie i wpływowi zdobyli pozwolenie na budowę wielkiego domu towarowego. Już w 1900 r. wzniesli budynek, zgodnie z wymogami konserwatora zabytków z podcieniem i szczytem, przewyższający jednak sąsiednie wysokością i powierzchnią użytkową. Wyróżniał się on trzema dwukondygnacyjnymi arkadami, bogatą maneryzującą dekoracją elewacji złożoną m.in. z pilastrów, gzymsów wspartych na maszkaronach i z ozdobnych płycin podokiennych z kartuszami. Fasadę wieńczyły okazały, dwukondygnacyjny szczyt z wolutowymi spływami, sterczynami i pełnoplastyczną głową Hermesa.

Uroczyste otwarcie wspólnego interesu – „*Erstes Bekleidungs-Haus Westpreußens*” – „*M. Conitzer & Söhne*” miało miejsce w 1901 r. Właściciele bardzo szybko zadbali o odpowiednią reklamę. Pojawiła się ona już w tym samym roku w renomowanym przewodniku po zamku i mieście autorstwa Wilhelma Schwandta. Zgodnie z nią w sklepie oferowano odzież damską, wyroby z jedwabiu, lnu i bawełny, zasłony, tkaniny obciowe, dywany, fartuchy, eleganckie halki damskie do kostek i majtki. Specjalnością firmy była konfekcja męska, damska i dziecięca oraz obuwie. Wszystko to w ilościach detalicznych lub hurtowych, i tak jak w Kwidzynie – wyłącznie za gotówkę. W 1905 r. Arnold poślubił Margarete Litthauer (1884-) z Drzonowa koło Człuchowa. Niebawem na świat przyszło ich dwoje dzieci: syn Heinz (1907–1987) i córka Gerda (1909–1981). W 1924 r. przejął na wyłączną własność wspomniany wyżej dom towarowy na Starym Mieście zachowując jednak jego dotychczasową nazwę. Równocześnie jego wujowie, bracia matki, nabyli atrakcyjnie położoną parcelę na rogu Deutsch-Ordensstrasse i Gr. Geistlichkeit (ob. ul. 17 Marca i Piłsudskiego), naprzeciw staromiejskiej Bramy Garncarskiej. Około 1926 r. powstał tam nowoczesny pawilon handlowo-wystawieniczy firmy „*Conitzer & Söhne*”.

Wyróżniał się on wśród historyzującej architektury sąsiednich kamienic modernistyczną formą i materiałem – elewacje pokryto okładziną z dwubarwnego, szaro-beżowego kamienia. Wykonano z niego także profilowane listwy i płyciny tworzące geometryzującą dekorację. Narożne usytuowanie pozwoliło na zaprojektowanie trójbocznej, wyższej części centralnej zwieńczonej schodkową nadbudówką na dachu. Ściany wypełniały półkuliście zamknięte witryny imponujących rozmiarów (ok. 6 m wysokości!). Niższe elewacje boczne, zwieńczone płycionowymi attykami, również przeszklono, witryny miały jednak kształt prostokątny.



Arnold Flatauer (1874–1964) z żoną Margarete z d. Lithhauer



Arnold Flatauer w mundurze członka Bractwa Strzeleckiego w Malborku



Heinz (1907–1987) i Gerda (1909–1981) Flatauerowie w latach dziecięcych w Malborku



Dom towarowy „Conitzer & Söhne” na Starym Mieście w Malborku, 1930 r.



Reklama sklepu „Conitzer & Söhne” w przewodniku W. Schwandta, „Marienburg”, 1901 r.



Sklep Herberta Hille w Malborku, na rogu Deutsch-Ordensstrasse i Gr. Geistlichkeit, ok. 1940 r.



Gadżety reklamowe firmy „Conitzer & Söhne”



Kamienie pamięci („Stolperstein”) w Osnabruck w pobliżu dawnego domu Raphaela Flatauera



Plakieta pamiątkowa z okazji 25-lecia malborskiego sklepu Conitzer & Söhne”, 1926 r.



Willa Arnolda Flatauera, ob. Muzeum Miasta Malborka przy ul. Kościuszki 54

Arnold Flatauer wiele lat był radnym miejskim. Udzielał się także charytatywnie. W czasie wielkiego kryzysu i bezrobocia finansował dokarmianie dzieci w szkołach. Był aktywnym członkiem Bractwa Strzeleckiego. W 1928 r., oddając celny strzał w imieniu prezydenta Rzeszy Paula von Hindenburga, uczynił go honorowym malborskim królem kurkowym. Ufundował także kompletne wyposażenie sali gimnastycznej w szkole rolniczej. Uchonorowaniem osiągnąć w dziedzinie handlu było umieszczenie w 1929 r. jego biografii w prestiżowym przewodniku gospodarczym po Niemczech („*Deutscher Wirtschaftsführer*”). Udzielał się też w malborskiej gminie żydowskiej. Od 1 kwietnia 1909 do 31 marca 1912 r. był zastępcą, a od 1 kwietnia 1912 do 31 marca 1924 r. członkiem Kolegium Reprezentantów. W 1933 r. zmuszony został przez nazistów do emigracji i wyjechał z najbliższymi do Sao Paulo w Brazylii. Tam też zmarł 18 lutego 1964 r. w wieku 90 lat.

Dramatycznie potoczyły się też losy jego kuzynów, synów Marcuse Marcusa. Erwin (1892–1969) zmarł na emigracji w Brazylii, Bruno zginął w obozie koncentracyjnym, podobnie jak i bracia Arnolda, Max (1876–1942?) i Raphael (1877–1943).

Najdłużej żyjącym męskim przedstawicielem Conitzerów był Alex (1859–1951), który przeżył zarówno początek, jak i upadek rodzinnego koncernu. Zmarł w Boliwii. Ostatni męski potomek Flatauerów, wnuk jednego z braci Arnolda, Gur Aryeh „*Guri*”, przyszedł na świat w Palestynie w 1938 r. Tam bowiem trafił jego ojciec, Kurt, zmieniając nazwisko na Palter. Guri służył w armii izraelskiej jako pilot bombowca. Był najwyższym rangą oficerem izraelskim (podpułkownikiem), jaki dostał się do niewoli w trakcie wojny sześciodniowej w 1967 r. W 2018 r. w jego ręce trafiła jedyna pamiątka po rodzinie dziadka, Raphaela Flatauera – menora odnaleziona w jego dawnym domu w Osnabruck.

Niemym świadkiem historii malborskiej gałęzi rodziny Flatauerów jest dziś ich dawny dom przy ul. Kościuszki 54. Zachowany w bardzo dobrym stanie jest ciekawym przykładem reprezentacyjnej, miejskiej rezydencji z lat 70-tych XIX w. Wyróżnia się rozczłonkowaną, urozmaiconą bryłą z frontowym ryzalitem, bocznym, półkolistym aneksem pełniącym funkcję oranżerii oraz tarasami, z których najbardziej okazały, z centralnie usytuowanymi, szerokimi schodami, położony jest od strony dawnego ogrodu. Główne wejście poprzedza portyk z czterech kolumn doryckich stanowiący element niezwykle bogatego, klasycyzującego wystroju architektonicznego. Składa się na niego także m.in. oprawa okien frontowego ryzalitu złożona z pilastrów o kanelowanych trzonach i kompozytowych głowicach oraz belkowania z fryzem z liśćmi akantu i wicią roślinną. Elewację zdobią ponadto medaliony z główkami oraz profilowane gzymsy i opaski otworów okiennych z roślinnymi wolutami.

Po opuszczeniu przez prawowitych właścicieli willa zajęta została przez państwo niemieckie. W 1934 r. umieszczono tu biura Powiatowego Kierownictwa NSDAP i Niemieckiego Frontu Pracy wraz z jego agendą – organizacją „*Kraft durch Freude*” („*Sila przez radość*”), która m.in. troszczyła się o „należyte” spędzanie wolnego czasu przez malborskich robotników organizując im niedzielne, bezpłatne wycieczki. W 1937 r. w wyniku tzw. aryżacji mienia żydowskiego malborskie domy towarowe Flatauera i Conitzerów przeszły na własność spółki komandytowej należącej do członka NSDAP Herberta Hille. Sklep na Starym Mieście zatrudniał wówczas ponad sto osób. Spłonął 26 stycznia 1945 r. Pawilon przy Bramie Garncarskiej ocalał z zawieruchy wojennej, pełnił następnie różne funkcje, a obecnie czeka na nowego gospodarza.

W latach 1945–48 w dawnym domu Flatauerów mieściła się Komenda Milicji Obywatelskiej po czym, do lipca 1974 r., Komitet Powiatowy PZPR. Od 1974 do lipca 1977 r., na okres remontu malborskiej Szkoły Specjalnej, willa użytkowana była jako lokal zastępczy dla tej placówki. 10 października 1979 r. stała się siedzibą malborskiego oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego. Otwarto tu „*Dom Nauczyciela*” z Biblioteką Pedagogiczną i Poradnią Psychologiczno-Pedagogiczną – pierwszą tego rodzaju instytucję w ówczesnym województwie elbląskim. Piętro obiektu zaadaptowano na mieszkanie służbowe dla nauczycieli. W styczniu 1981 r. zawiązał się tu Malborski Komitet Założycielski NSZZ „*Solidarność*”. „*Dom Nauczyciela*” był miejscem wielu wystaw artystów malborskich, m.in. Teresy Bekier, Mieczysława Okońskiego, Andrzeja Krzemińskiego, Marzeny Zygmunt i Jerzego Krempa. Eksponowano tu też gobeliny Marii Dyszyńskiej, monotypie i rysunki Joanny Traczewskiej i tkaniny z Państwowego Ogniska Plastycznego.

W roku 2007 rozpoczęto prace adaptacyjno-remontowe mające na celu adaptację budynku dla potrzeb nowej instytucji, miejskiego Centrum Turystyki – „*Malbork Welcome Center*”. Objęło ono obiekt w kwietniu 2008 r. i działało do stycznia 2015. Po jego likwidacji, przez trzy lata mieścił się tu Wydział Promocji, Turystyki i Współpracy z Zagranicą Urzędu Miasta Malborka. Od 2 stycznia 2018 r. dawna willa Flatauera jest siedzibą Muzeum Miasta Malborka, które m.in. przejęło spuściznę po „*Marienburg-Archiv*” – izbie pamięci z Hamburga gromadzącej pamiątki po dawnych mieszkańcach miasta nad Nogatem, w tym rodzinie Flatauer. Pół roku później, 16 czerwca, Muzeum zainaugurowało swoją działalność pierwszą wystawą „*Miasto ludzi – ludzie miasta*”. W lipcu 2019 r. kultywując pamięć o tych, którzy kształtowali niegdyś charakter miasta, zaprosiło mieszkańców na międzypokoleniowe spotkania dyskusyjno-warsztatowe „*Herbatka u Flatauerów*”. W roku 2020 willa przeszła gruntowny remont, a w chwili obecnej Muzeum przygotowuje kolejne ekspozycje, których częścią będą m.in. pamiątki po Flatauerach.

Radosław Kubus

W KRĘGU KULTURY MATERIALNEJ MIESZKAŃCÓW ŻUŁAW NA PRZEŁOMIE XVIII I XIX WIEKU

Truizmem jest stwierdzenie, że chłopci na Żuławach byli w dużej mierze ludźmi wolnymi i majątyni. Oczywiście nie każdy żuławski chłop należał do ludzi dobrze sytuowanych. Niemniej pozycja chłopca na Żuławach znacznie różniła się od pozycji chłopca w innych regionach Rzeczypospolitej. Symbolem pozycji żuławskich gburów do dziś pozostają zachowane w krajobrazie regionu potężne domy podcieniowe, zwane też niekiedy „chłopskimi pałacami”. W przybytkach tego typu mieszkała naturalnie wyłącznie elita, która posiadała znaczny areal ziemi uprawnej oraz utrzymywała liczną służbę. Większość mieszkańców delty Wisły zamieszkiwała dużo skromniejsze drewniane chałupy. Zachowana do dnia dzisiejszego tego typu architektura często znacznie odbiega od pierwowzoru. Wpłynęły na to liczne „ulepszenia”, którym w okresie Polski Ludowej mieszkańcy poddawali swoje domostwa. Dziś, kiedy zainteresowanie Żuławami rośnie, liczni badacze, hobbisci oraz ludzie o głębokiej wrażliwości estetycznej często walczą o to, aby nadawać tego typu domom ich pierwotny kształt, układ, wygląd, a nawet przeznaczenie. Abstrahując od kwestii finansowych, które niewątpliwie odgrywają tu rolę pierwszoplanową, ważnym zagadnieniem są również źródła wiedzy, z których można czerpać informacje na temat tego, jak w momencie powstania wyglądały takie domy. Z pewnością przydatna jest tu praca architektów i historyków sztuki, którzy z pozornie drobnych detali potrafią wyciągać daleko idące wnioski. Sprawa komplikuje się jednak bardziej, kiedy próbujemy dociec, jakie przedmioty znajdowały się w wyposażeniu domów żuławskich chłopów. W tym przypadku przynajmniej częściowo pomocne mogą się okazać badania historyków. Zawarte w archiwach pośmiertne inwentarze mienia stanowią bowiem niezwykle wdzięczne źródło wiedzy na temat kultury materialnej dawnych społeczności. Tego typu źródła zachowały się także dla obszaru Żuław. O ile historycy koncentrują swoją uwagę w odniesieniu do obszaru Pomorza na badaniu pośmiertnych inwentarzy mienia mieszkańców miast, w tym szczególnie dużych ośrodków miejskich takich jak Gdańsk, czy Elbląg, o tyle w odniesieniu do Żuław poza drobnymi przyczynkami¹ nie dysponujemy w zasadzie żadnymi obszerniejszymi pracami.

Celem tego tekstu jest wyłącznie zasygnalizowanie potencjału poznawczego, który tkwi w tego typu kategoriach źródeł. Wykorzystane w tekście pośmiertne inwentarze mienia znajdują się w księgach gruntowych przechowywanych w Archiwum Państwowym w Malborku. Zdecydowana ich większość pochodzi z końca XVIII i I połowy XIX wieku. Z reguły stanowią spis wszelkich nieruchomości, ruchomości, pasywów, aktywów oraz długów

¹ E. Kizik, *Gospodarstwo chłopskie na Żuławach Wiślanych w świetle inwentarzy pośmiertnych z XVIII w.*, [w:] *Cywilizacja prowincji Rzeczypospolitej*, (red.) A. Jankowski, A. Klonder, Bydgoszcz 2004, s. 340–342; Ł. Kępski, R. Kubus, *Inwentarz pośmiertny żuławskiej mennonitki Anny Dridger z 1808 r.*, „Argumenta Historica”, 2020, nr 7, s. 61–71.

i zobowiązań finansowych zmarłego. Niemal zawsze żuławskie inwentarze mienia spisywano na sposób niemiecki, czyli kategoryzowano spisywane przedmioty według surowca, z którego je wykonano, ewentualnie ich funkcji. Zazwyczaj pośmiertny inwentarz mienia otwierał wykaz nieruchomości, czyli wszelkich zabudowań i gruntów należących do zmarłego, a zamykał spis wierzytelności. Po odliczeniu wierzytelności od wartości całej masy spadkowej przystępowano do podziału majątku po zmarłym, z czego z reguły połowę otrzymywał współmałżonek, tudzież współmałżonka, natomiast drugą połowę dzielono pomiędzy dzieci.

Na tle przytoczonych powyżej informacji nadzwyczaj wyjątkowo przedstawia się inwentarz zmarłego w 1796 roku mieszkańca Starych Babek (*Altebabke*) Salomona Feydta (Veit)². Zmarły w wieku 76 lat mężczyzna był postacią nietuzinkową. Poza tym, że tytułowano go sąsiadem (*Mitnachbar*), był on również uznanym miejscowym konowałem (*Pferde-Arzt*). Po śmierci mężczyzny powołana została komisja, która miała za zadanie wycenić należące do niego nieruchomości. W jej skład weszli pochodzący z Bronowa 52-letni sąsiad Gottlieb Müller oraz 47-letni mieszkaniec Starych Babek Peter Kuntz.

Jedynym dziedzicem zmarłego był jego upośledzony umysłowo (*blödsinnig*) brat Daniel Feydt. Dziedzic w czasie postępowania spadkowego znajdował się pod kuratelą sołtysa Martina Steinigera. W celu ustalenia tego, czy Daniel Feydt rzeczywiście był jednym spadkobiercą zmarłego Salomona, kurator powołał dwóch świadków, którzy mieli wskazać na ewentualnych innych spadkobierców. Pierwszym z nich był Peter Schmidt. Co ciekawe, nie potrafił on podać swego wieku, stwierdzając wyłącznie, że ma siedemdziesiąt kilka lat („bin einige 70 Jahre alt, genauer kann ich solches nicht bestimmen”). Schmidt pochodził ze Starych Babek, ale mieszkał w położonej niedaleko Starych Babek wsi *Beierhorst*. Na wstępie świadek zeznał, że nie jest w żaden sposób spokrewniony z rodziną Feydt, a za swoje zeznania nie otrzymał żadnej korzyści majątkowej. Następnie przedstawił swoją wiedzę na temat rodzeństwa zmarłego Salomona. Zmarły posiadał zatem, poza upośledzonym umysłowo bratem Danielem, jeszcze pięcioro rodzeństwa, tj. siostry Marię, Annę, Helenę i Reginę oraz brata Simona. Maria przed laty miała poślubić zarządcę gruntów w podgdańskiej Oruni. W momencie składania przez Schmidta zeznań, kobieta nie żyła już od około 18 lat. Pozostawiła po sobie córkę, która najprawdopodobniej również zamieszkiwała w Oruni. Kolejna siostra Salomona Anna, mieszkała z mężem w podgdańskich Szkotach. W momencie spisywania zeznań zarówno kobieta, jak i jej dwaj synowie już nie żyli. Nie żyła już wówczas także Helena, żona zarządcy Żabianki Jacoba Sturmiera oraz Regina, która zmarła jako kobieta niezamężna. Taki sam los spotkał Simona Feydta, który zmarł w wieku zaledwie 10 lat. Zeznania Petera Schmidta potwierdził mieszkaniec Starych Babek, mennonita Peter Epp, który stwierdził: „Zeznania poprzedniego świadka pokrywają się w pełni z moimi i mogę z czystym sumieniem potwierdzić, że Salomon Feydt, sąsiad ze Starych Babek, który zmarł w zeszłym roku jako kawaler i osoba bezdzietna, pozostawił jedynie swojego upośledzonego umysłowo brata Daniela Feydta i nie posiada więcej żyjącego rodzeństwa.” (*Die Auslassung meines Nebenzeugen ist im der meinigen völlig gleich und kann ich mit derselben möglichst Gewißen bekunden, daß der Salomon Feydt gewesenen Mitnachbar auf*

² Archiwum Państwowe w Malborku [dalej: APM], sygn. 341, 853, k. 2–7.

Altebacke der im vorigen Jahre unverheÿrathet und ohne Leibesperben verstarb, nur sein einziger Bruder Daniel Feydt, der Blödsinnige beerbet hat, und außer diesem kein mehreres Geschwister am Leben vorhanden ist). Po przesłuchaniu obaj świadkowie w obecności kuratora złożyli przyrzeczenia, Peter Schmidt w obrządku luterańskim, a Peter Epp – mennonickim.

Warto w tym miejscu powrócić do kwestii opisu majątku po zmarłym Salomonie Feydt, którego dokonali wspomniani już rzeczoznawcy Gottlieb Müller i Peter Kuntz. Daje on wgląd w to, jak przedstawiały się zabudowania należące do rodziny Feydtów, oraz rzuca pewne światło na stosunek Salomona do swojego upośledzonego umysłowo brata Daniela.

Pierwszy dom, w którym zamieszkiwał Salomon Feydt, został zbudowany około roku 1788. Była to jednopiętrowa konstrukcja fachwerkowa kryta esówką o długości 40 stóp³, szerokości 26 stóp i wysokości 9 stóp. Rozciągała się od strony północno-wschodniej w kierunku południowo-zachodnim. Dom składał się z kilku pomieszczeń. Największym z nich była tzw. wielka izba, której długość wynosiła 22 stopy, szerokość 16,5 stopy, wysokość 9 stóp. Znajdował się w niej biały piec z niebieskim przypieckiem. W wielkiej izbie znajdowały się aż cztery okna, w których szyby wykonane były ze szkła francuskiego. Okna wyposażone były w mosiężne haki, a od zewnątrz zabezpieczone dębowymi, pomalowanymi na niebiesko okiennicami. Od wielkiej izby przez żółte drzwi z żelaznym zamkiem wchodziło się do sypialni. Była ona długa na 10 stóp, szeroka na 7 stóp i wysoka na 9 stóp. Tak jak w przypadku wielkiej izby, tak i w sypialni znajdowała się podłoga wykonana z desek. Znajdowało się tu jedno okno wykonane ze zwykłego szkła (*gewöhnlichen Glasse*). Rama okna była wykonana z dębu, z kolei pomalowana na niebiesko okiennica wykonana była ze świerku. Niedaleko sypialni znajdowała się spiżarnia. Jej wymiary były analogiczne do wymiarów sypialni. Także tu podłoga wykonana była z desek, a okno ze zwykłego szkła. Blisko spiżarni znajdowało się pomieszczenie o wymiarach 7x7 stóp, które przeznaczone było dla służby. Również tu znajdowała się zbita z desek podłoga, okno ze zwykłego szkła ze świerkową, pomalowaną na niebiesko okiennicą oraz żelaznymi okuciami. Drzwi w tym pomieszczeniu wykonane były ze świerku z żelaznym zamkiem i okuciami. Kolejne duże pomieszczenie mieszkalne (*Hausraum*) miało długość 25 stóp, szerokość 8,5 stopy i wysokość 9 stóp. Posiadało zbitą z desek podłogę, dwa okna ze zwykłego szkła, z których jedno miało pomalowaną na niebiesko świerkową okiennicę, natomiast drugie okno nie było wyposażone w żadną okiennicę. W tym pomieszczeniu znajdowała się także murowana kuchnia z paleniskiem i oblepionym gliną kominem. Znajdowały się tu również potrójne drzwi wykonane ze świerku i pomalowane na niebiesko z żelaznymi okuciami i klamkami. Z uprzednio wzmiankowanej spiżarni można było przejść do piwnicy. Prowadziły do niej siedmiostopniowe schody. Murowana piwnica miała długość 21 stóp i wysokość 6 stóp.

Około 9,5 stopy na południowy-wschód od opisywanego powyżej budynku znajdował się kolejny, będący w ruinie dom, w którym mieszkał brat zmarłego Salomona, upośledzony umysłowo Daniel. Ten budynek miał 40 stóp długości, 26 stóp szerokości i 5 stóp wysokości. Była to konstrukcja fachwerkowa z drewna i gliny kryta słomianym dachem. Budynek posiadał prześwitę, a jego podcień był niemal całkowicie zapadnięty. Co ciekawe, wyposażenie tego budynku było niemal identyczne z pierwszym budynkiem. Jak wynika

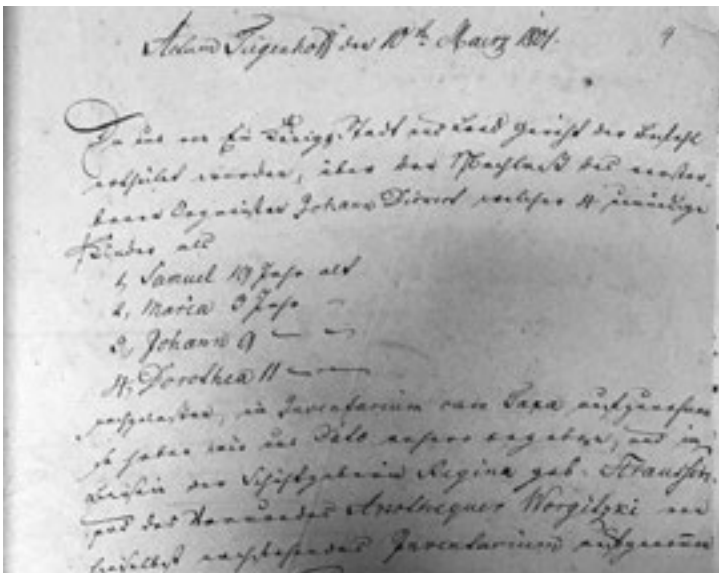
³ Stopa odpowiada długości 0,31 metra.

ze źródła, było to efektem tego, że zmarły Salomon chciał w ten sposób przekonać swego brata do opuszczenia zrujnowanego domu, który w źródle określa się wręcz mianem „piekła”! (*Die Einrichtung dieses Gebäude ist der Einrichtung des vorhin beschriebenen neuen Hauses ganz gleich, weil der Erblasser die Absicht gehabt hat, seinen eigensinnigen Bruder, den Bewohner dieser Hölle durch diese Gleichheit der Einrichtung aus selbiger herauszuziehen und das neu erbaute Haus mit ihm zu bewohnen*). Ten dom najprawdopodobniej został wybudowany w roku 1686. Poprzez zrujnowaną ścianę ogniową budynek łączył się z dobudowaną znacznie później (najprawdopodobniej w roku 1757) oborą i stodołą. Obora miała długość 30 stóp i szerokość 26 stóp, a jej wysokość wynosiła 7 stóp. Była przewidziana dla 4 koni, 5 krów i kilku sztuk młodego bydła. Drzwi obory były wykonane ze świerku z żelaznymi zawiasami i uchwytem. Stodoła z kolei miała długość 45 stóp i szerokość 26 stóp, z kolei jej wysokość wynosiła 12 stóp. Magazynowano w niej przede wszystkim paszę dla zwierząt. Oba budynki, tak jak i dom były w tragicznym stanie. Na podwórzu znajdował się także przydomowy ogródek (*Küchengarten*) częściowo ogrodzony płotem z krzewów.

Ogólny areal ziemi, który pozostawił w spadku Salomon Feydt, wynosił 13,5 morgi. Ziemie te w większości były niezwykle bogate w glinę, a zatem i żyzne, jednak ze względu na ich niskie położenie nadawały się wyłącznie do siewu letniego i wypasu bydła.

W przypadku powyższego opisu nieruchomości brak szerszych informacji na temat samego wyposażenia opisywanych wnętrz. Niech za przykład tego, jakie przedmioty znajdowały się na wyposażeniu domów Żuławiaków, posłuży nam zatem pośmiertny inwentarz mienia organisty nowodworskiego Johanna Dickerta z 1801 roku⁴ (il. 1). Inwentarz sporządzono w obecności żony zmarłego, Reginy z domu Straussin, oraz prawnego opiekuna czwórki dzieci zmarłego, aptekarza Worgitzkiego. Wśród nieruchomości pozostawionych po zmarłym znajdował się położony w Nowym Dworze Gdańskim pod numerem 131 dom z ogrodem

o wartości 900 florenów. W odniesieniu do ruchomości w pierwszej kolejności pojawia się kategoria metali (*An Zinn, Kupfer, Messing, Blech und Eisen*). W tej kategorii znalazły się następujące przedmioty: tuzin cynowych łyżek wartych 24 grosze, dwa miedziane czajniki do kawy o wartości 3 florenów, dwie mosiężne miski do



Il. 1. Początek pośmiertnego inwentarza mienia nowodworskiego organisty Johanna Dickerta z 1801 roku

⁴ APM sygn. 341, 5780, k. 4-6.

gotowania ryb o wartości 4 florenów, sześć grapenów⁵, jedna patelnia i dwa trójnóżki o łącznej wartości 30 florenów oraz topór i łopata o łącznej wartości 2 florenów.

Wśród mebli i sprzętów domowych (*An Meubles und Hausgeräth*) wymienia się: zegar i małe lustro o łącznej wartości 12 florenów, świerkową szafę na ubrania o wartości 9 florenów, świerkową skrzynię o wartości 3 florenów, składany stół z czterema krzesłami o wartości 8 florenów, dwa łóżka o wartości 8 florenów, jedną szafkę kuchenną do przechowywania jedzenia o wartości 3 florenów, przędzarkę o wartości 2 florenów oraz różne drewniane i gliniane przedmioty o łącznej wartości 6 florenów.

Kolejna kategoria dotyczyła bielizny osobistej i pościelowej (*An Linnen und Betten*). Znalazło się tu: osiem męskich koszul o łącznej wartości 16 florenów, piętnaście sztuk koszul damskich o łącznej wartości 24 florenów, 4 prześcieradła o wartości 12 florenów, cztery nakrycia na łóżko o wartości 15 florenów, sześć ścierek o wartości 9 florenów, cztery fartuchy o wartości 8 florenów oraz dwa nakrycia, dwa prześcieradła, dwie duże poduszki i cztery mniejsze poduszki o łącznej wartości 92 florenów i 21 groszy. W sumie łączna wycena majątku po zmarłym organiście Dickercie wyniosła 1237 florenów i 15 groszy. Od tego odjęto dług, który posiadał nieboszyk względem nowodworskiego kupca Heinricha Wienssa w wysokości 37 florenów i 15 groszy. Ostatecznie więc suma całego majątku po zmarłym wyniosła równo 1200 florenów.

Wykaz majątku organisty Dickerta zawarty w pośmiertnym inwentarzu mienia każe sytuować go raczej wśród ludzi niezbyt zamożnych. Z pewnością człowiek ten nie należał do ludzi marginesu, ale też nie mógł równać się ludźmi pokroju Petera Classena, mieszkańca Lubieszewa, który pozostawił po sobie w pośmiertnym inwentarzu mienia z 1834 roku znaczny majątek wyceniony na niemal 10 tys. reichstalerów⁶. Nie równa się on także z pośmiertnym inwentarzem mienia pochodzącej z Żuławek mennonitki Anny Dridger⁷, która w swym domu posiadała m.in. łożo z baldachimem (*Himmelbett*). Co ciekawe, tego typu mebel często odnotowywany w zbiorach zarówno mieszczan gdańskich czy elbląskich, miał kilka zastosowań. Po pierwsze ów baldachim był swoistym wydzieleniem przestrzeni prywatnej względem pozostałych domowników, jak również izolował ich przed chłodem, a w końcu także zabezpieczał przed wszędobylskim robactwem⁸.

Generalnie można zauważyć, iż przedmioty odnotowane w pośmiertnym inwentarzu mienia organisty nowodworskiego Johanna Dickerta z 1801 roku niemal nie różniły się od przedmiotów, których używali mieszkańcy Prus Królewskich przed dwoma, a nawet trzema stuleciami. Dopiero przemiany XIX wieku w sposób znaczny wpłynęły na wyposażenie żuławskich domów. Widać to doskonale na przykładzie pośmiertnego inwentarza mienia z 1869 roku, gdzie jako novum pojawia się na przykład lampa naftowa (*eine Petroleumlampe*) warta 1 reichstalera⁹.

Podsumowując, należy stwierdzić, że pośmiertne inwentarze mienia Żuławiaków stanowią niezwykle cenne źródło do badania wielu aspektów związanych z historią regionu.

⁵ Grapen to rodzaj trójnożnego metalowego naczynia z dwoma uchami.

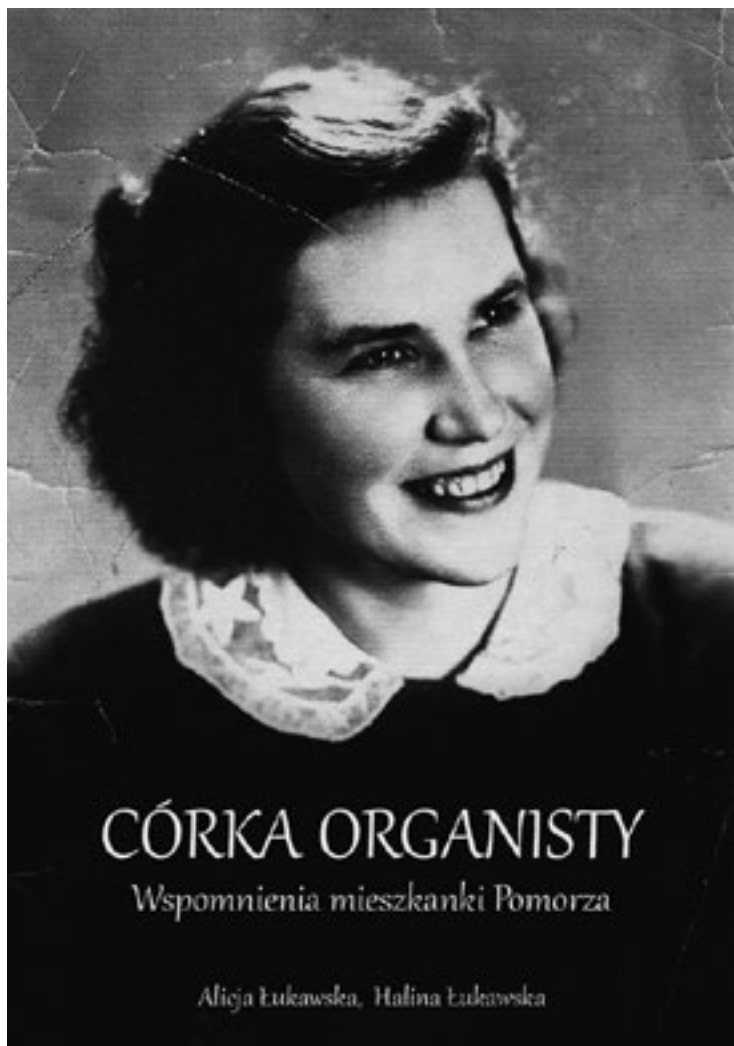
⁶ Z pewnością inwentarz ten zasługuje na osobne omówienie w jednym z kolejnych numerów Kwartalnika Prowincja.

⁷ E. Kępski, R. Kubus, op. cit., s. 61–71.

⁸ C. Heß, *Danziger Wohnkultur in der Frühen Neuzeit. Untersuchungen zu Nachlassinventaren des 17. und 18. Jahrhunderts*, Berlin 2007, S. 113.

⁹ APM sygn. 341, 5757, k. 69–70.

Przed wszystkim przydają się one do badań nad kulturą materialną społeczności zamieszkujących teren delty Wisły. Tego typu badania mogą być pomocne dla architektów czy właścicieli zabytkowych domów, którzy pragną odwzorować ich dawny wygląd. Co więcej, dzięki pośmiertnym inwentarzom mienia wiemy, co znajdowało się na wyposażeniu takich domów i jak owo wyposażenie ewoluowało pod wpływem przemian cywilizacyjnych zachodzących najbardziej dynamicznie począwszy od połowy XIX stulecia.



Można zamawiać na provincia@onet.pl

Andrzej Lubiński



MSZE ŻAŁOBNE, REWIZJE I WERBUNKI NA POWIŚLU I KOCIEWIU W LATACH 1861-1865

Wydarzenia z lat 1861-1865 na Powiślu i Kociewiu, poprzedzające Powstanie Styczniowe i będące jego skutkami, są stosunkowo mało znane. A żyją wśród nas potomkowie rodzin, które aktywnie uczestniczyły w tych patriotycznych przedsięwzięciach. Innym powodem zajęcia się tym tematem są nie w pełni wykorzystane źródła znajdujące się w archiwum Berlin Dahlen. Chodzi o protokoły przesłuchań podejrzewanych o sprzyjanie polskiej rebelii.

OJCZYNĄ WOLNĄ RACZ NAM WRÓCIĆ

Pogrzeb Katarzyny Sowińskiej, żony bohaterskiego obrońcy Woli w roku 1831 generała Józefa Sowińskiego, 11 czerwca 1860 roku stał się manifestacją patriotyczną. Słuchacze Szkoły Sztuk Pięknych z Karolem Nowakowskim na czele doprowadzili do ściągnięcia tłumów mieszkańców Warszawy przed dom przy ulicy Królewskiej i na swych barkach wynieśli trumnę aż na cmentarz kalwiński. W trzydziestą rocznicę wybuchu Powstania Listopadowego urządzono uliczną manifestację o charakterze politycznym, zamawiając mszę żałobną w kościele karmelitów na Lesznie. Tu po raz pierwszy zaintonowano wówczas pieśń „Boże coś Polskę” ze zmienionym refrenem: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Na Starym Mieście w Warszawie zorganizowana została manifestacja w rocznicę bitwy pod Olszynką Grochowską. Pięciu uczestników zostało zabitych, kilku było rannych. W pogrzebie 2 marca 1861 roku na Powązkach wzięło udział kilka tysięcy warszawiaków.

Dni, jakie nastąpiły w Warszawie od lutego do kwietnia 1861 roku, określa się mianem „polskich czasów”. Inicjatywa organizowania nabożeństw została podchwycona również w pozostałych zaborach. Aleksander Wielopolski, zwolennik ścisłej współpracy z Rosją po objęciu urzędu Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, dążył do ukrócenia działań konspiracyjnych. W nocy z 7 na 8 kwietnia 1861 przedłożył do podpisania ustawę o zbiegowiskach Michałowi Górczakowowi, namiestnikowi Królestwa Polskiego. Pozwalała ona na użycie siły zbrojnej, gdy po trzykrotnym wezwaniu urzędnika cywilnego do rozejścia się, tłum nie posłuchał.

W Sztumie w kościele św. Anny odprawiono nabożeństwo żałobne za poległych na ulicach Warszawy 25 i 27 lutego. Prawdopodobnie mszę u księdza proboszcza Piotra Goeblera



Trzej bracia Donimirscy, od lewej: Antoni, Edward powstaniec i Jan

zamówiło małżeństwo z Czernina – Piotr Alkantary Donimirski i jego żona Bogumiła z Wolskich.

Masakra na Placu Zamkowym 10 kwietnia 1861, gdzie zginęło 10 uczestników manifestacji i zostało 119 ciężko rannych spowodowała, że w zaborze pruskim organizowano nabożeństwa za „poległych braci w Warszawie”, ku uczczeniu rocznic narodowych lub śmierci wybitnych Polaków. W niektórych polskich okolicach Pomorza nabożeństwa nie mogły się odbyć, ponieważ księża odmawiali w nich udziału. Szacuje się, że odprawiono ich ponad 60 w 44 miejscowościach. Na Kociewiu – w Pelplinie, Bukowcu, Bobowie, na Powiślu w Sztumie i Kalwie.

„W piątek 3 maja 1861 odbędzie się w Kalwie pow. Sztum nabożeństwo żałobne za niewinnie pomordowanych braci naszych w Warszawie – donosił „Nadwiślanin” wydawany w Chełmnie. Mszę u księdza proboszcza Pawła Herholza zamówił Teodor Donimirski z Bukowa z małżonką Zofią

z Śląskich. Teodor z bratem Piotrem Alkantarym rozpoczęli działalność w Lidze Polskiej powstałej w 1848 roku i znalazł się w jej władzach centralnych w Poznaniu. Piotr Alkantary kierował Ligą powstałą w Postolinie, w powiecie sztumskim.

W tym samym czasopiśmie pojawiła się wiadomość o procesie, jaki miał miejsce 11 października w Sztumie. Za kolportowanie pieśni „Boże coś Polskę” i spowodowanie rozruchów po mszy w kościele postolińskim zostali ukarani przez Królewsko-Pruski Sąd w Sztumie Józefina z Chrzanowskich Łyskowska, jej brat stryjeczny (kuzyn) Antoni Chrzanowski i mąż Teodor Łyskowski¹. Oskarżonych bronił adwokat Wagner, radca sprawiedliwości z Kwidzyna. Dowodził przed sądem historycznego ciemnienia narodowości polskiej pod zaborem rosyjskim i tego, że w pieśni nie ma nic, co skierowane byłoby przeciwko rządowi pruskiemu. Wniósł o uwolnienie od wszelkiej kary.

Sąd uznał oskarżonych niewinnymi przekroczeniu paragrafu 100 prawa karnego, lecz „za rozruch w kościele” ukarał sprawców grzywną. „Rodzeństwo”, jak informowała gazeta, miało zapłacić 40 talarów, Teodor Łyskowski 20 talarów. Oskarżenie wniósł proboszcz postoliński Franciszek Pawłowski. Nazwał ich buntownikami, bo śpiewali „Boże coś Polskę” i „Matko Chrystusowa”. Powoływał się na zakaz ich śpiewania w kościele wydany przez biskupa warmińskiego Ambrożego Geritza.

¹ Józefina Emilia Chrzanowska urodziła się 15 stycznia 1837 roku w majątku Ostrowo powiat chełmiński, jej rodzice to Józef Chrzanowski i Emilia Kucharska. Ślub z Teodorem Łyskowskim z Wilczewa, urodzonym 28 grudnia 1824 r. wzięła, mając 15 lat i osiem miesięcy (23 listopada 1852 r.) w kościele postolińskim. Antoni Chrzanowski urodził się w 1839 r. w Gryżlinach koło Lubawy, był bratem stryjczym Józefiny. Założyciel Towarzystwa Rolniczego w Lubawie w roku 1865, wzorując się na Kółku Rolniczym w Postolinie działającym od 1862 r.

POSZLI DO POWSTANIA

W nocy z 22/23 stycznia 1863 roku dochodzi do wybuchu powstania w Królestwie Polskim. Wielu ochotników z trzech zaborów zaczęło wstępować do oddziałów partyzanckich. Wśród uczniów Gimnazjum Chełmińskiego, którzy udali się do walki z zaborcą, znaleźli się dwaj kuzyni Donimirscy – Edward z Bukowa i Henryk z Zajezierza. Ten pierwszy został ranny w bitwie pod Łęczycą. Nie wróci na Powiśle, ojciec Teodor kupi mu majątek ziemski w Łysomicach pod Toruniem. Henryk po powstaniu objął majątek Zajezierze. Z Postolina do powstania udało się trzech braci Floriańskich: Bernard – kupiec, Franciszek – rolnik i Józef – rzemieślnik.

O kontakty z powstańcami podejrzewany był hrabia Alfons Sierakowski z Waplewa, bo podróżował do Krakowa. 30 marca 1864 roku żandarmeria pruska ze Sztumu na rozkaz władz zwierzchnich z Berlina przeprowadziła rewizję w domach Teodora Łyskowskiego z Wilczewa, sołtysa Gromka i nauczyciela Grzeszkowskiego w Trzcianie i Kalksteina z Mikołajek. W Wilczewie rewizję przeprowadzał urzędnik sądowy z Kwidzyna Braun bardzo skrupulatnie, poprzewracano garnki, miski w kuchni oraz słomę w stodole. 5 kwietnia zarządzono przeszukanie u księdza proboszcza Jana Witkowskiego z Postolina, ale nic nie znaleziono. 24 kwietnia aresztowany został o godz. 9 rano Teodor Łyskowski i odprowadzony do sztumskiego więzienia. 8 maja został wypuszczony. Przyczyną aresztowania miały być denuncjacje. O czym informował „Nadwiślanin” 29 kwietnia 1864 roku. Autorem korespondencji do redakcji był Adam Lew Sołtan z Waplewa, bratanek Marii Sierakowskiej.

2 maja 1865 między godz. 2 a 3 po południu przeprowadzona została kolejna rewizja, tym razem w Bukowie u Teodora Donimirskiego. Brał w niej udział urzędnik Braun z Kwidzyna w towarzystwie sekretarza powiatu sztumskiego i dwóch żandarmów ze Sztumu. Teodor Donimirski, znając prawo domagał się stosownego nakazu. Braun odpowiedział, że polecenia rewizji na piśmie nie posiada, ale ma takie prawo. Donimirski przyniósł mu książki prawnicze i prosił, aby mu wskazać stosowny paragraf, ale Braun nie mógł go znaleźć. Właściciel Bukowa nie zgodził się na przeszukanie i uznając je za bezprawne zamknął biurko na klucz i wyszedł do ogrodu. W domu przebywał chory na tyfus syn Antoni, student Uniwersytetu Wrocławskiego. Jego stan był ciężki, leżał w malignie, przyjechał do niego doktor Kunce z Malborka. Lekarz widząc, iż urzędnik szuka pałaszów i swoim zachowaniem może spowodować pogorszenie stanu chorego poprosił Teodora Donimirskiego, by ten przystał na rewizję. Braun przeszukał biurko, stoliki i nic nie znalazł. Informacje o tym podał „Nadwiślanin” z 12 maja 1865 roku.



Henryk Donimirski, powstaniec styczniowy

Powiat kwidzyński w XIX wieku obejmował swoim zasięgiem również lewy brzeg Wisły obejmujący dzisiejszą ziemię gniewską wchodzącą w skład regionu Kociewie. „Nadwiślanin” 18 marca podał następującą informację. *„15 marca w naszym małym miasteczku Gniew stał się wczoraj wieczorem ni stąd ni z owąd wielki hałas. Załoga wojskowa tutejsza otoczyła niespodziewanie oberżę obywatela Bartkowskiego [Marcelego, pradziadka autora tego tekstu – przyp. red.] i przetrząsnęła cały dom; nie wiem czego szukała, dosyć na tem, że 5 młodych ludzi rzemieślniczego stanu wzięli i uwięziono ich; za co nie wiadomo. Dotąd ich jeszcze nie uwolniono”.*

Kilka tygodni później gazeta informowała, że *„19 czerwca pomimo tego, iż się przekonano, że najściślejsze rewizje w tutejszej okolicy odbyte były daremnie i że te strachy w niektórych głowach się wylężyły, pomnożono załogę wojskową tutejszą o 30 żołnierzy i jednego oficera, którzy nocne patrole w tutejszej okolicy odbywali, tropiąc i śledząc za czemś, o czem tu spokojni ani myślą. Słysząc, że ci nas wkrótce opuszczą. Z owych pięciu młodych ludzi, którzy u kupca Bartkowskiego do więzienia tutejszego wzięto wypuszczono czterech po kilku dniach, piątego zaś czeladnika ciesielskiego Franciszka Suchewicza trzymano dotąd, a w przeszłym tygodniu osądzono go w Kwidzynie podobno za namawianie do powstańców na trzy miesiące więzienia. Rewizję przeprowadzono również u Juliana Kraziewiczza w Tymawie”.*

Śledztwo, jakie prowadziła policja kryminalna w Gniewie wobec Marcelego Bartkowskiego, dotyczyło podejrzeń o pomocnictwo w sprawie werbunku. Zastanawiano się czy nie należy Bartkowskiemu cofnąć czasowo czy definitywnie koncesji na wyszynk.

Niedaleko Gniewu leży wieś Tymawa. Tam w marcu 1864 roku agitowano młodych parobków do wstępowania do oddziałów powstańczych. W konspirację miało być wciągniętych kilku obywateli: gospodarz Hieronim Buczkowski, karczmarz Binerowski, gospodarz Staszkowski. Wśród miejscowych parobków agitację prowadził 22-letni Marcin Gołąbek (Gołąbiewski). Urodził się w Gniszewie koło Tczewa. Po wczesnej śmierci ojca jego matka wyszła ponownie za mąż za pasterza Borosławskiego w Tymawie. Do szkół w Walichnowach i Gorzędzieju chodził rzadko, dlatego nie nauczył się pisać i czytać. Mając słaby wzrok, nie odbył służby wojskowej. To on miał zwerbować Aleksandra Gużyńskiego, lat 21, który pracował u właściciela majątku w Tymawie, Jakuba Czajkę, lat 25, zatrudnionego u karczmarza Binerowskiego, Józefa Masellę, robotnika gospodarza Hieronima Buczkowskiego i Józefa Baranowskiego, zatrudnionego u gospodarza Malewskiego.

Początkowo Marcin Gołąbek (Gołąbiewski) oferował pracę w Polsce, za co mieli zwerbowani otrzymać 10 groszy wynagrodzenia dziennie. Trzech parobków z Tymawy – Gużyński, Czajka i Masella miało wyruszyć razem z zwerbowanymi ochotnikami z powiatu starogardzkiego na początku kwietnia 1864 roku. Po odmaszerowaniu z Tymawy 12 ludzi „z dwoma szlachcicami”, jak ich określali później w trakcie przesłuchań mieszkańcy Tymawy, udali się przez Włosiennicę, Komorsk, Nowe, Świecie, Chełmno do Wąbcza. Dwóch spóźnionych na zbiórkę Marcin Gołąbek (Gołąbiewski) i Józef Baranowski dotarło do grupy trochę później tego samego dnia w Rakowcu. Za Nowem dowiedzieli się, że zostali wybrani do walki z Rosjanami. Po tej informacji Aleksander Gużyński, Jakub Czajka, Józef Masella oddalili się potajemnie i wrócili w rodzinne strony. Czajka przez kilka dni przebywał u siostry w Leśnej Jani, by ostatecznie wrócić do Tymawy. Opiekunowie werbowników

w Wabczu rozlokowali czterech ochotników, następnie udali się do Pilewic, tu umieścili kolejnych, pozostałych rozlokowali po jeszcze innych majątkach. Marcin Gołąbek (Gołębiewski) w Wabczu postanowił opuścić grupę i wrócić w rodzinne strony. Został zatrzymany pod Wabczem za włóczęgostwo i skazany przez sąd w Chełmnie na 7 dni, karę odbył w więzieniu w Grudziądzu.

Do Tymawy przybyli kolejni ochotnicy, którzy zostali zwerbowani w powiecie starogardzkim. Z protokołów przesłuchań wynika, że zajmowało się tym „dwaj szlachcie”. Do Izydora Marksa mieszkającego we wsi Połom, sympatyzującego z powstańcami styczniowymi, przybyli przedstawiający się jako Franciszek Malikowski i August Rybiński pod pretekstem zakupu drewna opałowego. Porozumiewali się po polsku, niemiecku, mówili, że są spod Torunia. U właściciela Leona Prusaka z Zielonej Góry było dla nich za drogie, u Marksa niskiej jakości. Dwa dni przebywali w Połomie i jeszcze przez tydzień w powiecie starogardzkim, werbując 14 ochotników. Dwaj gospodarze Franciszek Domachowski i Szymon Ossowski ze wsi Wda przewieźli ich swoimi furmankami do Barłożna. Ulokowani zostali u karczmarza Ambrożego Kowalskiego. Za dowóz otrzymali od „panów szlachciców” z góry po 4 guldeny na osobę. Następnego dnia gospodarz Mikołaj Gończa od swojego zięcia karczmarza Kowalskiego otrzymał propozycję, by podwieźć furmanką kilku ludzi do Tymawy. W karczmie spotkał ochotników oraz Izydora Marksa, Józefa Jabłonkę z Barłożna i Staszковского z Tymawy. Marks powiedział: „Panowie z ochotnikami chcą dotrzeć do Tymawy”. Furmanką powoził służebny Gończy Piotr Karwat. Podczas przesłuchania twierdził, że część ochotników miała dotrzeć do Rakowca w pobliżu Kwidzyna, by pracować przy kopaniu torfu.

Izydor Marks odwiedził w marcu rodzinę mieszkającą po drugiej stronie Wisły. W Janowie mieszkała wdowa Majewska, która gospodarowała razem z synem Franciszkiem. Drugi syn Jan miał gospodarstwo w Pierzchowicach. W tej wsi mieszkał również kuzyn Izydora, Jan Lemkowski, a siostra Angelika wyszła za Antoniego Grochowskiego w Postolinie. W Pierzchowicach przebywał Izydor od 20 marca. Być może tematem rozmów w Pierzchowicach mogła być sprawa ulokowania ochotników, jacy dalej mieli udać w kierunku terenów objętych powstaniem. W te działania miało być zaangażowane małżeństwo Łyskowskich z Wilczewa. Ich majątek znajdował się tylko 2 kilometry od Pierzchowic. W drodze powrotnej Izydor Marks nocował 22 marca w Janowie u Majewskich. Następnego dnia ruszył dalej. Karmiąc z parobkiem Janem Broną konie przy Wiśle, spotkał się z owymi „dwoma szlachciami” poznanymi wcześniej. Małą łódką przepłynął się z nimi przez Wisłę i znaleźli się w Gniewie. Chcieli oni jeszcze raz odwiedzić Hieronima Buczkowskiego w Tymawie i po rozmówieniu się z nim udać do Gogolewa. Parobek Marksa Jan Brona miał z końmi przepłynąć się promem przez Wisłę i czekać na nich na drodze z Gniewu do Gogolewa.

24 marca Izydor Marks znalazł się w karczmie u Bartkowskiego w Gniewie. Następnie udał się ze swoim parobkiem do Gogolewa. We wsi Izydor wysiadł z wozu, rozkazał parobkowi jechać do gospodarza Hessego, wyprząc konie i je nakarmić. Znani Izydorowi Markowski panowie poszli z nim na pobliski folwark. Po godzinie zjawili się u Hessego. Następnego dnia Jan Brona i Izydor Marks pojechali do swojego miejsca zamieszkania w Połomie.



Kobiety zaczęły nosić czarne suknie, kołnierzyki z woalki z czarnej krepy oraz biżuterię: broszki z napisem Boże Zbaw Polskę, Polska w kajdanach, duży krzyż. Tę biżuterię nosiły moja praprababcia i jej córka Elżbieta i Leokadia Łyskowskie z Obozina.

Wiadomość o przeprowadzeniu rewizji u Łyskowskich w Wilczewie 30 marca zmusiła zwerbowanych ochotników do zmiany swojej marszruty. Ostrzeżeni zostali przez samych Łyskowskich, którzy przybyli do Binerowskiego w Tymawie. Zamiast przepłynięcia się na prawy brzeg Wisły, jak zeznawał później Jakub Czajka, udali się inną trasą na teren ziemi chełmińskiej. O tym w swoim zeznaniu po aresztowaniu w Piasecznie przez żandarmeria Goronzkę mówił również Marcin Gołąbek (Gołębiewski).

7 kwietnia wieczorem zostali pochyceni bez dokumentów Walenty Jędrzejewski i Józef Górski, Jan Supkowski w miejscowości Dąbrówka Malborska. Podczas przesłuchania podali, że zostali zwerbowani przez Marcina Gołąbka (Gołębiewskiego) z Tymawy na zlecenie właścicieli majątku Wilczewo. To spowodowało, że 8 kwietnia 1864 roku został aresztowany Teodor Łyskowski, który przebywał w sztumskim więzieniu do 8 maja. Śledztwo wobec Łyskowskich zostało umorzone.

Na wniosek prokuratora Ohlschlegera z Kwidzyna z 1 maja 1864 roku zatrzymany został w Piasecznie Marcin Gołąbek (Gołębiewski), a 14 maja aresztowany przez policję w Gniewie. Podczas przesłuchania prowadzonego przez urzędnika Urzędu ds. Rent Dominialnych Zimmermanna zeznał, że będąc w kościele w Gniewie w czasie pierwszego dnia Wielkiejnocy spotkał się z ludźmi z miasta i parobkami, którzy rozmawiali o powstaniu w Polsce i żądali by poszedł z nimi. Odrzucił propozycję, bo musiał zaopiekować się chorą matką. Mieli jemu oświadczyć, iż udadzą się do rolnika Fankidejskiego do Jaźwisk, gdzie dostaną pieniądze na podróż. Stamtąd po przepłynięciu łódką dotrą do Wilczewa, a tam pokierują ich dalej. Wśród ludzi spotkanych w Gniewie przed kościołem znaleźli się Walenty Jędrzejewski, Jan Supkowski, Józef Górski. Podczas przesłuchania zeznał, że nie zna osobiście Józefiny i Teodora Łyskowskich z Wilczewa.

Zdaniem śledczych, Marcin Gołąbek miał razem zwerbować 10 osób z Tymawy, Gniewu, Gogolewa, Walichnow. Został oskarżony z paragrafu 66 ustawy karnej o zdradę stanu za udział w działaniach werbujących. Z tego samego paragrafu miało być oskarżone małżeństwo Łyskowskich. Jak postanowił Królewski Trybunał Krajowy w Berlinie Sprawę

Teodora, przebywającego wówczas w areszcie, miał dalej prowadzić pomocniczy sędzia śledczy Hartwich z sądu w Sztumie.

1 czerwca 1864 roku został aresztowany Izydor Marks.

Jesienią 23 września 1864 roku nadprokurator Treplin z Berlina nie mając dostatecznych dowodów podjął decyzję o tymczasowym zwolnieniu z aresztu Marcina Gołąbka (Gołębiewskiego). Natomiast prokurator Adlung z Berlina 28 grudnia 1864 roku wystąpił z wnioskiem o umorzenie postępowania wobec Izydora Marksa z Połomu, Marcina Gołąbka (Gołębiewskiego) z Tymawy i Jakuba Tuchołki z Bobowa.

Werbowanie ochotników z terenu Kociewia to mało znane fakty dla badaczy Powstania Styczniowego. Jako pierwszy pisał o tym Andrzej Kosecki w książce pt. *Marksowie, niechaj Polska zna jakich synów ma*, wydanej w Pelplinie w 2018 r. na podstawie dokumentów znajdujących się w archiwum Berlin Dahlen.

WYKORZYSTANA LITERATURA

- Andrzej Bukowski, *Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*, Gdańsk 1964.
- Andrzej Lubiński, *W ich snach powracała Polska*, rozdział *Między romantycznym porywem a pracą*, Pelplin 2017.
- Stefan Kieniewicz, *Powstanie Styczniowe*, Warszawa 1983.
- Andrzej Kosecki, *Marksowie, niechaj Polska zna jakich synów ma*, Pelplin 2018.
- „Nadwiślanin” z lat 1861-1865.
- Protokoły przesłuchań: Marcina Gołąbka (Gołębiewskiego), Aleksandra Gużyńskiego, Jakuba Czajki, Józefa Maselli, Szymona Ponczka, Franciszka i Jana Domachowskiego, Szymona Ossowskiego, Mikołaja Gancza, Józefa Jabłonki, Bernarda Jabłońskiego, Jana Brona, Izydora Marksa, Walentego Jędrzejewskiego, Józefa Górskiego, Jana Supkowskiego, znajdujące się w archiwum Berlin Dahlen.

Za udostępnienie skanów dziękuję serdecznie Andrzejowi Koseckiemu z Gdańska.

Piotr Podlewski



KOGO POCHOWANO W KATEDRZE W KWIDZYNIE? CZĘŚĆ 1

Do zabytków o najstarszej metryce na obszarze dzisiejszego Powiśla należą płyty nagrobne przykrywające groby osób duchownych. Znajdują się one w katedrze kwidzyńskiej, wmurowane w południową ścianę wysokiego chóru, zwanego kanonicznym oraz na ścianie północnej i południowej katedry. Pierwotnie znajdowały się w posadzce katedry, skąd zostały przeniesione w wieku XIX. Pod najstarszymi, zachowanymi średniowiecznymi płytami spoczywali głównie biskupi pomezkańscy. Aby lepiej zrozumieć życiorysy poszczególnych biskupów przyjrzyjmy się w skrócie genezie diecezji pomezkańskiej.

Pierwszym biskupem pruskim był mnich cysterski Chrystian, którego siedzibą był Zan-tyr. Obszar utworzonej w następnych latach diecezji pomezkańskiej leżał na jego obszarze misyjnym. Do powstania diecezji pomezkańskiej przyczynił się w dużej mierze konflikt o dominację na terytorium pruskim między Chrystianem a Zakonem Najświętszej Maryi Panny. Uwięzienie Chrystiana przez Sambów w 1231 r. dało Krzyżakom wolną rękę do prowadzenia własnej polityki, której głównym motorem był plan tworzenia własnego państwa zakonnego. Sukcesy przysły dość szybko, bo już w roku 1234, a dokładnie dnia 3 sierpnia. Tego dnia papież Grzegorz IX nadał Zakonowi Prusy, ale pod warunkiem właściwego uposażenia biskupstw. Poleciał również przybyłemu do Prus legatowi Wilhelmowi z Modeny utworzenie trzech diecezji i obsadzenie ich dominikanami. Sprawę skomplikował powrót Chrystiana z niewoli w 1238 roku, który oskarżył Krzyżaków przed papieżem o bezprawne przejęcie jego terytorium i zmianę kierunku misji chrystianizacyjnej w Prusach, która zaburzyła założenia i plany Chrystiana. Dodatkowo cysters upomniał się o zwrot swoich posiadłości, w których zdążyli już urządzić się Krzyżacy. Zakonnicy jednak bezkompromisowo popierali podział Prus na trzy diecezje, widząc w tym szansę dla swoich planów i marginalizację roszczeń Chrystiana. Mieli też poparcie Wilhelma z Modeny. Osamotniony Chrystian stanął po stronie Prusów i księcia gdańskiego Świętopełka, przeciwnika Zakonu.

Podział Prus na diecezje, wraz z określeniem ich granic, dokonał dekretem *Noverit Universitas vestra*, 29 lipca 1243 roku, mający upoważnienie papieskie legat Wilhelm z Modeny. Papież Innocenty IV bullą *Hinc, quae per dilectos* podział ten zatwierdził. Po założeniu diecezji pomezkańskiej głównym jej miastem stał się Kwidzyn. Pierwszy biskup wywodzący się z zakonu dominikanów Ernest z Torgau otrzymał w 1250 roku południowo-zachodnią część biskupstwa, jako jego własne i niezależne od Krzyżaków terytorium. Jego następca, którym został kapłan zakonny franciszkanin Albert, założył w 1285 roku kapitułę pomezkańską i nadał jej tereny wokół miasta Susza.

Wejdźmy teraz do katedry w Kwidzynie i przyjrzymy się historii Pomezanii patrząc przez pryzmat zabytków sztuki sepulkralnej jakimi są średniowieczne, wapienne płyty nagrobne.

Najstarsza zachowana płyta nagrobna znajdująca się w katedrze kwidzyńskiej przykrywała grób dziewiątego z kolei biskupa pomezańskiego Mikołaja I, który przed sakrą biskupią piastował urząd scholastyka kapituły katedralnej. Na biskupa Pomezanii został wybrany przez kapitułę, której wybór zatwierdził papież Innocenty IV dnia 20 kwietnia 1360 r.

Biskup Mikołaj I zapisał się w historii między innymi dzięki darowiźnie w postaci ksiąg dotyczących prawodawstwa świeckiego i kościelnego. Dar ofiarował kapitule i kościołowi pomezańskiemu zastrzegając jednocześnie, że ktokolwiek ośmieli się pozbawić owej darowizny kościoła, zostanie wyłączony ze wspólnoty wiernych. Sprawował swój urząd aż do śmierci, która przyszła w listopadzie 1376 roku. Jego płyta nagrobna zachowała się niekompletna. Przetrwiała jedynie jej połowa, wmurowana w południową ścianę chóru katedralnego. W XIX wieku istniała jeszcze jej druga część, która niestety nie zachowała się.

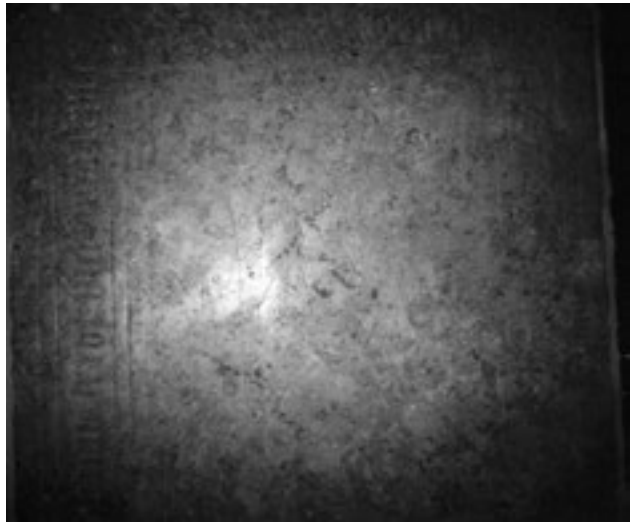
Wokół płyty biegła bordiura z majuskułową inskrypcją, której część widać do tej pory. Brzmiała ona następująco:

*ANNO DOMINI MILLESIMO TRECENTESIMO LXXVI VICESIMA SEPTIMA
DIE MENSIS NOVEMBRIS OBIIT DOMINUS NICOLAUS POMEZANIENSIS EPI-
SCOPUS NONUS, CUIUS ANIMA REQUIESCAT PACE.*

W centralnej części płyty, jak na pozostałych płytach nagrobnych, musiał widnieć symboliczny ryt postaci biskupa. Wizerunek nie zachował się. W epoce średniowiecza wizerunki i symbole na płytach nagrobnych w Prusach były płytko ryte. Zabytki setki lat narażane były na ścieranie je przez przechodzących po nich wiernych. Płyta biskupa Mikołaja I musiała więc leżeć w miejscu często uczęszczanym przez modlących się w katedrze.

Biskup Gerhard Stolpman był dwunastym z kolei biskupem pomezańskim. Jego płyta nagrobna zachowała się także niekompletna, jednak w przeciwieństwie do płyty Mikołaja I daje nam większe wyobrażenie co do wyglądu i przesłania średniowiecznych płyt nagrobnych osób duchownych.

Gerhard Stolpman pochodził z Elbląga. Wiadomo, że w 1400 r. przeprowadził wizytację części diecezji z polecenia biskupa Jana I. W roku 1406 był kapelanem wielkiego mistrza



Zachowany fragment płyty nagrobnej biskupa. Mikołaja I.



Zachowana część płyty nagrobnej przykrywającej grób biskupa Gerharda Stolpmana.

Konrada von Jungingena. Rozpoczął urząd biskupa dnia 6 września 1417 roku. Został wybrany jednogłośnie przez kapitułę katedralną, dzień po śmierci poprzedniego biskupa Jana I Rymana. Wcześniej był kanonikiem. W dniu wyboru biskup elekt wraz z kapitułą skierowali prośbę do biskupa warmińskiego i prokuratora Zakonu Krzyżackiego Piotra z Ornety, którzy brali udział w soborze w Konstancji, aby poprosili o konfirmację nowego biskupa na stolicę pomezzańską. Pisma w tej sprawie

wysłał także wielki mistrz Michał Kuchmeister do arcybiskupa ryskiego i kanonika pomezzańskiego Jana z Gniewu. Ponad miesiąc później, tj. 13 października biskup chełmiński Jan III Marienau na polecenie metropolity ryskiego zatwierdził wybór kwidzyńskiej kapituły katedralnej. Dnia 30 stycznia 1418 r. Jan III Marienau dokonał konsekracji Gerharda Stolpmana. Nowow wybranego biskupa zatwierdził również 9 maja 1418 r. papież Marcin V.

Biskup Gerhard nie stronił od polityki. Dwukrotnie brał udział w rokowaniach pokojowych, w 1419 r. w Toruniu i 27 września 1422 r. nad jeziorem Mėlno, gdzie podpisano traktat pokojowy Polski i Litwy z Krzyżakami kończący zmagania wojenne. Następnie zajął się naprawianiem spowodowanych wojną zniszczeń w diecezji. Uczestniczył w grze politycznej między metropolitą ryskim arcybiskupem Hennigiem Scharfenberg i wielkim mistrzem Pawłem von Russdorf. Metropolita dążył do uwolnienia biskupów pruskich i litewskich od zależności od Zakonu. W roku 1426 zwołał wszystkich biskupów na synod prowincji do Rygi, grożąc sankcjami karnymi wobec tych którzy się nie stawiają. Wielki mistrz przeczuwając plany metropolity ryskiego zwrócił się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o bullę zwalniającą biskupów z uczestniczenia w synodzie. Rzym czekał z odpowiedzią. Hennig Scharfenberg uzyskał w końcu bullę zwalniającą Kościół ryski z reguły Zakonu, ale biskupi nadal pozostawali jego członkami.

W tym samym roku w porze letniej panowała susza, podczas której, prawdopodobnie na skutek zarazy, zmarł 22 lipca biskup Gerhard Stolpman. Pochowany został w katedrze kwidzyńskiej, w kaplicy błogosławionej Doroty z Mątowów Wielkich. Płyta nagrobna przykrywająca jego grób posiadała inskrypcję (majuskuła gotycka) otaczającą kamień nagrobny. Znany jest jedynie fragment napisu, obecnie także czytelny.

Brzmi on następująco:

ANNO DOMINI Mo . CCCCo . XXVII

Rok 1427 jest rokiem śmierci Gerharda Stolpmana. Dzięki temu zachowanemu fragmentowi możliwa jest identyfikacja zmarłego spoczywającego niegdyś pod częściowo zachowaną płytą.

W prawym górnym rogu płyty znajduje się medalion, miejsce po zatartym symbolu św. Mateusza Ewangelisty. Centralną część płyty zajmowała ryta postać biskupa Gerharda. Na zachowanym fragmencie widoczna jest jedynie głowa biskupa w mitrze, pod baldachimem.

Kolejna płyta nagrobna pozwoli nam w pełni dokonać charakterystyki średniowiecznych płyt nagrobnych przykrywających groby duchownych pomezkańskich. Spoczywał pod nią biskup Kaspar Linke. Obecnie jest ona umieszczona w północnej ścianie katedry, tuż obok wejścia do kaplicy grobowej rodziny von Groeben.

Średniowieczne płyty nagrobne duchownych z terenu Pomezanii charakteryzują się jasnym, z góry określonym schematem. Cechą od razu rzucającą się w oczy jest ich duży rozmiar, (nierazko ponad 2 m wysokości). Wokół płyty biegnie skromna inskrypcja majuskułowa, informująca kto spoczywa pod płytą, tytuł, datę śmierci i zwrot o spoczynku duszy w pokoju w Chrystusie. Centralną część płyty wypełnia ryta podobna zmarłego, ubrana w strój duchowny. Atrybutami posiadającymi swoje symboliczne znaczenie są w przypadku biskupa pastorał i mitra, w przypadku księdza kielich. Duchowni przedstawiani są także pod baldachimem, który pełni zarazem funkcję ozdobną.

Płyta nagrobna biskupa Kaspara Linke zachowała się w dobrym stanie co pozwala na dokonanie dokładnego opisu zabytku. Ryty wizerunek biskupa otacza majuskułowa inskrypcja:

*ANNO MILLESIMO QUADRIGENTESIMO LX TERCIO XXVIII DIE MENSIS
OCTOBRIS OBIIT REVERENDUS IN XPC. PATER ET DOMINUS DUS. CASPAR
LINKE DE CRISTBURG, CUIUS ANIMA REQUIESCAT IN PACE.*

Elementem odróżniającym płytę Kaspara Linke od pozostałych płyt średniowiecznych katedry kwidzyńskiej jest maswerkowy ornament w bordiurze ryty wokół inskrypcji.

Postać biskupa ubrana w ornat i mitrę trzyma prawą rękę w geście błogosławieństwa. Lewa ręka podtrzymuje pastorał. Podobnie jak, m.in. biskup Gerhard Stolpman oraz Jan z Essen, Kaspar Linke został przedstawiony pod baldachimem.

Baldachim symbolizuje sklepienie niebieskie. Pełni on także funkcję osłony nad głowami dostojników. Nazwa



Płyta nagrobna biskupa Kaspara Linke.

jego pochodzi od złoto-jedwabnej tkaniny zwanej *baldach* wyrabianej dawniej w Bagdadzie, a służącej do zasłaniania lektyk. Noszony nad biskupem jego kolor zależał od święta przypadającego na dany dzień. Podkreślał zarazem dostojność i cześć biskupa. Wznosił się również nad tronami i zawsze biały nad ołtarzem. Na zewnętrznej stronie dłoni postaci widać czteroramienny krzyż wpisany w koło. Według symboliki chrześcijańskiej krzyż wpisany w koło symbolizuje Chrystusa jako światłość i Odkupiciela oraz jednowładztwo Boga w świecie. Tym krzyżem oznaczano również osoby zakonne, a faktem jest, że każdy biskup pomezanski był jednocześnie członkiem Zakonu Krzyżackiego, wchodził w skład rady wielkiego mistrza i podlegał mu w sprawach państwowych.

Kaspar Linke pochodził z Dzierzgonia. Wiadomo o nim, że zanim zajął tron biskupi w Kwidzynie był kapelanem i syndykiem wielkiego mistrza. Prawdopodobnie został wybrany na biskupa przez kapitułę zaraz po śmierci poprzedniego, trzynastego biskupa pomezanskiego Jana III. Według profesora Jana Wiśniewskiego został on zatwierdzony przed 22 września 1440 r., gdyż w tym czasie odbył się w Kwidzynie synod diecezjalny, który mógł zwoływać tylko biskup diecezjalny, na którym to Kaspar Linke zatwierdził statuty synodalne swoich poprzedników.

Początek rządów czternastego biskupa pomezanskiego łączy się z powstaniem Związku Pruskiego (14 maj 1440 r.) do którego przystąpiły miasta pomezanskie: Kwidzyn i Prabuty, a także sędzia ziemski rejonu prabuckiego Ramsz z Krzykos oraz Ścibór Bażyński.

Kaspar Linke wierny sługa Zakonu oraz wielki komtur mieli za zadanie nie dopuścić do utworzenia związku. Nie osiągnęli jednak swojego celu. W latach kolejnych biskup doskonale orientował się w poczynaniach Związku Pruskiego, ponieważ zebrania związkowców odbywały się w Kwidzynie.

Dnia 4 lutego 1454 r. rycerstwo pomezanskie zawarło z biskupem ugodę. Biskup obiecał nie zwalczać Związku na terenie Pomezanii biskupiej, w zamian rycerstwo obiecało dochowania biskupowi wierności. W maju 1454 r. wojska polskie wkroczyły do Prus. Okolice Kwidzyna zostały zniszczone przez zapobiegawcze wypadki wojsk krzyżackich z zamku sztumskiego. Nie spowodowało to większych utrudnień dla marszu wojsk polskich. Dnia 10 czerwca 1454 r. Kazimierz Jagiellończyk przyjął w Elblągu hołd biskupów pruskich i ich kapituły.

Przywiązanie Kaspara Linke do Zakonu okazało się silniejsze. Gubernator Prus Jan Bażyński zażądał od biskupa wyjaśnień dokonanej zdrady. Nie otrzymawszy odpowiedzi wysłał do Kwidzyna 88 drabantów, którzy obrabowali folwark Nowy Dwór i okolicznych chłopów. Starosta grudziądzki Jan ze Szczekocin zabronił sołtysom i ławnikom południowej Pomezanii jakichkolwiek świadczeń na rzecz biskupa, a pobliską Gardeję obsadzono zaciężnymi czeskimi i polskimi. Biskup Kaspar Linke prosząc wielkiego mistrza o pomoc zaproponował przekazanie sreber kościoła pomezanskiego na spłacenie wojsk zaciężnych, które nie otrzymawszy żołdu grabiły teren jego diecezji. Kapituła nie mogła ich jednak wydać, gdyż drugi klucz do skarbcza mieli zaciężni. Nieopłacone wojska nadal płądowały okolicę, pałac w styczniu 1455 roku majątek w Rodowie. Biskup skapitulował i złożył ponownie hołd królowi polskiemu.

Po obłożeniu klątwą przez papieża Kaliksta III Związku Pruskiego rozpoczęły się grabieże dokonywane przez wojska najemne majątków osób ekskomunikowanych. Przyczynił

się do tego znacznie Kaspar Linke rozsyłając po miastach kopie wrześniowej bulli papieża Kaliksta III.

W październiku biskup został oskarżony na dworze papieskim o zdradę Zakonu z powodu rzekomego odprawiania Mszy św. dla związkowców. Kaspar Linke opuszczony przez nieopłaconą służbę i najbliższych popadł w nędzę. Pomocy nie udzielił mu także wielki mistrz, któremu do tej pory służył. Jedynie biskup sambijski zebrał wśród księży swojej diecezji 30 guldenów reńskich, które przesłał biskupowi pomezzańskiemu na utrzymanie.

Kaspar Linke zmarł 28 października 1463 r. Został pochowany w krypcie grobowej biskupów pomezzańskich. Mimo, że umarł w nędzy, doczekał się imponującej wapiennej płyty nagrobnej, zdobiącej dziś północną ścianę katedry kwidzyńskiej.



Można zamawiać na provincja@onet.pl

Alicja Łukawska



ŻUŁAWSKIE OPOWIEŚCI. POWROŹNIK Z KOŃCZEWIC

Emerytowany strażak oraz powroźnik Józef Madej jest jednym z największych znawców dawnych, przedwojennych Żuław, jakich udało mi się do tej pory poznać. Ma on bowiem wiadomości o tej okolicy jeszcze sprzed Potopu, jaki zdarzył się na tej ziemi zimą 1945 roku, czyli sprzed wymiany ludności, jaka tu nastąpiła po II wojnie światowej.

– Nas teraz tylko trzech takich zostało, co wiedzą coś o tym, co tu było przed 1945 rokiem. To jestem ja i Grabowski z Miłoradza oraz Józek Madej z Kończewic. On ma też polsko-niemieckie pochodzenie tak samo jak ja, tylko, że odwrotnie niż u mnie. U mnie ojciec był Niemcem, a matka była góralką. Z kolei u niego matka była autochtonką z Żuław, a ojciec pochodził z gór, z sąsiedniej wioski, co moja mama. Józek w domu mówił po niemiecku, a polskiego nauczył się dopiero jak poszedł do szkoły – tak Janek Burchardt, właściciel Dawnej Wozowni z Miłoradza, przedstawił mi swojego przyjaciela, z którym razem działają w lokalnym stowarzyszeniu.

Spotykam się z Madejem w upalny czerwcowy dzień 2021 roku w Muzeum Miasta Malborka, gdzie akurat trwa festyn artystycznego rękodzieła. Rozglądam się za straganem

powroźnika, bo wiem, że mój kolejny bohater trudni się zawodowo tym rzemiosłem i wystawia swoje artystyczne prace ze sznurka na różnych targach na Pomorzu. Jednak okazuje się, że przyjechał do miasta tylko po to, by porozmawiać ze mną. Dlatego tym razem jest bez straganu. Za to ma ze sobą grubą teczkę pełną różnych materiałów związanych z historią jego wsi i rodziny.

– Rozumiem, że pana przodkowie ze strony matki byli Niemcami z Żuław? – zagajam.

– Nie, oni nie byli Niemcami – słyszę.

– Hmm – kiwam posłusznie głową, ale nie rozumiem. Myślę sobie, a co to znaczy, że nie byli Niemcami? Jak to, przecież używali na co dzień języka niemieckiego. W domu mówili tylko po niemiecku! Kim więc byli?

– Ale ja słyszałam, że język niemiecki to pana „muttersprache”? Tak się u was mówiło w domu? – dopytuję.



Regina Zgliczyńska z córkami Janiną i Bożeną za budynkiem szkoły w Miłoradzu (ze zbiorów B. Sedlaczek).

– Tak. Bo ja dopiero w podstawówce nauczyłem się dobrze polskiego. Miałem wtedy siedem lat. To znaczy wcześniej trochę znałem polski, ale nie tak dobrze jak niemiecki. W domu babcia i mama rozmawiały ze mną po niemiecku. Moja babcia w ogóle nigdy nie nauczyła się mówić po polsku. Rozumiała wszystko, ale nie mówiła. Za to moja mama po wojnie nauczyła się mówić i pisać po polsku. A ten niemiecki, jakiego ja nauczyłem się u nas w domu, to był zupełnie inny niż ten, którego potem uczyłem się w szkole średniej w Malborku. Trochę inne było słownictwo... To był taki język, że potem rodowici Niemcy nie potrafili odgadnąć, z jakiego regionu Niemiec ja pochodzę. Dziwili się, jak mówiłem, że urodziłem się niedaleko Gdańska.

– Ale ojciec był przecież Polak? Jak on sobie radził z tym niemieckim?

– A ojca to właściwie nigdy nie było w domu. On stałe gdzieś pracował, różne rzeczy robił. Był kołodziejem, stolarzem, miał też prywatną firmę omlotową. Ojciec był niezwykle uzdolniony manualnie, nie bał się żadnej roboty, potrafił wszystko zrobić i naprawić. Mówiono o nim, że miał złote ręce! Jak był w spółdzielni produkcyjnej, to w stolarni robił nawet trumny. Pewnego razu trzeba było bardzo szybko zrobić dla kogoś trumnę, bo następnego dnia miał być pogrzeb. Robota przedłużała się długo w noc. Jak już trumna była gotowa, ojciec wrzucił do środka trochę wiórów i położył się spać, bo nie chciało mu się wracać do domu, a był strasznie zmęczony. Rano do warsztatu wchodzi kowale, patrzą, a tu Włodek Madej śpi w trumnie. Chcieli zrobić mu kawał, więc wzięli wieko, położyli na wierzch i lekko związali jakimś sznurem. A potem zaczęli walić w to wieko. Ojciec się obudził. Rozgląda się, widzi, że jest ciemno. – Oj, chyba mnie już chowają do dołu. Słychać jak ziemia spada na trumnę – myśli sobie. I wtedy zaczął się ruszać i szarpać z wiekiem. W końcu ta trumna razem z nim spadła z koziołków na podłogę i całkiem się rozsypała. Musiał zrobić ją na nowo jeszcze raz. Ludzie wtedy mieli takie poczucie humoru. On też nieraz robił ludziom kawały. Kiedyś na przykład podpuścił pewnego znajomego ze Starej Wisły, że chce od nich wynająć dom, bo ma przyjechać rodzina żony z Niemiec. Mówił, że ci Niemcy nie chcą nocować u nas w domu, tylko koniecznie w Starej Wiśle, bo kiedyś właśnie w tym budynku mieszkali. A jak stąd uciekali, to coś tam замуrowali w ścianach. Chyba chodzi o jakieś skarby... A teraz pewnie chcą ich poszukać i zabrać z powrotem. Ten znajomy ze Starej Wisły dał się nabrać. Wrócił do domu i zaczął kuć w ścianach szukając poniemieckich skarbów. Tylko dziur wszędzie narobił, ale niczego nie znalazł.

Po paru dniach jedziemy z panem Józefem samochodem z Malborka do jego rodzinnej wsi. Najpierw pędzimy na zachód starą „berlinką”, potem skręcamy w boczną drogę i już jest tablica z napisem „Kończewice”. Tuż za nią widać duży ceglany dom, w którym przed wojną mieszkał właściciel miejscowej cegielni. Kawalek dalej, po drugiej stronie drogi, stoi teraz nowy dom. W tym miejscu była wcześniej mleczarnia. Jej właścicielem był przystojny Szwajcar Hermann Herren, który produkował na Żuławach szwajcarskie sery, masło i twarogi. A poza tym uwiódł młodą i ładną dziewczynę z tej wsi, która u niego pracowała w mleczarni. Efektem tego romansu było dziecko. Nieślubny synek Herrena urodził się tuż przed wielką ucieczką Niemców w styczniu 1945 roku. Szwajcar miał też oficjalną żonę i dwoje dzieci, z którymi mieszkał w swoim domu w Kałdowie. Był babiarzem, zdradzał żonę, ale w momencie ewakuacji okazał się porządnym człowiekiem, bo na jeden wóz konny wsadził obie swoje kobiety oraz trójkę ich wspólnych dzieci, chcąc ich wszystkich

wywieźć na zachód i uratować przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Taką historyjkę obyczajową o dawnym Kuntzendorf znalazłam niedawno w książce pt. „Rajski ogród” Barbary Szczepuły, więc opowiadam ją panu Józefowi po drodze.

A później chodzimy razem po cmentarzu przy niewielkim, ale pięknym gotyckim kościele pw. Wniebowzięcia Matki Bożej w Kończewicach, gdzie spoczywa cała historia tej wsi od 1945 roku, a nawet jeszcze dawniejsza. Sytuacja jest taka, że ci, którzy przybyli tu po II wojnie światowej, zostali pochowani na wierzchu, pod nimi spoczywają wcześniejsi mieszkańcy. Niemieckie groby nigdy nie były ekshumowane. Natomiast wieś ma kilkaset lat, istnieje od średniowiecza. Ciekawe, ile jest tu warstw tych kości? Strach pomyśleć! Podobno stare poniemieckie kamienne, porządne nagrobki wywieźli stąd po wojnie kamieniarze z centralnej Polski, którzy przyjeżdżali tu na szaber jeszcze w latach 70. Większość nagrobków jest tu nowych.

– To są groby rodziny Wilczewskich. Spoczywają tutaj Regina (1950-2017), Henryk (1950 – 2016) i Beata (1977 – 1986). To moja starsza siostra, szwagier i mała siostrzenica. A to jest grób Magdaleny Badowskiej (1886-1965). Na tej tablicy jest napisane „matka kapłana”. To mogiła matki naszego proboszcza Zygmunta Badowskiego, który pracował tu w latach 60. ubiegłego wieku. Wiadomo o nim, że walczył w kampanii wrześniowej, był wtedy żołnierzem 163. pułku piechoty. Po wojnie przez pewien czas był dziekanem dekanatu Nowy Staw. Zmarł w 1969 roku. Drugim synem Magdaleny był znany dziennikarz Ryszard Badowski, który prowadził w telewizji najlepszy program podróżniczy w czasach PRL-u pod nazwą „Klub sześciu kontynentów”. Był też polskim współpracownikiem słynnego pisma geograficznego „National Geographic” – mówi mój przewodnik.

– A są tu jakieś groby autochtonów? Może pan mi je pokazać?

– Za dużo to ich tu nie ma. Ale proszę! Tu spoczywa „oryginalny Berlińczyk”, czyli Jan Joppek (1915-2001), który urodził się w Berlinie. W okresie międzywojennym mieszkał w Kończewicach i wrócił tutaj po wojnie. To była ciekawa, bardzo charakterystyczna postać w naszej wsi. Moja mama, jak zaraz po wojnie wróciła z obozu dla uchodźców niemieckich w Danii, to z początku w ogóle nie знаła polskiego i trochę bała się gdzieś wychodzić między ludzi. A Joppek prowadził po wojnie tutejszy sklep spożywczy. Więc jak mama szła do sklepu, to lepiej się czuła wiedząc, że Joppek tam pracuje, bo wiedziała, że dogadają się po niemiecku. No i proszę sobie wyobrazić, że córka Joppka, która teraz mieszka tu niedaleko, w Starej Wiśle, w ogóle nie wiedziała o tym, że jej ojciec znał język niemiecki... A tutaj leży Gertruda Grabowska, szkolna koleżanka mojej mamy. To jest mogiła Moniki Friese, zmarłej w 1998 roku. Tu spoczywa Paweł Neumann (1887-1959). To był ostatni niemiecki nauczyciel w Kończewicach, ale Polak. Jeszcze przed 1939 rokiem wybudował córce Marii dom w Tczewie, po polskiej stronie granicy. Krótko przed końcem wojny powołano go służby wojskowej w Wehrmachcie, ale był taki słaby i chudy, że nie nadawał się nawet do kopania okopów, więc go zwolniono do domu. Na jego grobie jest wyryty cytat z pisma księdza Stanisława Staszica „Będziesz się Bogu rachował z każdego dnia, któryś stracił, nie uczyniwszy nic dobrego”. Tu leży jego córka Maria Berniak (1915 – 1998), a tutaj jego brat Maksymilian Neumann (1889-1973), zasłużony lekarz z Nowego nad Wisłą.



Przodkowie Józefa Madeja przed swym domem w Kuntzendorf (Kończewicach), rok 1930. Małe dziecko trzymane na ręku, to jego matka Elżbieta Czaplewska.



Niemieccy uchodźcy na statku wiozącym ich z Helu do Danii. Elżbieta Czaplewska (matka Józefa Madeja) pierwsza z lewej



Powojenne autochtonki z Kończewic. Od lewej: Elżbieta Madej, Edyta Jutrzenka, Krystyna Szynkowska. Irma Krause



Plan dyżurów Ochotniczej Straży Pożarnej w Kończewicach



Elżbieta i Władysław Madejowie

– A to są moje groby rodzinne – Józef Madej zatrzymuje się nad rzędem podobnie wyglądających mogił.

Pod eleganckimi nagrobkami z kamienia spoczywają tutaj: prababcia pana Józefa, Augustyna Czaplewska (1876-1956), babcia Rozalia Modrzejewska (1901-1992), mama Elżbieta Madej (1928-2009), ojciec Władysław Madej (1924-2012), pradziadek Franciszek Czaplewski (1873-1943), zmarła niedawno ciotka Teresa Modrzejewska (1931-2021) oraz wujek Franz Dissarz (1894-1944). Nazwisko „Dissarz” wymawia się z niemiecka „Dissarc”, a nie z polska „Dysarz”. Rodziny Czaplewskich, Modrzejewskich i Dissarżów mieszkały wcześniej w sąsiedniej wiosce Stara Wisła, która wtedy nazywała się „Alt Weichsel”. Dopiero babcia Rozalia z mężem i dziećmi przeprowadziła się w okresie międzywojennym do Kończewic. A my teraz stoimy nad ich grobami i prowadzimy dyskusję o tożsamości narodowej dawnych mieszkańców Żuław.

– Pan nie chciał mi mówić na pana przodków, że to byli Niemcy. Sądząc po nazwiskach to mieli chyba pochodzenie polskie, no, za wyjątkiem tego wujka Dissarza. Ale kim oni byli? Kim się czuli w sensie narodowym? Powiada pan, że Niemcami nie byli. To kim byli? Polakami? Ale skoro w domu mówili po niemiecku, to o czym świadczy? – dociskam mego rozmówcę do muru, bo nie bardzo chwytam te wszystkie niuanse związane z tutejszą tożsamością. A próbuję dojść do prawdy.

– Wie pani, bo niemiecki to był na tych terenach taki język... No, wszyscy go znali, wszyscy nim mówili...

– No to inaczej. Jak oni siebie określali? Może „tutejsi”, jak mówili o sobie mieszkańcy dawnych kresów Rzeczypospolitej, na przykład chłopci białoruscy z nieokreśloną tożsamością narodowościową, którzy mieszkali gdzieś w lasach na Polesiu?

– O, tak, „tutejsi” to jest dobre słowo. Oni byli właśnie tutejsi. Tu mieszkało trochę Polaków, którzy tutaj zostali jeszcze z czasów Rzeczypospolitej, sprzed I zaboru. Potem doszli Polacy, którzy przyjeżdżali tu za chlebem z tamtej strony Wisły, z Kaszub i z Kociewia. No i zakładali tu rodziny, na świat przychodziły dzieci. Do pracy przyjeżdżali tu najczęściej mężczyźni i oni żenili się z tutejszymi dziewczętami, stąd także są te polskie nazwiska, które pojawiły się w mojej rodzinie. Na przykład moja babcia Rozalia wyszła za Modrzejewskiego, który tu przyjechał z okolic Starogardu Gdańskiego. Moja mama Elżbieta też wyszła za mężczyznę, który tu przybył z daleka, z południa Polski.

– Jak się poznali pańscy rodzice?

– Poznali się na zabawie we wsi. Ślub kościelny mieli w święto Trzech Króli, tutaj właśnie, w tym kościele. To było w styczniu, a cywilny mieli wcześniej w grudniu w urzędzie gminy w Miłoradzu. Błoto było wtedy straszne i do ślubu cywilnego mama wiozła ojca na rowerze na ramie. Ona jego wiozła, a nie odwrotnie, bo ojciec był niskiego wzrostu, a mama była większa i tak było im wygodniej.

– A osadnicy, którzy tu przybyli po 1945 roku? Są gdzieś tutaj?

– No, oczywiście. Proszę bardzo, oto grób Stefana Więckowskiego (1923 – 1998) i jego żony Janiny (1923-2017). To był nasz wieloletni sołtys i wszyscy go znali. Na tym grobie pod nazwiskiem powinno być napisane „Wuja”, bo tak wszyscy we wsi na niego mówili. To

przewzisko wzięło się stąd, że był wujem jednego z osadników. Tu jest grób rodziny Staliców. Julian Stalica (1904-1988) był jednym z pierwszych osadników w naszej wsi

Tu leży Kazimierz Zmarzłak (1922-2009), przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej w Kończewicach. Tu spoczywa Jan Job (1918-1996), kolega mojego ojca z tej samej wsi Sędziszowa w powiecie tarnowskim. To właśnie u niego mój ojciec się zatrzymał na samym początku jak przybył na Żuławy. Tu leży Jakub Topór (1928-1967), też ważna persona. W powojennej historii Kończewic jego pogrzeb był największy. Jeszcze taka ciekawostka... O, ta pani tutaj, Danuta Bąk (1949-1996), to była z domu Branicka (1949-1996), z „tych” arystokratów Branickich z Białegostoku. Po wojnie dwie siostry Branickie przyjeżdżały tutaj na wakacje do swojej ciotki, tu znalazły sobie narzeczonych, powychodziły za mąż i tu pozostały. Danuta Branicka bardzo kochała konie. Wyszła za Adama Bąka (1946-2020).

– Czyli tutaj spotkali się ludzie z różnych terenów Polski, a nawet z Kresów? Jak oni żyli razem? Czy jakoś poznawali swoje wspólne zwyczaje, tradycje, obrzędy? Jak wyglądało to docieranie się?

– Nigdy nie zapomnę, jak pewnego razu w Wigilię przysła do nas sąsiadka z Wileńszczyzny, pani Pelagia Popowicz, która tu właśnie spoczywa. Chciała złożyć nam życzenia świąteczne i podzielić się z nami kutią, którą zrobiła na Wigilię. To była ich tradycyjna potrawa świąteczna, ale my jej nie znaleźliśmy. Byłem wtedy dzieckiem i nie wiedziałem, że można ugotować pszenicę z dodatkami i że z tego wyjdzie takie smaczne danie. Innym takim niezapomnianym przeżyciem było to, jak w latach 60. przyjechał na wizytację do naszej parafii biskup, a ludzie z Kończewic witali go na koniach ubrani w stroje krakowskie. Biskup bardzo się zdziwił, w co się ubrała ta cała banderia konna. A ci ludzie założyli wtedy na siebie to, co mieli najlepszego. Z kufereków, które tu przywieźli z domów rodzinnych, wyciągnęli te swoje świąteczne sukmany, by odpowiednio przyjąć honorowego gościa – wspomina pan Józef.

Z cmentarza katolickiego jedziemy na dawny cmentarz ewangelicki. Na oko – rozpacz! Wszystko strasznie zaniedbane. Przez płot widać, że rosną tam wielkie chaszczki i chwasty, między którymi ukrywają się jeszcze jakieś zapomniane nagrobki. Tylko poboczne drogi w sąsiedztwie nekropolii jest ładnie wykoszone, ale to podobno prywatna inicjatywa jednego z mieszkańców. Władze gminy nie chcą kosić poboczy, bo nie mają na to środków finansowych. Był tu kiedyś kościół ewangelicki, ale już dawno go nie ma.

Następnie oglądamy punkt sprzedaży opału, który należy do syna pana Madeja. Za Niemców był to spory folwark, gdzie hodowano krowy. Dzisiaj jeszcze stoi tam jedna wielka, stara obora zamieniona na magazyn.

– A tu było coś bardzo ciekawego – pan Józef wskazuje miejsce na trawniku po drugiej stronie szosy. – Jak miałem kilka lat to widziałem, jak tu zimą magazynowano lód z Wisły. To była lodownia, która działała na potrzeby tutejszej zlewni mleka. Dla mnie to było coś niezwykle fascynującego, że ten lód właściwie przechowywany utrzymywał się do aż lata. Lód był zabezpieczony przed stopieniem w ten sposób, że zasypywano go trocinami, liśćmi lub siczką. Latem służył do schładzania kadzi z mlekiem w zlewni.

Dalej za lodownią znajdował się kiedyś punkt skupu buraków cukrowych. To było ważne miejsce we wsi zarówno przed wojną, jak i w czasach PRL-u, kiedy ludzie żyli tu z uprawy buraków. Było tak ważne, że nawet poprowadzono tam linię telefoniczną.

– W latach 70. w całych Kończewicach były tylko trzy telefony: na poczcie, w skupie buraków i u nas w domu. U nas dlatego, że ojciec był strażakiem i miał dzwonić do miasta do straży pożarnej, jakby się coś działo we wsi. Ta nasza linia to była tzw. wówczas linia „towarzyska”, to znaczy mogliśmy się nawzajem podsłuchiwać z ludźmi ze skupu. A w tym czasie w skupie pracowała taka jedna pani, która bardzo lubiła rozsiewać plotki. No i ja z moją koleżanką z klasy wymyśliliśmy pewną prowokację. Chcieliśmy sprawdzić, czy ta pani ze skupu faktycznie nas podsłuchuje i przekazuje dalej informacje. Wymyśliliśmy, że będziemy mówić coś takiego, że niby ta koleżanka jest ze mną w ciąży. Umówiliśmy się na taką rozmowę w niedzielę o czternastej. Ja wcześniej o tej akcji powiedziałem mojej mamie, żeby się nie zdenerwowała, jak się czegoś takiego o mnie dowie. Żeby wiedziała, że to nieprawda. Uprzedziłem też księdza proboszcza, bo byłem wtedy ministrantem, służyłem do mszy świętej i musiałem dbać o dobrą opinię. Przeprowadziliśmy tę rozmowę i co? Następnego dnia, to jest w poniedziałek, informacja o rzekomej ciąży już we wsi wypłynęła! Jakaś osoba poinformowała o tym księdza proboszcza. Nie wiem kto to był, bo ksiądz nie chciał zdradzić swoich informatorów.

Pod koniec XIX wieku, w związku z uprawą buraków cukrowych, we wsi pojawiła się kolejka wąskotorowa, która woziła płody rolne od tutejszych gospodarzy do cukrowni w Lisewie i Nowym Stawie. Jechała trasą z Miłoradza do Lisewa z odgałęzieniem w Mątowach Wielkich. Specjalna bocznicą kolejowa była w okolicy skupu buraków. Także właściciele większych gospodarstw dbali o to, by wybudowano przy ich obejściach małe bocznicę, dzięki czemu transport buraków był prosty i stosunkowo tani. Kolejka odbierała je bowiem wprost od producenta. Być może było to lepiej zorganizowane niż dzisiaj, kiedy wozi się buraki samochodami? Kolejka woziła także ludzi. Spełniała na Żuławach bardzo ważną funkcję komunikacyjną i niezwykle ułatwiała życie ludziom w czasach, kiedy posiadanie prywatnego samochodu było jeszcze rzadkością.

– W latach 80. tą właśnie kolejką dojeżdżałem do pracy w straży pożarnej w Tczewie. Ona jechała tuż koło naszego domu. Jak maszynistą był mój kolega, to wołał z okna, czy dzisiaj jadę. Albo ja do niego krzyczałem, że danego dnia zostaję w domu i żeby na mnie nie czekał na przystanku. Jechałem nią do Lisewa, tam przesiadałem się na autobus miejski z Tczewa, dalej autobusem przez most na Wiśle i już byłem w Tczewie. Pamiętne było to, że jak z Kończewic kolejka jechała do Starej Wiśły, to na jednym z zakrętów często wypadła z torów. Maszyniści specjalnie wozili ze sobą taki wielki drąg i zaraz wstawiali wypadnięte koła na swoje miejsce. Nikt tego wtedy nie traktował jak wypadek kolejowy i nie robił z tego afery. To była normalna, znana wszystkim podróżnym atrakcja w czasie podróży. Pokażę pani, gdzie przebiegały tory. Tu jest jedno takie miejsce, gdzie kolejka zakręcała. Powinny tam jeszcze być – podjeżdżamy samochodem do jakiegoś pola. Kawalek dalej widać pas gruntu porośnięty chaszczami. Wygląda to jak jakiś stary rów. Ale mimo intensywnych poszukiwań w bujnej roślinności porastającej to miejsce nic nie znajdujemy. Widocznie byli tu wcześniej zbieracze złomu i zabrali te szyny.

Rodzice pana Józefa już nie żyją. Jednak przed śmiercią zdążyli udzielić wywiadu na temat swojej młodości. Znalazłam go w wirtualnym Muzeum Opowieści na stronie Klubu Nowodworskiego. Można tam przeczytać, że Elżbieta, z domu Czaplewska, urodziła się w 1928 roku w Starej Wiśle. Kiedy miała trzy lata, jej rodzice przeprowadzili się do Kończewic, gdzie pracowali w gospodarstwach miejscowych zamożnych gospodarzy. Mieli niewielkie mieszkanie służbowe w jednym ze starych domów, przed którym ich sfotografowano w 1930 roku.

W styczniu 1945 roku Elżbieta wraz z rodziną uciekła z Żuław przed Rosjanami. Wyglądało to tak, że 24 stycznia o 7.00 rano wszyscy mieszkańcy wyjechali przygotowanymi wcześniej wozami konnymi. Przejechali przez most na Wiśle, dojechali do wieży ciśnień w Tczewie i dalej ani rusz, bo wózów było tak wiele, że na ulicy zrobił się korek. Pierwszą noc poza domem spędzili w folwarku na Górkach w Tczewie. Potem jechali na północ w kierunku morza. Na drogach były takie zatory, że tydzień stali zanim udało im się wjechać do Gdańska. Gdzieś tam po drodze dziewczyna rozdzieliła się ze swoimi. Pogubili się w wojennej zawierusze. Dlatego właśnie wiosną 1945 roku samotnie wsiadła na statek płynący z Helu do Danii.

– Niemcy na nas krzyczeli, żebyśmy wchodzili na statek, bo jak nie, to nas rozstrzelają. Mówili, że jak Ruskie przyjdą, to gorzej z nami będzie. A myśmy się bali iść na statek, bo wtedy tyle statków tonęło. Końca tej ucieczki nigdy nie zapomnę. 20 kwietnia była taka piękna pogoda, bo Hitler miał Geburstag (urodziny). Bez przerwy latały samoloty, a my uciekaliśmy do lasu, bunkrów. Ganiała nas policja polowa. Już nie byłam z rodzicami, bo jak był atak, to się rozdzieliliśmy. 21 kwietnia w deszczowy dzień, z karabinami w rękę doprowadzili nas na statek. Najpierw na mniejszy, który nas podwiózł do większego statku. Tam na coś takiego podobne do stołu. Czterej ludzi musiało wejść i tym dźwigiem wciągano wszystkich do góry. Na statku „Urondi” było ponad 3000 ludzi, wywozili nas. Sześć statków płynęło, po dwa. Przed nami były takie mniejsze jednostki, które min szukały na takiej szerokości, jaką miały nasze statki. I znajdowały. Do Danii płynęliśmy 8 dni. W nocy staliśmy, nie można było płynąć. W dzień jak był alarm, to też musieli stanąć. Moja ciocia też była na statku, ale innym. Nasz to był frachtowiec (taki co zboże woził), a moja ciocia z dziećmi była na statku pasażerskim. Kiedy dopłynęliśmy do portu w Danii, ich statek stanął obok naszego. Zauważyłam kuzyna, który kręcił się po pokładzie i poszłam do naszego kapitana, żeby pozwolił mi przejść odwiedzić rodzinę na „Herkulesa” (tak nazywał się ten pasażerski statek). Za bardzo nie chciał, ale pozwolił. Krótka była to wizyta, obiecałam im jednak, że na drugi dzień też przyjdę. Ale na drugi dzień tam pusto się zrobiło, bo wywozili ich do lagrów w Danii. My jeszcze byliśmy tam dwa dni, potem wywieźli nas również do lagrów.

Z tej podróży statkiem pozostała panu Józefowi pewna pamiątka, bardzo cenna pod względem dokumentacyjnym. Jest to niewielka fotografia, na którym widać grupę ludzi na pokładzie jakiegoś statku. Słoneczny dzień. Młode dziewczyny i młodzi chłopcy w mundurach zabawiają się towarzyską rozmową. A może nawet flirtują? Ładna blondynka, której twarz jest częściowo widoczna z lewej strony zdjęcia, to właśnie Elżbieta Czaplewska, przyszła matka Józefa Madeja. Miała wtedy około 17 lat.



Akt Nadania gospodarstwa rolnego w Kończewicach dla Władysława Madeja

Po zejściu z pokładu statku trafiła do obozu dla uchodźców w Oxboel na Półwyspie Jutlandzkim w Danii, który został zorganizowany dla niemieckich żołnierzy i cywilów ewakuowanych z Kurlandii, Prus Wschodnich oraz z tzw. „korytarza polskiego” w okupowanej Polsce. Wszyscy ci uciekinierzy zostali tu sprowadzeni w ramach niemieckiej Operacji Hannibal w okresie pomiędzy połową stycznia a majem 1945 roku. Rozkaz tej operacji wydał niemiecki admirał Karl Doenitz (naczelný dowódca marynarki wojennej III Rzeszy, ostatni naczelny dowódca Wehrmachtu i prezydent Rzeszy), a realizacją jego zajęli się admirał Oscar Kummetz (głównodowodzący sztabu niemieckiej floty na Bałtyku) i kontradmirał Konrad Engelhardt. Była to największa ewakuacja w historii morskiej. W ciągu 15 tygodni wzięło w niej udział od 494 do 1080 okrętów i statków różnych typów (w tym łodzie rybackie), które przewiozły około 900 ty-

sięcy uchodźców cywilnych i 350 tysięcy żołnierzy przez Morze Bałtyckie do III Rzeszy i Danii okupowanej w tym czasie przez Niemców.

Do obozów niemieckich uchodźców trafili przeważnie starcy, kobiety i dzieci. Z początku byli zakwaterowani w szkołach i wiejskich halach sportowych, a potem skoszarowani w większych obozach. W październiku 1945 roku było w Danii 465 takich obozów. Oxboel był z nich największy. W maju 1945 roku mieszkało tam ponad 10 tysięcy osób, później liczba mieszkańców doszła do 37 tysięcy. Po zakończeniu wojny obóz został otoczony drutem kolczastym i pilnowany przez duńskich strażników. Uchodźcom nie wolno było wychodzić na zewnątrz, mieli ograniczony kontakt z Duńczykami, nie mogli nawet uczyć się języka duńskiego. Obóz posiadał własną administrację, władzę, szkoły, szpitale, teatr, przedziałnię, która zatrudniała około 150 osób, a nawet kaplice różnych wyznań, w tym także katolicką. Ostatni uchodźcy wyjechali stamtąd do Niemiec w grudniu 1948 roku.

Ale Elżbieta Czapplewska nie pojechała do Niemiec, tylko wróciła do siebie, na Żuławy. To już była Polska. Ale dokąd właściwie miała jechać dziewczyna, która nie знаła innej ziemi? Na Żuławach była przecież jej rodzina. I jej ojczyzna.

– W Danii byłam 2,5 roku, pisać do domu można było po roku. Myślałam, co mam zrobić? Napisałam adres, taki jak kiedyś był podczas wojny, Kuntzendorf. Pomyślałam, że dojdzie i faktycznie doszedł do mojej matki. Jak ona dostała ten list, to później odpisała. Do listów dokładaliśmy koperty, żeby mogli nam odpisać. Odpisała dopiero po pół roku, dowiedziałam się wtedy, że moi rodzice żyją. Pisała: „Nie przyjeżdżaj, bo tyfus panuje”.

Chorowali wszyscy – brat, mama i ojciec, a poza tym straszna bieda była i jeszcze na Niemców inaczej patrzyli, źle. Mama pisała, że mam wytrzymać w Danii jak najdłużej mogę i na razie nie przyjeżdżać. Ja sobie jednak myślałam, że jak oni wytrzymują, to ja również wytrzymam. 2,5 roku tam byłam i starałam się, żeby tu przyjechać. Przyjechałam z babcią, ona pojechała prędzej, a ja zostałam jeszcze w Narwiglage. Tam były jeszcze inne młode dziewczyny. Przychodzili żołnierze i chcieli z nami iść na spacer. Moja koleżanka i ja chowałyśmy się pod pierzynę, ona do mamy do łóżka, a ja do sąsiadki. Później komendant obozu mnie pytał, dlaczego ja nie lubię polskich żołnierzy, a ja odpowiadałam, że lubię, ale nie będę w nocy chodzić na spacer. Zagroził mi, że nie pójdę do domu, tylko do drugiego obozu, gdzie tylko za litr zupy i kawałek chleba muszą ciężko pracować. Babcia musiała wcześniej wracać, a mnie nie chcieli puścić. Mój tata miał mi ten powrót załatwić, bo ja wcale nie znałam polskiego. Cztery dni jeszcze mnie tam trzymali i dopiero puścili. Bałam się, jak się będę dogadywać, ale jechałam z dziewczyną z Tczewa i do jej miasta dojechałyśmy bez problemu. Most przez Wisłę był rozwalony, przez rzekę prom kursował. Jej brat mnie odprowadził do promu, bagaż zostawiłam u nich, przyszłam do domu. Ciemno już było, a ja bałam się, co się stanie, jak będę musiała z kimś rozmawiać. Szczęśliwie jednak dotarłam, mama i tata bardzo się cieszyli – tak opowiadała po latach o swoim pobycie w Danii i powrocie na Żuławy.

Kiedy Elżbieta wróciła do domu, nie znała języka polskiego. A miała już około dwudziestu lat i musiała gdzieś się zatrudnić, żeby mieć z czego żyć. Na początku poszła na kurs dla traktorzystów i nauczyła się jeździć ciągnikiem. To był po wojnie bardzo dobry zawód i można było ładnie zarobić. Przez jakiś czas pracowała jako traktorzystka w PGR-ze w Starej Wiśle. Kiedy nauczyła się już polskiego, zatrudniła się jako listonoszka na poczcie w Kończewicach.

– Mama w pracy była bardzo obowiązkowa i dokładna. Uważała, że nie ma czegoś takiego, jak zła pogoda. Listonosz musi wyjść z domu w każdą pogodę. Przecież listy i inne przesyłki nie mogą czekać – wspomina jej syn.

Władysław Madej, czyli ojciec Józefa, urodził się w 1928 roku w Ciężkowicach w powiecie tarnowskim. W czasie wojny działał w partyzantce AK, za co w 1947 roku został aresztowany przez wojskową prokuraturę w Rzeszowie. Do czasu rozprawy siedział w areszcie, a potem musiał opuścić tamte okolice, bo dostał wyrok dziesięć lat banicji. Polegało to na tym, że nie wolno mu było przebywać w rodzinnej wsi i okolicy. Na tak długi okres musiał gdzieś wyjechać. Pojechał więc na Żuławy, bo tu już wcześniej trafili ludzie z jego



Ulotka wydana w niemieckim obozie uchodźców w Oxbøel w Danii z okazji otwarcia kaplicy (miało to miejsce 4 maja 1947 roku)



Władysław Madej, zasłużony strażak z Kończewic



Tablica z nazwą wsi Kończewice

stron. Zatrzymał się u znajomego z tej samej wsi. Spodobało mu się tutaj, bo było wszystko tak dobrze zagospodarowane jak w Ameryce. W górach była wtedy bieda, nie było słomy, a ludzie z Żuław słomę mieli i sprzedawali ją w inne rejony Polski. Podobało mu się też, jak zaraz po wojnie dbano o wały przeciwpowodziowe, których pilnował strażnik wałowy. Nie wolno było tam jeździć wozami czy ciągnikami, a kretowiska były zaraz usuwane. Ludzie bili się o to, by dostać pozwolenie na koszenie trawy i zbieranie siana z wałów, bo każdy miał krowę, której trzeba było dać jeść.

Młody góral był bardzo pracowity. Jak było powiedziane wcześniej, znał się na stolarce, kowalstwie i krawiectwie. Umiał podkuć konia, uszyć spodnie, zrobić ule, wóz konny i ramy do okien. Interesował się mechaniką. Z kółek do kosiarki i silnika od pompy zrobił nieduży ciągnik. Takiego pojazdu nie trzeba było nawet rejestrować w urzędzie. Potem kupił agregat do omłotów koniczyn. Zarejestrował wówczas firmę omłotową i jako prywatny przedsiębiorca młócił zboża i koniczyny w powiatach malborskim, sztumskim, nowodworskim, tczewskim i starogardzkim.

Na początku pobytu na Ziemiach Odzyskanych był w „kołchozie”, czyli należał do spółdzielni produkcyjnej, a w 1960 roku dostał od państwa Akt Nadania gospodarstwa numer 81 w Kończewicach jako rzemieślnik. Do tego gospodarstwa należała niewielka działka: prawie dwa hektary gruntów, w tym 1,73 hektara ziemi ornej i 0,10 hektara pastwiska. Był też jednym z najbardziej aktywnych strażaków w Kończewicach. Po latach wspólnie z kolegą spisał dzieje Ochotniczej Straży Pożarnej w Kończewicach,

z którą był związany od samego początku. Pisał tam m. in. o tym, jak po wojnie na Żuławach docierali się ze sobą „rusek zza Buga”, „bosy Antek z Lubelskiego”, „galicyjak”, „bryndol z krakowskiego”, „przybysz z warszawskiego” i „poznańska pyra”.

– Najlepiej się poznawano na zabawach, weselach, chrzcinach i innych uroczystościach rodzinnych oraz przy sklepiku Gminnej Spółdzielni. Jednym słowem, że się tak wyrażę,

gdzie pito (wódkę), a pito ją wszędzie i przy różnych okazjach – podczas pogody na deszcz, podczas deszczu, którego tu nie brak, na pogodę; podczas mrozu, bo trzeba, podczas błota musowo itd. Jest też i dowiedzione, że podczas takich uroczystości zapomina się o wszelkich antagonizmach, pochodzeniu czy dzielnicowości oraz klasowości (...) Bywało i tak, że niejeden mieszkaniec naszej wsi, zapominając język polski, podśpiewywał sobie: „Wychadziła na góry Katusza” lub „Dojcz, Dojcz” na cały świat. (...) Okres tych pierwszych 10 lat należy też zaliczyć do czasu zapoznania się rolników z jakże ciężką glebą żuławską (mady), specyfiką jej uprawy i nawożenia oraz kaprysów nadmorskich pod względem pogody. (...) A najważniejsze to, że ludność, która przybyła (...) ze wszystkich stron Polski zaczęła wierzyć i ufać w Prastare Ziemi swych przodków. Zaczęła znikać myśl tymczasowości i niepewności, zaczęto remontować i odbudowywać zagrody, zawierać związki małżeńskie, usadawiając się już na stałe jako jej prawowici spadkobiercy...

Przed wyjazdem z Kończewic mój przewodnik wskazuje mi tajemniczą boczną drogę prowadzącą gdzieś w puste pole.

– To była droga do gospodarstwa mennonitów, którzy nazywali się Wiebe. Parę lat temu w Dawnej Wozowni w Miłoradzu poznałem Wenera Wiebe. Zgadaliśmy się na temat mojej wsi i ja mu pokazałem, gdzie było gospodarstwo jego przodków. Mówiliśmy na nie „spalone”. Pojechaliśmy na miejsce nieistniejącego gospodarstwa. Były czułe spojrzenia, były łzy i jak to powiedział Wener, najpiękniejsza wiązanka na grób ojca – kłosa niedojrzałego zboża, które wyrosło na ojcowiznie. I spełniło się marzenie Wenera, zobaczyć to, co widział jego ojciec. Dla takich chwil warto pochylić się nad naszą historią.

– Moja żona Maria jest nauczycielką historii. I ona ma takie hasło: „Dzisiaj jutro będzie wczoraj”, to znaczy, że ta nasza terażniejszość bardzo szybko zamienia się w przeszłość. Dlatego każdy dzień jest godnym zapamiętania. Bo to, co my znamy jako normalne, codzienne, dla naszych wnuków też wkrótce będzie historią – mówi mi na pożegnanie Józef Madej.



Cztery pokolenia kobiet z Żuław. W środku siedzi prababcia Augustyna Czapplewska, stoją od lewej: babcia Rozalia Modrzejewska i matka Elżbieta Madej. Mała dziewczynka to Regina Madej, starsza siostra pana Józefa.

Adam Langowski



MŁYNY ZIEMI SZTUMSKIEJ (1945–1950)

Dawne młyny to obiekty wzbudzające ciekawość wśród miłośników wędrówek po ziemi sztumskiej i nie tylko. Szczególnym zainteresowaniem cieszą się wiatraki usytuowane na wzniesieniach, dobrze widoczne z oddali. Ich widok porusza wyobraźnię i nierzadko zachęca także przypadkowych turystów do zatrzymania się, podziwiania malowniczego krajobrazu i refleksji nad przeszłością. Na terenie powiatu sztumskiego zachowały się pozostałości dwóch murowanych wiatraków, tzw. holendrów, w Ankamatach i Budziszu¹. Oba pięknie prezentują się na fotografiach, wydaje się jednak, że pierwszy z wymienionych jest bardziej rozpoznawalny i częściej eksponowany w różnych wydawnictwach ukazujących atrakcje ziemi sztumskiej. Innym typem młynów funkcjonujących niegdyś na naszych terenach były młyny wodne. Jeden z nich, obiekt w Koniecwałdzie, jesienią 2022 r. został rozebrany. Wartą uwagi jest ładnie położona, choć trudno dostępna, osada młyńska nad rzeką Dziergoń w Stanówku. Stare młyny posiadają zatem duże walory krajobrazowe i ciekawą historię wciąż czekającą na odkrycie.

Niniejszy tekst, którego podstawę źródłową stanowią dokumenty przechowywane w Archiwum Państwowym w Malborku, jest próbą przybliżenia fragmentu dziejów młynów na ziemi sztumskiej, obejmującego lata 1945–1950. W historii Powiśla był to czas przemowy, ponieważ obszar ten znalazł się w granicach Polski, a jego dotychczasowa struktura narodowościowa i społeczna na skutek powojennych migracji uległa całkowitej zmianie. Po dawnych mieszkańcach pozostały gospodarstwa, w tym młyny, eksploatowane przez sowietów lub wojsko polskie, a z czasem przejmowane przez polskie urzędy i przekazywane osadnikom. Pomiędzy poszczególnymi podmiotami niejednokrotnie dochodziło do rywalizacji i sporów kompetencyjnych, co dobrze ukazuje specyfikę tamtego okresu, pełnego dynamiki, ale też chaosu. Historia młynów z pierwszych miesięcy i lat po zakończeniu wojny to w pewnym sensie historia kształtowania się na ziemi sztumskiej nowej rzeczywistości politycznej i społecznej.

W artykule przedstawiono szkice poświęcone ośmiu młynom wiejskim według porządku alfabetycznego. Nazwy miejscowości podane w śródtytułach zapisano w wersji współczesnej, w niektórych przypadkach dodano w nawiasie starsze określenia występujące w analizowanych dokumentach archiwalnych, ponieważ uznano, że może to być interesujące dla dzisiejszego czytelnika.

¹ Krótkie opisy tych obiektów można odnaleźć w tekście Jerzego Domino, opublikowanym przed laty na łamach „Prowincji” (Zob. J. Domino, *Ginący świat wiatraków*, „Prowincja”, nr 2(8), 2012, s. 84-89).

ANKAMATY (ANKEMITY, ANKIEMITY, ANKEMIT, ANKEMITT)

Pierwszy powojenny opis młyna w Ankamatach pochodzi z 10 października 1945 r. W sprawozdaniu sporządzonym przez referenta Powiatowego Urzędu Ziemskiego (PUZ), Władysława Ładomirskiego, określono ten obiekt jako „młyn gospodarczy motorowy”, mieszczący się w budynku przerobionym z murowanego wiatraka, „zdolny tylko do śrutowania zboża”. W tamtym czasie zakład, „opuszczony przez nieżyjącego Niemca Willy Schöna”, był nieczynny i znajdował się pod opieką sołtysa Szramowskiego. Autor sprawozdania wskazał, że warunkiem uruchomienia młyna jest doprowadzenie prądu oraz wykonanie „drobnego remontu sposobem gospodarczym”. Zdolność produkcyjną ocenił na 2 tony śruty na dobę, co pokazuje, że ankamacki młyn nie należał do dużych jednostek. Referent odnotował, że kandydatem do jego objęcia wraz z gospodarstwem liczącym ponad 7 ha był sierżant Michał Pantelejko (Pancielejko) z 3. Białostockiego Pułku Aprowizacyjnego².

Ostatecznie gospodarstwo młyńskie w Ankamatach przypadło bratu Michała Pancielejki, Aleksemu. Ten pierwszy przejął bowiem rozlewnię piwa i wytwórnię wód gazowanych w Dzierzgoniu. W czerwcu 1946 r. przeprowadzono inwenturę młyna, w której Michał Pancielejko występuje jeszcze jako jego kierownik, ale podpis na dokumencie złożył jego brat. Jak wynika ze spisu, na wyposażenie młyna składało się dziewięć urządzeń, w tym motor elektryczny Brown-Boweri o mocy 8 KM.

Według oficjalnego protokołu Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR) przekazanie ziemi z młynem Aleksemu Pancielejce, pochodzącemu ze wsi Pustoszka pod Brasławiem w dawnym województwie wileńskim, nastąpiło 22 listopada 1946 r. Pancielejko wszedł w posiadanie trzyizbowego, murowanego domu krytego dachówką, murowanej obory i drewnianej stodoły. Wyszczególniono także młyn, którego obwód wynosił 32 metry. Ceglany korpus zamknięty był betonowym dachem, możliwe więc, że budowla nie posiadała już wówczas górnej części, czyli drewnianej, obrotowej „czapy” ze skrzydłami, tak charakterystycznej dla wiatraka typu holender. W wykazie widnieje ponadto informacja o murowanym domu robotniczym połączonym z murowano-drewnianą stodołą oraz drwalni, które przypuszczalnie tworzyły wraz z młynem pewną całość. Dodajmy, że Pancielejko miał własne prosię oraz konia z darów UNRRA³.

Trudno stwierdzić, czy młyn w Ankamatach został w okresie powojennym uruchomiony. Jeśli tak, to działał krótko. W analizowanych dokumentach nie ma na ten temat żadnych informacji. Rodzina obecnych właścicieli przejęła go w latach 50-tych XX w. i twierdzi, że młyn nie pełnił już wtedy funkcji przemiałowej. W rodzinnej tradycji zachowała się ponadto opowieść o młynarzu, który popełnił samobójstwo, a jego duch miał straszyć

² 3. Białostocki Pułk Aprowizacyjny – jednostka zaopatrująca i ochronna utworzona pod koniec listopada 1944 r. w Białymstoku. W lutym 1945 r. pułk przeniesiono do Dzierzgonia, a jego głównym zadaniem było gromadzenie mienia, deponowanie zbóż i poniemieckiego żywna oraz przeprowadzanie omlotów i zasiewów na podległym sobie terenie. Jednostkę rozwiązano pod koniec listopada 1945 r. (Z. Koszyła, R. Zabłotniak, *Formowanie jednostek Ludowego Wojska Polskiego w Białymstoku w 1944 r.*, „Rocznik Białostocki” 1971, nr 10, s. 254–255). Jak ustalił A. Lubiński, na terenie powiatu sztumskiego pułk zajął 41 majątków o łącznej powierzchni 6,5 tys. ha. Dowódcą jednostki był pułkownik Chamin, a jego zastępcą major Zakrzewski. (A. Lubiński, *Sztum i okolice w latach 1945–1948* [w:] *Z dziejów Sztumu i okolic*, t. I, Sztum 1997, s. 64).

³ UNRRA – United Nations Relief and Rehabilitation Administration (Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy).

w ceglanej bryle dawnego wiatraka. Właścicielem młyna, który targnął się na własne życie, mógł być Willy Schön, co zdaje się potwierdzać przytoczony na początku zapis ze sprawozdania referenta Ładomirskiego.

BUDZISZ

Młyn w Budziszu posiadał zblizoną konstrukcję do młyna w Ankamatach. Oba obiekty zaliczyć można do wiatraków w typie holendra. Jednak młyn w Budziszu, w przeciwieństwie do budowy w Ankamatach, prawdopodobnie zachował drewnianą „czapę” ze skrzydłami, ponieważ w dokumentach wytworzonych w pierwszych latach po zakończeniu wojny został sklasyfikowany jako „wiatrak-młyn”. Zakłady, których głównym źródłem siły był wiatr, uznawano już wówczas za przestarzałe. W lustracji wiatraka w Budziszu, przeprowadzonej w lipcu 1946 r., odnajdujemy następujący zapis: „Młyn stary, prymitywny – wymaga generalnego remontu”. Podczas inwentaryzacji, dokonanej miesiąc wcześniej, wykazano zaledwie trzy pozycje: kamienie do śrutowania, wał drewniany z kołami trybowymi oraz drewniany stół.

Osobą wyznaczoną do objęcia młyna oddanego przez Armię Czerwoną był Józef Sobieszkański. Powiatowy Urząd Ziemiński skierował pismo w tej sprawie do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w dniu 2 sierpnia 1946 r. W kolejnych miesiącach zakład pozostawał jednak nieobsadzony.

Starania o uzyskanie zgody na przejęcie wiatraka podjął również Jan Paczuk z Koślinki, repatriant z dawnego województwa nowogródzkiego. W podaniu z 12 stycznia 1947 r. napisał, że przed przybyciem do kraju pracował w młynie rodziców we wsi Rohotna leżącej w rejonie Kozłowieckim. W jednym z zaświadczeń określono dokładnie położenie tego młyna – znajdował się on nad rzeką Iwizianką stanowiącą dopływ Mołczadki. Repatriant zapewniał w podaniu, że chce nadal pracować w zawodzie, dlatego prosi „o przydzielenie wiatraka poniemieckiego znajdującego się w Budziszu, gm. Świetliki [Jasna], po Niemcu Teclaffie [Tetzlaffie] Karlu wraz z budynkami przynależnymi do tego wiatraka i ziemią, którą jest osiem (8) ha”. Warto zauważyć, że wymieniona przez Paczuka ilość ziemi znacząco odbiega od danych zawartych w innych dokumentach, według których powierzchnia



Budzisz – pozostałości wiatraka, fot. A. Langowski

gospodarstwa wynosiła 95 ha. Pismo Paczuka zostało przekazane wojewódzkim strukturom PUR i odesłane do Sztumu z odpowiedzią odmowną. Urzędnicy wskazywali na braki w złożonej dokumentacji, gdyż wnioskodawca nie przedstawił m.in. karty ewakuacyjnej i opisu mienia pozostawionego za granicą. Paczuk nie pogodził się z tą decyzją i zamierzał zwrócić się do referatu prawnego Powiatowego Oddziału PUR w Malborku.

GOŚCISZEWO (BRUNOWO, BRUSZWAŁD)

9 sierpnia 1945 r. Starostwo Powiatowe w Sztumie nominowało na tymczasowego kierownika gościszewskiego młyna Wacława Rachańskiego. Objął on obiekt należący wcześniej do Niemca, Ernsta Krogulla. Młyn był drewnianym wiatrakiem o wysokości 12 metrów, ze średnicą podstawy wynoszącą 8 metrów. W sprawozdaniu z 17 października 1945 r. referent PUZ zanotował, że wiatrak powstał pół wieku wcześniej. Urzędnik dostrzegł „spróchniałe krzyżaki w ścianach bocznych”, a urządzenia młyńskie uznał za „dosyć prymitywne i przestarzałe”. Zwrócił ponadto uwagę na niekorzystne usytuowanie obiektu, co skutkowało brakiem wiatru. W takich warunkach młyn mógł przemiałać tylko 0,4 tony zboża dziennie. Przy wykorzystaniu prądu elektrycznego zdolność produkcyjna wzrastała do 1,5 tony. Dodajmy, że wiatrak był wyposażony w silnik Siemens'a o mocy 16 KW. Obsługą młyna zajmował się sam Rachański, którego praca została wysoko oceniona. Stwierdzono, że kierownik wiatraka „dba o obiekt i utrzymuje w dobrym porządku”. W opinii sprawozdawcy również gospodarstwo młynarza, składające się z domu, stajni i stodoły pod jednym dachem, a także 1,5 ha ziemi ornej, było „wzorowo uprawione”.

Wacław Rachański pochodził z okolic Tomaszowa Lubelskiego. Urodził się 28 września 1908 r. w Gródku. W dokumentach archiwalnych zachowały się odpisy jego życiorysu oraz karty personalnej, z których dowiadujemy się, że przed wojną odbył we Lwowie „praktyki urzędzeń budowy młynów” i ukończył trzyletni kurs doszkalający przy szkole im. Kordeckiego. W 1936 r., po odbyciu służby wojskowej, zakupił wiatrak w kolonii Plebanka na terenie powiatu Tomaszów Lubelski, gdzie pracował do 1939 r. Brał udział w wojnie obronnej, a 17 września 1939 r. dostał się do niemieckiej niewoli i trafił do obozu Gross Born (Borne Sulinowo) – Stalag II E. W 1942 r. zdołał uciec i wstąpił do Batalionów Chłopskich. W oddziałach partyzanckich używał pseudonimu „Biskup”. Należące do niego gospodarstwo i młyn w Plebance zostały zniszczone, co Rachański opisał w następujący sposób: „W roku 1943, 17 kwietnia, napad «Bulbowców» – Ukraińców, wioskę mą i okolice spalili doszczętnie, część ludzi wymordowali i w tym czasie dokumenty moje spaliły się i nie posiadam ich”. I dalej o swoim przyjeździe na Pomorze: „Przez Polski Związek Zachodni przyjechałem z rodziną do Bruszwałdu, pow. Sztum, i zająłem wiatrak i 1,5 ha ziemi i budynki i bardzo proszę o przyznanie mi je”.

Tymczasowy zarządca gościszewskiego młyna dążył do uzyskania go wraz z gospodarstwem na własność. W pismach wysyłanych do urzędów oraz instytucji państwowych uzasadniał: „Objąłem młyn w dużym stopniu zniszczony – remonty wszelkie przeprowadziłem własnym kosztem”. Zaznaczał również, że młyn, z racji niekorzystnej lokalizacji, nie może być wykorzystywany na skalę przemysłową. Rachański mógł liczyć na przychyłość PUZ

w Sztumie, który w kwietniu 1946 r. przedłożył wojewódzkim strukturom wniosek popierający: „Petent w zupełności zasługuje na nadanie mu [...] młyna-wiatraka w gromadzie Brunowo, który sposobem gospodarczym wyremontował i uruchomił, nie mając inwentarza żywego, jednak grunt wyorał i zasiał, przez co wykazał wiele inicjatywy i pracowitości. [...] Jako jednostka dodatnia w zupełności zasługuje na poparcie”. Dodatkowym argumentem działającym na korzyść Rachańskiego było zdanie przez niego egzaminu w Izbie Rzemieślniczej we Wrzeszczu w lutym 1946 r. W kolejnym roku wnioskodawca doczekał się aktu nadania i stał się właścicielem młyna oraz gospodarstwa, którego obszar wynosił już ponad 5 ha.

W 1949 r. Rachański wydzierżawił wiatrak Robertowi Trederowi. Młyn wymagał naprawy, ponieważ został poważnie uszkodzony przez burzę. Przyszły użytkownik zobowiązał się do przeprowadzenia remontu, w zamian za co przez pół roku nie musiał uiszczać opłaty dzierżawnej. Od 1 czerwca 1950 r. zakład młyński przestał działać. W październiku 1950 r. Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Gościszewie złożyło wniosek do władz powiatowych w sprawie ponownego uruchomienia wiatraka i prowadzenia go przez Wacława Rachańskiego. Władze gminne zwracały uwagę, że wznowienie działalności młyna „byłoby konieczne dla potrzeb tutejszej ludności”.

KONIECWAŁD (KANIEWO, KONRADSWALDE)

Zakład położony nad jeziorem Kaniewskim był typem młyna wodnego. Przed 1945 r. należał do Niemca, Alfreda Stockhausa, a po zakończeniu działań wojennych użytkowały go wojska sowieckie. Zarząd nad obiektem z ramienia władz rosyjskich sprawował major Beketow, komendant 126. Sowieckiego Oddzielnego Batalionu Roboczego w Malborku. Na początku września 1945 r. przystąpiono do działań mających na celu przekazanie młyna polskim władzom. Spisano inwentarz, z którego wynika, że na terenie zajmowanym przez zakład istniały cztery budynki, a sam młyn, murowany i kryty dachówką, połączony był z mieszkaniem i drewnianym spichlerzem. Ich stan określono jako dobry, podobnie jak urządzeń młyńskich, rozlokowanych w suterenie, na parterze i pierwszym piętrze. Spośród urządzeń wewnętrznych warto wymienić turbinę wodną o poziomej osi 25 HP oraz motor elektryczny Siemens o mocy 38 KM.

Podczas inwentaryzacji major Beketow oświadczył inspektorowi Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego Gdańskiego (WUZG), że 5 września „zdejmie ochronę sowiecką i po wywiezieniu znajdującego się w młynie sowieckiego zboża, młyn przekaze władzom polskim”. Po odejściu żołnierzy sowieckich obstawę obiektu mieli zapewnić żołnierze polskiej placówki marynarki wojennej z Malborka. Na miejscu pozostał młynarz Czesław Iwicki, któremu polecono „powiadomienie P.U.Z. Sztum o przekazywaniu młyna władzy polskiej”. 6 września 1945 r. wydano akt zdawczo-odbiorczy, co oznaczało formalne przejście młyna z rąk sowieckich.

Wojewódzki Urząd Ziemski powierzył tymczasowy zarząd nad młynem i przynależnym do niego gospodarstwem o powierzchni 5 ha Janowi Kopcowi. Nominację wystawiono mu 3 września 1945 r., ale faktyczne wprowadzenie do zakładu nastąpiło 9 października. Młyn,



Koniecwałd – stan z sierpnia 2022 r., fot. A. Langowski

już w polskim posiadaniu, nadal świadczył usługi Sowiecom, którzy nie wywiązywali się z zapłaty. Na początku listopada Kopiec wystosował pismo do PUZ w Sztumie z informacją, że od 11 października do 31 października 1945 r. młyn przemiał dla 126. Batalionu w Malborku 5164 kg pszenicy, żyta, jęczmienia i lnu na olej, za co nie otrzymał żadnego wynagrodzenia.

W czasie, gdy młynem zarządzał Jan Kopiec, sporządzono następującą charakterystykę zakładu: „Stan techniczny dobry, urządzenie młyna nowoczesne, nominalna zdolność przemiałowa 6 ton na dobę, siła wodna zmienna, całkowicie wystarczająca tylko w porze wiosennych roztopów, motor elektryczny z powodu braku prądu nieczynny”.

Jan Kopiec chciał osiedlić się w Koniecwałdzie na stałe i kierować tamtejszym młynem. Urodzony w 1899 r. w Wołczy Dolnej w powiecie Dobromił, był zawodowym młynarzem. Zaczynał jako pomocnik ojca w młynie wodnym w Boniowicach. W 1917 r. powołano go do armii austriackiej. Po upadku Austro-Węgier wstąpił jako ochotnik do Armii Polskiej, z której został zwolniony w 1921 r. Następnie odbył praktykę w młynie hrabiego Tyczkowskiego w Podmojskach niedaleko Przemyśla. Po zdaniu egzaminu w 1923 r. został jego kierownikiem, by po roku powrócić do Boniowic pod Dobromilem i podjąć pracę w młynie ojca. Od roku 1928 zarządzał nim już samodzielnie, a na krótko przed wybuchem wojny rozpoczął budowę tartaku. 31 lipca 1945 r. opuścił Kresy i wyjechał wraz z żoną i dwójką dzieci do Polski.

3 października 1946 r. Jan Kopiec złożył podanie z prośbą o przyznanie mu na własność gospodarstwa z młynem w Koniecwałdzie, którym dotychczas administrował. Podanie

rozpatrzono pozytywnie, a 25 października spisano protokół przekazania. Zakład wraz z gospodarstwem pozostawał w jego posiadaniu do lipca 1949 r., kiedy to na mocy orzeczenia Powiatowej Komisji Osadnictwa Rolnego w Sztumie uchylono akt nadania. W uzasadnieniu zapisano, że „młyn wodno-elektryczny o zdolności przemiałowej ponad 5 ton na dobę [...] nie może być przedmiotem nadania”. Obiekt przejął Dział Rolnictwa i Reform Rolnych Urzędu Wojewódzkiego, który od razu przekazał go Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Gościszewie. Kolejne przekształcenia nastąpiły dwa lata później. Od 30 czerwca 1951 r. użytkownikiem młyna w Koniecwałdzie było Rejonowe Przedsiębiorstwo Młynów Gospodarczych przy Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni (PZGS) w Malborku.

MINIĘTA (MIENTY, MENTHEN)

Młyn wodny nad rzeką Dzierzgoń w Miniętach znajdował się początkowo pod kontrolą 3. Białostockiego Pułku Aprowizacyjnego. Od marca 1945 r. stanowisko młynarza zajmował w nim Józef Pławski, strzelec z kompanii sztabowej wspomnianego pułku. 20 września 1945 r. Pławski został wyznaczony przez PUZ w Sztumie na tymczasowego zarządcę obiektu, a następnego dnia sporządzono protokół zdawczo-odbiorczy. W sprawozdaniu z 9 października 1945 r. odnotowano jednak, że mimo protokolarnego przekazania, młyn w dalszym ciągu pozostawał „we faktycznym władaniu Wojska Polskiego, które wyłącznie dla siebie przemiała”. Sprawozdawca informował również, że obsługa zakładu składała się z dwóch żołnierzy i jednego niemieckiego robotnika.

Budynek młyna w Miniętach był drewniany i pokryty papą. Jego wymiary to: 6 metrów szerokości, 7 metrów długości oraz 8 metrów wysokości. Referent Przemysłu Rolnego Ładomirski pisał o nim: „Młyn czynny, urządzenia bardzo staroświeckie, przeniesienie siły z turbiny wodnej na kamienie nie za pomocą transmisji, lecz przez koła trybowe, co powoduje wielkie zużycie siły. Turbina ok. 30 KM jest nieszczelna, przepuszcza wiele wody, co powoduje bardzo nieregularny dopływ siły”. Młyn połączony był z gospodarstwem o powierzchni 26 ha, przy czym 19 ha, określonych jako nieużytki, zostało „zajętych pod eksploatację przez fabrykę wyrobów cementowych”.

Dawnym właścicielem młyna był Franciszek Busch (Busz), który po wojnie pozostał na miejscu i uzyskał tymczasowe zaświadczenie o obywatelstwie polskim. Józef Pławski jako żołnierz 3. Białostockiego Pułku Aprowizacyjnego osadzony w młynie, zapoznał się z jego córką, Jadwigą i postanowił wziąć z nią ślub. 8 września 1945 r., a więc jeszcze przed oficjalną nominacją na tymczasowego kierownika młyna wydaną przez PUZ, złożył raport do dowódcy pułku z prośbą o udzielenie zgody na zawarcie małżeństwa. Pławski, zanim trafił do wojska, mieszkał w folwarku Długi Las w powiecie słonimskim na terenie dawnego województwa nowogródzkiego. Z zawodu był młynarzem i prowadził gospodarstwo rolne liczące 23 ha. We wspomnianym raporcie oświadczył: „[...] nie mam zamiaru powracać do domu, tj. za linię Czerwoną, gdzie obecnie przebywa moja rodzina (matka, 2 siostry i brat), a po zdemobilizowaniu mnie chcę pozostać i zagospodarować się na tych terenach”. 15 września 1945 r. dowództwo pułku zezwoliło mu na ślub z Jadwigą Busz. Miesiąc



Minięta – zniszczona tama na rzece Dzierzgoń, fot. A. Langowski

później Pławski w piśmie do WUZG powtórzył swoją deklarację o pozostaniu „na terenie Prus Wschodnich” i zamiarze poślubienia córki Franciszka Busza. W dalszej części podania prosił zaś o przydzielenie mu, „jako zięciowi”, gospodarstwa i młyna.

Ostatecznie gospodarstwo młyńskie w Miniętach zostało zreprzywatyzowane i zwrócone przez Skarb Państwa dawnemu właścicielowi. W lipcu 1946 r. Busz, ubiegając się o odzyskanie mienia, pisał do PUZ: „[...] młyn ten był moją własnością od roku 1881. Po odzyskaniu Ziemi Zachodnich objął młyn Pławski Józef jako zdemobilizowany żołnierz. W sierpniu 1945 r. dostałem obywatelstwo, na tej też podstawie proszę o przyznanie mi młyna z powrotem”. Przekazanie majątku nastąpiło 10 stycznia 1947 r., a w uzasadnieniu znalazł się następujący zapis: „młyn z powodu starej i prymitywnej konstrukcji o zdolności przemiałowej 2000 kg na dobę nacjonalizacji nie podlega”. Warto zauważyć, że w momencie odzyskania mienia Franciszek Busz, syn Jana i Pauliny z Czerwińskich, miał już 83 lata.

STANÓWKO (MAŁE STANOWO, KLEIN STANAU)

Inny młyn wodny nad rzeką Dzierzgoń funkcjonował w Stanówku, miejscowości położonej niedaleko Miniąt, i był w pierwszym okresie po wojnie zajęty przez Armię Czerwoną. Jako wcześniejszego właściciela wymienia się Niemca, Maksa Kleina.

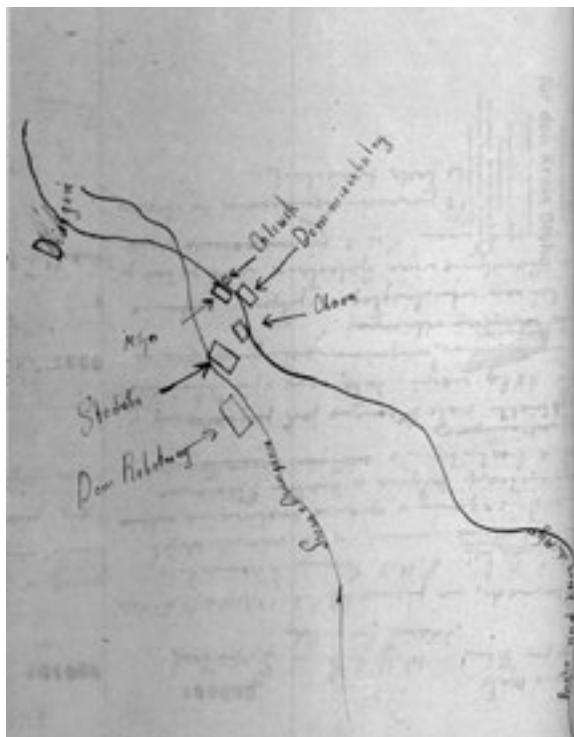
Murowany, dwupiętrowy budynek młyna, kryty dachówką, posiadał następujące wymiary: długość – 15 metrów, szerokość – 8,3 metra, wysokość – 12 metrów. Główne źródło



Stanówko – widok od strony rzeki Dzierzgoń, fot. A. Langowski

siły stanowiła turbina wodna o mocy 40 KM. W powojennych inwentarzach podkreślano, że stan techniczny maszyn był dobry, „wszystkie zdatne do użytku i nowoczesne”. Wiele spośród urządzeń będących na wyposażeniu młyna wyprodukowanych zostało przez firmę „A. Wetzig – Wittenberg”. W suterenie umieszczono dynamo firmy „Bergman A.G. Berlin” o sile 17 KW. Z kolei na parterze stał śrutownik dostarczony przez firmę „Komnick” z Elbląga. Zakład zaopatrzony był również w wagę automatyczną „Chronos”. Gospodarstwo rolne liczyło 48 ha, a jego zabudowę stanowiły: murowany dom mieszkalny z ośmioma pokojami, spiżarnią i kuchnią, drewniana stodoła, stajnia murowano-drewniana, szopa drewniana, murowany „świniarnik” oraz kamienna piwnica.

W październiku 1945 r. doszło do protokolarnego przekazania obiektu Wojewódzkiemu Urzędowi Ziemskiemu przez komisję mieszaną, jednak Sowieci nie opuścili go aż do wiosny 1946 r. Faktyczne pozostawanie młyna w ich rękach niepokoiło gdański WUZ, który na początku lutego zażądał od PUZ w Sztumie wyjaśnień w tej sprawie. W odpowiedzi inż. Hryniewski, sztumski Komisarz Ziemski, raportował, że „referendarz przemysłu rolnego kilkakrotnie zwracał się do oddziału Wojsk Sowieckich w Dzierzgoniu w sprawie przekazania administracji młyna w Małym Stanowie, zawsze bezskutecznie. Numeru formacji nie chcą podać”. Komisarz załączył opis techniczny zakładu z zastrzeżeniem, że jest on niedokładny „z powodu trudności ze strony władz sowieckich”. W kolejnych miesiącach udało się zmusić Rosjan do odejścia, w czym znaczący udział miał major Zakrzewski z 3. Białostockiego Pułku Apropowizacyjnego.



Stanówko – plan osady młyńskiej, fot. Archiwum Państwowe w Malborku

Objęcie młyna w zarząd PUZ nie obyło się jednak bez trudności, których źródłem nie byli tym razem Rosjanie, lecz Antoni Korsak, administrator Zespołu Majątków Państwowych w Judytach (Juditenhof). W lutym 1946 r. otrzymał on polecenie od Komisarza Ziemskiego, aby w momencie opuszczania Stanówka przez Sowieców powiadomić o tym PUZ i zabezpieczyć zakład do czasu przybycia urzędników. Gdy 18 kwietnia 1946 r. przedstawiciel PUZ Władysław Ładomirski pojawił się w Stanówku w towarzystwie Mieczysława Pietruszki, wyznaczonego na tymczasowego kierownika młyna, oraz Stanisława Cienia, milicjanta z posterunku w Dzierżgoniu, Korsak odmówił przekazania kluczy. Administrator z Judyt twierdził, że „jest właścicielem młyna i nikomu go nie odda”, próbował ponadto usunąć przybyłych „we-

zwawszy do pomocy dwóch żołnierzy sowieckich, którzy jednak taktowniej się zachowali, gdyż oświadczyli, że młyn przekazali ob. Korsakowi i już nie mają tytułu mieszkania się do tych spraw”. Referent Ładomirski, relacjonując całe zdarzenie, napisał o Korsaku, że: „przy opuszczaniu go [młyna] przez Armię Sowiecką powodował się raczej względami osobistymi niż racją stanowiska urzędnika państwowego”. Niedługo po tym Pietruszka, przy wsparciu milicji, odebrał klucze i 24 kwietnia uruchomił młyn.

Nowy zarządca, który wcześniej kierował młynem w Starym Targu, przystąpił do remontu tamy wodnej. Za wykonanie robót odpowiadał Julian Dypka, cieśla z Dzierżgonia. W ciągu trzech tygodni wybito kanały, zalano cementem drewniany podciąg oraz poprawiono zaporę z drewnianych bali. Koszt remontu wyniósł 6 tys. zł.

Mieczysław Pietruszka pełnił swą funkcję do sierpnia 1946 r. Jego zwolnienie wynikało z przekazania młyna Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Dzierżgoniu, która już w grudniu 1945 r. zwróciła się z taką prośbą do Komisarza Ziemskiego. Zainteresowanie młynem wykazywało również przedsiębiorstwo Państwowych Nieruchomości Ziemi (PNZ). Przedstawiciele PNZ dowodzili, że Stanówko to jedyny młyn w powiecie nadający się do obsługi majątków państwowych. Podania o przydział młyna składali także repatrianci. Jednym z pierwszych był Bolesław Kardasiewicz, który przedstawił odpowiednie pismo pod koniec 1945 r. Na mocy decyzji PUZ z 25 marca 1946 r. osadzono go w Dzierżgoniu, na osiemnastohektarowym gospodarstwie z młynem, spichrzem i magazynem po Niemcu

o nazwisku Dost⁴. Dodajmy, że Kardasiewicz pochodził z dawnego województwa poleskiego, gdzie pozostawił gospodarstwo liczące 25 morgów oraz młyn motorowy.

Chęć prowadzenia młyna w Stanówku wyrazili ponadto Bronisław Dziedziul i Franciszek Ziółkowski, obaj mieszkający wówczas w Dzierzgoniu przy ulicy Marszałka Stalina 8. Dziedziul, urodzony w 1904 r. w Danuszewie pod Smorgoniami na Wileńszczyźnie, do 1939 r. pracował wraz z bratem w młynie. Po utracie gospodarstwa (w życiorysie zapisał: „przekazałem swoją gospodarkę wraz z młynem władzom radzieckim”) znalazł zatrudnienie na kolei. W kwietniu 1945 r. przyjechał do Polski i osiadł w Dzierzgoniu, gdzie pracował jako strażnik kolejowy. Ziółkowski przybył na te tereny wraz z 3. Białostockim Pułkiem Apropowizacyjnym. Urodził się w Zalesiu w województwie kieleckim, ale po ślubie zamieszkał w Wasiliszkach na terenie województwa nowogródzkiego, gdzie prowadził gospodarstwo z młynem, wniesione w posagu przez żonę. Dziedziul i Ziółkowski we wspólnym wniosku z 16 lutego 1946 r. zapewniali, że od najmłodszych lat pracowali w rolnictwie i znają się na młynarstwie. W dalszej części podania pisali: „Na terenie Polski znajdujemy

⁴ Opis młyna w Dzierzgoniu zawarty w piśmie Starostwa Powiatowego w Sztumie do Wojewódzkiego Urzędu Gdańskiego z dnia 10 września 1947 r.: „Młyn do tej pory jest nieczynny, gdyż przez działania wojenne został całkowicie zdemontowany, a nawet budynki są poważnie uszkodzone, przede wszystkim w młynie są powyrywane suity z góry do dołu. W młynie tym przed zniszczeniem było ustawione 4 pary walcy i 2 kamienie. Obecnie co do urzędnienia nie ma najmniejszej drobnostki, tak, że trzeba znacznego wkładu, aby chociażby w części młyn ten uruchomić. Uruchomienie powyższego byłoby bardzo pożądane, gdyż nie tylko to, że z chwilą większego zaludnienia miasta i okolicy znajdujące się młyny nie podolają przemleć potrzebnych zbóż dla okolicznej ludności. [...] Wymieniony młyn nie był ujęty ewidencją PUZ, ponieważ był to obiekt miejski bez ziemi”.



Stanówko, fot. A. Langowski

się od 11 miesięcy i żadnej przysługującej nam zapomogi jako repatriantom nie podjęliśmy, a utrzymujemy się z rąk pracy i oszczędności przywiezionych zza Bugu. Obecnie wszystkie posiadane oszczędności wyczerpały się i znajdujemy się w krytycznym położeniu materialnym”.

Podanie o przydział Stanówka złożył też Franciszek Gradowski ze Starego Pola, jednak uzyskał odmowę, ponieważ młyn przydzielono już Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”.

STARY TARG

Dwupiętrowy młyn o napędzie elektrycznym w Starym Targu, połączony z gospodarstwem o powierzchni ok. 2 ha, do października 1945 r. działał pod zarządkiem Armii Czerwonej (numer poczty polowej 48725). Po opuszczeniu go przez Rosjan gospodarzem obiektu został PUZ, który powierzył obowiązki tymczasowego kierownika młyna Mieczysławowi Pietruszce.

Nowy zarządca został wprowadzony przez referenta Ładomirskiego, który w sprawozdaniu sporządzonym 8 października 1945 r. tak opisał starotarski zakład: „Młyn czynny, lecz zaniedbany, łożyska pozacierane, automaty nieczynne, wszędzie pełno brudów, dach cieknie, a przy tym, przez wyłom w ścianie od pocisku, zamaka, szyby w 50% powybijane, przeciągi”. W dalszej części wskazał na konieczność przeprowadzenia remontu budynku, doprecyzował, że wyrwa po ostrzale znajdowała się w ścianie szczytowej i miała 12 m². Odnotował ponadto, że „wszelkie zboże, jakie znajduje się w młynie jest własnością Armii Sowieckiej, zboża ludności cywilnej młyn zasadniczo nie przemiała”. Obsługą młyna zajmował się Władysław Neumann, nie posiadający obywatelstwa polskiego, któremu pomagali dwaj chłopcy. Na miejscu pozostała rodzina poprzedniego właściciela, Jana Witkowskiego – szesnastoletni syn oraz dwie córki.

Mieczysław Pietruszka jako tymczasowy zarządca młyna zbierał pozytywne opinie. Pracownik PUZ pisał o nim z uznaniem: „Po trzech dniach pobytu nowego kierownika skonstatowałem ogromną różnicę w wyglądzie przedsiębiorstwa, wszędzie porządek, maszyny już częściowo poprawione. Młyn jeszcze przemiała zboże Wojsk Sowieckich, ale już zgadzają się na przemiał cywilnych”. Zasługą Pietruszki było m.in. przeprowadzenie remontu poddasza i zamurowanie dziury po pocisku artyleryjskim oraz uruchomienie lokomobili parowej, która, wobec braku możliwości doprowadzenia prądu, stała się główną siłą napędową zakładu. Zarządca zakupił również „u agronoma Kikuta ze Starego Targu” materiał, który miał posłużyć do kolejnych napraw budynku.

Administrator starotarskiego młyna urodził się w 1912 r. w Kleczanowie w powiecie sandomierskim. Przed wojną praktykował w miejscowym młynie, a następnie kierował przedsiębiorstwem należącym do Jana Misiudy w Samborcu. W latach 1934-1936 odbył służbę wojskową w 18. batalionie Korpusu Ochrony Pogranicza w Rokitnie. W 1939 r. został zmobilizowany do wojska i brał udział w kampanii wrześniowej. W swoim życiorysie zapisał: „Z wojny wróciłem w listopadzie 1939 r. i powtórnie objąłem ten sam młyn [w Samborcu] i prowadziłem go do 1943 r. Lecz z powodu aresztowania przez Niemców



Stary Targ – zabudowania gospodarcze dawnego młyna, fot. A. Langowski

mojej rodziny przerwałem pracę i wyjechałem do Warszawy, gdzie pozostałem do czasu mego wyjazdu na Zachód celem poszukiwania pracy”.

Nominację Pietruszki na zarządzanie młynem w Starym Targu wydaną przez PUZ podważało Starostwo Powiatowe w Sztumie, które wskazało swojego kierownika. Osobą wyznaczoną przez starostwo był Józef Lis. Pomiędzy PUZ i starostwem wywiązał się ostry spór kompetencyjny, obie strony domagały się cofnięcia wydanych nominacji i uznania własnego kandydata. 6 listopada 1945 r. PUZ wystosował prośbę o interwencję do WUZG, zwracając uwagę, że „podobne incydenty wprowadzają w terenie dezorganizację i podkopują zaufanie do władz państwowych”. Już następnego dnia gdański WUZ powtórzył nominację dla Pietruszki, której starostwo nie zaakceptowało. Kierownik Referatu Przemysłowego Starostwa Powiatowego w Sztumie, E. Roguszczyk, w piśmie z 10 listopada potwierdził wcześniejsze stanowisko starostwa w tej sprawie. Co ciekawe, w tym samym piśmie oświadczył, że nie uznaje nie tylko Pietruszki, ale również tymczasowego kierownika młyna w Koniecwałdzie, pełniącego swe obowiązki na podstawie nominacji PUZ. Przypomnijmy, że kierownikiem młyna w Koniecwałdzie z nadania PUZ był wówczas Jan Kopiec. Z kolei starostwo nominowało Czesława Iwickiego, który „włożył wiele pracy i kapitału i można powiedzieć, że tylko dzięki niemu młyn nie został rozebrany i wywieziony”. Roguszczyk poddał krytyce działania PUZ, stwierdzając, że „kosztem pierwszych pionierów nie można urządzić nowo przybyłych. W powiecie jest jeszcze wiele wolnych obiektów (także młynów) i jeśli dany petent posiada odpowiednie kwalifikacje, nie mamy nic przeciw temu, aby otrzymał nominację, niechaj zasób jego kapitału i energii doprowadzi dany obiekt do

takiego stanu, w jakim znajdują się zakłady objęte przez starych kierowników”. W sporze zabrał głos także Pełnomocnik Obwodowy RP (odpowiednik starosty), Romuald Marmurowicz, żądając odwołania Pietruszki do 12 listopada, w przeciwnym razie włączy w to milicję. Marmurowicz tłumaczył, że na terenie jego powiatu nie może „w żadnym razie tolerować dwutorowych zarządzeń”.

Mimo ultimatum postawionego przez starostę, w kolejnych tygodniach Pietruszka utrzymał się na stanowisku i kierował młynem do grudnia 1945 r., kiedy to zakład w Starym Targu spłonął. Pożar młyna miał miejsce w nocy z 15 na 16 grudnia. Wyjaśnieniem sprawy zajął się Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa w Sztumie, do którego Komisarz Ziemiański zwrócił się z prośbą o przekazanie rezultatów śledztwa, a w szczególności „czy odpowiedzialność za wypadek nie ciąży na kierowniku młyna”. Wydaje się, że śledztwo nie wykazało winy zarządcy, ponieważ kilka miesięcy później Pietruszka został skierowany do Stanówka.

W lustracji młyna w Starym Targu przeprowadzonej 21 lutego 1946 r. zapisano, że jest on spalony, a były właściciel stara się o jego reprzywatyzację. Zaświadczenie wydane przez Sąd Grodzki w Sztumie z dnia 27 lutego 1948 r. wskazuje, że starania rodziny Witkowskich o zwrot majątku zakończyły się sukcesem, ponieważ jako właściciel nieruchomości wymieniony został Franciszek Witkowski.

Żuławka (Pozolia, Posilge)

Powojenna historia młyna w Żuławce wiąże się z postacią Grzegorza Wilewskiego, pochodzącego z Biskupic Nowych w powiecie grójeckim. Miał on pewne doświadczenie w pracy w młynarstwie, ponieważ w latach 1927-1929 był zatrudniony w młynie firmy „Kosmala” w Warce. Jak podał w swoim życiorysie, większość wojny spędził w niewoli, a po oswobodzeniu przesiedlił się wraz z rodziną „na nowo odzyskane tereny Polski, do grom. Posilge, pow. Sztumskiego”. Sześćohektarowe gospodarstwo rolne w Żuławce wraz z młynem, należącym wcześniej do Niemca, Artura Puchmanna, powierzono mu 17 lipca 1945 r. Odnotujemy, że w protokole przekazania gospodarstwa, oprócz Wilewskiego, wymieniony został Stanisław Koper, również pochodzący z powiatu grójeckiego.

Wilewski pełnił funkcję sołtysa i cieszył się dobrą opinią w lokalnym środowisku, co potwierdzał wójt gminy Jasna. Z kolei w zaświadczeniu wystawionym przez Inspektorat Rejonowy Osadnictwa PUR napisano o nim, że wyremontował i uruchomił wiatrak oraz, nie mając konia, obsiał jesienią 1945 r. 0,5 ha żyta i 0,5 ha pszenicy. Doceniano także jego współpracę z Inspektoratem w akcji osiedleńczej, stwierdzając na zakończenie: „Na terenach odzyskanych jest człowiekiem dodatnim i pożądanym”.

Młyn, którym zarządzał Wilewski, był murowanym wiatrakiem w średnim stanie, ze skromnym wyposażeniem. Inwentarz z czerwca 1946 r. zawierał zaledwie pięć pozycji: parę kamieni do śrutowania o średnicy 100 cm, windę do wyciągania worków, wagę decymalną z ciężarkami, drewniany wał z kołami trybowymi oraz warsztat stolarski. Z zaświadczenia władz gminy Jasna z 9 czerwca 1947 r. wynika, że od 1 grudnia 1946 r. zakład w Żuławce był nieczynny z powodu zepsucia, a „zbiory żniwne w 1946 r. zostały w 100% zniszczone przez gryzonie, co zostało komisyjnie stwierdzone”. Z kolei w arkuszu lustracji przeprowadzonej w lipcu 1947 r. wpisano: „Wiatrak zniszczony, bez jednej śmigi, przestarzały, urządzenia młyńskie prymitywne”. Przytoczone zapisy wskazują, że w okresie powojennym młyn w Żuławce nie rozwinął działalności.

Arkadiusz Welniak



PIASKI ALBO DESCANSAR, CZYLI O ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI ALFREDA WELLMMA

W styczniowy wieczór 1977 roku oszklone audytorium Pałacu Republiki w Berlinie Wschodnim wypełnił spory tłum oficjeli, partyjnych dygnitarzy, przedstawiciele środowisk twórczych i zaproszonych gości. Świeżo oddany obiekt, zbudowany z wielkim rozmachem w miejscu zburzonego berlińskiego Zamku i przemianowany od razu przez berlińczyków na *Balast der Republik*, miał być nową siedzibą władz politycznych, a jednocześnie miejscem wydarzeń kulturalnych i artystycznych. Jedną z pierwszych okazji do celebrowania była właśnie akademie wręczenia nagród państwowych NRD w dziedzinie sztuki i literatury za 1976 rok. Rok szczególnie, w którym sprawa Karla Wolfa Biermanna wywołała silne reakcje społeczno-polityczne, dzieląc mocno środowiska kultury wschodnich Niemiec¹. W takiej atmosferze ówczesny Minister Kultury NRD Hans-Joachim Hoffmann i towarzyszący mu dyrektor Akademii Sztuk wywoływali do odznaczenia m.in.: aktorkę Angelikę Domröse, dramaturga Erwina Strittmattnera i serbołużyckiego powieściopisarza Jurija Brezana. Ostatnim z nagradzanych był pisarz Alfred Wellm z Meklemburgii. Anna Seghers ze Związku Pisarzy NRD odczytująca uzasadnienie wspomniała o dotychczasowym dorobku literackim Wellma i jego znaczeniu w kształtowaniu „właściwych” postaw młodego pokolenia. Pisarz, który miał na koncie już kilka innych nagród literackich² był dla władz kandydatem wygodnym, który nie podpisał wzorem np. Christy Wolf – listu intencyjnego w obronie zmuszonego do emigracji Biermanna³. Przesłanką do przyznania Wellmowi nagrody II klasy w dziedzinie literatury była wydana rok wcześniej powieść *Pugowitza*, której fabuła nawiązywała do wątków autobiograficznych pisarza urodzonego i dorastającego na Mierzei Wiślanej.



Alfred Wellm, 1975

¹ Karl Wolf Biermann (ur. 15 listopada 1936 w Hamburgu) – niemiecki śpiewak, poeta, pisarz i dysydent. W 1953 roku przeniósł się do NRD. W 1960 Biermann rozpoczął pisanie piosenek, które wkrótce zdobyły znaczną popularność. W 1965 roku w NRD zakazano publicznego wykonywania jego utworów. W 1976 roku, po występie w Kolonii, nie zezwolono mu na powrót do Berlina, odbierając mu jednocześnie obywatelstwo NRD. Fakt ten spowodował lawinę protestów wśród intelektualistów zarówno w NRD jak i w RFN. W: Emmerich: *Kleine Literaturgeschichte der DDR*. Berlin 2000, s. 191 i n.; U. Mählert, *Krótką historia NRD*, Wrocław 2007.

² W 1969 roku Wellm otrzymał Nagrodę Fritza Reutera powiatu Schwerin oraz Nagrodę Heinricha Manna od Akademii Sztuki NRD w Berlinie. Razem z nim otrzymał ją Werner Heiduczek, znany niemiecki pisarz i eseista.

³ Niewygodną dla władz sytuację z Biermannem zaognił głośny akt samospalenia na znak protestu, którego dokonał 18 sierpnia 1976 roku pastor Oskar Brüsewitz z Zeitz koło Lipska. Szerzej: U. Mählert, op. cit., s. 63-71.



Akt małżeństwa rodziców Alfreda Wellma zawarty w Malborku w 1923 r.

Alfred Wellm przyszedł na świat 22 sierpnia 1927 roku w Piaskach (Nowej Karczmie, niem. Neukrug) w rodzinie piekarza Augusta Wellma i Szarlotty z domu Preusshoff. Rodzinny dom oraz sąsiadująca z nim piekarnia znajdowały się niedaleko kościoła, a do rodziny należała także parcela z zabudowaniami gospodarczymi usytuowana niedaleko przystani rybackiej. Udokumentowane korzenie rodziny Wellm związane z Mierzeją Wiślaną sięgają drugiej połowy XVII wieku⁴. Już w 1675 roku w Przebrnie wzmiankowany był dzierżawca Jacobus Wellem, którego potomkowie osiedlili się w następnych dekadach także w Skowronkach, Krynicy Morskiej, przenosząc się stamtąd dalej do osad rybackich położonych we wschodniej części Mierzei. W 1851 roku pradziadek pisarza – Gottfried Ferdinand przybył do wsi Piaski, gdzie terminował początkowo jako rybak zalewowy u rodziny Loewner. Dzięki małżeństwu z owdowiąłą Elisabeth Hildebrandt stał się właścicielem sporej zabudowanej działki rybackiej⁵. *Käthner-*

grund Wellmów była szczęśliwie położona w części wsi, gdzie nie docierały piaski z rozrastających się gwałtownie nadmorskich wydm, niszczących liczne zabudowania i wpływających na znaczne wyludnienie osady⁶. Wspomniany Gottfried Wellm doczekał się tylko jednego syna – Benjamina, urodzonego dokładnie w czasie, kiedy w Prusach rozpoczynał się trzydziestoletni okres panowania cesarza Wilhelma I Hohenzollerna.

Benjamin Wellm, który dożył 1937 roku, zapisał się jako człowiek przedsiębiorczy i zaradny, który w ciągu długiego życia zdołał unowocześnić gospodarstwo rybackie, budując w jego obrębie magazyn zbożowy, naturalną chłodnię oraz piekarnię⁷. Ta ostatnia, nadzorowana głównie przez jego żonę Wilhelminę, wypiekała chleb na potrzeby lokalne, a także dla urlopowiczów odwiedzających Piaski w miesiącach letnich. Do zawodu piekarza przeznaczony został najstarszy syn Benjamina – August Wellm. Mimo że przejął on po przodkach smykałkę do rybołówstwa, wyuczył się zawodu kupieckiego, pracując jako pomocnik piekarza w Szylenach koło Gołdapi oraz w Malborku. W mieście nad Nogatem w 1923 roku zawarł swój związek małżeński z córką miejscowego kupca. Był to okres wyjątkowo trudny

⁴ Genealogia rodziny Wellm na podstawie ksiąg metrykalnych parafii ewangelickich w Przebrnie i Piaskach z lat 1821-1919 zachowane w zasobie Evangelisches Zentralarchiv Berlin oraz zbioru Akta kościołów ewangelickich w Przebrnie i Nowej Karczmie z zasobu Archiwum Państwowego w Gdańsku. Sygn. 382/1-2. Dane z myheritage <https://www.myheritage.de/research/collection-40001/familysearch.com> (dostęp 13.02.2023)

⁵ Archiwum Państwowe w Malborku (dalej: APM), Sąd Obwodowy w Elblągu, Sygn. 502/654, 1606-1608. Wartość działki Wellmów oszacowano w 1856 roku na 400 talarów, co było kwotą wyjątkowo niską, dowodzącą, że narażona na zapiaszczenia osada nie wydawała się specjalnie ponętną na osadnictwo.

⁶ G. Mielcarczyk, *Narmeln – Neukrug – Vöglers – Ein Kirchspiel auf der Frischen Nehrung*, Bremerhaven 1981.

⁷ W 1894 roku działka Wellmów obejmowała dom mieszkalny, budynki gospodarcze na wschód o pow. 0,95 arów. Tabela gruntowa w zespole archiwalnym Sąd Obwodowy w Elblągu, APM, Sygn. 502/654.

w dziejach Niemiec, gdzie konsekwencje przegranej wojny przełożyły się na chaos społeczno-polityczny i kryzys gospodarczy, boleśnie dotykający również wschodnie prowincje państwa. W ramach nowego, powersalskiego porządku osada Piaski wraz z kilkoma innymi miejscowościami na Mierzei Wiślanej pozostała w granicach Niemiec, stanowiąc odtąd część składową powiatu elbląskiego. Przebieg nowej granicy z Wolnym Miastem Gdańsk między Przebrnem a Skowronkami nie tylko ograniczył możliwości handlowe i komunikacyjne, ale również niekorzystnie odbijał się na samych połowach⁸. Ukryte wśród lasów i wysokich wydm – Piaski pozostały także w okresie III Rzeszy ubogą i nieco zapomnianą osadą o skromnej, tradycyjnej zabudowie, pomijaną zazwyczaj przez rzesze letników wypełniających coraz tłumniej sąsiednie uzdrowisko Krynica Morska.. We wrześniu 1939 roku w Piaskach mieszkało 114 stałych mieszkańców, głównie przedstawiciele wielopokoleniowych rodzin rybackich: Modersitzkich, Loewnerów, Littkemanów czy Hildebrandtów, którzy jak przodkowie Alfreda Wellma osiedlali się w tej okolicy od siedemnastego wieku. Antropolog Ernst Dobers z Elbląga, badający naukowo strukturę społeczno-demograficzną i pochodzenie rodzin rybackich w tej części Mierzei, zwrócił szczególną uwagę na niewielką mobilność mieszkańców tych wsi na przestrzeni stuleci i wysoki stopień pokrewieństwa pomiędzy poszczególnymi rodzinami⁹.

Alfred Wellm dorastał w domu rodzinnym z rodzicami, starszą siostrą oraz dziadkami, pomagając od dzieciństwa w pracy w piekarni i towarzysząc mu w wyprawach na ryby. Nieprzypadkowo wątek wędkowania i swoista gloryfikacja profesji rybaka stały się nieodłącznym motywem kilku jego najważniejszych powieści. Wellm – podobnie jak wybitny czeski dramaturg Ota Pavel – kreślił w nich obraz sprzecznych postaw moralnych i światopoglądowych, ludzkich dramatów i dylematów, spinając je umiejętnie z opisem przyrody, bogactwem fauny i fascynacją światem ryb i sztuki połowów¹⁰. Warto zaznaczyć, że w 1935 roku Alfred przez blisko siedem miesięcy towarzyszył ojcu w jego pracy wędrownego rybaka na Mazurach. Oznaczało to dla ośmiolatka nieuregulowany tryb życia z dala od mamy i szkoły, ale też poczucie nieskrępowanej wolności, długie noce przy ognisku czy nabywane doświadczenie w łowieniu ryb. Jako dwunastolatek i uczeń ostatniej klasy czterooddziałowej szkoły realnej w Piaskach został zobowiązany przez miejscowego nauczyciela i partyjnego aktywistę do uczestnictwa w spotkaniach *Deutsches Jungvolk*¹¹. Od jesieni 1938 roku Alfred

⁸ Dodatkowym osłabieniem w połowie lat dwudziestych były przypadki skażenia ryb z Zalewu Wiślanego, które przejściowo wstrzymywały możliwości połowów. Epidemiczne wystąpienie zatrucia ryb w latach 1924-1939 nazwano *chorobą zalewową* (Haffkrankheit). Jego nazwa pochodziła od Zalewu Wiślanego, na którego północnych brzegach zachorowało w sumie około 1000 osób, w tym kilkanaście zmarło. Głównym ogniskiem choroby była północna część Zalewu Wiślanego, choć zachorowania odnotowano również w sąsiadującej z Piaskami wsi Narmeln (1924 i 1932). Przyczyną choroby była zanieczyszczenia z fabryki celulozy pod Królewcem. Por.: J. W. Schmidt, *Die „Haffkrankheit“ in Ostpreussen*. [w:] *Jahrbuch Preußenland*, Nr 47/2 (2009), S. 57–60.

⁹ Ernst Dobers (1892-1945) niemiecki historyk i antropolog, w okresie hitlerowskim autor publikacji o polityce rasowej i antysemickiej. Pedagog i rektor Akademii Pedagogicznej w Elblągu. Pracę habilitacyjną poświęcił strukturze społecznej rybaków z Mierzei. Por.: E. Dobers, *Westpreußische Nehrungsfischer*, unveröffentlichte Habilitationsschrift, Königsberg 1942. Fragmenty pracy opublikowano w *Altpr. Geschlechterkunde*, Nr 96 (1996).

¹⁰ Ota Pavel, właśc. Otto Popper (1930-1973) – czeski pisarz i dziennikarz żydowskiego pochodzenia. Autor m.in. powieści *„Śmierć pięknych saren”* i *„Jak spotkałem się z rybami”*

¹¹ *Deutsches Jungvolk* – organizacja w strukturach Hitlerjugend, zrzeszająca chłopców w wieku 10–14 lat. Od 1939 roku przynależność do niej była obowiązkowa.

Wellm kontynuował naukę w szkole w Elblągu, pomieszkując przy tym u wujostwa przy ówczesnej Sternstrasse. Okres letni spędzał z rodziną na Piaskach, dzieląc ten czas między obowiązki domowe, zabawy z rówieśnikami oraz długie, piesze wędrówki do Narmeln czy tętniącej życiem Krynicy. Dużo czytał, a osiągnięte w szkole wyniki pozwalały widzieć go w niedalekiej przyszłości nawet w roli studenta, pierwszego zresztą w dziejach rodziny Wellm.

Tymczasem echa wojny docierały początkowo na Mierzeję Wiślaną jedynie w propagandowych komunikatach o kolejnych błyskawicznych zwycięstwach Wehrmachtu w Polsce czy we Francji. Z czasem znalazły one jednak swój wymiar w masowych powołaniach miejscowych mężczyzn do wojska, w partyjnych wiecach czy maszerujących grupach Hitlerjugend, za którymi echo niesło po lesie: *Wir sind der Zukunft Soldaten. Jugend! Jugend! Träger der kommenden Taten. Führer, wir gehören dir, Wir Kameraden, dir!*¹².

Latem 1941 roku, kiedy wybuchła wojna z ZSRR – czternastoletni Alfred Wellm za radą nauczyciela został słuchaczem Kolegium Nauczycielskiego w Pieniężnie¹³. Instytucja zorganizowana zgodnie z dyrektywami hitlerowskiego systemu kształcenia przyszłych kadr pedagogicznych, funkcjonująca ściśle wedle drylu wojskowego, została usytuowana w przejętych budynkach klasztornych zlikwidowanego Niższego Seminarium Duchownego¹⁴. Przewidziane w podstawie programowej bloki zajęć z nauk przyrodniczych, ścisłych i humanistycznych czy muzyki zostały podporządkowane indoktrynacji ideologicznej, pełnej nacjonalizmu, rasizmu i zniekształconego historyzmu. Pisarz przeniósł część tych doświadczeń na karty swojej powieści „Wanzka”, wskazując między wierszami te elementy i cechy, której mimowolnie wchłonął także system nauczania powszechnego w NRD.

Święta Bożego Narodzenia 1944 roku Alfred spędził w rodzinnym domu wraz z matką i siostrą oraz ciotkami i młodszym kuzynostwem. Był jedynym młodym mężczyzną przy wigilijnym stole, na którym, pomimo obowiązującej wojennej reglamentacji, znalazły się obok wypieków, także solone śledzie w zalewie octowej, smażony sandacz i całkiem spore porcje okonia i węgorka. Zapewne nie wszyscy uczestnicy świątecznej kolacji zdawali sobie wtedy do końca sprawy, że to ich ostatnie tygodnie w rodzinnej miejscowości. Wszak za kilka tygodni los miał ich rozdzielić, rzucając do obozów przejściowych w duńskim Kløvermarken, do Berlina czy też zbombardowanych miast portowych północnych

¹² Tłum.: *Młodzieży! Młodzieży! Jesteśmy żołnierzami przyszłości. Młodzieży! Młodzieży! Niosąca przyszłe czyny. Wodzu, do ciebie należemy, My tobie towarzyszymy!*

¹³ W listopadzie 1940 roku dekretem Hitlera utworzono w Niemczech kolegia nauczycielskie, do których mieli być kierowani utalentowani uczniowie, którzy m.in. z powodów finansowych większość nie mieli możliwości uczęszczania do szkół średnich. Otrzymali możliwość darmowego kształcenia na nauczycieli szkół podstawowych. Utworzenie kolegiów nauczycielskich (LBA) oznaczało w praktyce odejście od dotychczasowego akademickiego kształcenia nauczycieli, któremu sprzeciwiała się nazistowska polityka szkolna. Okres kształcenia miał wynosić pięć lat i kończyć się pierwszym egzaminem nauczycielskim. Zgodnie z dekretem z selekcja kandydatów odbywała się na podstawie ogólnej postawy (predyspozycje przywódcze), zdolności fizycznych i talentu intelektualnego. Na czele listy przedmiotów znalazło się wychowanie fizyczne. Do tego dochodziły wakacyjne praktyki pracownicze.

¹⁴ W lutym 1939 r. zostało otwarte w werbistowskim klasztorze hitlerowskie seminarium nauczycielskie. Zakonnikom pozostawiono jedynie kościół i część mieszkalną. Kolegium pozostawało pod protekcją Akademii Pedagogicznej w Elblągu. W 1941 kościół zamknięto i urządzono w nim aulę Kolegium.

Niemiec, gdzie z nadzieją oczekiwali na wieści o losach swoich bliskich¹⁵. Siedemnastoletni Alfred nie dokończył Kolegium Nauczycielskiego w Pieniężnie. Działalność placówki zawieszono w styczniu 1945 roku, kiedy ruszyła decydująca ofensywa II i III Frontu Białoruskiego w Prusach Wschodnich. Dwa najstarsze roczniki słuchaczy oraz część kadry została wcielona do Wehrmachtu¹⁶. Pomimo otrzymanego przydziału mobilizacyjnego młody Wellm ciężko zachorował na tyfus i zamiast do jednostki w Kranz trafił do szpitala w Piławie. Kiedy został z niego wypisany, trwał ostatni etap walk o Elbląg, a w kierunku Mierzei ciągnęły przez zamarznięty Zalew Wiślany kolumny uciekinierów z całej Prus Wschodnich.



Kadr z filmu „Wanzka”, prod. Niemcy 1990, na podstawie scenariusza opartego na powieści „Pause F. Wanzke oder Reise nach Descansar” Alfreda Wellma

Nie do końca wiadomo, kiedy dokładnie i w jakich okolicznościach Alfred Wellm przemierzył drogę z Pillau do Gdańska i czy mógł po drodze odwiedzić także rodzinne Piaski, z której ewakuowano już jednak jego matkę i krewnych. W pierwszych dniach marca 1945 roku dotarł na statku ewakuacyjnym do zbombardowanego nieco wcześniej Sassnitz na Rugii i dalej do Stralsundu. Tam otrzymał nowy przydział mobilizacyjny do formowanych oddziałów pod Ratyboną. W okresie walk i natarcia wojsk alianckich wraz z dwoma innymi żołnierzami podjął skuteczną próbę ucieczki¹⁷. Jako dezertor pod fałszywym nazwiskiem przedostał się do zajętego już przez wojska brytyjskie Lüneburga, gdzie doczekał kapitulacji.

Pierwsze powojenne tygodnie spędził u krewnych w podberlińskim Falkensee, gdzie dotarła też jego matka i siostra, a z czasem także ojciec. Rodzina Wellmów pozostała ostatecznie na terenie radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech, którą w 1949 roku przemianowano na Niemiecką Republiką Demokratyczną. Faktem jest, że Alfred Wellm już latem 1945 roku wyjechał ze zrujnowanego Berlina do wsi Barsdorf nad Hawelą. Pracował tam m.in. jako woźnica u radzieckiego komendanta wojennego, ucząc się przy tym języka rosyjskiego. Żołnierze Armii Czerwonej, owa zhora ludności niemieckiej wysiedlonej

¹⁵ Od drugiej połowy stycznia 1945 roku rodzinne Piaski stały się areną nieustającej fali ewakuacji i ucieczki niemieckiej ludności cywilnej docierającej tu przez Zalew Wiślany i od strony Piławy w drodze do portów w Gdańsku, Gdyni i na Helu. Przykładowo siostra ojca pisarza – Anna Jansen, dożyła sędziwego wieku w miasteczku Stade k. Bremy, a jej młodszy brat Gustaw zamieszkał z rodziną w Kilonii.

¹⁶ Odtworzenie losów młodego Wellma w następnych dwóch miesiącach jest niełatwe, albowiem on sam nie wracał do tamtego okresu, a w relacjach m.in. jego żony Gudrun trafiamy na sporo rozbieżności i szereg znaków zapytania. C. Berger, *Von der Frischen Nebrung bis nach Bayern, und was Heinrich Habermann davon erlebte Zu Alfred Wellms* oraz *Pugowitza oder die silberne Schlüsseluhr* [w:] *Deutsch-Tschechische Nachrichten Dossier Nr. 3 Januar 2004 politisch literarische Reflexion zum Thema Flucht, Vertreibung, Erinnern in der DDR-Literatur Drei Vorträge von einer Tagung des Thüringer Forums in Jena am 24. Januar 2004*, s. 9-14

¹⁷ Wątki te zostały oddane w powieści *Pugowitza*.



Okladka książki „Historia małego Wruka” A. Wellm/S. Linke

ze Wschodu, w powieściach Wellma występowali zazwyczaj jako towarzysze-antyfaszyści, przedstawiciele nowego ładu społecznego, prości choć honorowi ludzie i gwaranci spokoju w niespokojnych czasach. Dyskusyjne jest na ile taki obraz wynikał ze szczerych przekonań ideowych młodego pisarza, a na ile był to jedynie pragmatyczny ukłon w kierunku oczekiwań nowej komunistycznej władzy¹⁸. Obraz stosunków na wsi i postaw jego mieszkańców w pierwszych latach budowania komunizmu stanowi tło powieści „Kaule” z 1962 roku. Stała się ona dla pisarza okazją do prezentacji własnych poglądów i rozważań natury społeczno-politycznej. Zgodnie z propagandowymi funkcjami literatury socrealizmu w książce dla dzieci odnajdujemy odniesienia do założeń planowej gospodarki, kolektywizacji czy metod produkcji. Dojrzewający ideologicznie bohater książki, nastoletni Norbert Kaule, dostrzega jedyną alternatywę dla kraju w wizji ustrojowej *ludowej demokracji* kreślonej przez robotnika fabrycznego. Przedstawiona w powieści ucieczka chłopca ze wsi w obliczu szykan, jest niczym innym jak nawiązaniem do fali uciezek i emigracji obywateli NRD na Zachód.

¹⁸ Wedle relacji Gudrun Wellm jeden z urzędników i przedstawicieli nowej władzy w Barsdorf, tak przekonująco miał promował wartości socjalizmu, że nie tylko Alfred Wellm i jego matka, ale także pół wsi miało wstąpić do Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (SED *Sozialistische Einheitspartei Deutschlands*)



Strona książki „Historia małego Wruka” A. Wellma z ilustracjami S. Linke

Wracając do biogramu Alfreda Wellma trzeba podkreślić, że już jesienią 1946 roku został oddelegowany do Seminarium Nauczycielskiego w Schwerinie, gdzie w odmiennej ideologicznej rzeczywistości uzupełniał przerwana edukację pedagogiczną. Dwa lata później rozpoczął swoją pierwszą pracę nauczyciela w wiejskiej szkole koło miasteczka Malchow. Wyróżniał się spośród kadry nauczycielskiej optymizmem i rozsądnym podejściem do uczniów. Podczas gdy jedni chwalili jego poświęcenie i zaangażowanie, wielu nie podobały się jego nietypowe metody nauczania, rozbieżne z linią kształcenia w nowej socjalistycznej szkole. W 1954 roku po ukończeniu kursu państwowego został także mianowany na stanowisko inspektora szkolnego. Z pewnością ta dodatkowa praktyka zawodowa i obserwacje nabyte podczas wizytacji pozwoliły mu potem umiejętnie zbudować fabułę powieści „Wanzka”.

W połowie lat pięćdziesiątych pojawiły się pierwsze próby literackie Alfreda Wellma publikowane na łamach biuletynów literackich i czasopism studenckich. Znajomość z szefem lokalnego wydawnictwa Friedrichem Rodrianem doprowadziła do podpisania przez Wellma umowy na napisanie dwóch książek dla dzieci. Zadebiutował w 1958 roku publikacją *Igel, Rainer und die anderen*, a wydana rok później powieść *Die Kinder von Plierversdorf* przyniosła mu wyróżnienie w konkursie regionalnym im. Fritza Reutersa. Wydawnictwa były wstępem do wspomnianej już powieści „Kaula”, dzięki której autor dołączył do pierwszego szeregu autorów książek dla dzieci i młodzieży w NRD. Wkrótce po jej wydaniu 36-letni wówczas Wellm zrezygnował z posady nauczyciela, zgłosił akces do Związku Pisarzy NRD i został oficjalnie zarejestrowany jako wolny pisarz¹⁹. Był to czas niestabilny politycznie, kryzys berliński i kubański wywoływały szereg reperkusji w całych wschodnich Niemczech. Wraz z narastającymi problemami gospodarki rósł terror aparatu bezpieczeństwa, a władze polityczne wobec notowanej skali ucieczek na Zachód uszczelniały granice państwowe, rozbudowując m.in. Mur w Berlinie. Przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych stanowił jednocześnie najbardziej aktywny etap w twórczości literackiej Wellma. W kręgu nowych znajomych autora znaleźli się poczytni pisarze wschodni Niemiec jak Franz Fühmann, Johannes Bobrowski czy Jurek Becker – późniejszy dysydent i autor głośnej powieści antywojennej „Jakub Kłamec”²⁰.

W 1969 roku Alfred Wellm otrzymał za powieść *Wanzka albo Podróż do Desansar* główną nagrodę literacką im. Henryka Manna. Książka, która notowała bardzo dobre wyniki sprzedaży, weszła do kanonu młodej literatury NRD i została wydana także w kilkunastu krajach bloku wschodniego. Za sprawą jej polskiej wersji z tłumaczeniem Haliny Leonowicz wiosną 1972 roku Alfred Wellm odwiedził także Poznań i Warszawę²¹. Wątpliwe, czy mógł przy okazji być także na Mierzei Wiślanej, albowiem taki pobyt mógłby zostać źle odebrany przez ówczesne komunistyczne władze.

„Wanzka” opowiada historię wiejskiego nauczyciela, propagującego zasady indywidualnego nauczania i promowania najzdolniejszych uczniów. Główny bohater powieści Gustaw

¹⁹ Schriftstellerverband der DDR (DSV) który strukturalnie stanowił kalkę Stowarzyszenia Pisarzy ZSRR powstał w 1950 roku. Finansowany przez Ministerstwo Kultury i nadzorowany przez Ministerstwo ds. Bezpieczeństwa.

²⁰ Jurek Becker (ur. 1937 w Łodzi, zm. 1997) był scenarzystą filmowej wersji „Wanzka”. Z kolei jego książka „Jakub Kłamec” (Jakob der Lügner) stała się podstawą scenariusza amerykańskiego filmu z 1999 roku, w reżyserii Petera Kassowitza z główną rolą Robina Williamsa.

²¹ Alfred Wellm, *Podróż do Desansaru*, Wydawnictwo Poznańskie 1972.

Wanzka, zbierający swoje doświadczenia zawodowe kolejno w okresie: Republiki Weimarskiej, III Rzeszy i w czasach NRD, staje się z czasem przeciwnikiem edukacji zbiorczej i kolektywnego kształcenia. Jego metoda nauczania prowadziła do konfliktów z administracją i kadrami pedagogicznymi, wśród której gro stanowili wygodni pragmatycy i partyjni karierowicze, przypadkowo tkwiący w zawodzie. Książka Wellma godząca w dotychczasowe założenia centralnie planowanej socjalistyczno-pruskiej *Volksbildung* trafiła na podatny grunt dyskusji o reformie szkolnictwa powszechnego w NRD. Wielu funkcjonariuszy oświaty ludowej, a także część środowiska partyjnego z ówczesną Minister Oświaty Margot Honecker było oburzonych²². Ówczesny prezes Związku Pisarzy NRD, Hermann Kant, chwalił z kolei poetycko-krytyczną fabułę powieści z jej uniwersalną, humanistyczną troską: *szkoła to nie dyscyplina i musztra, ale uwaga, zrozumienie oraz pobudzanie zainteresowań wśród uczniów*. Na kartach powieści przeplatają się liczne retrospekcje m.in. dzieciństwo spędzone u boku dziadka rybaka. Nieprzypadkowo zresztą w tytule książki pojawia się rybacka wioska Descansar (hiszp. spokój) gdzieś nad północnym morzem – cel odkładanej latami podróży starego nauczyciela.

W latach 1971-1976 rozwiedziony Alfred Wellm mieszkał w wygodnej służbówce na terenie odrestaurowywanego wówczas renesansowego Zamku w Güstrow. W tym okresie napisał m.in. książkę dla młodzieży *Das Pferdemädchen* (1974) oraz powieść *Pugowitz oder Die silberne Schlüsseluhr* (1975). Ta pierwsza powstała głównie na potrzeby adaptacji filmowej, w której w roli głównej wystąpiła jego trzynastoletnia córka Märkte²³. *Pugowitz* to wielowątkowa historia niezwykle przyjaźni osieroconego dwunastolatka Heinricha i starego rybaka Komarka, umiejscowiona w 1945 roku i rozciągnięta pomiędzy żywołową ucieczką ludności niemieckiej przed Armią Czerwoną a jej adaptacją już w nowym miejscu za Odrą. Alfred Wellm wyraziście zbudował postaci swoich bohaterów, ukształtowanych bądź to przez narodowy socjalizm z jego wypaczonym poczuciem wyższości narodowej, bądź przez postawę pełną uległości, obojętności i rezygnacji.

Struktura poetycka książki została określona przez konstelację dwóch głównych bohaterów, reprezentujących dwa różne pokolenia Niemców. *Pugowitz* należy do nielicznych wyjątków w literaturze NRD, które podejmowały w ogóle problematykę ucieczki i wysiedleń Niemców. Ich przedstawienie było rzecz jasna odmienne od treści martyrologicznych, dominujących w powieściach pisarzy zachodnoniemieckich. Wellm podobnie jak wcześniej w *Kaule* nakreślił fabułę w sposób neutralny dla żołnierzy radzieckich, postrzegając tragedie cywilnych uciekinierów jako skutek propagandy Goebbelsa. To ona miała – zdaniem pisarza – zbudować nieuzasadniony strach przed „sowieckimi hordami”. Strach ten wynikający według pisarza ze świadomości nazistowskich zbrodni zamyka się w stawianym w książce zasadniczym pytaniu o odpowiedzialność: *kto jest winny za cierpienie uciekinierów i kto właściwie zorganizował ten chaos*?²⁴. Podobnie interesująca, choć dziś mocno kontrowersyjna,

²² Autor rozpoczął pisanie „Wanzki” wiosną 1963 roku i złożył rękopis w 1967 roku. Do czasu jej ostatecznego wydania jesienią 1968 roku, na różnych szczeblach decyzyjnych trwały kontrowersyjne dyskusje, czy powieść powinna w ogóle zostać wydrukowana. Spór o publikację dotarł do rządu: minister edukacji narodowej odstąpiła od blokowania wydawnictwa dopiero po pozytywnej ocenie przewodniczącego Rady Państwa Waltera Ulbrichta.

²³ *Das Pferdemachen*, prod. NRD 1979 reż. Egon Schlegel.

²⁴ Zob.: C. Berger, op.cit., s. 9-14

jest zaprezentowana optyka tworzenia struktur administracji oraz integracji stałych i napływowych mieszkańców. Tych ostatnich, poza głównymi bohaterami, reprezentują m.in. dziewczyna wysiedlona z Prus Wschodnich oraz komunista, były uczestnik wojny domowej w Hiszpanii. Można by w tym miejscu pokusić się o poszukiwanie analogii i rozbieżności zachodzących choćby na Żuławach Wiślanych czy Mierzei Wiślanej, zasiedlanych po 1945 roku przez polską ludność ze wszystkich możliwych regionów i warstw społecznych. Piaski – rodzinna wieś Wellma stały się miejscowością graniczną, zmilitaryzowaną i z racji tego jeszcze bardziej izolowaną niż przed wojną. Co charakterystyczne na stałe osadnictwo ludności w Piaskach zezwolono dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych, co również miało swoje negatywne konsekwencje dla procesów społecznych²⁵. Autor *Pugowitzy* balansuje w rozwijanych wątkach między poprawnością polityczną i własnymi przekonaniami, które w ciągu trzech powojennych dekad zatraciły już jednak sporo z dawnego idealizmu i wiary w socjalistyczną sprawiedliwość. Powieść przemyca wątki sentymentalne i nostalgię za utraconymi ziemiami na Wschodzie. Głównych bohaterów łączy zamiłowanie do połowu ryb i prostego życia wśród natury, a w poetyckich opisach przyrody przewijają się nadmorskie krajobrazy, jeziora i lasy. Ten klimat udało się zachować w wersji filmowej *Pugowitzy*, z udziałem polskiego aktora Szymona Szurmieja w roli rybaka Komarka²⁶.

W 1976 roku Wellm przeprowadził się do zabytkowego domu we wsi Lohmen koło Güstrow. W otoczeniu pisarza znalazł się wówczas dramaturg i krytyk Joachim Wohlgemuth z pobliskiego Mirow, towarzysz wypraw wędkarskich nad pobliskie jeziora. Wohlgemuth okazał się tajnym współpracownikiem organów bezpieczeństwa (pseudonim „Fiedler”), który inwigilował lokalne środowisko literackie, pisząc raporty także na Alfreda Wellma²⁷. W latach osiemdziesiątych autor *Wanzki* skoncentrował się głównie na książkach dla dzieci, wydając m.in. wspólnie z Siegfriedem Linke opowiadanie *Das Mädchen mit der Katze*. Ostatnia powieść Wellma dydaktyczno-rozliczeniowa *Morisco* została wydana dwa lata przed upadkiem NRD.

W nowych realiach politycznych i ekonomicznych Alfred Wellm, podobnie jak cała rzesza wschodniemieckich twórców, nie do końca umiał się odnaleźć. Ciężący na wielu pisarzach balast polityczno-ideologiczny, utrwalany nierzadko propagandowy, antyzachodni kurs, czy odkrywana współpraca ze służbami bezpieczeństwa mocno ograniczała im dalszą karierę. W latach dziewięćdziesiątych stosunkowo niewielkie było więc zainteresowanie odświeżaniem książek eneradowskich pisarzy. Wellm zmarł po ciężkiej chorobie w grudniu 2001 w rodzinnym Lohmen, malowniczej wsi położonej wśród lasów i jezior Lohmer i Garder. Miejsce, które pisarzowi przypominało okres dzieciństwa spędzonego nad Zalewem Wiślany i nad mazurskimi jeziorami.

²⁵ Symboliczny obraz budowania powojennych relacji mieszkańców wsi, ich ścisłego związku z morzem i rybaczeniem przedstawił Krzysztof Kalukin w filmie dokumentalnym *Azyl na Piaskach* (1996).

²⁶ Produkcja filmowa *Pugowitza* prod. NRD, (1981), reż. Jürgen Brauer.

²⁷ Z odtajnionej teczki STASI z raportami na temat Wellma wynika, że pozwalano mu kilkakrotnie na wyjazd do rodziny na Zachód. Określono go jako reformatora, wskazując, że był m.in. za przywróceniem w nauczaniu antycznych przedmiotów jak łacina, logika czy filozofia. Pod względem charakteru i zaangażowania był oceniany przez służby jako „konsekwentny, samokrytyczny, przyjazny i wyrozumiały”. C. Berger, op. cit., s. 13.



Przystań rybacka w Piaskach.

W 2021 roku odwiedziłem Lohmen, gdzie udało mi się zobaczyć zadbane dom pisarza i miejscowy cmentarz oraz porozmawiać z kilkoma mieszkańcami. Większość dobrze pamiętała i ciepło wspominała tego skromnego człowieka i zapałonego wędkarza. Alfred Wellm mimo niewątpliwego talentu, musiał spełniać się jako pisarz i publicysta w państwie, które ograniczało swobodę literackiego przekazu. Ewolucja twórczości Wellma i kryzys ideowy pisarza na przestrzeni trzech dekad działalności literackiej jest aż nadto widoczny. A samo miejsce Piasków na Mierzei Wiślanej w twórczości Alfreda Wellma? – zapytałby bardziej uważny czytelnik. Tęsknota, sentyment, przerwana młodość, poszukiwanie owego *Ersatzland* czy jeszcze coś innego. Być może odpowiedź mieszczą się w słowach przedmowy do zachodnioniemieckiego wydania *Wanzki*: „powinien był wyruszyć w podróż do Descansar, gdziekolwiek leży to wymarzone miejsce z tytułu powieści”.

„TYLE O SOBIE WIEMY, ILE NAS SPRAWDZONO...”

Z Marcinem Owsieńskim rozmawia Andrzej Kasperek

CZEŚĆ I

Andrzej Kasperek: Rozpocznijmy od Twoich rodziców. Skąd oni się na Żuławach wzięli?

Marcin Owsieński: To koniec lat 60. Ze strony ojca moja rodzina jest spod Torunia, tam był majątek Nawra, znajduje się tam dziś niestety już tylko ruina pałacu rodu Szanieckich. Moja rodzina od strony babci pracowała dla nich. To stamtąd po wojnie przyjechali na Żuławy. Stąd ja czuję się Pomorzakiem. Moja babcia ma świadectwa z polskiej szkoły i niemieckiej. W albumie po niej jest też pełno zdjęć z okresu okupacji, kiedy ona i jej siostry stoją obok swoich kolegów i krewnych w niemieckich mundurach, które musieli założyć pod przymusem. Babcia Ewa edukację skończyła w 1941 roku jako poddana III Rzeszy i poszła do pracy. W Nawrze przeżyła niemiecką okupację, niszczenie polskiej kultury i pałacu, a także wejście Sowieców, a potem wprowadzanie nowych porządków. Stamtąd pochodził jej mąż, cała moja rodzina pochodzi spod Torunia. Nie przyjechali tu zaraz po wojnie, dopiero w latach 60. Reszta rodziny mówiła o nich, że „pojechali na Zachód”. Przyjechali do pracy w pegeerze, osiedli w Grochowie Pierwszym. Tam mój ojciec, który był najstarszy z rodzeństwa, wchodził w dorosłość. Mój dziadek szybko zmarł i ojciec zaczął pracę, był traktorzystą, obsługiwał różne maszyny... A moja mama na początku lat 70. przyjechała do Nowego Dworu Gdańskiego do swojej ciotki, inna część jej rodziny mieszkała w Stegnie. Tu znalazła pracę, z zawodu jest zootechnikiem. Zaczynała w Książących Żuławach, a później przeprowadziła się do Grochowa Pierwszego i tu poznała tatę. Mama i jej rodzina jest z Kongresówki, Z Siemkowiec, z okolic Częstochowy, od pokoleń mieli tam niewielkie gospodarstwo rolne. Jestem zatem po przodkach dość zmieszany jeśli chodzi o regiony i tradycje... Ale bardziej chyba czuję się po tacie związany z Pomorzem, to moje klimaty, co roku jeżdżę do Nawry...

Dlaczego wybrałeś studia na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu a nie na Uniwersytecie Gdańskim?

Bo według opinii, jakie miałem, był lepszy. Nazwiska profesorów historii na UMK to była czołówka akademicka, UG wtedy dla mnie nie było w sferze zainteresowań... Nie bez znaczenia był także fakt, że blisko mieszkała rodzina taty.

A skąd twoje zainteresowanie historią?

Pewnie w dużym stopniu to zasługa nauczycieli: w podstawówce to był pan Mirosław Rutecki, on mnie wysyłał na konkursy historyczne, nawet osiągałem etap wojewódzki, a w liceum to niezapomniany profesor Jasiu Wyka. Nie tylko był świetnym nauczycielem,

ale zawsze opowiadał nam, że w wakacje spotyka się ze swoimi kolegami ze studiów, razem dyskutują, podróżują... Wtedy był pewnie w moim obecnym wieku. Bardzo mi to imponowało. A później się okazało, że jego koledzy to są dziś moi koledzy: Andrzej Gąsiorowski, Bogdan Chrzanowski, dwóch profesorów, którzy u niego byli na roku; to o nich opowiadał, jak się spotykają, spędzają razem czas, bawią się...



Marcin Owiński ze swoimi książkami, fot. archiwum

Od Basi Wyki, wdowy po Januszu, która też jest historyczką po UG, wiem, że takie spotkania absolwentów historii ciągle się odbywają. Zazdroścę im, bo poloniści nie robią takich spotkań.

MO: Bogdan [Chrzanowski] i Andrzej [Gąsiorowski] są już po siedemdziesiątce, ciągle aktywni, „od zawsze” w Muzeum Stutthof – Bogdan ma 50 lat nieprzerwanej pracy w muzeum, obaj są profesorami na UG, udało im się połączyć pracę w muzeum i ścieżkę akademicką. W ubiegłym roku przeprowadziłem i opublikowałem z nimi duży wywiad na temat ich półwiecza pracy naukowej w muzeum. A to dziś moi koledzy! I moje autorytety, wiele mi dają kontakty z nimi, rozmowy, zawsze pomogą, doradzą. Zawsze mnie to interesowało. Historyk to człowiek ciekawy, który zaczyna zadawać pytania, skąd to się wszystko wzięło, skąd my wiemy, co się kiedyś działo. Dzięki warsztatowi historyka i tej charakterystycznej ciekawości dziś odpowiedziałem sobie na te dawno temu zadawane pytania... Na pewno wiele zawdzięczam moim nauczycielom historii z podstawówki i liceum. W zasadzie historii nigdy nie musiałem się uczyć, ona sama do mnie przychodziła.

Tak, w czasach, kiedy Janusz uczył w naszym ogólniaku historii, to wiele osób wybierało ten kierunek studiów. Przykłady dr. hab. Dariusza Dekkańskiego czy twój są wymowne.

Ale, co ciekawe, w czasach licealnych nie brałem udziału w olimpiadach historycznych, za to profesorka Preiss wysyłała mnie przez kilka lat na olimpiady polonistyczne. Dobrze to wspominam, to uformowało mnie humanistycznie, a przecież byłem w klasie „mat-fiz”.

Opowiedz teraz o swojej rodzinie.

Sylwia, moja żona, pochodzi z Giżycka z Mazur. Spotkaliśmy się w jednej ławce na zajęciach z niemieckiego, na drugim roku. Jej rodzina pochodzi z Wilna, to był ten pierwszy transport stamtąd po ustanowieniu nowych granic. Ludzie wysiadali na Mazurach, następne pojechały do Torunia i Gdańska. Teść był piekarzem, podobnie jego przodkowie,



Owsińscy w komplecie, fot. archiwum

rodzina teściowej pochodzi spod Płocka... Mama teściowej jak też i jej ojciec to byli więźniowie Stutthofu, których obóz związał na całe życie...

Jednak, jak kiedyś mi opowiadałeś, żona nie pokochoła Żuław. Podobnie jak moja...

Dla Sylwii najpiękniejsze miasto świata to Giżycko, niezależnie od tego, co ja o tym myślę...

Myślę, że dziś Giżycko może być całkiem ładnym miasteczkiem. Podobnie jak Nowy Dwór. Ale kiedy przyjechaliśmy tu w 1985 roku, moja żona jęknęła: „Gdzieś ty mnie przywiózł!”. [śmiech] Choć po prawdzie rozumiałem jej zawód i ból, bo to była wtedy straszna dziura. Nie to co dziś...

Mój teść tylko raz był w Sztutowie. Przeszedł się nad morze i wrócił do Giżycka. Chyba zawsze żałował, że jego córka przeprowadziła się na wieś...

Żona jest nauczycielką i dyrektorką Szkoły Podstawowa im. Pamięci Ofiar Stutthofu w Sztutowie.

A co robią wasze trzy córki?

Sylwia jest świetną historyczką, nauczycielką z pasją. Jej uczniowie byli laureatami konkursów. Dzieci studiują. Kasia i Marysia są absolwentkami gdyńskiej Trójki, dziś studentkami Uniwersytetu Jagiellońskiego, biotechnologia i medycyna. Najmłodsza Paula też wybrała profil „biol-chem”. Na razie jest w LO w Gdańsku. Ale są także humanistkami, interesują się sztuką, chodzą do muzeów i na wystawy. Paula lubi scenę, taniec akrobacyjny i aktorstwo, wystąpi w sztuce „Tylko jeden dzień” na scenie teatralnej Żuławskiego Ośrodka Kultury, zagra muszkę Jętkę Jednodniówkę w drugiej obsadzie...

W twoim życiorysie z 2015 roku, kiedy otrzymałeś tytuł doktora nauk humanistycznych na UMK w Toruniu, podałeś, że twoje zainteresowania naukowe, publikacje i wystawy obejmują kilka równoległych dziedzin: „W zakresie historii obozu koncentracyjnego Stutthof podejmowałem m.in. temat kobiet z konspiracji uwiezionych w obozie, zagadnienie dziejów Obozu Specjalnego, życia codziennego ludności polskiej na Pomorzu w okresie okupacji, przedstawiłem analizę zmian w działalności obozu jakie nastąpiły w 1942 roku, kilkakrotnie opublikowałem w różnej objętości syntezy dziejów obozu Stutthof. Drugim interesującym mnie zagadnieniem jest analiza społeczności więźniarskiej KL Stutthof, w tym szczególnie analiza biografii i doświadczeń życiowych byłych polskich więźniów politycznych. [...] Trzecim [...] jest

historyczno-socjologiczna analiza oddziaływania KL Stutthof na bliższe i dalsze otoczenie społeczno-gospodarcze w okresie 1939-1945, w tym stosunku niemieckiej ludności miejscowej do więźniów obozu. W bardzo podobnym kontekście staram się też badać stosunek powojennej polskiej ludności Sztutowa do terenu i spuścizny byłego KL Stutthof po 1945 roku. Czwartym [...] jest powojenna historia gminy Sztutowo, Żuław oraz Muzeum Stutthof. [...] Piątym [...] jest kwestia działalności edukacyjnej muzeum-miejsca pamięci. [...] Równoległe do działalności naukowej na w/w polach prowadzę od kilkunastu lat aktywną działalność dydaktyczną”.... Bardzo tego dużo. Co się od tego czasu zmieniło?

Naukowo wciąż się uczę i dorastam. Trzymam się wskazówki moich mistrzów: żeby się nie ograniczać do jednego tematu i zagadnienia, tylko z ciekawością i pokorą drążyć dalej. Ciągłe zajmuję się tematami historii Sztutowa i obozu Stutthof, ale jednocześnie podjąłem temat dziejów Nowego Dworu („Tiegenhof – Nowy Dwór w 1945 roku | koniec i początek miasta na Żuławach”). Poza tym to kwestie pamięci i upamiętnienia, jestem współautorem dwóch książek w wydawnictwie Universitas: „Obóz-muzeum. Trauma we współczesnym wystawiennictwie” oraz „Znaki (nie)pamięci. Teoria i praktyka upamiętniania w Polsce”. To łączyło się z moją pracą szefa działu oświatowego, jak pokazywać miejsce pamięci. To wykracza poza lokalność. Są trzy główne krajowe ośrodki – muzea Stutthof, Majdanek i Auschwitz pracują nad tym, jak przyszłe pokolenia będą pamiętać. Dwadzieścia lat mojej pracy w dziale edukacji pozostawiło ślad. Małe muzeum zostało w ten sposób zauważone, doceniono to, co robiliśmy. Muzeum Stutthof zostało kilka razy nagrodzone Sybillą, statuetką Nagród Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w konkursie na Wydarzenie Muzealne Roku. Sybilla jest nazywana Oscarem muzealników. A moja ostatnia książka została zauważona w Polsce, wpisuje się w dyskusję czym jest pamięć, odpowiedzialność, jak potrafimy dziś osądzać przeszłość...

O twojej książce „Lagrowi ludzie. Śledztwo i pierwszy proces stutthofski (1945–1946). Opowieść o przemianie” pomówimy za chwilę. Chciałem cię jeszcze dopytać o twoją działalność oświatową. Robiliście rzeczy pionierskie, takie, jakich nikt przed wami nie robił. Pracowaliście nad koncepcją zwiedzania obozu przez młodzież...

Dla mnie historia jest tylko narzędziem. Ja nie wymagam znajomości dat, faktów i liczb... Dla mnie najważniejsza jest postawa, pewna refleksja, jaka towarzyszy pobytowi w tym miejscu, miejscu pamięci. Poznanie historii obozu, losów więźniów obozu ma sprawić, że odwiedzający to miejsce staną się lepsi. Powinno to (przynajmniej niektórym) pomóc w życiu, w podejmowaniu ważnych decyzji życiowych. Nasza praca edukacyjna, czy to będzie komiks, film, czy rozmowa a nawet praca fizyczna na terenie obozu, albo spotkania z więźniami, służy jednemu celowi. Kiedy dla tych ludzi przyjdzie jakiś czas wyboru, podjęcia ważnej decyzji, powinni wybrać dobrze. Tak, żeby nie krzywdzić innych, żeby to służyło nie tylko im, ale było dla pożytku wspólnego... Muzeum i pożytecznie spędzony czas w nim powinien zmieniać optykę życia.

Dla mnie poza taką zwyczajną, porządną robotą edukacyjną, ważne było to, co robiliście nowego, np. wydanie komiksu „Szczęściarz z rocznika 1917”; to ilustrowana



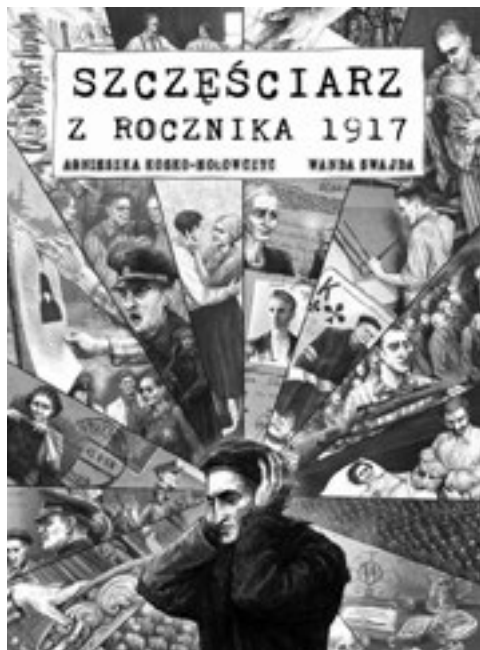
Muzeum Stutthof

opowieść biograficzna oparta na losach Felicjana Łady, autorstwa Agnieszki Kosko-Hołowczyc i Wandy Swajdy. Ta opowieść graficzna miała lepiej trafić do młodych. Ale wydarzyło się coś niezwykłego, bo młodzi ludzie z poprawczaka, którzy dostali ten komiks do lektury i którzy uczestniczyli w specjalnym programie dla osób osadzonych w zakładach poprawczych, gdzie jednym z elementów była praca fizyczna na terenie muzeum, faktycznie się „poprawili”...

To prawda. Czasem przychodzą do nas takie informacje. „Pobył u was bardzo mnie zmienił. Pamiętam, co tam przeżyłam i zobaczyłam. Chciałam pani podziękować...”. Taki list przyszedł kilka lat temu do Wirginii [Węglińskiej]. Po dwóch czy trzech latach napisała do niej dziewczyna z poprawczaka z podziękowaniem, bo wyszła „na ludzi”, znalazła chłopaka, założyła rodzinę. Píše tam, że ten pobyt w muzeum, w ramach od wielu lat realizowanego projektu edukacyjnego „Stutthof – ja w miejscu pamięci”, jej bardzo pomógł, bo ona starała się być lepsza. Po prostu. Komiks był bardzo udanym pomysłem, trafił do młodych. Mnie i mojemu zespołowi udało się także jeszcze coś bardzo ważnego: zabezpieczyliśmy i przekazaliśmy potomnym przekaz świadków, ludzi, których już nie ma. Byliśmy świadkami przemiany pamięci komunikatywnej w kulturową. Zdążyliśmy z nimi porozmawiać. I to nie z perspektywy historycznej a eschatologicznej, czyli podsumowania życia, tego, co przeżyli. Nagraliśmy przeszło sto takich wywiadów. Żadne inne muzeum w Polsce ani nie robiło tego tak, jak my (według wypracowanego schematu, przez dobrze przygotowanych pracowników), ani w takiej skali. To bezcenny materiał badawczy. Teraz od roku wiemy, czym jest wojna, codziennie oglądamy w telewizji doniesienia z Ukrainy. W ich opowieściach słyszymy ostrzeżenie, opowiadają, jak wojna wpłynęła na ich życie, jak często zrujnowała je. I że w takich momentach historycznych trzeba być przygotowanym

na ważne zmiany, na podejmowanie decyzji, które zaważą na naszym życiu. Oni pozostawili nam swoisty testament.

Czasem można spotkać się z opinią, że takie muzea martyrologiczne nie są dziś potrzebne...



Szczęściarz 1917

dało zwiedzanie Auschwitz w 1948, 49 roku. Pewnie podobnie to wyglądało, bo to była wówczas bardzo świeża pamięć...

Jak zwiedzać takie miejsca? Nie można, nie powinno się, wysadzić grupy młodzieży z autobusu i powiedzieć: „A teraz zwiedzimy Stutthof/Auschwitz...” Nawet najlepszy przewodnik nie poradzi sobie z tym, co oni nagle zaczynają czuć... Kilka lat temu oprowadzałem wycieczkę dorosłych po Żuławach. Zawsze włączam do programu KL Stutthof, ale oprowadzanie zlecam fachowym, miejscowym przewodnikom. Moją grupę oprowadzał Wiesław Olszewski. Uważam, że robi to bardzo dobrze. Ja nie szedłem z grupą, spacerowałem, rozmyślałem, zapadał zmierzch. Stałem koło krematorium i nagle zobaczyłem, że do tego straszego miejsca wchodzi młode małżeństwo z wózkiem i kilkuletnią córeczką. Zmartwiałem, bo nie powinni tego robić z tak małymi dziećmi. Oni po prostu urządzili sobie niedzielny spacer... Opowiedz o waszych radach, jak pokazać takie miejsce młodym ludziom.

Niestety, jeśli dzieci są z rodzicami, to nic nie możesz zrobić. Kluczem do oprowadzania wycieczki szkolnej jest nauczyciel, bo jeśli rozumie on rolę tego miejsca, które najczęściej

Ja się nie spotykam z takimi głosami. Myślę, że robimy ważną rzecz. Odeszło pokolenie świadków. Tocząca się od roku wojna każe nam przewartościować pewne opinie na temat miejsc pamięci, ich roli i znaczenia. Bo one są ważnym memento... Ukraińcy za jakiś czas wybudują podobne muzea, ale nie poświęcone II wojnie światowej a obecnej. Z pewnością Bucza i inne miejsca doczekają się swych muzeów i one przesłonią dawną „naszą starą” wojnę. A okazuje się, że schematy postępowania ludzi tak bardzo się nie zmieniły i są bardzo podobne do tych z przeszłości. I nowe muzea będą ostrzeżeniem dla ludzi... W Nowym Jorku byłem w muzeum 9/11 [National September 11 Memorial & Museum]. Niesamowite wrażenie robi, jak oprowadzają tam świadkowie zamachów, np. strażak, który tam był, teraz stoi koło wozu wydobytego spod gruzów. Ludzie płaczą, odtwarzają swoje emocje z 11 września 2001 roku. Ja sobie wyobraziłem, jak wyglądało

zwiedza się raz w życiu, to jeśli dobrze to przygotowuje, to oni tu wrócą, może z własnymi (z pewnością nie tak młodymi!) dziećmi. Uczniowie muszą wiedzieć, co to za miejsce. Nie może to być punkt programu pomiędzy plażą a goframi... Prowadziłem wiele takich zajęć dla licealistów i nauczycieli. Zapamiętałem klasę mojej córki Kasi z III Liceum Ogólnokształcącego im. Marynarki Wojennej RP w Gdyni. Najpierw wcale nie chcieli tu przyjechać...



W Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym w Kamionku Wielkim wychowankowie czytają komiks

Przerwę ci na chwilę, bo przypomniał mi się opowieść Pawła Huellego. On z kolegami przyплыł do Sztutowa statkiem Szkarpawą. Poszli do muzeum, a przewodnik zaprowadził ich do komory gazowej, przymknął drzwi i krzyknął: „A teraz puszczę cyklon!”. To był horror, dzieci były tak przerażone, że później nie spały kilka nocy i miały stany lękowe. To anty-przykład...

Mnie też przyprowadzono do muzeum i opowiadano: mydło, włosy, stopy trupów, prochy z krematorium. Z mojej ósmej klasy już chyba nikt więcej tam nie wrócił. Poza mną... Przyjechałem na lekcję historii do Trójki i opowiedziałem im, po co się tam jedzie. Opowiedziałem o losach ludzi, o ich wyborach, o dylematach: dobro – zło. To była klasa „biol-chem” mojej córki. Powiedziałem, że przecież oni jako przyszli lekarze też będą mieli takie dylematy dotyczące wyboru, odpowiedzialności... I przyjechali wszyscy, mieli młodego przewodnika, też absolwenta ich szkoły, bardzo przeżywali tę wizytę. Ale czy te ich emocje zostały przetrawione, czy ich przeżycia zostały omówione, czy ta wizyta miała sens? Chyba nie, bo nauczyciel po powrocie kazał wyjąć kartki i zrobił im „sprawdzian ze Stutthofu” zamiast po prostu z nimi porozmawiać lub tylko pomilczeć. Ale jest bardzo duża grupa nauczycieli, którzy podchodzą do tego właściwie, są zainteresowani tym problemem, sam brałem udział w wyjeździe na seminarium uczenia o Holokauście w Yad Vashem w Jerozolimie. Chyba dwudziestu nauczycieli z naszego powiatu tam było. I ten pobyt ich zmienił i potrafią o tych ciężkich sprawach z młodzieżą rozmawiać. Nauczyciel, który „czuje” ten temat, jest w stanie podolać temu wyzwaniu.

Wyjąłem z półki dwa numery naszego kwartalnika „Prowincja”. Piszesz do niego od 4 numeru, sam pomagałem ci redagować artykuł o Nowym Dworze z numeru 11 (z 2013 roku). Naliczyłem osiem twoich publikacji, ostatnia z 2021 roku. Mam nadzieję, że to nie koniec współpracy, choć wiem, że jesteś człowiekiem bardzo zajęтым. Pamiętam, że przy redakcji twojego artykułu „Pionierskie czasy Nowego Dworu”



Marcin Owiński w pracy, fot. archiwum

musiałem się sporo narobić [śmiech]. Kilka lat temu, tuż przed pandemią, mieliśmy z Leszkiem Sarnowskim spotkanie promocyjne kwartalnika w bibliotece w Sztutowie. Kapitalne spotkanie, przyszło sporo ludzi, poza tym bardzo lubię i cenię waszą bibliotekę i panie bibliotekarki. Powiedziałeś wtedy, że bardzo przeżywałeś, że twój tekst ukaże się drukiem w „Prowincji”. Doskonale to rozumiem, to są te emocje debutantów, które później niestety bezpowrotnie ulatują. Wybacz mój nieco belferski ton, ale później redagując niektóre twoje teksty już tak dużo roboty nie miałem. Tak więc mówiąc językiem komentatorów sportowych: **jest progres!** [śmiech]

Bardzo się cieszę, że tak to widzisz. „Prowincja” zawsze była dla mnie ważnym pismem, już od pierwszego spotkania w Nowym Dworze. Spodobała mi się ta inicjatywa oddolna, to powstanie kręgu ludzi: czytelników i autorów, kręgu oddziaływania. Bo to buduje więź, buduje wspólnotę. My o tym decydujemy, tak jak nasze samorządy – sztutowski, sztumski, nowodworski. **To jest nasze!** To jest coś, co po nas

zostanie. To mi się podoba. Staram się co jakiś czas dawać jakiś artykuł do „Prowincji”. Tak jak działalność Żuławskiego Parku Historycznego, mój wykład z marca 2017 roku pt. „Koniec Tiegenhofu. Relacja z walk o miasto w marcu 1945 roku” wygłosiłem przy pełnej sali, jego nagranie na You Tube obejrzało prawie trzy tysiące ludzi. To było niesamowite, ci ludzie słuchali w takim skupieniu...

Bo zrobiłeś rzecz, której przed tobą nikt nie zrobił. To była świetna lekcja historii. Tak jak kiedyś ciebie uczyli twoi nauczyciele, panowie Rutecki i Wyka, tak teraz ty nauczasz, w sposób ciekawy. Oni pokazali ci, do czego służy historia...

A poza tym, jak nie masz materiałów, jak nikt nie opublikował źródeł, to zabierz się za to historyku sam.

Bardzo proste. Leżą przed tobą twoje książki, m.in. książka „Tiegenhof – Nowy Dwór w 1945 roku...”, która powstała po tym wykładzie. Sprzedał się szybko cały nakład – tysiąc egzemplarzy, co biorąc pod uwagę lokalność tego tematu było świetnym wynikiem. Ale teraz chciałbym przejść do twojej najnowszej książki: „Lagrowi ludzie...”. Wielki, prawie siedmiuset stronicowy tom, z wielkim aparatem naukowym, dzieło niełatwe w lekturze, bo temat niełatwy. Na szczęście unikasz błędu dzisiejszej humanistyki, która często jest hermetyczna, niełatwa w odbiorze. Kiedyś historycy czy popularyzatorzy: Kieniewicz czy Bobrowski, Jasienica czy Brandys, byli czytani



Zajęcia w gdyńskiej Trójce

masowo... Tobie udaje się pisać tak, że człowiek z maturą swobodnie może twoje dzieło przeczytać...

Moja najstarsza córka też ją przeczytała, zadzwoniła i chwaliła. To dla mnie bardzo ważne.

Dla mnie to jest bardzo ważna książka, bo pokazuje, że pozostając w sferze (umownie mówiąc) historii lokalnej, bo ciągle pozostajesz w Stutthofie, nie wychodzisz z obozu, można napisać ważną książkę nie tylko historyczną, ale wręcz antropologiczną. Szukającą odpowiedzi na to odwieczne pytanie: unde malum? Skąd się bierze zło?

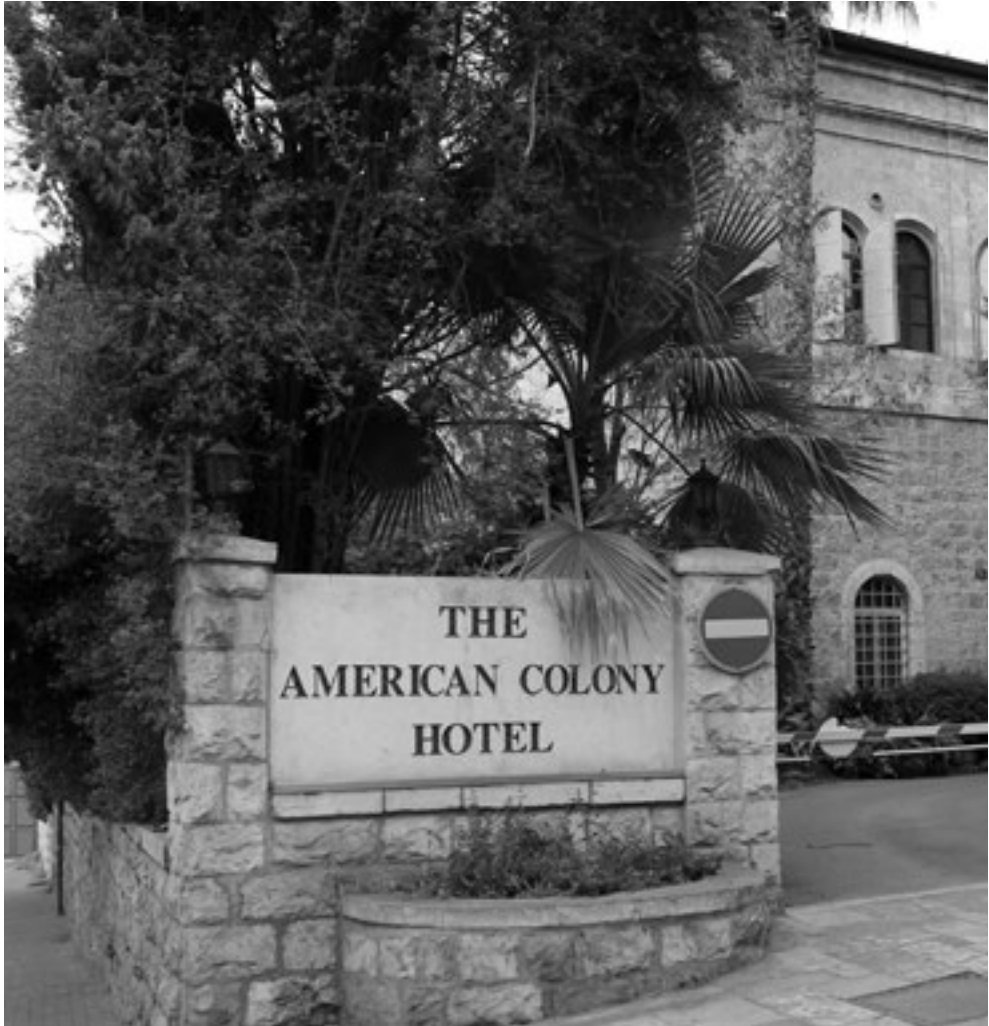
Marek Suchar



NIEZWYKLI GOŚCIE JEROZOLIMSKIEGO HOTELU „AMERICAN COLONY”

Ulica, która nosi dziś dwie różne, ale odnoszące się do tej samej miejscowości, nazwy: Nablus Road (jak mówią jej arabscy mieszkańcy) i Derech Shechem (jak oznacza się ją na izraelskich planach miasta) zaczyna się naprzeciwko największej staromiejskiej bramy – Damasceńskiej. Ulica ta prowadzi przez dzielnicę, która przeżywała okres swej największej świetności w czasach Mandatu Brytyjskiego, czyli w latach 1920 – 1948, kiedy to terytoria obecnego państwa Izrael oraz Autonomii Palestyńskiej stanowiły rodzaj kolonii zarządzanej na mocy mandatu Ligii Narodów przez Wielką Brytanię. Idąc nią można dziś jeszcze zobaczyć ślady ówczesnej brytyjskiej obecności w Jerozolimie: budynek YMCA, anglikańską katedrę świętego Jerzego, czy obwołany przez generała Gordona autentycznym grobem Jezusa tzw. „Grób w Ogrodzie”. Przy ulicy Nablus znajdziemy również wiele innych interesujących miejsc – choćby olbrzymi antyczny grobowiec rodziny królowej Adiabeny z I wieku naszej ery, czy dominikański klasztor Świętego Szczepana, w którym mieści się słynna Ecole Biblique, w której poddano pierwszej naukowej ekspertyzie rękopisy sprzed ponad dwóch tysięcy lat znalezione w Qumran. Jak widać interesujące obiekty, które możemy zobaczyć przy ulicy Nablus, pochodzą z różnych dziedzin, i to zarówno z odległej przeszłości, jak i z ostatnich ważnych w historii Jerozolimy kilkudziesięciu lat. Do tych ostatnich należy na pewno znajdujący się zaledwie kilkadziesiąt metrów od głównej ulicy, będący świadkiem wielu historycznych wydarzeń, pałacyk o nazwie Orient House. Najpierw gościł on odwiedzające Jerozolimę rozmaite osobistości, w tym również głowy państw i cesarzy – najpierw przybyłego z Prus Wilhelma II, a w latach 30’ XX wieku cesarza Etiopii Hajle Selassje. W późniejszych latach budynek ten zaś był przez jakiś czas nieoficjalną kwaterą główną Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

Każde z wymienionych wcześniej miejsc zasługiwałoby na to, aby poświęcić mu uwagę i osobne omówienie, my jednak skupimy się na jeszcze jednym znajdującym się przy ulicy Nablus budynku, bardzo szczególnym i z różnych względów zupełnie wyjątkowym, a jednocześnie w ciekawy sposób związanym ze współczesną historią Jerozolimy. To zbudowany pod koniec XIX wieku pałac jerozolimskiego paszy (czyli gubernatora) Husainiego, mieszczący niegdyś jego rezydencję oraz harem! Wizyta w autentycznym haremie – czy może to nie działać na wyobraźnię? Po śmierci paszy Husseiniego pałac przestał zresztą pełnić swoją pierwotną funkcję, bo został zakupiony przez wspólnotę mesjanistycznych chrześcijan, która pod kierunkiem chicagowskiego prawnika Horacja Spafforda działała w Jerozolimie od 1881 roku. Na terenie przylegającego do pałacu ogrodu urządzono wtedy gospodarstwo rolne, a założona przez Spaffordów utopijna komuna religijna prowadziła szereg bardzo



praktycznych, świetnie zorganizowanych i nowoczesnych przedsięwzięć. Grupa składała się na początku z kilkudziesięciu osób nazywanych w Jerozolimie po prostu „Amerykanami”, choć w istocie większość z nich stanowili akurat przybysze ze Szwecji. Szybko zyskali sobie oni u arabskich sąsiadów szacunek i sympatię, nie zajmowali się bowiem misjonarstwem i nie próbowali nikogo nawracać, ale w oczekiwaniu na rychłe (jak wierzyli) powtórne przyjście Jezusa Chrystusa zajmowali się przede wszystkim modlitwą i działalnością charytatywną. Prowadzili szpital, sierociniec, tanią jadłodajnię i szkołę oraz, jak już wspomnieliśmy wcześniej, własne gospodarstwo rolne. Mieli też własny sklep, w którym sprzedawali artykuły spożywcze własnej produkcji, poza tym otworzyli również pierwsze w Jerozolimie studio fotograficzne! To im właśnie zawdzięczamy dokumentację fotograficzną zarówno wyglądu miasta, jak i najważniejszych dla jego historii zdarzeń w okresie poprzedzającym Pierwszą Wojnę Światową.

Ze względu na to, że w ówczesnej Jerozolimie brakowało, jak byśmy to dziś powiedzieli, „bazy noclegowej”, pałac był też miejscem, w którym coraz częściej zatrzymywali się goszczący w tym mieście Europejczycy i Amerykanie. Ostatecznie doprowadziło to do podzielenia posiadłości i utworzenia z samego pałacu luksusowego i wytwornego (dziś pięciogwiazdkowego) hotelu. A skoro członków sekty Spaffordów nazywano w Jerozolimie „Amerykanami”, a ich siedzibę w związku z tym „Amerykańskim Osiedlem” (American Colony), to nazwa ta przyjęła się również w odniesieniu do będącego ich własnością hotelu.

I w tym momencie zaczyna się drugi, chyba jeszcze ciekawszy rozdział historii pałacu, który po przekształceniu go w luksusowy hotel gościł wiele znakomitości, a jako że wśród nich było także liczne grono artystów i literatów, nic więc dziwnego, że stał się miejscem akcji licznych i słynnych powieści. Zaczęło się bodaj od szwedzkiej noblistki Selmy Lagerlöf, która gościła u Spaffordów jeszcze pod koniec XIX wieku. Natomiast współcześnie akcją swych powieści umieścili tu na przykład goszczący w nim słynni autorzy sensacyjnych powieści John Le Carre i Eric Frattini, a wnuk pierwszego zarządcy hotelu, barona Ustinowa, światowej sławy reżyser i aktor sir Peter Ustinow, w nim właśnie nakręcił część scen filmu „Rendez vous ze śmiercią”, opartego na znanej powieści kryminalnej Agaty Christi pod tym samym tytułem. Wszyscy ci twórcy w swoim czasie gościli w „American Colony”, ale oczywiście zatrzymywali się tu w czasie swoich pobytów w Jerozolimie również inni wielcy pisarze – choćby John Steinbeck czy Philip Roth. W tym miejscu wypada chyba także wymienić Boba Dylana będącego przecież laureatem literackiej Nagrody Nobla. Bywali tu także znani aktorzy, Ingrid Bergman i Robert de Niro. W liczącej ponad wiek historii hotelu gościli w nim liczni celebryci, jak choćby słynny projektant mody Giorgio Armani czy też znana dziennikarka stacji CNN Christianne Amanpour. Nie zabrakło oczywiście polityków, których wyliczyć wręcz nie sposób, a których poczet otwiera sam sir Winston Churchill a zamyka Michaił Gorbaczow.

W hotelu znajdują się apartamenty paszy Husseiniego (dziś pokój nr 1) oraz opatrzony specjalną plakieta pokój nr 16, w którym na początku lat 90' XX wieku przedstawiciele Organizacji Wyzwolenia Palestyny i Izraela prowadzili supertajne rozmowy i rokowania, które doprowadziły ostatecznie do podpisania w roku 1992 „Porozumienia z Oslo”, za które ówcześni przywódcy obu stron: Icchak Rabin i Shimon Peres ze strony izraelskiej, a Jassir Arafat ze strony palestyńskiej, otrzymali w 1994 roku pokojową nagrodę Nobla.

Jak doszło do tego, że „American Colony Hotel” zaczął w pewnym momencie odgrywać rolę miejsca politycznych spotkań i rokowań na najwyższym szczeblu? Otóż stało się tak, ponieważ nie należy on ani do Arabów, ani do Żydów, czyli stron toczącego się już od prawie stu lat bliskowschodniego konfliktu, pozostając od swego powstania aż do dzisiaj w rękach amerykańskiej rodziny Spaffordów. Dlatego zawsze stanowił coś w rodzaju neutralnej politycznie enklawy i był w związku z tym ulubionym miejscem spotkań przebywających w Jerozolimie korespondentów zagranicznych, dyplomatów i polityków. Żartem albo półżartem wspomina się też, że był przez lata również ulubionym miejscem spotkań... funkcjonariuszy wywiadów z różnych krajów. Czy to prawda, a zwłaszcza czy jest tak również i dziś, o tym można się przekonać tylko, jeśli wejdzie się do urządzonej w patio hotelowej kawiarni, żeby przy ustawionym pod białymi parasolami wśród palm i drzewek pomarańczowych stoliku wypić kawę lub zjeść któryś z serwowanych tu wyszukanych deserów. Przy

tej okazji można będzie się przyjrzeć zajmującym sąsiednie stoliki gościom. Może rzeczywiście kryją się wśród nich szpiedzy przybyli tu z różnych państw? W każdym razie warto spróbować, bo czy gdzieś jeszcze nadarzy się nam podobna okazja?

Przytoczone wcześniej kilkanaście z długiej listy imponujących nazwisk wybitnych gości hotelu robi oczywiście wrażenie. Ale dalece ważniejsze jest to, że miejsce to odegrało również niezwykle ważną rolę w historii już nie tylko samej Jerozolimy czy Izraela, ale wręcz całego Bliskiego Wschodu. I mam tu na myśli nie tyle wspomniane już wcześniej rokowania między Izraelem a Palestyńczykami w latach 90' XX wieku, co przede wszystkim związane z nim zdarzenia i intrygi polityczne z okresu I Wojny Światowej. A ponieważ tamte zdarzenia miały wielki wpływ na to, co dzieje się w tym newralgicznym regionie świata do dzisiaj, można bez wielkiej przesady stwierdzić, że mamy w jego przypadku do czynienia z miejscem, w którym rozstrzygała się współczesna historia.

A skoro tak, to koniecznie trzeba wspomnieć jeszcze jednego z częstych gości hotelu „American Colony”. Postać ta przebija chyba wszystkie pozostałe niezwykłościami, kolorytem, zdobytą sławą a jednocześnie tajemniczością. Tak, tak, tajemniczością, bo pułkownik Thomas Lawrence, o którego tu chodzi, mimo iż stał się sławny i jest bohaterem licznych utworów literackich i filmów, wciąż skrywa przed nami wiele swych tajemnic. Największą sławę przyniósł mu oparty na jego autobiografii zatytułowanej „Siedem filarów mądrości” słynny w latach 60' XX wieku film zatytułowany „Lawrence z Arabii”, laureat 10 Oskarów z gwiazdorską obsadą, w którym główną rolę samego pułkownika Lawrence'a zagrał zabójczo wtedy przystojny, niebieskooki Peter O'Toole. Film opowiadał barwną historię niezwyklego życia brytyjskiego pułkownika, o którym osobiście znający go sam Winston Churchill twierdził, że gdyby Pierwsza Wojna Światowa potrwała choćby rok dłużej, a zjednoczonym Arabom udało się samodzielnie, bez pomocy Anglików zwyciężyć w jej czasie Turcję, to kto wie jaką rolę mógłby odegrać w historii. Jeśli wierzyć Churchillowi (a komu w tych sprawach można wierzyć bardziej niż właśnie jemu), Lawrence miał szansę wtedy zostać nawet... królem całego arabskiego Bliskiego Wschodu.

W jaki sposób mogło do czegoś podobnego dojść i skąd się wziął ten właściwie niepozorny z wyglądu (miał tylko około 160 cm wzrostu) człowiek, który odegrał w najnowszej historii Bliskiego Wschodu jedną z kluczowych ról? Jego życiorys obfitujący w niezwykle dokonania i przygody już zaczyna się właściwie dość niezwykcyjnie. Nieślubny syn brytyjskiego arystokraty i szkockiej guwernantki, prymus z Oxfordu, gdzie studiował archeologię śródziemnomorską i gdzie uzyskał w tej dziedzinie doktorat, do którego materiały zbierał w czasie swoich siedmioletnich wędrówek po Bliskim Wschodzie. To w czasie tych wędrówek nauczył się arabskiego oraz licznych jego dialektów, opanował do perfekcji jazdę na wielbłądzie, a kulturę arabską i Koran w szczególności poznał tak dobrze, że zaskakiwał swych muzułmańskich przyjaciół umiejętnością przytaczania cytatów z niego dobranych odpowiednio do rozmaitych okoliczności. Na pustyni przydały mu się też i inne umiejętności, które już tam ze sobą przywiózł – znakomicie jeździł konno, celnie strzelał, a poza tym był, jak mówiono, odważny do szaleństwa, a co chyba najważniejsze – miał wyjątkowo zdolności przekonywania innych do swego zadania.

Rola odegrana przez Lawrence'a w zdarzeniach politycznych, które rozegrały się na Bliskim Wschodzie w czasie trwania Pierwszej Wojny Światowej, polegała na nakłonieniu



skłóconych ze sobą władców różnych plemion arabskich do wypowiedzenia posłuszeństwa Turcji, której wcześniej podlegali. Tu trzeba wyjaśnić, że Arabowie stanowili około połowy poddanych sułtana tureckiego, który przystąpił do wojny jako sojusznik Niemiec i Austrii i tym samym stał się wrogiem Anglii i Francji, a później również Stanów Zjednoczonych. Kraje te, związane działaniami na innych frontach, nie mogły dość skutecznie przeciwstawić się militarnie sułtanowi tureckiemu, co groziło opanowaniem przez Turcję (a co za tym idzie przez państwa „Osi”, czyli Niemcy i Austrię), całego Bliskiego Wschodu. Tymczasem nieznanymi specjalnie wcześniej nikomu młody oficer Thomas Lawrence zdołał przekonać władze brytyjskie do swego pomysłu, by nakłonić Arabów do buntu wobec Turcji i tym sposobem pomocy Anglikom w rozsadzeniu imperium osmańskiego od wewnątrz, obiecując im w zamian możliwość utworzenia po wojnie, na nowo po wiekach, jednego, wielkiego, zjednoczonego państwa arabskiego.

Lawrence przedstawiając swój projekt generałowi Storrowi miał 28 lat i był dla brytyjskiej generalicji właściwie nikim – prostym oficerem kartograficznym oddziału wywiadowczego, oksfordzkim naukowcem bez większego doświadczenia militarnego. Na jego rzecz przemawiały jedynie znakomita znajomość języka i realiów świata arabskiego oraz bliska, osobista znajomość z księciem Fajsalem, jednym z synów Szarifa Mekki, czyli najstarszego z żyjących potomków Proroka, sprawującego władzę nad terytorium odpowiadającym dzisiejszej Arabii Saudyjskiej. Co sprawiło, że dowództwo wojsk brytyjskich przychyliło się do dosyć fantastycznych, militarnych projektów Lawrence’a – nie wiadomo. Może to, że jego plan nie wymagał od Brytyjczyków w swej początkowej fazie niczego więcej prócz obietnic, których zresztą, jak się później okazało, i tak nigdy nie zamierzali dotrzymać?

Po zakończeniu Pierwszej Wojny Światowej do zjednoczenia Arabii bowiem nigdy nie doszło, a Szarif Mekki i jego trzej synowie (w tym również przyjaciel pułkownika Lawrence’a, książę Fajsal) otrzymali jedynie od Anglików „na otarcie łez” możliwość zasiadania na tronach nowoutworzonych w wyniku podziału imperium osmańskiego państw arabskich: Syrii, Iraku, Jordanii oraz dzisiejszej Arabii Saudyjskiej (jak zresztą pokazała historia za wyjątkiem Jordanii – na krótko). Lawrence nie mógł się pogodzić z faktem, że jego natchniony polityczny plan ostatecznie tym samym się nie powiódł i że nie ma szans na wypełnienie przyrzeczeń złożonych przez niego Arabom w imieniu Brytyjczyków. Potraktował to niezwykle emocjonalnie jako osobistą klęskę. W geście protestu przeciwko niedotrzymaniu przez mocarstwa składanych za jego pośrednictwem arabskim książętom politycznych obietnic, zrzekł się wszelkich zaszczytów ofiarowanych mu przez brytyjskie władze. Nie został więc ani członkiem Izby Lordów, ani wiceministrem ds. kolonii w rządzie Jego Królewskiej Mości, ani też nie przyjął nominacji generalskiej, choć wszystkie te stanowiska i zaszczyty mu oferowano. Nie przyjął nawet przyznanego mu Orderu Łąźni, ani najwyższego w Wielkiej Brytanii odznaczenia, Orderu Imperium Brytyjskiego. Po wojnie, pod zmienionym nazwiskiem, jako prosty oficer wstąpił do RAF – u, gdzie dosłużył się zwyczajnej wojskowej emerytury. Niestety, nieomal natychmiast po odejściu ze służby zginął tragicznie w wypadku motocyklowym w wieku lat 47.

Przytaczamy tu jego historię w kontekście American Colony Hotel oczywiście dlatego, że w czasie trwania Pierwszej Wojny Światowej i kilku lat po jej zakończeniu, często bywając w Jerozolimie, zatrzymywał się właśnie w hotelu „American Colony”, który stanowił

wtedy jego „jerozolimską kwaterę”, w której pewnie snuł prowadzone przez siebie polityczne intrygi.

Siedząc dziś przy kawiarnianym stoliku na ogrodowym dziedzińcu hotelu, wsłuchując się w szmer fontanny, można długo zastanawiać się nad tajemnicą fascynacji Lawrence’a światem arabskim i przyczynami, które spowodowały, że aż tak zaangażował się w ideę utworzenia na nowo wielkiego państwa arabskiego. Kim właściwie był ten angielski półarystokrata, współczesne wydanie romantycznego rycerza, trochę jakby pierwowzór Indiany Jonesa, lubiący manifestować swe proarabskie sympatie choćby przebierając się często w ofiarowaną mu przez księcia Fajsała długą białą szatę i przystrajając głowę białą kefiją przymocowaną przypominającym książęcy diadem yigalem?

Jego fascynacja światem arabskim przybierała zresztą różne formy, również takie, które wywoływały u współczesnych mu pełne zdziwienia uniesienie brwi, jak choćby jego wieloletnia bardzo bliska przyjaźń z kilkunastoletnim arabskim służącym Selimem, do którego po jego przedwczesnej śmierci zwracał się w dedykacji do „Siedmiu Filarów Mądrości” słowami:

„Kochałem cię, więc uruchomiłem tę ludzką lawinę
i wypisałem pośród gwiazd na niebie mój testament:
zdobyć wolność, dla ciebie, ten wspaniały,
na siedmiu filarach wsparty gmach
i zobaczyć jak twoje oczy rozjaśniają się na mój widok
gdy znów się spotkamy
[T.E. Lawrence, tłum. własne MS]

W tychże „Siedmiu Filarach” Lawrence wylicza zresztą motywy, jakie skłoniły go do zaangażowania się w wypadki historyczne, w których uczestniczył. Mówi tam o ciekawości, która była zawsze jednym z najsilniejszych motorów jego działania, przyznaje się też do ulegania mocy narkotyku, jakim jest posiadanie władzy, której zasmakował współdowodząc z księciem Fajsałem arabskimi plemionami w walce z wojskami tureckimi. Wspomina tam w końcu także enigmatycznie również o jakichś swoich motywach głęboko osobistych, których natury możemy się domyślać po lekturze przytoczonej tutaj dedykacji z jego książki.

Ale najbardziej interesujące jest, kiedy Lawrence mówi, że głównym źródłem jego motywacji była głęboka wiara w to, że naturalne procesy historyczne nieuchronnie muszą z czasem doprowadzić do powstania na Bliskim Wschodzie zjednoczonego, niepodległego państwa arabskiego. Sprowokowane częściowo również przez niego samego wydarzenia polityczne, ta „ludzka lawina”, którą uruchomił, jak o tym pisze w swej przejmującej poetyckiej dedykacji do „Siedmiu Filarów”, miały w jego mniemaniu jedynie te nieuchronne historyczne procesy przyspieszyć. Jakkolwiek, jak pokazał czas, historia potoczyła się trochę inaczej niż przewidywał to Lawrence, to trzeba jednak oddać mu sprawiedliwość przyznając, że konsekwencje emancypacyjnych ambicji narodowych i politycznych budzących się na początku XX wieku w świecie arabskim rzeczywiście dały o sobie znać w naszych czasach potwierdzając tym samym i to w sposób niezwykle dramatyczny jego ówczesne przewidywania czy też może raczej intuicje polityczne.

Wróćmy jednak na naszą ulicę Nablus. Nie wspomnieliśmy bowiem dotychczas, że oprócz pałacu paszy mieściły się wzdłuż niej od XIX wieku (i mieszczą w większości do dzisiaj) rezydencje wielu starych i zasłużonych arabskich rodzin należących do jerozolimskiej elity: Husseinich, Nashashibich, Alamich, Nuseibehów, Chalidich i Judehów. Nazwiska te wymieniam tu nie bez przyczyny, bo choć mogą one niewiele mówić większości polskich czytelników, to z kolei dla większości jerozolimczyków są to nazwiska znaczące, jako że należą do starych i niezwykle wpływowych w przeszłości arabskich rodów, również współcześnie mających duży wpływ na to, co się dzieje zarówno w Izraelu, jak i w ogóle na Bliskim Wschodzie. O ich starożytności niech świadczy choćby fakt, że to właśnie rodziny Nuseibehów i Judehów od roku co najmniej 1192 (a więc nieprzerwanie przez ponad 800 lat!) pełnią rolę „strażników i odźwiernych” (ci pierwsi) i „kluczników” (ci drudzy) Grobu Świętego. Dziś za otwieranie i zamykanie wielkich drzwi Bazyliki odpowiada pan Wadzi Nuseibeh, choć nie zawsze dokonuje tej czynności osobiście. Rodzina Nuseibeh odgrywała przez wieki w historii Jerozolimy istotną rolę, a i dziś także jej członkowie pełnią różne ważne społecznie i polityczne funkcje. Najbardziej prominentnym dziś członkiem tego klanu jest profesor Sari Nuseibeh, rektor palestyńskiego uniwersytetu Al Quds działającego we Wschodniej Jerozolimie, absolwent Oxfordu, od 2002 roku przedstawiciel Autonomii Palestyńskiej w Jerozolimie. Rodzina Judeh, o której wspomnieliśmy w związku kluczami do bazyliki Grobu, jest równie stara, nie mniej potężna i zasłużona, a jej członkowie także współcześnie odgrywają pierwszoplanowe role na politycznej scenie Bliskiego Wschodu. Na przykład jeden z Judehów, Naser, żonaty z kuzynką jordańskiego króla Abdulla-ha, księżniczką Sumayą, był przez lata ministrem spraw zagranicznych Królestwa Jordanii. Oprócz Judehów i Nuseibehów do najbardziej wpływowych klanów zaliczają się jeszcze rodziny Alamich, Chalidich, Husajnich i Nashashibich. Jeden z Chalidich, Rashid, profesor arabistyki na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, był w swoim czasie doradcą prezydenta Baracka Obamy w sprawach bliskowschodnich, a z kolei jeden z Husajnich, dr Rafik Husajni, doradzał w tym samym czasie prezydentowi Autonomii Palestyńskiej Mahmudowi Abbasowi. Jeżeli zaś chodzi o ród Nashashibich, których przedstawiciel był burmistrzem Jerozolimy w czasach Mandatu Brytyjskiego, to kilku z nich również odgrywa dziś istotną rolę we władzach Autonomii Palestyńskiej.

Losy tych jerozolimskich rodzin, podobnie zresztą jak i losy wielu wspomnianych wcześniej gości i bywalców „American Colony Hotel”, skupiają w sobie jak soczewce wiele wątków rozgrywającego się w ciągu kilkunastu ostatnich dziesięcioleci w Jerozolimie fascynującego, choć momentami tragicznego, historycznego dramatu. Gdy popijając kawę w ogródku hotelowej kawiarni będziemy się zastanawiać nad pełnymi zawilości i tajemnic ich historiami, czy też niejednoznacznością ich postaci, łatwo dojdziemy do wniosku, że ta niejednoznaczność w jakiś sposób współgra z uniemożliwiającym czasem stawianie jednoznacznych ocen pogmatwaniem najnowszych dziejów Jerozolimy. Dla wielu jest zresztą źródłem jej uroku. W każdym razie jednym ze źródeł.

Krzysztof Czyżewski



NOTATKI SŁÓW I OBRAZÓW (18)

30 sierpnia 2022 roku

PRANAS MORKUS

W nocy 30 sierpnia w szpitalu w Kłajpedzie odszedł Pranas Morkus. Wilno bez niego nie będzie już takie samo. Należał do potężnej gromadki przyjaciół, która odcisnęła mocne piętno na powojennym obliczu Aten Północy, a przy okazji także na moim życiu. Choć powinienem zapisać to inaczej, bardziej w zgodzie z myśleniem Pranas: miasto ukształtowało ich na swoje podobieństwo, a oni dochowywali mu wierności, niezależnie czy były to czasy sowieckie, czy wyteńsknionej wolności i zaraz potem rynkowego kapitalizmu. Mówił mi: Człowiek w zmaganiach z fatum ma niewielkie szanse, co innego gdy przyjmie w siebie moce genius loci. – Czyż jednak – odpowiadałem mu pytaniem – samo genius loci nie jest naszym fatum? – Zbyttno koncentrujesz się na loci – pozostawione własnej próżności, staje się zaściankiem. Tymczasem o wszystkim decyduje genius...

Odchodzą. W styczniu Juozas Tumelis. W grudniu 2020 roku Irena Veisaitė. Kilka lat wcześniej Ramūnas Katilius. Ich dane mi było poznać, byli dobrymi duchami Pogranicza. Nataszę Trauberg znam tylko z opowieści, podobnie jak Aleksandrasa Štromasa. Na pogrzeb Pranas przyjdą jeszcze na pewno Elė Katilieni, Tomas Venclova. Z nich wszystkich najbardziej wileński wydaje mi się być właśnie Pranas. Był mapą i pamięcią miasta, powiernikiem jego tajemnic i archiwistą. Kiedy Tomas napomykał o jakiejś niedostępnej książce, zwykł był dodawać „być może jeden egzemplarz zachował się w archiwum Morkusa”. To samo dotyczyło zatartych przez czas faktów albo opowieści. W swoim mieszkaniu przesyconym aromatem starej inteligencji, przy stoliku w „Nerindze” albo już później w kafejce przy Zaulku Literackim, w redakcji „Šiaurės Atėnai”...zawsze czekał na nich, nadchodzących z wysokich gabinetów politycznych, z emigracji, dalekich podróży albo z katedr akademickich. Cekał na nich, jak gospodarz, który zawsze ma czas, a przede wszystkim dobrą anegdotę w zanadru, rozwiewającą smutki, a przy okazji szalony pomysł by zrobić coś pożytecznego, choćby



Pranas Morkus, fot. Vytautas Toleikis



Pranas&company

niewielką „kontrabandę”, bo życie trzeba brać zawsze pod włos. I już po chwili przy Pranasie robiło się ciepło. Szykowna, odrobinę staroświecka gawroszka na szyi (mógł też być golf), uśmiech „do rany przyłóż” i spirytusowa tynktura, prima sort domowego wyrobu... Jak na tej fotografii, którą zrobiłem gdy świętowaliśmy przybycie profesora Baumana do Wilna: Zygmunt – początkowo niedowierzający, że kieliszek (ku zgorszeniu kelnerów wykwintnego Shakespeare Boutique Hotel) napełniony z butelki wyciągniętej z kieszeni znoszonego prochowca to może być ten prawdziwy cymes (a znał się na tym, więc potem nisko się kłaniał jej właścicielowi), Czarek Wodziński – pierwszy raz w Wilnie, a od razu jak u siebie w domu, i Rasa Rimickaitė – szczęśliwa, że wszystko zmierza w jak najlepszym kierunku, bo Pranas wziął sprawy w swoje ręce... Pranas Morkus był wytrawnym publicystą, dziennikarzem radiowym, autorem scenariuszy filmowych (m.in. „Wiek Czesława Miłosza”) i animatorem kultury. W latach 1994-2000 pracował w redakcji tygodnika kulturalnego „Šiaurės Atėnai” (Ateny Północy), pieczołowicie starającego się odrodzić pamięć wielokulturowego Wilna. Tak artykuły prasowe, jak i programy radiowe oraz filmy, w realizacji których brał udział, odzwierciedlają największą jego pasję – los pojedynczych ludzi w potrzasku historii, głównie stalinowskiego terroru. Napisał scenariusz do „Ekskursante”, filmowej opowieści o drodze przez mękę dziewczynki zbiegłej z transportu do Gułagu, powracającej do domu odległego o tysiące kilometrów. Po części autobiograficzny charakter ma scenariusz do filmu „Sowie Wzgórze”, o dylematach moralnych młodych ludzi, w powojennej sowieckiej Litwie podejmujących różne wybory życiowe, nasłuchujących Radia Swoboda... Sam Pranas był zapamiętałym słuchaczem zachodnich stacji radiowych okresu

zimnowojennego. Gdy odwiedziłem go po raz pierwszy w zastawionym wieżami z książek mieszkaniu nieopodal Prospektu Giedymina, pokazał mi bogate archiwum nagranych przez siebie audycji Wolnej Europy, a chyba też Głosu Ameryki i BBC. Kiedyś Pranas przyjechał do nas do Sejn z przygotowaną przez siebie wystawą o Litewskiej Armii Podziemnej, dokumentującą nie tylko jej powojenne losy, ale także związki z Polską, a zwłaszcza przełom jaki pod koniec wojny (umowa olkiennicka) dokonał się w relacjach z AK i idącą w ślad za tym pomoc wcześniejszych wrogów w przerwaniu litewskich partyzantów przez Polskę na Zachód. Przewyciężaniu wzajemnych urazów z przeszłości i współpracy litewsko-polskiej oddany był do końca życia. Pragnął, aby upamiętnienie miejsc wzajemnych polsko-litewskich zbrodni w Dubinkach i Glinciszkach zbliżyło do siebie potomków ofiar i zaowocowało wspólnymi programami edukacyjno-kulturalnymi dla młodych. Jako przewodniczący Towarzystwa Polska-Litwa wystąpił z inicjatywą ustawienia w Glinciszkach przez Litwinów krzyża z napisem „Bracia Polacy, przebaczenie” oraz ustawienia w Dubinkach przez Polaków krzyża z napisem „Bracia Litwini, przebaczenie”. Zdobył dla tej inicjatywy wsparcie w sferach rządowych, ale nie pośród społeczności lokalnych.

Urodził się w Kłajpedzie, jako syn znanej aktorki teatralnej Galiny Jackevičiūtė. Niemal od kołyski znali się z Tomaszem Venclową, który w rozmowie z Ellen Hinsey wspomina jedyne historię z Kłajpedy opowiedzianą mu przez matkę, z okresu, gdy miał niespełna rok: „Zabrała [matka] mnie do parku razem z innym dzieckiem i jego matką, aktorką z trupy teatralnej. Kilku członków Hitlerjugend słysząc, że rozmawiają po litewsku, wrzuciło piasek do naszych wózków. (Drugie dziecko, Pranas Morkus, był później moim bliskim przyjacielem...)”. Przyjaźń na życie Pranas z Tomaszem i całą potężną gromadką wileńską zawiązała się w czasach studenckich. Wprawdzie z początku został wysłany przez ojczyma, komunistycznego propagandystę, na studia do Moskwy, ale tam związał się ze środowiskiem wolnomysłicieli i zadebiutował w prasie samizdatowej artykułem o Pasternaku. Wydalony z uniwersytetu, powrócił do Wilna w 1957 roku, przywoząc ze sobą, bezcenne dla samokształceniowego kręgu filologów litewskich i dusz im pokrewnych, zakazane książki i gazetki. Za rok napiszą do autora „Doktora Żiwago” list gratulacyjny w związku z przyznaniem mu Nagrody Nobla. Narazili się na szykany, zainteresowało się nimi KGB, ale nie pierwszy to i nie ostatni raz ustawili się władzy pod włos. Było coś jeszcze, co ich łączyło. Dla mnie była to może najważniejsza lekcja na życie otrzymana od Pranas. Choć pewnie jego samego zdziwiłoby, że przywiązuję do tego taką wagę, skoro to jest najzwyczajniej normalne. No właśnie – normalne... Pytania o ważne sprawy, oceny dzieł sztuki i wartościowania ludzkich postaw sprowadzał – podobnie jak inni z wileńskiej gromadki – do tego jednego, niepozornego słowa. Jak było? Normalnie. Jaki to człowiek? Normalny. Jak ci się podobał spektakl? Normalnie. Przyzwyczajony do mocnych określeń wartościujących, pisanych wielką literą i z wykrzyknikiem, sądziłem początkowo, że chce mi powiedzieć coś w rodzaju: nie najgorzej, może być, a czego się spodziewałeś... Tymczasem w jego ustach to był największy komplement. Jego „normalnie” do dzisiaj nic nie straciło ze swojej mocy, podczas gdy zrozułówek nieprzytomnie windujących się w górę, w rodzaju: genialne, jedynne takie, pierwsze w świecie, dzieło dekady, serial stulecia, książka roku... już po chwili sy-pało się truchło. „Jest tak, jak powinno być” – tłumaczył mi cierpliwie. „Robota wykonana,

po prostu. I człowiek po prostu, normalny. Czego jeszcze chcesz?”. Pranas Morkus żył w trudnych czasach i nie miał łatwego życia. Przeżył je normalnie.

11 grudnia 2022 rok

VEISAITE

Powracam do tej fotografii w drugą rocznicę śmierci Ireny Veisaite. W odpowiedzi na kierowane ku niej wyrazy uznania uporczywie podkreślała, że nie ma w niej nic nadzwyczajnego, że biegnie jedynie w cieniu tych, u których zaciągnęła dług na życie. A zaciągała go nie tylko jako nauczycielka czy działaczka społeczeństwa obywatelskiego, lecz także – a może przede wszystkim – jako ocalona z Zagłady. Gdy spotykaliśmy ją – jedyną taką od początku świata – na tej ścieżce, robiła wszystko, aby pokazać, że jest tutaj razem z innymi, że ważni są ci, którzy wcześniej tędy przechodzili, że to żadna jej osobista zasługa. A gdy mieliśmy już na języku słowa protestu, proponowała nam swoje ulubione działanie zbiorowe: stawaliśmy w kręgu, chwytałyśmy się za ręce i w milczeniu przekazywaliśmy sobie najlepsze, na co w danej chwili było nas stać: uśmiech, energię, promienne spojrzenie, dobre myśli... Fotografia chwyta jeden z takich momentów w Wilnie – uściskiem Ireny objęci są tu też Leonidas Donskis i Cezary Wodziński...

Nie ma już pomiędzy nami całej trójki. Choć... Łączyło ich coś, co najkrócej można by wyrazić jako bycie-w-pomiędzy. Pomiędzy ludźmi i innymi bytami jest cały świat – cały świat jest w „pomiędzy”. Życie w świecie, zmienianie świata, ratowanie – tożsame było dla



Irena, Leonidas, Cezary i my

nich z wejściem w „pomiędzy” i czynieniem właśnie tutaj swoich powinności. „Pomiędzy” rozumieli w duchu Hannah Arendt, jako sferę publiczną, posiadającą moc rozświeclania – cechę dla niej najbardziej pierwotną i istotną. O tym jest esej Arendt „Kilka myśli w związku z Lessingiem. O człowieczeństwie w mrocznych czasach”: „...właśnie owo „pomiędzy”, w stopniu o wiele większym niż (jak się często sądzi) sami ludzie, czy też człowiek jako taki, jest dziś przedmiotem szczególnej troski...”. Bycie-w-pomiędzy prowadziło ich ku wolności rozumianej bardziej jako współzależność, niż autonomia. Dlatego podpisałiby się pod słowami filozofki z Królewca: „Coraz więcej ludzi w krajach Zachodu, który od upadku świata antycznego pojmował wolność od polityki jako jedną z podstawowych wolności człowieka, korzysta z tej wolności, wycofując się ze świata i z wszelkich wobec niego zobowiązań. Takie wycofanie się niekoniecznie musi szkodzić człowiekowi, może wręcz potęgować do geniuszu jego wybitne zdolności, w ten sposób, okrężną drogą, przynosząc pożytek światu. Tyle, że każde takie wycofanie się oznacza niemal dotykalny ubytek świata; utracona zostaje specyficzna i na ogół niezastąpiona przestrzeń „pomiędzy”, jaka wytworzyłaby się pomiędzy akurat tym człowiekiem a innymi ludźmi”.

Irena, Leonidas, Cezary – nie wycofywali się, nie czynili światu tego ubytku... Żyją pomiędzy

20 lutego 2023 roku

POŻEGNANIE SAURY

Saura... Carlos Saura. Kochanek Wielkiej Tajemnicy. W swoich filmach pozostawiał ślady przejścia ku niej, pod podszewkę świata. Raz ujrany niewidzialny most podrywa w człowieku wieczną tęsknotę za dotarciem do niego, by własny brzeg pozostawić za sobą. Różne prowadzą do niego drogi, ale gdybym miał naszkicować ich mapę, jedną z nich nazwałbym Drogą Sauryjską.

Był chłopcem, gdy to się wydarzyło. Kiedy los odcina nas od własnego brzegu, bezpiecznie udomowionego, może się zdarzyć, że w pomroce lęku i rozpaczliwych zasnuwających nam duszę wybije w nas źródło tajemnicy, niby „święta fontanna”. Stajemy się świadkami tego wydarzenia w „Ptaszku” (Pajarico), może najbardziej autobiograficznym filmie Saury. Na peronie dworca w Murcji spotykamy rozbitka, dziesięcioletniego Mano, wyrzuconego na nieznaną brzeg przez sztorm, który rozbił mu dom w Madrycie. Skłócenie rodzice, w trakcie rozwodzenia się, zdecydowali o wysłaniu go do rodziny ojca. Mano chce z powrotem do rodziców, płacze w rękaw wujkowi Juanowi. Czeka go podróż inicjacyjna przez kręgi trzech tygodni, trzech pięter domu wujostwa i trzech rodzin go zamieszkujących. Pozna od podszevky życie dorosłych, przeszyte miłością i śmiercią, ukrytymi żądzami i przemocą, współczuciem i oddaniem. Przekroczy progi stref zakazanych – sypialni niezaspokojonej erotycznie ciotki; laboratorium wujka badającego tęczę oka; piwnicy, w której rozgrywa się dramat wuja porzuconego przez kochankę; dachu, na którym znajduje porzuconą przez starszą kuzynkę i jej chłopaka strzykawkę do dragów. Gdy po trzech tygodniach



przybywają po niego rodzice, Mano intuicyjnie czuje, że może bezpowrotnie utracić coś bliskiego sercu.

Tajemnicą, której lęka się utracić młody Manuel, jest Fuensanta. Imię jego kuzynki znaczy dosłownie „święta fontanna”. Pierwsza miłość? Tak. A zarazem ta dziewczyna staje się przewodniczką jego inicjacji. Ona jest tą, która wie i która widzi, w odróżnieniu od dorosłych, uwiązanych do własnego brzegu, tyleż bezpiecznego, co odczarowanego, skazanych na pół-prawdy i ślepych na jedno oko. Fuensanta odwzajemnia miłość Mano i wprowadza go do miejsc, z których zagłąda się pod podszewkę życia, widzi to, czego nie widać i doświadcza innego wymiaru. Jakże trudno jest utrzymać taką miłość młodzianków w świecie. Nad ich losem zawisa dramat utraty. Może jednak Fuensanta zamieszkuje wewnętrzny świat chłopca i jest obleczoną w ciało dziewczyny emanacją odkrytej przez niego tajemnicy? Manuel doznaje przemiany za sprawą Fuensanty, która wybija w nim źródło wody żywej i daje mu swoje oczy. Są to te same, widzące na przestrzał oczy dziewczynki, które Saura uczynił bohaterem arcydzieła, jakim jest film „Nakarmić kruki”. Od tej pory nie może ich zamknąć, jeśli nie chce utracić siebie. „Jednego byłem pewien – mówi w finale filmu dorosły już Manuel – gdyby rodzice nie przyjechali, zostałbym z Fuensantą do końca życia.”

„Ptaszek” o dotknięciu tajemnicy opowiada. Zdarza się jednak, że Saura w swoich filmach idzie dalej, tworząc w nich szczególne pole magnetyczne, w którym to się staje – na naszych oczach, czasem wręcz w nas samych. Czyż nie w tym tkwi największa magia kina, że tajemnicę czyni naoczną?

„Czarodziejska miłość” nie należy do najwyższej cenionych filmów Saury, nie otrzymała żadnych nagród, poza krajową nagrodą „Goya”, chociaż i w tym przypadku jedynie za kostiumy i zdjęcia. Film dopełnia „trylogię flamenco”, której inne części, „Krwawe gody” i „Carmen”, nagradzane były Złotą Palmą w Cannes, nagrodami Brytyjskiej Akademii i festiwalu w Karlowych Warach, nominacjami do Oscara i Złotych Globów. Film przez wielu zapewne odbierany jest jako dziwny melodramat; dziwny, bo bardzo teatralny, a jednocześnie prawie pozbawiony dialogów, a dominujące w nim muzyka i taniec są niczym malarz w wizyjnym natchnieniu pokrywający farbami zagruntowane płótna. Tymczasem to właśnie „Czarodziejska miłość” skrywa nagi dotyk tajemnicy, jeden z najgłębiej dojmujących w całej historii kina. Tak przynajmniej przedstawia się to u mnie. A rzecz dotyczy szczególnie trzech minut i czterdziestu siedmiu sekund filmu, podczas których muzyka Manuela de Falli dojrzeza do „Pieśni błędnego ognika” (Canción del fuego fatuo).

Jest niczym błędny ogień

Miłość...

Kino Saury wyrasta z tradycji Calderona i jego wizji życia rozgrywanego się w wielkim theatrum mundi. Coś się jednak zmieniło od czasu, gdy na scenie głównej aktorzy mistrzowsko przedstawiali dramat ludzkiej egzystencji, zamknięty w doskonałej formie, oklaskiwani przez licznie zgromadzoną publiczność. Sztuka na tej scenie stała się martwą, ludzie wydrażeni, a ziemia jałowa. Saura bez żalu ją opuszcza, odwracając się również od jej publiczności. Dla swojej sztuki znajduje przestrzeń z dala od centrum i światel jupiterów, gdzieś w kuluarach, na zapleczu wielkiej sceny, w zakamarkach domów i ulic, na peryferiach miast, pośród bieda-domków cygańskiego osiedla... Porzuca też formę dzieła

skończonego, oddając się fascynacji samym procesem twórczym i zgrzebnej prawdzie życia, uchwytnej w przeblaskach pomiędzy aktami dramatu na scenie, między wierszami utworów pretendujących do zwycięstw w konkursach, na marginesie profesjonalnych prezentacji i zawsze przed premierowym wykonaniem, po którym powinny nastąpić oklaski. Artyści, nierzadko o legendarnych nazwiskach, w filmach Saury, również tych dokumentalnych, nigdy nie są oklaskiwani, gdyż wszystko, co najważniejsze dla oczu pozostawionych mu przez Fuensantę, dokonuje się przed i pomiędzy występami na głównej scenie theatrum mundi. Akcja filmów z „trylogii flamenco” rozgrywa się niemal wyłącznie na próbach do spektakli „Krwawe gody” i „Carmen”. W konsekwencji opowieść tworzona dla sceny wchodzi w krew codzienności aktorów, splata się z ich osobistymi dramatami, zacierając granicę między życiem a sztuką.

W „Czarodziejskiej miłości” tylko przez początkową chwilę widzimy rzeczywisty fragment peryferyjnej dzielnicy miasta, bowiem na otwarcie filmu – niczym opadająca kurtyna – zamyka się wielka brama poprzemysłowego hangaru, odcinając nas od realnego świata. Kamera przesuwa się po rusztowaniach i kulisach scenografii, powoli wprowadzając nas do wnętrza przestrzeni specjalnie stworzonej dla tej jednej opowieści.

Czego mężczyzna chce od kobiety... ciepłego miejsca dla swojego małego ptaszka... niby gniazdka? Tak, gniazdka... Moje gniazdko płonie, a nie mogę znaleźć ptaszka... Weź i wejdź do mojej jaskini... Jeśli wleci do niej ptaszek, nigdy nie ucieknę...

ZAKORZENIONY W BEZDOMNOŚCI.

O GRIGORIJU KANOWICZU

Grigorij Kanowicz, urodzony 18 czerwca 1929, zmarły 20 stycznia 2023, pisarz. „I tyle. Ani linijki więcej, jako że cała reszta to nieprawda.”

Te właśnie słowa wyrzyby na nagrobku pisarza stary Efraim Dudak, kamieniarz z *Koziołka za dwa grosze*, powieści przetłumaczonej przez Aleksandra Bogdańskiego. Był synem flisaka Jakuba, człowiekiem silnym, o barach szerokich jak koryto Niemna i wytrzymałym jak most grzbiecie, po którym raz nawet przejechał woziwoda Szmul-Sender; a do tego miał dwa domy: jeden kryty słomianą strzechą, drugi – milczeniem; a jakby tego jeszcze było mało, to rzeźbił na nagrobkach anioły tak, że – choć jedno skrzydło miały złamane – rwały się do góry...

I pomyśleć, że taki nagrobek mógłby powstać w miasteczku, „gdzie Bóg, jeśli w ogóle zaglądał, to tylko na chwileczkę. A cóż może zdziałać Bóg w ciągu jednej chwili?”

Na nagrobku swojego ojca Efraim wyrzeźbił tratwę. Krzywo na to patrzył rabbi Uri, bo na żydowskim cmentarzu mogą być owoce granatu, palmy albo winorośl, nawet lew albo pelikany z małymi, ale tratwa? Od tamtej pory coś się jednak mogło zmienić, świat nie stał w miejscu, z nurtem rzeki puszczane zostały kolejne tomy sagi o litewskich Żydach z rodu Dudaków. Teraz więc, na wieść o śmierci Grigorija Kanowicza, możemy sobie wyobrazić, że Efraim nie będzie musiał skuwać tratwy z jego nagrobka, przemieniając ją na niewielkie

czófenko z wiosłarzem, który wypuścił z rąk wiosła. „Przecież niebo to nie ziemia, tam dla wszystkich wystarczy miejsca...”.

Czemóż to niebo nie miałoby przyjąć tratwy ulatującej nad ziemię jak ptak? Będzie to tratwa-Księga, której Iwona Chmielewska – tworząc okładkę do polskiego wydania powieści – nadała kształt domu z odemkniętymi oknami w kształcie macew, nadpalonego pożarem z pogromów. A na tratwie małeńka sylwetka człowieka niepozornego, miotana przez wzburzone fale i znikająca „w nieprzejrzanym odmęcie wody-śmierci”. Tak to widział Efraim: człowiek rzucony na spienioną falę rzeki życia, w szaleństwo żywiołu i zgubną, przyciągającą siłę wody.

Grigorij Kanowicz, podobnie jak Efraim, za swojego długiego życia widział jedynie rozpadającą się tratwę: „pozostały tylko śliskie, mokre kłody, które każdy usiłuje sobie przywłaszczyć, żeby zbudować s w ó j dom, zbić s w ó j chlew, wznieść s w o j ą twierdzę”. Słowa rabbiego Uriego by kroczyć drogą sprawiedliwych i trzymać się wiary, były już tylko na wiatr, bo „cóż to

za wiara, która mieści się w jednym domu, którą można zapędzić do chlewu, której potrzebna jest twierdza?” Dlatego tratwa, którą wyrylby na nagrobku pisarza Efraim, musiały mieć spoiwo na nowo związujące osobne bierwiona, a człowiek próbujący się na niej utrzymać nie mógłby już poprzestać na swoim.

Na fotografii, którą zrobiłem w mieszkaniu państwa Kanowiczów w Bad Jam, pan Grigorij siedzi pod swoim portretem, namalowanym przez Adomasa Jcovskisa. Uczepiony tratwy człowiek, zakorzeniony w bezdomności. Nie wystarczyło dla niego miejsca na ziemi.



Kanowicz na Wileńszczyźnie

Po raz ostatni spotkaliśmy się w listopadzie 2019 roku. Ledwie przekroczyłem próg jego mieszkania, a dosięgło mnie spojrzenie nie z tego świata. Było takie już wtedy, gdy go poznałem. Grigorij Kanowicz w owym czasie na krótko powrócił do Wilna, przestał przewodniczyć tamtejszej gminie żydowskiej i niezmiennie pisał po rosyjsku. Pisanie rozumiał tak, jak jeden z jego bohaterów Icchak Małkin rozumiał sens życia, który „jest nie w pomnażaniu, lecz w nieprzerwanym odczytywaniu”. Przyjechał do Sejna, a potem ruszyliśmy w Polskę z *Koziołkiem za dwa grosze*, od Gdańska po krakowski Kazimierz, przez Warszawę i Lublin. Nie tyle zaglądał pod podszewkę świata widzialnego, ile spośród zgliszcz i popiołów patrzył na świat przeze mnie zamieszkiwany, który jak świeży naskórek w otwartej ranie zablizniał się na powierzchni. I tak było też tym razem, w mieście Bad Jam, do którego dotarłem wschodnim brzegiem Morza Śródziemnego, z Tel Awiwu przez Starą Jaffę – wciąż patrzył z wnętrza świata, który na jego oczach został obrócony w popiół.

Gęsta zabudowa kilkupiętrowych domów wzniesionych na piaszczystych wydmach. Na ulicach słychać hebrajski i rosyjski. Nieopodal niewielkie muzeum Holokaustu. Jest także Dom Szaloma Asza, którego życie rzuciło tutaj po latach spędzonych w Kutnie, Włocławku, Warszawie, Wilnie, Berlinie i Ameryce. Po śmierci autora *Miasteczka* w 1957 roku, dom ten stał się żywym centrum kultury jidysz, z bogatym archiwum i biblioteką, ciekawą kolekcją awangardowego malarstwa oraz tradycją spotkań pisarzy, tłumaczy i artystów; teraz na nowo odżywa jako część kompleksu sztuki współczesnej, w skład którego wchodzi także Dom Issachara Ber Rybaka, urodzonego w Kijowie pioniera awangardowej sztuki żydowskiej.

Mieszkanie państwa Kanowiczów znajduje się na ulicy Janusza Korczaka. Dzwonek, pierwsze piętro, uchylone drzwi i od razu ciepły uścisk pani Olgi. Pan Grigorij czeka w fotelu, ponad dziewięćdziesięcioletni, z polskimi słowami na powitanie. Małgosia wręcza mu książkę *Ballada o miasteczku* w przekładzie Adama Pomorskiego. Przykłada do niej dłoń jak do bochenka chleba, jakby chciał sprawdzić czy po opuszczeniu drukarni trzyma jeszcze ciepło. Rozczytuje okładkę, dopytując mnie w którym miasteczku podczas naszej wspólnej podróży przez Litwę zrobiłem tę fotografię – na pewno nie w Janowie, ale może w Kiejdanach? w Wędziagole? w Wilkomierzu? „To moja *praszczalnaja*” – mówi o powieści, którą ukończył pisać ponad siedem lat temu, wiedząc, że będzie jego ostatnią. Jedyne dług, jaki czuł że ma jeszcze w życiu do spłacenia, to była opowieść o matce, a tym samym także o jego własnym dzieciństwie. Odarł ją całkowicie z literackości, starając się dochować wierności prawdzie tak, jak rozumiała ją matka: w książce ma być tak napisane, jak było.

Ballada o miasteczku, mimo zmiany poetyki, która w porównaniu z duchową barokowością wcześniejszych powieści, tutaj staje się zgrzebna, pozostaje integralną częścią wielkiej sagi Żydów litewskich. Dla jej bohaterów stolicą była Jerozolima Północy, czyli Wilno, a małym centrum świata miasteczko Miszkinie, czyli Janów pod Kownem. Saga Kanowicza to jedyna w swoim rodzaju świecka literatura mądrościowa, początkami sięgająca króla Salomona i religijnej tradycji żydowskiej. Niemal każda jej strona skrywa życiową maksymę podyktowaną przez doświadczenie losu mieszkańców sztetla: babki Rochy, lekarza Blumenfelda, bałagudy Pinchasa, mamy Henki Dudak oraz całej rzeszy ludzi innych zawodów, różnych sfer społecznych, kultur i języków. „Jedź, jedź. Ptak, kiedy za długo siedzi na gałęzi,

może oduczyć się latać” – usłyszała Henke, przyjmując od ojca błogosławieństwo na podróż do ukochanego w obcym mieście. I tak od pierwszej po ostatnią stronę – mowa „świętych głupców”, która nie rozstaje się z mądrością zaskarbną przez łzy i modlitwy. Od wielu lat czytamy ją niby kolejną odsłonę *Komedii ludzkiej*, w świecie Litwaków przeglądając się jak w zwierciadle, łącznie z tym, co chcielibyśmy ukryć. Spojrzenie samego autora, choć z czeluści mroku, jest w tych powieściach jasnowidzące: aby widzieć w prawdzie, potrzebne jest światło, choćby trzeba je było wykrzesać z naszej marności nad marnościami.

Pani Olga zdążyła już zaparzyć herbatę i teraz razem przeglądamy stare fotografie. Rozmawiamy też o przekładach książek pana Grigorija na różne języki i o milczeniu, które spotyka go w Izraelu, o braku przekładów na hebrajski. „Znalazłem tu najlepsze miejsce do życia, ale nie dom” – mówi. Dom Asza, Rybaka... tak, ale Kanowicza? W tym świecie Kanowicz pozostaje bezdomny.

Na moment do naszej rozmowy przyłącza się Siergiej, jeden z dwóch synów, dzwoniący z Brukseli by upewnić się, że doszło do spotkania, które pomagał zaaranżować. Zapewniam go, że *Ballada o miasteczku* została już rozesłana do polskich księgarni. Trudno jest przecenić jego pracę na rzecz upowszechnienia dzieła ojca w świecie. I trudno o wspanialszą rodzinę. Słowa, którymi podzieliła się Grigorij i Olga już na pożegnanie, będą mówiły o tym, co najważniejszego przytrafiło im się w życiu – to mianowicie, że mają siebie nawzajem. Zatem nie rodziny dotyczy bezdomność Kanowicza. Dachy nad głową pozbawiony został pisarz i to ten właśnie brak stanowi o istocie jego pisarstwa.

Spojrzenie Grigorija Kanowicza błądzi po galaktyce miast i miasteczek pogranicza, w której wydarzyła się ostateczna katastrofa. Przed oczami ma litewskiego listonosza mówiącego do żydowskich krawców w jidysz, starą Żydówkę na targu po litewsku dopytującą pana Domejko czy jego jaja są koszerne, zakochanych młodych mieszkających krew zwaśnionych rodzin, służbę wojskową ustawiającą w jednym szeregach różne religie i narodowości. Słyszy starego bałagulę Pinchasa, jak zaprzyjaźnionemu chrześcijaninowi tłumaczy przyczynę wszystkich ludzkich utrapień: „Bóg, panie Vlas, stworzył człowieka, a nie Litwina, Niemca czy Żyda, tylko nie pokazał, w jakim to miejscu ludzie bez żadnego znaczka na piersi mogliby się nie obawiać o swoje życie...” Na rozsypane po zakamarkach pamięci okruchy współlistnienia nakładają się obrazy z czasu apokalipsy, kiedy ludzie ginęli nie tylko z ręki okupanta, także sąsiada.

„Grisza, pamiętasz?” – siedząca po drugiej stronie stołu pani Olga prowadzi go po ścieżkach dawnego królestwa, w którym „można wyplewić ogród, lecz nie historię”. On wymienia z nią miłosne spojrzenie, a jednocześnie powraca wzrokiem do wewnętrznej ciemności, jakby był nurkiem oceanicznym zawładniętym przez chorobę głębi. Pisał książki podobnie jak Hirs, jeden z bohaterów jego sagi, sadził drzewa w Ponarach – tak, by ich korzenie spletały się z włosami umarłych. Widzę go, siedzącego pod własnym portretem, mistrzowsko namalowanym jeszcze w Wilnie przez Adomasa Jacovskisa, prawie w ogóle nie opuszczającego mieszkania w Bat Jam, odgradzonego od świata wiecznym niezapomnieniem. Przypomina jednego z tych „niepotrzebnych Żydów” z parku bernardyńskiego w Wilnie, których tak wspaniale sportretował w jedynej swojej powieści opisującej (nie)życie po Zagładzie. Coraz bardziej był jednym z nich, może szczególnie Icchakiem, którego ogarnęło poczucie czegoś nieodwracalnego, co nie było jednak lękiem przed śmiercią: „poczuł, jak ciemności



Kanowicz w Izraelu

pochłaniają całe jego jestestwo, część po części, organ po organie, odpadające kolejno od niego jak kawałki lodu od kry, i z tym nieuchwytnym, bezbolesnym tonięciem Icchak nie umiał walczyć. Zapalisz światło czy nie zapalisz – nic się nie zmieni. Do innych ludzi i tak się nie do krzyczysz, nie dostukas, nie dosięgniesz!”

Powracamy w rozmowie do czasu, kiedy razem podróżowaliśmy przez Litwę, i kiedy dał się namówić – nie bez oporu – na powrót do Janowa. Wskazał nam wówczas budynek, który kiedyś był synagogą, a w owym czasie mieścił piekarnię, zaznaczając, że sam nie chce do niej wchodzić. Po chwili rozmowy z ludźmi tam pracującymi, powróciliśmy do niego zachęcając, aby jednak dał się przekonać do wejścia do środka. Okazało się, że wiadomość o przybyciu Grigorija Kanowicza wywołała wielkie poruszenie wśród piekarzy. Za moment przyjechał ich dyrektor, na stole rychło pojawił się wystawny poczęstunek, a po niewielkim upływie czasu ni stąd, ni zowąd ustawiła się kolejka miłośników jego powieści z egzemplarzami książek do podpisu.

Teraz, w Bat Jam, niemal niedostrzegalnie uśmiechnął się na to wspomnienie. Przebudziło ono w nim postać ojca, krawca z Janowa, który uważał pisarstwo za niebezpieczne

zamiłowanie, mogące odwieźć młodego człowieka od realnego życia i wyuczenia się „prawdziwego” zawodu. Zaniepokojony skłonnością Griszy do książek, któregoś dnia zabrał syna do Wilna i zaczął go prowadzić od jednej księgarni do drugiej. Zatrzymywali się przed każdą witryną, a ojciec – wskazując na wypełnione książkami półki – powtarzał tylko: „Popatrz sobie! Popatrz!” Miało to znaczyć jedno – stworzono już niezliczoną ilość książek, w których opisano wszystko, co było do opisania. Jaki więc jest sens poświęcać swoje życie na napisanie jeszcze jednej, która będzie jak igielka w stogu siana? W istocie słowa ojca brzmiały „Gib a kuk”, bo to jidysz był ich mową rodzinną, a rosyjski późniejszym, świadomym wyborem pisarza. Zdarzyło się jednak, że pewna redaktorka czasopisma publikującego młodych literatów zwróciła na niego uwagę i wydrukowała jego pierwsze próby poetyckie, przestrzegając jednocześnie przed zaprzepaszczeniem talentu otrzymanego od losu. „Pamiętam dobrze, co mi wtedy powiedziała – oczy pisarza na moment nabrały blasku – Patrz w gwiazdy, tam znajdziesz swoje imię, swój niepowtarzalny głos”.

W *Balladzie o miasteczku* odnalazłem opowieść, którą po raz pierwszy usłyszałem od pana Grigorija podczas naszej wizyty w Janowie. Poszliśmy wtedy nad brzeg Wilii. Pamiętał jak jeszcze będąc małym chłopcem zbiegał po spadzistej skarpie do rzeki. I pamiętał babkę Rochę, nie przypadkowo przez lekarza Blumenfelda nazwaną Samuraj, która – wygrażając kijem – nie pozwalała mu przepłynąć na drugi brzeg, jak czynili to inni. „Czy kiedykolwiek przepłynął pan na drugi brzeg?” – zapytałem niejako na odchodne, bo trzeba nam było z Małgosią zbierać się już w drogę. Jak na koniec listopada, dzień był nadzwyczaj ciepły, przez otwarte okno do pokoju wlewał się szum Morza Śródziemnego. Usłyszawszy w odpowiedzi „Nigdy”, nagle zdałem sobie sprawę, że ta opowieść ma drugie dno, wcześniej dla mnie niedostrzegalne. Choćby Rocha Samuraj nie wiem jak zapewniała małego Griszę, że na drugim brzegu Wilii są tacy sami Żydzi, więc szkoda uczyć się pływać, a tym bardziej ryzykować życie, przecież w istocie czekał tam na niego inny świat, ten, który miasteczko i jego zagładę pozostawiał za sobą. „Nigdy”, a więc: zostaję tutaj, z wami, na zawsze. I znowu dosięgło mnie jego spojrzenie nie z tego świata.

Radosław Wiśniewski



POLIN 2022 – III

PIŃCZÓW

W Pińczowie już dnieje. Takie przysłowie, powiedzonko krążyło wśród polskich Żydów przed wojną. Różne były wyjaśnienia. Mówiło się, że w Pińczowie już dnieje, na znak, że ktoś za długo mówi albo spór przekroczył ramy czasowe daleko poza granice przyzwoitości. Legenda mówiła, że mogło chodzić o sery pińczowskie, które serowarzy dla ocieknięcia wykładali na dachy domów i stąd zdarzało się, że ktoś jadąc księżycową nocą widział ulice, które wydawały się jaśniejsze niż w innych miastach, bo światło księżyca odbijało się od dachów ozdobionych jasnymi kręgami serów – i o, w Pińczowie dniało.

Mordechaj Canin przyjął w swojej książce – „Przez ruiny i zgłiszcza” – interpretację poetycką, romantyczną, a mianowicie, że tutejsi Żydzi byli tak odczytani, rozfilozofowani, że dniało już Pińczowie od ich umysłowego wysiłku, od idei jakie wykuwali w sporach. Mordechaj Canin zdaje się duchem był cały z lektur polskiego romantyzmu, podobno potrafił recytować Słowackiego, Mickiewicza z pamięci, więc nie wiem, czy jego wyobraźnia mu nie podsuwała na dnie rozpaczy, gdy jechał zgłiszczami dawnych gmin, takich uwznioślających egzegez.

Mnie przekonały te sery na dachach. Próbowałem je sobie wyobrazić w scenerii osiemnastowiecznego miasteczka, w świecie, w którym noc jest ciemna, bo nie ma silnych, elektrycznych świateł, są świece, ale nie ma lamp naftowych ani gazowych, ludzie się przemieszczają, ale pieszo, konno, rzadziej pojazdem zaprzężonym w konie. I wyobrażałem sobie, że widzę w świetle letniej, księżycowej nocy te dachy domostw przy żydowskich uliczkach, kryte gontem, wyłożone serami w jakichś chustach, pewnie zaległe na dachach. A dachy są niskie, bo domy były niższe niż teraz, ludzie mniejsi.

Tutejsza wspólnota była znacząca, zasiedziała od końca XVI wieku na pewno, a wedle legendy jeszcze od czasów Kazimierza Wielkiego i jego Esterki. W XVII wieku miały tu miejsce posiedzenia Sejmu Czterech Ziem. Żydzi stanowili od połowy do dwóch trzecich mieszkańców miasteczka, należały do nich drukarnie, młyny, dziesiątki sklepów i zakładów rzemieślniczych, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości powstała też biblioteka obejmująca ponad 1100 woluminów.

Wszystko skończyło się między 5 września 1939 roku a październikiem roku 1942. Niemcy najpierw stłoczyli Żydów w getcie, a potem pognali pieszo wszystkich do Jędrzejowa, skąd zostali wywiezieni do Treblinki i tam zamordowani w komorach gazowych.

Zajechaliśmy już popołudniem, ale mówię, trzeba ryzykować, być gotowym, że nie pojedziemy wedle planu, gdzieś się spóźnimy, a gdzieś będziemy wcześniej. Wyczuwa nas od razu, w ciągu minuty, pani w złotych oprawkach okularów na nosie, gdy stoimy obok synagogi, a ja mrużę oczy próbując odczytać numer telefonu do osoby, która ma klucze. To ta synagoga, w której odbywały się Sejmy Czterech Ziem, bardzo chciałbym wejść do środka.



Synagoga w Pinchowie



– Jak państwo chcecie wejść – mówi starsza pani w złotych oprawkach okularów, jakby czytała w moich myślach – to trzeba pójść do muzeum regionalnego – i zaczyna tłumaczyć prostą drogę, zawiłą dla przybysza, który właśnie dojechał do miasteczka. Ale nie zdążyliśmy nawet dobrze podziękować i ruszyć w kierunku ogólnym, kiedy minął nas starszy człowiek prowadzący parę ludzi w stronę synagogi. Nie zwróciłem na nich uwagi, ale kobieta w złotych oprawkach krzyknęła, że tutaj, tutaj ma pan jeszcze dwójkę turystów.

I weszliśmy. I cała opowieść, jak to synagoga była używana jako skład, warsztat, magazyn i w sumie dzięki temu jakoś przetrwała. Gdyby nie to, dewastacja nikomu już niepotrzebnego budynku po kilkudziesięciu latach pewnie nie zostawiłaby wiele więcej do oglądania niż w Działoszycach. A tak się nie zmarnowało. Potem w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku pewien pracownik muzeum regionalnego zaczął odtwarzać listę swoich żydowskich kolegów z klasy, ze szkoły i zaczął ich szukać po całym świecie. To znaczy tych, którzy ocaleli. Udało mu się wspólnym wysiłkiem na pierwsze prace ratunkowe zdobyć zawrotną na tamte czasy kwotę ponad dwudziestu tysięcy dolarów. To pozwoliło zabezpieczyć budynek. W jego obmurówce łupki z macew z tutejszych cmentarzy. Tyle zostało ze społeczności, która stanowiła od połowy do dwóch trzecich mieszkańców miasta, do której należała większość domów przy ryneczku. Pan zaprasza do Muzeum Regionalnego, gdzie udało się zgromadzić garść artefaktów, ostatnich śladów materialnego dziedzictwa tej społeczności. Mówi, że ludzie przynosili z domów, nie wiedzieli czasem nawet co mają, nie kojarzyli.

Idziemy zatem, oglądamy ekspozycję. Wszystko tam jest. Rzeczywiście. W tym zwoje tory, tefilimy, kieliszki, kielichy, szczególnie te kryształowe, z wielką gwiazda Dawida na dwóch trzecich bocznych powierzchni.

Małgosia patrzyła dłużej na jeden z tych kielichów.

– I naprawdę nie wiedzieli, co i skąd mają w domach? – mruknęła ni to do siebie, ni to do mnie, kierując się w stronę sali poświęconej Powstaniu Styczniowemu.

– Mogli nawet nie wiedzieć skąd mają domy, szczególnie jeżeli zamieszkali po wojnie przy rynku – dorzuciłem sarkastycznie ni to do niej, ni do siebie idąc w krok za nią.

Gwiazda Dawida zajmowała dwie trzecie powierzchni kielicha, tak jak społeczność żydowska liczyła dwie trzecie przedwojennego Pińczowa. I był kłopot po odzyskaniu niepodległości, bo rada gminy chciała zmusić członków społeczności, żeby podania składali po polsku, bo Polska przecież nastała, a większość pisała te podania w jidysz.

Mieliśmy jeszcze pojechać do Buska, ale uznałem, że nie mam już siły. Zrobiło się naprawdę późno. Długo patrzyłem w zrobione komórką zdjęcia wrytych napisów po hebrajsku w ścianach synagogi. Nie umiałem sobie wyobrazić kto i w jakich okolicznościach je napisał. Czekać na obrady Sejmu Czterech Ziem? A może na jakąś rozprawę sądową? Naradę kahału? Przypomniał mi się napis po hebrajsku na synagodze w Orli, tajemniczy, na wysokości głowy, wykuty w kamieniu. Dopiero Marek Chmielewski wyjaśnił nam przy drugich odwiedzinach w Orli, że ten napis nie jest żadnym talmudycznym zaklęciem, tylko prośbą, żeby nie sikać na synagogę.

Chciałbym, żeby któryś z tych napisów był właśnie o czymś takim. O życiu w jego podstawowym przejawie. Żeby ostatnim słowem Pińczowa nie były słowa o zmierzchu, jak napisał Canin, ale o życiu, mimo wszystko, które tu było na pewno.

DZIAŁOSZYCE, ROK 1942. WAĆLAW KAPSA NOTUJE.

Fragmenty dziennika Waćlawa Kapsy, udostępnione w Internecie przez jego wnuka – Jarosława Kapsę. Jak napisał w poście z 24 kwietnia 2021 roku Jarosław Kapsa:

„Jest to fragment wspomnień mojego dziadka Waćlawa Kapsy. Fundacja wystąpiła do Urzędu ds. Kombatantów o dotacje na wydanie tych wspomnień. Decyzja Urzędu była odmowna. Pieniądze podatników, miliony złotych, przeznaczane są na politykę historyczną, prezentującą „jak być powinno”, jak Naród Polski heroicznie bronił swych żydowskich współobywateli Rzeczypospolitej. Prawda nie jest potrzebna historycznej polityce.”

A Waćlaw Kapsa zanotował między innymi tak:

„Jeszcze dobrze nie zjadłem śniadania, gdy przyszło po mnie dwóch policjantów granatowych, z rozkazu burmistrza miałem zgłosić się do magistratu i organizować wyżywienie dla całej ekspedycji, która bierze udział w wysiedleniu Żydów. Udawać chorego, nic nie pomoże, tylko się dla mnie źle skończy. W magistracie czekał burmistrz pan Czekaj, w obecności dwóch gestapowców. Burmistrz dał mi pełnomocnictwo, bym robił co wymaga okoliczność. Gestapowcy z tej ekspedycji wyglądali jak jacyś bandyci, taki mieli przyjemny wygląd. Obleciałem wszystkie restauracje, by zapewnić wydawanie pożywienia gestapowcom, policjantom granatowym, żandarmom i tym z „baudienstu”, rachunek miał pokryć Zarząd Miejski. (...)

Jak się furmanka zapełniła dostatecznie, policjant kazał woźnicy jechać na miejsce kaźni. Przejechali most na rzece Jakubówce, zamiast w stronę stacji jechali na kierkowskie doły. W nocy na Kierkowie całą noc baudinści kopali doły. Było ich wykopanych kilka, długich na kilkadziesiąt metrów, szerokości 3 metrów. Chłopi, co już raz jeździli ze staruszkami, wiedzieli co Niemcy robią, mówić nie mogli, mieli to surowo zakazane. (...) Otrzymałem rozkaz zawiezienia wody sodowej i lemoniady na miejsce kaźni dla żandarmów „katów”. Jedziemy na doły kierkowskie, w tej chwili przyjechał transport z Żydami, każą im wysiadać z wozów, stawać w kolejności jeden za drugim. Po jednej stronie stały kosze, do których rzucali kosztowności, a po drugiej stronie kosze, gdzie musieli składać dokumenty osobiste. Następnie musieli rozbierać się do naga i gęsiego maszerować w kierunku wykopanych dołów, ustawić się tam jeden koło drugiego. Za nimi szło dwóch żandarmów z pistoletami dziewięciostrzałowymi. Taki oprawca podchodził, brał ofiarę za bark, strzelał w nasadę głowy, tam gdzie kończy się głowa, a zaczyna szyja; strzał i kopniak, zabity wpadał do dołu. A w dole dużo jeszcze żyło, widać było jak się ruszali. Szybko wyładowałem skrzynie z wodą i odjazd do miasta, żeby więcej nie widzieć tej masakry. (...)

W mieście kolumny Żydów ruszyły do stacji kolejowej. Załadowano ich do wagonów, przewieziono do Miechowa, tam przetrzymywano kilka dni pod gołym niebem.

Poszedłem na rynek, kręcili się gestapowcy, żandarmi oraz policja granatowa. Widzę jak policjant prowadził zięcia Rafała Grochola do komendanta ekspedycji; chłopak miał pod pachą jakieś zawiniątko. Komendant coś pokazuje, biedny chłop rozbiera się przed nim z odzieży, zdejmując koszulę, spodnie i boso idzie na środek rynku. Za nim idzie jeden z gestapowców, w pewnym momencie pada strzał z pistoletu, prosto w kark, trup pada na rynku. Zginął człowiek, bo połączył się na nędzne szmaty.

Zbliżał się wieczór, pierwszy od wieków bez Żydów w mieście. Od niepamiętnych czasów żyli obok siebie Polacy-katolicy i Żydzi, pchali biedę i taczkę życiową. Dzisiaj wszystko się skończyło. 13 tysięcy ludzi wywieźli z miasta, bo jednemu człowiekowi zachciało się ludzi mordować.

Wyszedłem znów na rynek. Tam stoi wóz bez koni, a na nim siedzi samotny, stary Żyd. Opowiedział, że dziś był zastrzelony i pochowany w grobie, ale zaczął grzebać w ziemi, wydobyl się na wierzch. Kiedy wyszedł zaczął się zastanawiać, co ma dalej robić. Rodzina cała została wystrzelana, a on sam tylko żyje. Postanowił naprawdę umrzeć, bo przecież sam nie może żyć. Żandarm siedział u Kulczyńskich i pił wódkę. Ktoś usłużny dał mu znać, że na rynku czeka stary Żyd. Podszedł, wyciągnął pistolet, Żyd nastawił głowę, taki był koniec starego.

Transporty odeszły z Żydami z Działoszyc do Miechowa, były tak wyładowane, cud że się ludzie nie podusili. W Miechowie zapędzili ich na małą łąkę obok stacji normalnotorowej, otoczyli posterunkami z bronią maszynową i tak trzymali przez parę dni, bez wody i jedzenia. Po paru dniach podstawili wagony normalnotorowe i zaczęli ładować nieszczęśliwych ludzi, wysyłając w nieznaną. Po jakimś czasie ludzie dowiedzieli się, gdzie wywieźli Żydów z Działoszyc: podobno do Bełżca lub Treblinki.

Po wysiedleniu Żydów zrobiła się pustka, strach było wieczorem iść na miasto, żyło się jak w letargu.

Po trzech dniach zaczęło się polowanie na Żydów. Zaczęli polować nasi Polacy, wyszukiwali kryjówki żydowskie, donosili do policji granatowej. Na poszukiwanie szła policja, a z nią straż ogniowa z naczelnikiem Sieleckim. Tropicielem Żydów był komendant policji st. sierżant Piotr Sałaban; urządzał polowania po polach i wsiach, na przykład we wsi Jakubowice i Januszowice, gdzie zastrzelono parę osób. We młynie dolnym, własności Wdowińskiego, ukrywała się pod podłogą rodzina właściciela młyna. Pracował tam Stanisław Kwiecień, przezywany Maćkiem. Maciek wywahał gdzie ukrywają się Wdowińscy. Powiadomił naczelnika straży ogniowej, ten zatrąbił na alarm i całą paradą poszli wyciągać z młyna ukrywającą się rodzinę. Jak ich prowadzili do magistratu, leciało za nimi bez mała całe miasto, jakby tu nikt nie znał Żydów. Wstyd za takie przedstawienie strażaków, przecież Wdowiński był jednym z założycieli straży, dobrym obywatelem, a tu prowadzą go i jego rodzinę jakby niedźwiedzi. Przekazali ich burmistrzowi, ten był jak nieprzytomny z rozpaczy, że musi przejąć nadzór nad nieszczęśliwymi. Była wśród nich moja koleżanka szkolna Sala Wdowińska, bardzo ładna dziewczyna, narzeczona właściciela majątku Dziekanowice – Szpiro. Nie zdążyli się pobrać przed wywiezieniem, teraz ich czekała śmierć.

Na jej prośbę odprowadziłem ją do apteki, by mogła kupić lekarstwo; ludzie szli za nami, jak byśmy byli osobami nieznanymi, takim widowiskiem. Potem musiałem odprowadzić ją do aresztu. Trwało tak parę dni; rano zabierałem Salę do magistratu, wieczorem musiałem odprowadzać do aresztu. W tym czasie ukrywający się Żydzi, w depresji, wychodzili z kryjówek; przyprowadzano ich do magistratu, gdzie byli przetrzymywani do czasu, aż Niemcy postanowią, co z nimi zrobić. Tym ludziom trzeba było dawać jeść, inaczej by z głodu umarli. Ostatni z kryjówek wyszedł syn Cyby Cukiermana, kaleka, uchował się, choć nie mógł chodzić. Rodzinę Cukiermanów Niemcy wystrzelali podczas wysiedlenia, on schował się w komórcę, siedział tam ile mógł.

W ciągu kilku dni zebrała się spora gromada Żydów, komendant policji powiadomił gestapo. Po paru dniach przyjechali Niemcy z Miechowa, zebrali zdrowych mężczyzn i wysłali do Miechowa. Kobiety, chorych i starszych rozstrzelali na Kierkowie. Po jakimś czasie Niemcy wydali zarządzenie, polecili je sołtysom w formie ogłoszenia wywiesić po wsiach w miejscach widocznych, że władze zezwalają na powrót do miasta Żydom ukrywającym się. Obiecywali, że nie będą już wywożeni, będą mogli żyć spokojnie. Wiele osób dało się złapać na ten niemiecki lep. Wróciło do miasta około 2 000 ludzi, obojga płci, przeważnie młodzież żydowska. (...)

Potem odbyło się trzecie wysiedlenie Żydów. (...) Wysiedleń było trzy: pierwsze we wrześniu 1942 roku, kiedy zginęło na terenie miasta około 1500 osób, tyle pochowano w dołach kierkowskich i na Kierkowie. Gdzieś koło października nastąpiło drugie wysiedlenie, tych co ukrywali się na terenie miasta w schowkach, gdzie nasi Polacy wyszukiwali i wyciągali ukrywających się, jak na przykład Wdowińskich. Takich zebrano około kilkadziesiąt osób, trochę zastrzelono na miejscu, a resztę zabrali Niemcy do Miechowa. Trzecie i ostatnie wysiedlenie było w listopadzie. Zabrali z miasta i z okolicznych miejscowości około 2 000 osób. Widać tyle uciekło i ukrywało się przed pierwszym wysiedleniem. Parę dni po tym ostatnim wysiedleniu ludzie dali znać, że jakiś Żyd ukrywa się w stodole Leona Frankowskiego. Policja granatowa pobiegła na czele z komendantem Sałabanem, otoczono stodołę, zaczęto strzelać. Gdy otwarto wrota, znaleziono zastrzelonego Barucha Popera; przyszedł do miasta szukając ciepłego okrycia na zimę. Po ostatnim wysiedleniu Żydów, przyjechał z Miechowa przedstawiciel gestapo celem likwidacji mienia żydowskiego. Wraz z policją sprzedawali przez tydzień urządzenia mieszkalne. Masy chłopstwa przyjechały do miasta, kupowali umeblowanie i sprzęt razem z pluskwami.”

LELÓW BEZ LĘKÓW

Błogosławione chociaż smutne są niektóre miasteczka. Lelów. 991 mieszkańców. To jest miasteczko, maleńkie, takie, do którego identyfikacji na mapie musisz podejść z lupą. No, ale jest. Chociaż nie ma praw miejskich. W ryneczku bez ratusza, takim typowym skwerku centralnym małych miasteczek polskich, gdzie środkiem jakiś pomnik, fontanna i cztery alejki diagonalnie z kwietnikiem, krzewem, czasem rabata róż po boku – stoi tablica. Tablica z okazji 800 lat Lelowa. I ona jest smutna, ta tablica, bowiem ostatnim wydarzeniem na niej wykutym jest odebranie miejscowości praw miejskich w 1869 roku. Tak jakby przez ponad 150 lat więcej się już nie wydarzyło.

Nie ma też na tej tablicy narodzin i śmierci Cadyka Dawida Bidermana, którego odbudowany Ohel jest teraz elementem bodaj najbardziej wyróżniającym Lelów spośród wielu innych miejscowości, w których nic godnego uwagi nie wydarzyło się przez ostatnie 150 lat. Chociaż ja w te 150 lat nic-nie-dziania się jakoś nie wierzę. Wszystko jest kwestią znalezienia ramy opowieści.

Idziemy zatem do Ohelu, w drodze do Elimelecha godziło się przecież stanąć u Jego ucznia.



Ohel w Lelowie, fot. autor

Na środku skwerku instalacja z napisem „Na skrzyżowaniu szlaków i kultur”. A w ogóle skwer bardzo ładnie utrzymany. Cały Lelów schludny, chociaż niebogaty. Lokal na rogu z napisami po hebrajsku i tabliczką w oknie, że do wydzierzawienia. Bida. Ale tak się mówi na wszystko, jak pisał kumpel poeta. Za to panowie pijący piwo z puszczonek grzecznie wrzucają wypite do kosza na śmieci, nie ma bardaku, jest porządność, śląska schludność. I ona się rzuca w oczy. Śląskość mimo polskości.

Ohel zastajemy zamknięty, nie ma numeru telefonu, nic. Kupiony dwa lata temu przewodnik milczy o tym do kogo się zwrócić, gdyby się chciało odwiedzić Cadyka.

– W takich miejscach to wiadomo liczy się nie przewodnik, tylko człowiek. – mówię na głos i przypominam sobie jak kiedyś jadąc do Tadeja Karabowicza stanęliśmy w Sosnowicy zdumieni, że jest słupek przystanku, a nie ma rozkładu jazdy, aż ktoś przechodząc, widząc po niedzisiejszym odzieniu, żeśmy nie stąd, nie rzucił, że przecież rozkład jazdy jest u fryzjera, tonem, jakby to było oczywiste. No, przecież u nas wszyscy wiedzą, że rozkład jazdy PKS jest u fryzjera, a w razie czego do szpitala wozi piekarz, bo nie pije i samochód ma szybszy od pogotowia z Łęcznej.

Nie, no tego ostatniego zdania nikt wtedy nie powiedział, ale okoliczności były takie, że w sumie by mógł. Pasowało.

Rozejrzałem się po ulicach wokół skwerku, ryneczku – najznaczniej wyglądała siedziba banku spółdzielczego. Wszedłem, zagadałem, a miłe Panie mówią, no, że klucze mają ci państwo, co mieszkają na ulicy przy Ohelu gdzie na płocie jest napis, żeby nie parkować. Nie ten napis z psem, ale z zakazem parkowania.

Idziemy, dzwoniemy do bramki, drzwi do domu otwarte, Małgosia mówi, że na pewno ktoś jest w domu, bo widać – wózek, drzwi otwarte, okna. Mówię, wspominając letnie bytności u babci w Brzegu, że w takich miejscach często ludzie wychodząc na zakupy do sklepu na rogu nie zamykają domu, nie mają lęku, bo wokół sami swoi.

Chyba tak musiało być, bo dzwoniliśmy, słyszeliśmy dzwonek w domu, ale nikt nie wyszedł.

– Albo mają dosyć tych ludzi, co ciągle ciągną do Ohelu – powiedziała Małgosia. No cóż. Dotknąłem murów. Przejrzałem stronę internetową miejscowości gdzie na poczesnym miejscu informacja o corocznym festiwalu Ciulimu i Czulentu. Ciulim to Lelowska potrawa, nawiązująca do Czulentu.

Przed wojną było w Lelowie około 700 Żydów. Była huta szkła, garbarnie. Wszystkich Żydów w 1942 roku wywieziono i zamordowano w Treblince.

Mówiłem, myślałem tyle razy, że zdarza się często, chociaż pewnie nie zawsze, że dzieje pamięci po żydowskich sąsiadach wśród miejscowych, poziom napięcia z tą pamięcią związany, pozostaje w korelacji z tym, jak te ostatnie chwile wspólnego sąsiedztwa wyglądały. Są miejscowości, w których napotykasz na mur, tak jakby Żydów nigdy nie było, jakby nie budowali domów, nie sprzedawali towarów, nie targowali się, nie dyskutowali, nie przechadzali się, nie biedowali, nie umierali, nie rodzili.

A są miejscowości równie mocno ranione brakiem – do dzisiaj widocznym – części mieszkańców, ale gdzie ta pamięć po pierwsze jest, a po drugie bywa naznaczona nutą ledwie wyczuwalnej tęsknoty za snem o całości, który został na zawsze rozdarty.

Lelów wydał mi się przez te kilka chwil po tej drugiej stronie. Mimo, że nic nie wiem o tym sąsiedztwie, nie czytałem żadnego świadectwa końca lelewskich Żydów, to wydaje mi się – być może mylnie – że idąc przez maleńki skwer w centrum miasteczka, któremu odmawia się tego miana i tych praw – coś już wiedziałem.

Coś tutaj było wyjaśnione. Czyli o ton jaśniejsze od czerni.

DZIAŁOSZYCE – EPILOG

Napisałem o Działoszycach. Że byliśmy w nich chwilę. Że przed wojną było w nich 6500 mieszkańców, głównie Żydów, że były sklepy, restauracje, herbaciarnie, fabryka wody sodowej, fabryka cykorii. Że w czasie wojny Niemcy stłoczyli w getcie działoszycskim nawet do 10 tysięcy ludzi, a potem wywieźli wszystkich, wygnali do Miechowa, a stamtąd wywieźli ich do Bełżca i zamordowali w komorach gazowych. Około 1500 żydowskich mieszkańców Działoszyc rozstrzelali w pobliżu miasteczka.

Po wojnie miasteczko liczyło około tysiąca mieszkańców i tak zostało do spisu z 2016 roku, który wykazał 933 dusz.

Pisałem, bo tak też myślałem, będąc w Działoszycach, że to okazało się trwałym schematem. Że na miejscu wymordowanych rzemieślników, kupców, handlarzy, drobnych fabrykantów nie pojawił się nikt i nic. Miasta okaleczone wtedy, zdegradowane do poziomu, funkcjonalności wsi takimi pozostały, jakby zamarty, zamarzyły. A przecież od dekad napędem antysemityzmu, tego małego, prowincjonalnego, wiejskiego, małomiasteczkowego, była opowieść o tym, jak to Żydzi rozsiedli się w handlu, rzemiośle, usługach i jak to łupią wszystkich skąd bieda, nędza i brak perspektyw zewsząd. W domyśle – jakby ich nie było, to my byśmy zajmowali się handlem, rzemiosłem, wytwórstwem, a nie orali w pocie czoła na nędzne grosze. Nie byłoby konkurencji dla chrześcijańskiej gospodarki

społecznej, w domyśle uczciwej, bo chrześcijańskiej – w opozycji do żydowskiej – zakłamej, lichwiarskiej.

No i stało się, ale nikt miejsca, przestrzeni po Żydach nie zajął do dzisiaj. Jak zamordowano zegarmistrza, to po prostu zaczęło się jeździć do zegarmistrza do miasta powiatowego albo wojewódzkiego, albo się po prostu nie naprawiało nic, bo i po co.

Wracając jednak do Działoszyc – wrażenie, jakie mogłoby powstać z mojego tekstu, będącego zdawkową relacją z przygodnego, kilkudziesięciminutowego pobytu na miejscu, mogłoby być takie, że Działoszycę są ilustracją tego stanu – zapomnienia, zamarcia, zastania w stuporze po. W domyśle – stanu, który jest jakimś rodzajem zwrotu złej karmy za obojętność lub wrogość wobec sąsiadów w najczarniejszej godzinie.

Wizyty na szybko, na chwilę, mają to do siebie, że wiele w nich umyka, relacje spisane w biegu, pokłosie takich wizyt muszą być brane za powierzchowne zapisy, w których często przegląda się sam piszący słowa, ze swoim wewnętrznym światem, nawet jeżeli chciałby jednak opisywać świat na zewnątrz. Wiem o tym. Wiem, że w takim opisie łatwo o błędy, a sugestywność języka bywa, że tak jak zapisane, tak zamarza. I to może krzywdzić, szczególnie, że ci, o których mowa, nawet nie wiedzą, że ktoś ich właśnie skrzywdził.

W tym samym dniu, w którym byliśmy w Działoszycach, mieszkańcy szykowali się na święta. Tego dnia ustalili obchody dnia pamięci po swoich żydowskich sąsiadach i zbierali się w okolicach dawnego cmentarza żydowskiego, aby powycinać samosiejki i powyrywać chwasty. Uporządkować teren, aby wyglądał godnie, żeby było widać, że pamiętają.

Skąd miałem wiedzieć? Pewnie gdybym bardziej pogrzebał, ty bym się dowiedział.

Ale już po powrocie z podróży widziałem zdjęcia w internecie. Mieszkańcy Działoszyc i okolic zebrali się naprawdę licznie, aby uczcić Tych Których Już Nie Ma. Harcerze i zuchy wystawiły wartę przy pomniku, mieszkańcy zawieszali tabliczki z imionami nazwiskami dawnych mieszkańców w lesie, który rośnie na terenie dawnego kirkutu.

Jak podaje Radio Kielce, w uroczystościach wzięli udział nie tylko mieszkańcy ale też władze samorządowe.

„Burmistrz Stanisław Porada podkreśla, że historia ta została zepchnięta na margines. Liczy, że poprzez organizację uroczystości pamięć o zamordowanych będzie żywa.

– To była wielka tragedia nie tylko dla rodzin osób pomordowanych, również dla pozostałych mieszkańców. To byli nasi bracia. Zostali brutalnie zamordowani strzałem w tył głowy na oczach innych, ogołoceni, ograbieni – mówił.”

(za Radiem Kielce)

Napisałem w lipcu, że miałem wrażenie, że patrzę w otchłań, nie na sztetl.

Nie miałem racji. Myliłem się. W tej otchłani coś błyszczało, a ja byłem zbyt mało uważny, aby to dostrzec. Jakaś iskra pamięci i nadziei.

I ona była i jest podtrzymywana przez nich – mieszkańców miasteczka liczącego 933 osoby.

933 powody, by napisać tutaj po prostu: przepraszam.

Wacław Bielecki



Zapiski melomana

Ostatnie, zimowe miesiące ubiegłego i początku nowego roku, nie sprzyjały moim wyjazdom w poszukiwaniu muzyki granej na żywo. Dopiero w drugiej połowie stycznia udało mi się wyjechać do Gdańska, w lutym na konkurs pianistyczny w Turznie pod Toruniem, a w ostatnich dniach zimy do Warszawy. Nie oznacza to, że przez cały ten czas próżnowałem, wręcz przeciwnie – słuchałem bardzo wielu koncertów i przedstawień operowych w sieci, chociaż relacji z większości z nich nie udało się pomieścić w tych zapiskach.

LA MAESTRA I KORYFEUSZ

niedziela, 13 listopada 2022 r.



Dyrygentka Anna Sulowska-Migoń, fot. Internet

Młoda polska dyrygentka Anna Sulowska-Migoń (27 lat) w marcu 2022 roku wygrała w Paryżu konkurs dyrygentki przeznaczony tylko dla kobiet – „La Maestra”. Jest ona córką szefa Opery Krakowskiej (do końca 2022 roku dyrektora Filharmonii

Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie) Piotra Sułkowskiego oraz żoną Maćka, krakowskiego lekarza. Jednym z jej ukochanych kompozytorów jest Mieczysław Karłowicz. – *Chodził po górach, fotografował, ale przede wszystkim jego muzyka (Koncert skrzypcowy) mnie bardzo porusza.* Ostatnio dyrygowała koncertem w Filharmonii Narodowej. Lubi pracę z chórami. Ceni sobie altówkę. Po wygranym konkursie w Paryżu ma sporo ofert koncertowych Francji.

Anna Sułkowska-Migoń wygrała też w połowie listopada ub. r. nagrodę Koryfeusz Muzyki Polskiej w kategorii: największe „odkrycie roku”. Nagroda ta została przyznana na podstawie otwartego głosowania publiczności.

XII KONKURS PADEREWSKIEGO W BYDGOSZCZY

niedziela, 20 listopada 2022 r.



Mateusz Krzyżowski zwycięzca konkursu Paderewskiego w Bydgoszczy, fot. Internet

Akurat w dzisiejsze popołudnie, gdy w odległym arabskim Katarze rozpoczęły się mistrzostwa świata w piłce nożnej, to w Bydgoszczy mogliśmy wysłuchać koncertu laureatów XII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. I. J. Paderewskiego. Trwał on dwa tygodnie od 6 do 20 listopada 2022 r. Ten konkurs nie jest tak znany jak konkurs chopinowski, ale cieszy się dużym powodzeniem wśród młodych pianistów z całego świata. W końcu do Bydgoszczy przyjechało ich 39, najwięcej z Azji (23) i z Europy (16), w tym 6 Polaków. Zdecydowanie więcej było mężczyzn (24). Zwracał uwagę brak uczestników z USA i Kanady.

Śledzenie występów pianistów zajęło mi sporo czasu, ale nie będę szczegółowo relacjonował poszczególnych etapów konkursowych zmagania, tylko skupię się na dwóch Polakach, którzy dostali się do finałowej piątki, a byli to: Mateusz Krzyżowski i Piotr Pawlak. Obaj wcześniej brali udział w innych konkursach, w tym w ostatnim konkursie chopinowskim, w którym Piotr Pawlak odpadł w pierwszym etapie, a Mateusz Krzyżowski w trzecim.

Pawlak (24 lata) ukończył Akademię Muzyczną w Gdańsku. Gra nie tylko na fortepianie, ale i na organach. Wiemy także o jego czynnych zainteresowaniach matematyką. Ostatnio zaczął studiować dyrygenturę w klasie profesora Marcina Naęcz-Niesiołowskiego w gdańskiej Alma Mater. Znamy go także w występach, choćby w naszym Waplewie.

Mateusz Krzyżowski (23 lata) pochodzi z drugiej strony Polski, ze Śląska, konkretnie z Tych. W tym mieście chodził do szkoły muzycznej, a studia podjął na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie u profesor Joanny Ławrynowicz-Just.

W finale konkursu Paderewskiego każdy z nich wykonał koncert fortepianowy z towarzyszeniem Orkiestry Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy pod batutą młodego dyrygenta Jakuba Chronowicza, szefa symfoniczistów z Koszalina. Polacy grali jako pierwsi, jeden po drugim. Zaczął Piotr Pawlak od *IV koncertu fortepianowego* Ludwika van Beethovena, może trochę w zbyt dostojnym tempie. Natomiast Mateusz Krzyżowski wykonał bardzo pewnie i z polotem, także opatrzoną numerem cztery, *Sinfonię concertante* Karola Szymanowskiego. Był to jedyny utwór zagrany w finale konkursu pochodzący z XX wieku, bo pozostali uczestnicy wybrali bardziej znane dzieła dziewiętnastowieczne. Być może to przypieczętowało jego zwycięstwo, chociaż w półfinale zagrał wspaniale *Koncert fortepianowy F-dur nr 19* Mozarta, za którego wykonanie otrzymał dodatkową nagrodę.

Podczas koncertu laureatów Piotr Pawlak zagrał utwór obowiązkowy, wykonywany przez wszystkich uczestników półfinału pt. *Atlantis Solo* skomponowany przez Hannę Kulenty, a Mateusz Krzyżowski *Symfonię Concertante* Karola Szymanowskiego z orkiestrą. Na bis zwycięzca konkursu wybrał delikatną *Sarabandę* Paderewskiego. I tak to, wielkim zwycięstwem Polaka zakończył się XII konkurs Paderewskiego. Następny jest zaplanowany za trzy lata.

Mnie jako obserwatora wydarzeń muzycznych z poziomu prowincji ucieszyło, że w tym konkursie jurorzy docenili uczestników z Europy. Hiszpan López Salas Pedro zajął II miejsce, a na miejscu III był Ukrainiec Danyło Saienko. Wśród pięciu finalistów znalazła się tylko jedna Japonka Shio Okui, kształcona w Moskwie. Ten werdykt jury przeczy powszechnemu przekonaniu, że wszelkie duże konkursy muzyczne na świecie wygrywają obecnie Azjaci.

W czasie konkursu wydarzyła się przykra historia, bo już podczas pierwszego etapu poważnie zachorował i trafił do szpitala przewodniczący jury prof. Piotr Paleczny (III nagroda na konkursie chopinowskim w 1970 r.). Do końca konkursu zastępowała go Vanessa Latache z Wielkiej Brytanii. Wiadomo, że o znaczeniu konkursu decydują także jurorzy, a byli wśród nich znakomici pianiści, zwycięzcy konkursów chopinowskich: Thai Son Dang (1980) i Rafał Blechacz (2005), który podobno pierwszy raz wystąpił w tej roli. Jurorem był też Nikita Mndoyants, który zdobył I nagrodę na konkursie w Bydgoszczy w 2007 r. Wtedy II nagrodę otrzymała, bardziej teraz znana na świecie, Julianna Awdiejewa, zwyciężczyni konkursu chopinowskiego trzy lata później.

Mateusz Krzyżowski, jako zwycięzca został obsypany deszczem nagród, bo oprócz głównej nagrody finansowej (35 tysięcy euro), otrzymał prawie wszystkie pozostałe nagrody

regulaminowe i pozaregulaminowe oraz zaproszenia do wykonania wielu koncertów na świecie i w Polsce. Mówi się, że zwycięzca bierze wszystko, ale, moim zdaniem, za słabo doceniono pozostałych finalistów.

SKRZYPCOWY KOŚCIÓŁ

czwartek, 15 grudnia 2022 r.



Skrzypcowy kościół w Chinach, fot. Internet

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem zdjęcie tego kościoła, to wydawało mi się, że jest to montaż komputerowy, no bo kto by wybudował wieżę kościelną w kształcie skrzypiec? Pomyślałem, że to nierealne. Po sprawdzeniu okazało się jednak, że taki kościół postawiono kilka lat temu w 9-milionowym mieście Foshan w prowincji Guangdong na południu Chin niedaleko Kantonu. Budowa kościoła kosztowała 200 milionów juanów, co przekłada się na około 31 milionów dolarów. Należy on do Chińskiego Kościoła Chrześcijańskiego Baptystów i Adwentystów Dnia Siódmego.

Biała wieża kościoła w kształcie skrzypiec z krzyżem na szczycie ma siedem pięter i 38 metrów wysokości. W kompleksie budynku kościoła są mieszkania dla duchownych oraz pomieszczenia dla szkoły.

Jak wiadomo, w komunistycznych Chinach kościoły były zamknięte aż do 1996 r. Inicjatorem budowy świątyni w Foshan był pastor Wang. Wspomina on, że przydzielona przez miasto działka budowlana była pokryta nieczystościami i śmieciami, wszędzie płynęły ścieki, było to po prostu wysypisko śmieci. Po modlitwie na tym miejscu duchowny miał wizję: zbudować tutaj kościół i uczynić z niego miejsce uwielbienia Boga. Współpracownicy i pastory uznali za „szalone”, kiedy Wang pokazał im rysunek projektu „skrzypcowego” kościoła, bo w opinii większości kościoł nie wygląda na kościół i traci swoją świętość, gdy jest pozbawiony gotyckiej iglicy lub romańskiego łuku. Jednak pastor Wang nalegał na przyjęcie swojego projektu i go przevorsował: w 2013 r. położono fundamenty, w 2015 r. kościół został odebrany, a pierwszy chrzest odbył się w nim w 2016 r.

– „*Muzyka przychodzi na myśl, gdy ludzie patrzą na skrzypce. Muzyka jest stworzona, by chwalić krzyż*” – mówił duchowny. W rezultacie, kiedy budowa została ukończona, nie tylko wierzący byli podekscytowani, ale także niechrześcijanie byli zdumieni. Niektórzy mówili, że choć wygląda tak pięknie, to przewody wysokiego napięcia przechodzące koło kościoła są porażką, ale rząd nie pozwolił na ich usunięcie. Nie wszystkich budynek ten

zachwyca. Niedawno znalazł się na liście najbrzydszych budynków, kiczów budowlanych wzniesionych ostatnio w Chinach.

NOWE ORGANY W NOSPR

piątek, 13 stycznia 2023 r.



Prospekt nowych organów w sali koncertowej NOSPR w Katowicach, fot. Internet

Koncert z siedziby Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia (w skrócie NOSPR) w Katowicach był transmitowany tylko przez Program II Polskiego Radia, a odbył się z okazji inauguracji nowych organów. Konkurs na ich budowę wygrała firma Antona Škrabla z Rogańskiej Slatiny ze Słowenii. Kosztowały niemało, bo ponad 20 mln zł. Jest to olbrzymi instrument o rozmiarach: 13 m wysokości, 9 m szerokości i 6 m głębokości, posiadający 105 głosów, 7600 piszczałek, 2 stoły gry – dolny przesuwany po scenie z 5 manualami, sterowany elektrycznie oraz górny stół zaopatrzony w 4 manualy i mechaniczny system dźwigni. W obu stołach są zainstalowane te same 80 głosy, z tym że w dolnym dodano ich jeszcze 25. Organy są zbudowane w stylu francuskiego symfonizmu na wzór instrumentów z katedr w Rouen i Notre Dame. Ich koncepcję opracował prof. Julian Gembański, którego znamy z koncertu w Sztumie. Oczywiście, są one wyposażone w najnowsze systemy elektroniczne.

Na program inauguracyjnego koncertu złożyły się trzy utwory: *IV Symfonia* Witolda Lutosławskiego, *Symfonia koncertująca* Esy-Pekki Salonena oraz *Suita z baletu 'Cudowny mandaryn'* Béli Bartóka. Pierwszy i ostatni utwór to bardzo znane i cenione dzieła, natomiast *Sinfonia concertante na organy i orkiestrę* Esy-Pekki Salonena została specjalnie zamówiona

na dzisiejszą uroczystość i miała światowa prapremiera pod batutą tego fińskiego kompozytora i Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. Za stołem organów zasiadła Łotyszka Iveta Apkalna grająca na co dzień w Elbphilharmonie w Hamburgu, którą miałem przyjemność słyszeć podczas kilku koncertów transmitowanych z filharmonii nad Łabą.

Esa-Pekka Salonen komponował *Symfonię koncertującą* przez trzy lata w trudnym dla siebie czasie, bo podczas pandemii, a w ostatnim okresie przeżywał śmierć matki. Nic dziwnego, że ta trzyczęściowa kompozycja (*Pawana, Pieśń żałobna, Finał*) nasycona jest spokojnym, skandynawskim smutkiem i melancholią, tylko ostatni fragment jest bardziej dynamiczny, a nawet nieco dramatyczny. Moim zdaniem, nie jest to utwór, który by dał możliwość pokazania wszelkich możliwości dźwiękowych nowych organów. Został przyjęty przez publiczność serdecznymi oklaskami, a obecny na sali minister kultury Piotr Gliński wręczył muzykowi Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. To odznaczenie zostało przyznane artyście głównie za popularyzację muzyki polskiej w świecie, szczególnie utworów Witolda Lutosławskiego, uważanego przez dyrygenta za największego na świecie kompozytora XX wieku. Esa-Pekka Salonen jest dyrektorem muzycznym Orkiestry w San Francisco i dyrektorem honorowym orkiestr w Los Angeles i Londynie.

Czy podczas tego koncertu udało mi się poznać brzmienie nowych organów w Katowicach? Stało się to w bardzo niewielkim zakresie, bo nie było żadnego utworu solowego na organy, a w wykonanej *Sinfonii concertante na organy i orkiestrę* Salonena organy ginęły w gęstym brzmieniu licznych instrumentów wielkiej orkiestry symfonicznej. Z tego względu uważam, że nie był to dobry utwór służący do pierwszej prezentacji nowego instrumentu. Trudno mi też zrozumieć, dlaczego z tak ważnego wydarzenia muzycznego przeprowadzono tylko transmisję radiową, a nie było transmisji internetowej lub telewizyjnej w TVP Kultura? Nie tak dawno oglądałem dwie transmisje streamingowe z inauguracji nowych organów z Narodowego Forum Muzyki oraz Kościoła św. Elżbiety we Wrocławiu. Niestety, NOSPR zapomniała o melomanach spoza Śląska.

DROGA DO LA SCALI

piątek, 20 stycznia 2023 r.

W sali koncertowej Akademii Muzycznej w Gdańsku wystąpił bas Adam Palka. Podczas recitalu zaśpiewał sześć znanych utworów, zaczynając od arii o plotce z *Cyrulika Sewilskiego* Rossiniego, a kończąc na arii Mefistofelesa z opery pod tym tytułem Arrigo Boito. Akompaniowała mu na fortepianie Ukrainka Liana Krasun-Korunna, korepetytorka solistów w Operze Bałtyckiej oraz wykładowczyni Akademii Muzycznej.

Było to moje drugie zetknięcie na żywo z tym śpiewakiem. Pierwsze miało miejsce dawno temu w sali Filharmonii Bałtyckiej na Ołowiance w 2014 r. na koncercie z okazji 110 rocznicy powstania Politechniki Gdańskiej. Wtedy odbył się zamknięty koncert dla pracowników tej uczelni, na którym wykonano oratorium *Quo vadis* Feliksa Nowowiejskiego. Grała Orkiestra Filharmonii Bałtyckiej, śpiewały dwa połączone chóry studenckie



Adam Palka (z lewej) z rozmowie z Krzysztofem Bobrzeckim, fot. W. Bielecki

z Politechniki Gdańskiej i Poznańskiej pod dyrekcją dra Mariusza Mroza a partię dowódcy pretorianów wykonał bardzo udanie młody bas Adam Palka.

Obecnie artysta świetnie prezentuje się na scenie i raczej przypomina przystojnego tenora niżli basa. Jego głos ma ciekawą, raczej jaśniejszą barwę i bardzo mocną dynamikę. Dla mnie jest to tzw. bas-baryton, czyli taka odmiana najniższego głosu, gdzie najniższe dźwięki nie mają jeszcze tego charakterystycznego zabarwienia, jakie pamiętamy z głosu np. Bernarda Ładysza. Myślę, że na to trzeba będzie jeszcze poczekać kilka lat.

Po recitalu odbyła się sceniczna rozmowa z artystą prowadzona przez jego kolegę ze studiów w Gdańsku Krzysztofa Bobrzeckiego, śpiewaka, barytona, obecnie dziekana Wydziału Wokalno-Aktorskiego na temat: „Droga do La Scali”. Młody śpiewak opowiadał o swoich studiach oraz o odważnej decyzji sprzed laty o porzuceniu dość wygodnego życia w Trójmieście i udaniu się na Zachód w celu dalszej edukacji i szukaniu kariery. Chyba mu się to udało, bo został zauważony i występował na wielu scenach europejskich, m.in. w Royal Opera House Londyn, Wiener Staatsoper, Grand Théâtre de Genève, Staatsoper Hamburg, Staatsoper Stuttgart, Teatro Real Madrid, Opéra National de Paris, Teatr Bolszoi Moskwa oraz New National Theatre Tokyo. Ostatnio szerokim echem odbił się jego niedawny debiut w mediolańskiej La Scali, gdzie kreował tytułową rolę w operze *Borys Godunow* Modesta Musorgskiego na otwarciu nowego sezonu rozpoczynającego się zwyczajowo w dniu świętego Ambrożego, czyli 9 grudnia. Tę rolę miał śpiewać znany rosyjski bas Ildar Abdrazakow.

Gdy chodzi o *Borysa Godunowa*, to La Scala zaskoczyła melomanów nie przyłączając się do bojkotu muzyki rosyjskiej. Dyrekcja tej sceny operowej przeciwna jest wykreślaniu rosyjskiej kultury z powodu wojny na Ukrainie. Dominique Meyer, dyrektor artystyczny La Scali, jeszcze w czerwcu ubiegłego roku uprzedzał, że nie planuje bojkotować muzyki rosyjskiej i nie ma zamiaru odwoływać premiery. Przypomnił on, że nowy sezon przypadkowo

otworzy *Borys Godunow*, na którego produkcję La Scala zdecydowała się 2 lata temu: – *Nie jestem za polowaniem na czarownice. Nie popieram wykreślenia rosyjskich oper, a kiedy czytam Puszkina, nie chowam się.* – Trzeba powiedzieć, że w tej kwestii niekonsekwentni są sami Ukraińcy, bo z jednej strony nalegają na bojkot muzyki rosyjskiej, a z drugiej sami ją wykonują, wystawiając, np. w Filharmonii Bałtyckiej w dniu 22 stycznia br., balet *Śpiąca królewna* Piotra Czajkowskiego w wykonaniu Narodowego Baletu Królewskiego ze Lwowa.

POJEDYNEK: KURPIŃSKI KONTRA BELLINI

czwartek, 26 stycznia 2023 r.



Uczestnicy śpiewaczego pojedynku, fot. W. Bielecki

W Ratuszu Staromiejskim przy ulicy Korzennej w Gdańsku miałem możliwość przysłuchiwania się pojedynkowi muzycznemu „Kurpiński kontra Bellini” w wykonaniu studentek prof. Jadwigi Rappé, śpiewających przy akompaniamencie fortepianowym Aleksandry Mozgiel. Koncert ten był owocem fascynacji Pani Profesor osobą zapomnianego kompozytora polskiego Karola Kurpińskiego. Postanowiła więc zorganizować „pojedynki muzyczne”, w których twórczość Polaka byłaby zestawiana z kompozycjami sławnych włoskich

twórców opery belcanto – Rossiniego, Belliniego i Donizettiego. Oczywiście, Kurpińskiemu do głowy by nie przyszło, aby stawiać siebie na równi z Rossinim. Często powtarzał, że Rossini jest dla niego prawdziwym geniuszem. Pojedynek z Rossinim odbył się w Gdańsku w marcu ubiegłego roku i został powtórzony w Filharmonii Świętokrzyskiej w Kielcach tydzień temu, ale już z udziałem tamtejszej orkiestry symfonicznej.

Podczas obecnego koncertu „Kurpiński kontra Bellini” wystąpiło pięć studentek prof. Jadwigi Rappé z Akademii Muzycznej w Gdańsku – cztery soprany i jeden mezzosopran oraz baryton Paweł Górski. Usłyszeliśmy najpierw sześć arii z nieznanych oper Kurpińskiego: *Kalmora, czyli prawo ojcowskie Amerykanów; Czaromysł, czyli nimfy jeziora Gopło; Leśniczy z Kozienickiej Puszczy, Henryk VI na łowach, Jadwiga królowa polska* oraz *Wariacje na tematy polskie*. Potem zaśpiewane zostały arie z oper Belliniego: *Normy, Lunatyczki, Nieznajomej i Purytanów*. Spośród młodych śpiewaczek najbardziej wpadły mi do ucha wykonania: Małgorzaty Priebe – świetnie zapowiadającej się sopranistki koloraturowej oraz Beaty Kałudow – dysponującej sopranem o imponującej sile głosu.

Występy śpiewaków w przepięknej Sali Mieszczańskiej Ratusza Staromiejskiego zapowiadała w bardzo oszczędny i sympatyczny sposób prof. Jadwiga Rappé. Kiedy już po koncercie jedna ze słuchaczek zapytała o wynik pojedynku, Pani Profesor odpowiedziała, że ocenę zostawia do indywidualnych rozstrzygnięć melomanów. Brutalna prawda jest jednak taka, że opery Belliniego wystawiane są często w wielu miejscach na świecie, a dzieła Kurpińskiego nadzwyczaj rzadko.

MUZYCZNY GEN OGIŃSKICH

poniedziałek, 6 lutego 2023 r.

Autorem książki *pt. Gen Ogińskich – historia dynastii muzycznej* jest Iwo Załuski, prapraprwnuk Michała Kleofasa Ogińskiego (1765 – 1833), kompozytora przesławnego *Poloneza „Pożegnanie Ojczyzny”*. Swoją książkę określa jako kronikę rodu Ogińskich w której stara się znaleźć i opisać przechodzący w kolejnych siedmiu pokoleniach „gen muzyczny”. Zdaniem Iwa Załuskiego gen muzyczny przetrwał do dzisiaj w żeńskiej linii rodu, bo linia męska zakończyła się na dwóch wnukach Michała Kleofasa zmarłych na samym początku XX wieku. Córka Michała Kleofasa Ogińskiego wyszła za mąż za Karola Teofila Załuskiego i gen muzyczny przetrwał w tej gałęzi rodziny. Nie będę tutaj przedstawiał licznych zawłości genealogicznych rodu Ogińskich, ale muszę wyznaczyć, że z podziwem patrzę na żmudną pracę autora książki. Urodzony tuż przed wojną w 1939 r. pierwsze pół roku życia spędził w Iwoniczu, a potem jako uchodźca trafił do Anglii i tam został wychowany jako Brytyjczyk. Dopiero po kilkudziesięciu latach – jak pisze – *po upadku komunizmu, gdy tereny moich przodków zrobiły się bardziej dostępne* – zainteresował się swoim sławnym protoplastą. Zaczął jeździć i szperać po archiwach, bibliotekach, strychach i odnalazł zbiory pism, nut, publikacji i rękopisów. Jako muzyk i pianista zaczął grać i nagrywać utwory Ogińskich oraz prezentować ich muzykę na recitalach i koncertach w Polsce, Białorusi, Litwie i Anglii.

Iwo Załuski nie kryjąc sympatii do autora *Poloneza „Pożegnanie ojczyzny”* nie pomija niektórych informacji o nim, i to tych trudnych do życzliwego przyjęcia przez współczesnych czytelników. Michał Kleofas Ogiński był przede wszystkim parlamentarzystą i dyplomata, który niejako przy okazji skomponował 18 polonezów oraz 17 romansów śpiewanych z akompaniamentem fortepianu. Cieszyły się one wielkim powodzeniem w całej Europie, a słynny „Polonez Ogińskiego” wykonywany jest także dzisiaj. Jednak Michał Kleofas Ogiński ma bardzo poszarganą opinię, albowiem był uważany przez wielu Polaków za zdrajcę, który po rozbiorach Rzeczypospolitej przeszedł na stronę wrogów z carem na czele. Jak podają historycy, Ogiński był przeciwnikiem uchwalenia Konstytucji 3 Maja i członkiem konfederacji targowickiej, chociaż czynnie poparł insurekcję kościuszkowską i po jej klęsce musiał uchodzić z kraju. Po chwilowym zauroczeniu zerwał z Napoleonem. Przyjął rosyjską amnestię i w 1804 r. odzyskał majątki rodzinne. Osiadł w Zalesiu, pięknej posiadłości położonej w połowie drogi między Wilnem a Mińskiem. W 1810 roku został rosyjskim senatorem i tajnym radcą przy carze Aleksandrze I. W 1814 r. został odsunięty od wpływów politycznych w Petersburgu i bojąc się donosów szefa policji Nowosilcowa na ostatnie lata życia przeniósł się na stałe do Florencji pod pretekstem ratowania zdrowia. W tym mieście został pochowany w Panteonie Bazyliki Santa Croce, niedaleko Galileusza, Michała Anioła, Rossiniego, Dante Alighieriego, Machiavellego.

Jest w tej książce wielu ciekawych wątków, które w tej relacji tylko zasygnalizuję. Należą do nich: autorstwo muzyki do *Mazurka Dąbrowskiego* przypisywane Michałowi Kleofasowi Ogińskiemu; dzieje uzdrowiska Iwonicz Zdrój rozbudowanego od 1799 r. przez hrabiego Karola Teofila Załuskiego oraz życiorysy licznych członków rodu Ogińskich posiadających uzdolnienia muzyczne. Nie ma wśród nich muzyków tak znanych, jak twórca *Poloneza „Pożegnanie ojczyzny”*, ale w każdym pokoleniu znaleźć można jakichś kompozytorów i niezłych instrumentalistów.

Jeśli chodzi o *Poloneza Ogińskiego*, to w ostatnich czasach jest on wypierany ze studniówek i balów przez poloneza Wojciecha Kilara napisanego do filmu w reżyserii Andrzeja Wajdy pt. „Pan Tadeusz” w 1999 roku.

KONKURS CHOPINOWSKI W TURZNIE

niedziela, 26 lutego 2023 r.

Kapryśna, zimowa pogoda poprawiła się, przestał padać deszcz, wyszło słońeczko, więc w dobrym nastroju dojechałem do pałacu w Turznie pod Toruniem. W ciągu czterech porannych godzin wysłuchałem występów sześciu studentów i dwóch absolwentów biorących udział w VII Międzynarodowym Pianistycznym Konkursie Chopinowskim. W tej rywalizacji wzięło udział prawie pół setki uczniów ze szkół muzycznych z całej Polski podzielonych na pięć kategorii wiekowych. Konkursy odbywają się w Turznie, aby uczcić pamięć o Chopinie, który przebywał tutaj podczas wakacji w 1827 roku. a niebawem udał się na Pomorze i hrabia Antoni Sierakowski gościł go w naszym Wąplewie Wielkim. W liście z dnia 6 lipca 1827 r. Fryderyk Chopin tak opisywał rodzicom swoje wojaże: – *Dziś więc*



Pałac w Turznie, fot. W. Bielecki

w Płocku, pojutrze w Kikole, parę dni w Turznie, parę dni w Kozłowie i moment w Gdańsku, i na powrót. Chopin przebywał w Turznie pod koniec lipca, a w Waplewie w połowie sierpnia 1827 r.

Każdy z wykonawców w dwóch najstarszych grupach wiekowych miał 25 minut na prezentację w której musiał być zagrany jakiś utwór Chopina, a pozostałe dobierał według swojego uznania. Usłyszałem więc ciekawe kompozycje: Prokofiewa, Liszta, Ravela, J. S. Bacha, Granadosa, Debussy'ego, Schuberta. Przesłuchania konkursowe odbyły się w pięknej sali o nazwie „Etiuda” mogącej pomieścić 200 słuchaczy. Są jeszcze w pałacu dwie mniejsze sale konferencyjno-koncertowe: „Chopin” na 120 miejsc i „Harmonia” z setką foteli. Pianiści grali na gabinetowym fortepianie Yamaha dość lichy brzmiącym w niskich rejestrach. Słuchaczy było mało. Jury składało się z sześciu profesorów akademii muzycznych. Wśród nich rozpoznałem Bogdana Czapiewskiego z Gdańska oraz Huberta Rutkowskiego z Hamburga. Głównym organizatorem konkursu jest od samego początku prof. Roman Gruzca, były organista w Katedrze św. Janów w Toruniu i chórmistrz. Prezentacje zakończyły się o godzinie 13:00, a ogłoszenie wyników zaplanowano na 16:30, bez – co bardzo dziwne i niepotykane – koncertu laureatów. W tej sytuacji udałem się w drogę powrotną do domu z przekonaniem, że pałac w Turznie wart był odwiedzenia. Szkoda, że w naszym Waplewie nie ma jakiegos konkursu dla młodych pianistów.

Jeszcze tego wieczora ze strony internetowej Pałacu w Turznie dowiedziałem się o wynikach konkursu. Zdziwiły mnie bardzo skromne nagrody pieniężne. Największym wyróżnieniem jest, moim zdaniem, koncert z Toruńską Orkiestrą Symfoniczną dla Chińczyka Liu Yuhana planowany w przyszłym sezonie artystycznym. Miałem możliwość posłuchania tego pianisty, absolwenta, a obecnie stażysty w Akademii Muzycznej w Poznaniu. Wykonywany przez niego *Polonez fis-moll* Chopina był grany w jakichś dziwnie zrywanych

rytmach. Odniosłem wrażenie, że młody pianista nie wyczuwa charakterystycznego rytmu naszego narodowego tańca. Znaczenie lepiej było w *Fantazji Wędrowiec* Schuberta wykonywanej przez pianistę z młodzieńczym zacięciem i fantazją.

JEDEN GITARZYSTA I TRZY GITARY

sobota, 4 marca 2023 r.



Tomasz Zawierucha pokazuje, że i tak można grać na gitarze, fot. W. Bielecki

Gitarzyści, którzy zakończyli w gdańskiej Akademii Muzycznej *II Gitarowe Integracje im. Jana Paterka*, zaprosili melomanów na koncert do Ratusza Staromiejskiego przy ulicy Korzennej. Cała impreza była poświęcona pamięci profesora Jana Paterka, założyciela gdańskiej gitarystyki, zmarłego niecałe dwa lata temu. Profesor należał do pierwszych w Polsce absolwentów klasy gitary (1968 r.). Ja pamiętam go z paru Gdańskich Spotkań Gitarzystów oraz z występu, który dał w czasach, kiedy to szkoła mieściła się przy ulicy Gnilnej.

Koncert zaczął się od występu zespołu gitarowego złożonego z 12 muzyków, studentów Akademii Muzycznej oraz uczniów trójmiejskich szkół muzycznych. Dyrygowała nimi gitarzystka klasyczna dr Monika Dżuła-Radkiewicz pracująca na stanowisku adiunkta w Akademii Muzycznej oraz nauczycielki w Zespole Szkół Muzycznych w Gdańsku-Wrzeszczu. Literatura na zespoły gitarowe nie jest zbyt obszerna, toteż z przyjemnością wysłuchałem utworu mało znanego współczesnego polskiego kompozytora Bartłomieja Budzyńskiego pt. *Góreckiada* (nawiązującego do dzieł Henryka Mikołaja Góreckiego) oraz miniatury dobrze znanego w świecie gitary Kubańczyka Leo Brouwera, utworu o nazwie oddającej jego treść: *Kubański krajobraz z deszczem*).

Druga część wieczoru należała do Tomasza Zawieruchy, świetnego polskiego gitarzysty, obecnie profesora w niemieckim Folkwang Universität der Künste w Essen. Program jego występu złożony był z dzieł kompozytorów hiszpańskich: Gaspara Sanza, Santiago de Murcia, Fernanda Sora, Isaaca Albenitza. Osobliwością koncertu było to, że gitarzysta zagrał aż na trzech instrumentach. Na początku była to maleńka gitara barokowa zbudowana na wzór instrumentów wykonywanych przez Antonia Stradivarię, następnie niewielka gitara romantyczna, i w końcu, wykonana w ubiegłym roku współczesna gitara koncertowa. Tomasz Zawierucha zakończył recital utworem napisanym przez Matthiasa Schlothfeldta, kolegi z uczelni w Essen. Było to takie eksperymentalne dziełko, w którym wykonawca pokazuje, co można zrobić zabawiając się gitarą. Można więc obrócić ją, położyć na kolanach i popukać w dolną deskę, zagrać na strunach przy główce lub za podstawkiem, pojeździć po strunach metalową sztabką, uderzać w struny pałeczką, itp. Na całe szczęście koncert zakończył się bisem: *Wspomnieniem z Alhambry*, gitarowym hitem skomponowanym przez Francisca Tárrege, oklaskiwanym gorąco przez licznie zgromadzoną publiczność.

TRĄBKA I MUZYKA FRANCUSKA W FILHARMONII NARODOWEJ

piątek, 17 marca 2023 r.



Trąbaczka Lucienne Renaudin Vary, fot. Internet

Koncert w Filharmonii Narodowej poprzedziło spotkanie pod nazwą „O czym gramy”. W Sali Kameralnej redaktor Marcin Majchrowski z Programu 2 Polskiego Radia przeprowadził w obecności kilkudziesięciu melomanów rozmowę z dyrygentem dzisiejszego koncertu Pawłem Kapułą. Zaczął od pytania, czy dyrygent był na filmie „Tár”? Tár to nazwisko

fikcyjnej dyrygentki, głównej bohaterki w amerykańskim filmie z końca 2022 r. Jest to ciężki dramat psychologiczny, wyreżyserowany przez Todda Fielda, z udziałem znanej aktorki Cate Blanchett, grającej rolę Lydii Tár, fikcyjnej dyrygentki, otwartej lesbijki, oskarżonej o wykorzystywanie seksualne swoich współpracowniczek. Właściwie film pokazuje upadek dyrygentki, która z Filharmonii Berlińskiej, w której przygotowywała *V Symfonię* Mahlera, zmuszona jest do wyjazdu i ukrywania się gdzieś w Tajlandii w wytwórni nagrywającej muzykę do azjatyckich filmów. Film ten nie bardzo mi się spodobał, bo akcja idzie bardzo powoli, ciężko i miejscami jest po prostu nudny.

Okazało się, że dyrygent Paweł Kapuła jeszcze nie zdążył oglądnąć tego obrazu, ale opowiedział o swoim najważniejszym wydarzeniu z ostatnich tygodni: nagraniu wszystkich pięciu koncertów fortepianowych Beethovena z Filharmonią Praską. Po rozmowie z maestrem zostało już niewiele czasu na omówienie dzisiejszego programu. Niestety, prowadzący ani jednym słowem nie wspomniął o francuskiej solistce wieczoru, 24-letniej Lucienne Renaudin Vary, grającej na trąbce. Na szczęście tak się złożyło, że przed sześciu laty słyszałem ją w Auli Adama Mickiewicza w Poznaniu. Grała wtedy z tamtejszą orkiestrą pod dyrykcją Łukasza Borowicza *Koncert As-dur na trąbkę* Arama Arutuniana.

Dzisiaj w jej wykonaniu usłyszeliśmy dwa utwory, najpierw było to *Concertino na trąbkę i orkiestrę* Krzysztofa Pendereckiego. Jest to efektowny utwór współczesny z udziałem wielkiej orkiestry symfonicznej i dużą ilością instrumentów perkusyjnych. Solistka gra w nim na dwóch instrumentach – tradycyjnej trąbce oraz nieco większej „skrzydlówce” wydającej nieco ciemniejszą barwę dźwięku.

Kolejnym utworem był klasyczny *Koncert na trąbkę i orkiestrę Es-dur* Josepha Haydna. Wykonała go orkiestra w znacznie mniejszym składzie, ale dla mnie i tak za dużym, bo z udziałem aż trzech kontrabasów. Przyznam, że wolałbym wykonanie na instrumentach z epoki. Solistka grała na współczesnej trąbce, tzw. wentylowej, a wiadomo że za czasów Haydna używane były instrumenty klapkowe. Do tego klasycznego dzieła aż trzy kadencje, czyli solowe momenty dopisał Krzysztof Penderecki. Brzmiały one bardzo ciekawie i oryginalnie. Przypomnieć można, że w tym roku przypada trzecia rocznica śmierci tego kompozytora. W czasie przerwy udało mi się zauważyć w hallu Filharmonii panią Elżbietę Penderecką, wdowę po kompozytorze. Na bis bosonoga solistka zagrała solo znana balladę z filmu „Czarnoksiężnik z Oz”.

Następnymi utworami były hitowe dzieła, już na samą orkiestrę, kompozytorów francuskich: barwnie zinstrumentowana *Suita 'Moja matka gęś'* Maurice'a Ravela, melodyjna *Pawana* Gabriela Fauré oraz trzy szkice symfoniczne pn. *Morze* Claude'a Debussy'ego. Ten ostatni utwór został zaliczony przez dyrygenta Pawła Kapułę do dziesięciu najważniejszych dzieł w historii muzyki klasycznej. Jest to dzieło impresjonistyczne z programem zawartym w tytułach kolejnych części: *Od świtu do południa na morzu; Gra fal; Rozmowa wiatru z morzem*.

Wysłuchany przez mnie koncert w Filharmonii Narodowej nie był może nadzwyczajny, ale ciekawy, z niezłą trębaczką i dynamicznym dyrygentem. Nieco zdziwiło mnie zachowanie publiczności klaskającej po każdej części koncertu Haydna. W każdym razie, nie żałuję trudu związanego z przyjazdem do Warszawy, w której jako mieszkaniec prowincji nie bywam zbyt często.

NOWA MIODOWA

sobota, 18 marca 2023 r.



Sala koncertowa na Nowej Miodowej, fot. W. Bielecki

Tak nazywana jest szkoła muzyczna przeniesiona przed kilkoma laty z ulicy Miodowej na ulicę Rakowiecką 21 w Warszawie. Mieści się ona w wyremontowanym budynku dawnego Domu Sierot Dziewcząt. Z tyłu od ulicy dobudowano piękną salę koncertową z akustyką zaprojektowaną przez znanego w świecie specjalistę, Japończyka Yasuhisa Toyotę, tego samego, który opracował akustykę wielkiej sali Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. Sala na Nowej Miodowej ma 305 miejsc i studio nagrań. Podłogi wyłożone są sosnowymi deskami, a ściany boazerią z tego drewna, złożoną z drobniotkich kawałków ciętych w poprzek słoii – wklęsłych lub wypukłych. Sala jest bardzo wysoka, z kopułą jak w kościele. Fotele słuchaczy ułożone w bardzo, ale to bardzo stromym amfiteatrze, są nieco za ciasne dla osób z wyższym wzrostem. Właśnie opisy tej nowej sali zachęciły mnie do przyjazdu do stolicy.

Dzisiaj mogłem wysłuchać tutaj aż czterech koncertów. Solistami byli uczniowie szkoły oraz orkiestra Sinfonia Iuventus pod dyrekcją młodego dyrygenta Krzysztofa Jakuba Kozakiewicza. Orkiestra została założona przez wybitnego dyrygenta Jerzego Semkova i rozpoczęła działalność w 2008 r. Głównym jej celem jest stworzenie młodym muzykom szansy na debiut orkiestrowy i przygotowanie ich do pracy w podobnych zespołach zawodowych,

dlatego skład orkiestry wchodzi najzdolniejsi absolwenci akademii muzycznych, którzy nie ukończyli 30 lat. Członkowie orkiestry są przyjmowani na zasadzie konkursu i często wymieniani, by zachować odpowiedni wiek zespołu. W jego składzie dominują młode panie, w grupie smyczków na prawie 30 osób, doliczyłem się tylko 5 mężczyzn.

Wieczór zaczął się od *Concerto sopra motivi dell'opera 'La favorita' di Donizetti* Antonio Pasculli'ego na obój z orkiestrą. Wirtuozowską partię solową wykonał przepięknie Miłosz Daniel Zwoliński (18 lat). Po nim *Concerto Gregoriano* Ottorina Respighi'ego zagrał na skrzypcach bardzo stremowany Wiktor Lisowicz. Myślę, że dobór tego dziwnego, neoromantycznego koncertu, to sprawa jego nauczycieli. Moim zdaniem, można było wybrać stosowniejszy utwór. Po przerwie wysłuchaliśmy 16-letniego wirtuoza ksylofonu Piotra Styczyńskiego wykonującego współczesną kompozycję Toshiro Mayuzumi'ego – *Concertino na ksylofon i orkiestrę*. Jako ostatni zagrał pianista Filip Pacześny. Wykonał on *III Koncert fortepianowy* Ludwiga van Beethovena. Z początku był dość spięty, ale w toku koncertu coraz pewniej i piękniej grał to znane dzieło.

Koncert ten świadczy o znakomitym poziomie uczniów warszawskiej szkoły, i nie tylko. Jeśli uczeń średniej szkoły może zagrać koncert z orkiestrą symfoniczną w znakomitej sali, to potwierdza się opinia o tym, że poziom szkolnictwa muzycznego w Polsce jest niezły.

Prowincja w internecie:

www.prowincja.com.pl

<https://www.facebook.com/Prowincja.Sztum/>

Wacław Bielecki



ZIEMIA SZTUMSKA W FOTOGRAFII

Pod koniec grudnia 2022 r. w salach wystawowych Sztumskiego Centrum Kultury odbył się wernisaż wystawy fotograficznej pn. *Ziemia sztumska*. Zaprezentowano na niej kilkadziesiąt dużych fotografii w rozmiarach 50×70 cm wykonanych przez uczestników Warsztatów Fotograficznych przy Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Kilka z tych obrazów można zobaczyć na okładce obecnego numeru „Prowincji”. Wystawa była zwieńczeniem rocznych wyjazdów fotografów amatorów do wszystkich gmin Powiatu Sztumskiego. W okresie od wiosny do jesieni zajrzeli oni do: Starego Targu, Mikołajek Pomorskich, Dzierzgonia, Starego Dzierzgonie oraz samego Sztumu. – *Spośród kilkuset zdjęć na wystawę trafiły 34 najlepsze, które nietatwo było wybrać* – pisała o tym lokalna prasa – *bowiem warsztaty przyniosły nie tylko radość tworzenia, ale też wysoki poziom wykonanych prac*.



Od lewej: dyrektor SCK Adam Karaś i autorzy zdjęć: Janina Zaniewska, Wacław Bielecki (prowadzący warsztat), Bożena Trzcinińska, Urszula Westfal, Krystyna Kogut, Ewa Grzecka, Wacław Gładczuk, (nieobecny Henryk Biskup), fot. Wojciech Bryczkowski

Przy okazji można przypomnieć, że Warsztaty Fotograficzne przy Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Sztumskim Centrum Kultury funkcjonują ciągle od ponad 15 lat. Przewinęło się przez nie kilkadziesiąt osób. W każdym roku zdjęcia amatorów fotografii cyfrowej pokazywane były na wystawach, których było kilkanaście. Przypomnijmy tytuły nie-

których z nich: „Pejzaże zimowe”, „Zwierzęta” (2013), „Sztum wczoraj u dziś” – wystawa plenerowa na Placu Wolności (2014), „Ludzie – zdarzenia i emocje” (2015), indywidualne wystawy uczestników zatytułowane: „W oknach” – w budynku SCK (2015-2016), wystawa z okazji konkursu fotograficznego na 600-lecie Sztumu (2016), wystawa po plenerach wyjazdowych do Chełmna i Torunia (2017), „W bieli i czerni lub w kolorze” (2018), „Ziemia sztumska w obiektywie Wacława Bieleckiego” – indywidualna, plenerowa wystawa przed budynkiem Urzędu Miasta i Gminy w Sztumie (2018). Działalność fotografów nie została przerwana przez pandemię koronawirusa. Wtedy uczestnicy działali w formie zdalnej, przesyłali zdjęcia przez Internet i wystawiali na stronie SCK.



OKIEM FOTOSNAJPERA



Piotr Opacian

OKO W OKO
Z KRÓLEM AMAZONII



Z bezchmurnego nieba lał się skwar, którego nie łagodził ani powiew wiatru, ani rzeka, pod prąd której mozolnie parłem metr za metrem w stronę odległych jeszcze Andów. Woda nie oferowała żadnej ochłody, ponieważ noce były duszne i parne, a rzeka wąska i płytka dawno już zrównała swoją temperaturę z rozedrganym żarem otaczającego ją powietrza. Wąski tunel wody ciągnący się przez zieloną selwę na swoich zakrętach urozmaicony był piaszczystymi łachami przybrzeżnymi, fachowo nazywanymi odsypami meandrowymi, gdzie szerokość rzecznej dolinki podwajała swoją wartość w stosunku do prostych odcinków. Przeładowana niesionymi osadami woda rzeki porównywalna kolorystycznie do kawy z mlekiem, potem jasny, żółtawy piach odsypów meandrowych, dalej dość zmęczona spiekotą dnia zieleń lasów tropikalnych i to wszystko spięte, zamknięte wyblakłym błękitem nieboskłonu – i tak kilometr za kilometrem kumulując się w dziesiątki, a potem setki kilometrów pokonywanych w moim Harpunie, składanym kajaku wyprawowym.

Ten obraz mógłby wydawać się bardzo monotony, ale takowym był tylko połowicznie. Codziennie przed zachodem słońca, a tam w tropikach to już koło 18:00, ta wąska dolina stawała się amfiteatrem, na „deskach” którego występowali wszelakiego rodzaju artyści, a na wyróżnienie zasługują na pewno cykady – ci najmniejsi, ptaki, ci średnich rozmiarów i wyjce rude – ci najwięksi. Cisza dnia zmieniała się w tętniący rozmaitymi odgłosami mikrokosmos, który przejmował kontrolę nad zmysłami. To przejście nie było jednak wrogie – przebiegało za moją zgodą. Oczarowany, urzeczony, wsłuchiwałem się w koncert wirtuozów, których nie powstydziliby się sama La Scala. Ktoś musiał najwyraźniej dbać o najmniejszy szczegół spektaklu, nie zabrakło bowiem, choć z rzadka, ale jednak, jaguarzego





pomruku, który na chwilę uciszał innych, a mnie przeszywał przejmującym dreszczem ekscytacji połączonym ze strachem.

W ciągu dnia przytrafiały się skutecznie przerywające monotonię długodystansowego wiosłowania bliskie spotkania „amazońskiego stopnia”. Kajmanów w rzece było dużo, kapibary, często w rodzinach, odpoczywały na rzecznych łachach. Pekari stadnie wypasały się w pobliżu rzeki lub gromadnie piły z niej wodę – taka codzienność nad Rio Madidi. Wiosłując wiele dni przywykłem do takich widoków, nie wspominając w ogóle o przelatujących z jednej strony rzeki na drugą pstrokatej i hałaśliwych gromad ary żółtoskrzydłej i ararauna. Przepłynięcie w bliskiej odległości od tapira czy czepiaka czarnego, który rzadko porzuca bezpieczeństwo górnych partii leśnego baldachimu, było już rzadkością, którą delectowałem się na długo po spotkaniu. Oczekiwania były spełnione z jednym tylko wyjątkiem. No i stało się! Okrążyłem dość okazałych rozmiarów łachę przybrzeżną, kiedy mój wzrok przykuła cętkowana plama na granicy zieleni traw i żółtego piasku.

Nigdy przedtem nie spotkałem jaguara sam na sam w dzikiej selwie. Oczywiście widziałem go i to nie tylko w zoo. Raz z okien autobusu, raz z jeeпа, czy też kiedyś obserwowaliśmy go w małej grupie przez lornetkę w Pantanal. Kiedy wpłynąłem na Rio Madidi ślady jaguarów stały się wszędołybskie. Muszę się przyznać, że to był jeden z ważnych powodów, dla których zdecydowałem się popłynąć w górę tej rzeki – mój pierwszy, bezpośredni z nią kontakt miał miejsce dwa lata wcześniej. Na dolnym odcinku Rio Madidi rozciąga się pięć osad indiańskich, a potem już do samego Alto Madidi dziewiczy las deszczowy ze wszystkimi bez wyjątku jego mieszkańcami. Wiele kryje on jeszcze tajemnic, gatunków do odkrycia i opisanie – i wcale nie chodzi tu o owady czy organizmy kryjące się w wodzie, a o duże ssaki. W 2004, dokładnie dwa lata po jednej z moich wypraw w rejon Madidi i dokładnie rok przed opisywaną tutaj wyprawą, odkryto nowy gatunek małpy w tym rejonie – – małpa

Madidi titi. Gatunek posiada również inną nazwę – małpa golden palace, którą nadała pewna firma po „wykupieniu” do tego praw na aukcji. Cel szczytny – pieniądze miały być zainwestowane w ochronę dorzecza rzeki Madidi, a samą małpę można obejrzeć i posłuchać pod tym linkiem: <http://www.goldenpalacemonkey.com/> . W tym świetle zupełnie inaczej zaczyna postrzegać się opowieści o małpoludzie znad Madidi. Jest nawet książka na ten temat (*The Monster of the Madidi*, Simon Chapman), którą czytałem przed wyprawą w domu i niejedną ironiczną uśmieszek pojawił się na mojej twarzy przy wertowaniu jej zawartości. Po opisanym powyżej odkryciu i po opowieściach Indian znad Madidi, których miałem przyjemność wysłuchać w 2005, ten kpiarski uśmiech nigdy nie zagościł na moich ustach, kiedy nocami samotnie leżałem w namiocie z jedną ręką zaciśniętą na strzelbie, a drugą na maczecie.

Moje pojawienie się nad Madidi w tak niezwykłym środku transportu, samotnie i z tak niewiarygodnym celem – płynięcie w górę rzeki i dotarcie jak najbliżej źródeł rzeki, poniosło się echem po wszystkich tamtejszych pięciu osadach na długo przed moim fizycznym dotarciem do lokalnych społeczności. Takiego wariata tam jeszcze nie widzieli. Tyle wysiłku i zagrożeń, ale co w zamian? Zaznaczali, że jednym z podstawowych zagrożeń dla samotnego wędrowca na środkowym i górnym odcinku rzeki są spotkania z jaguarem. A zatem zadawane sobie przed wyprawą pytanie: „Czy będę mieć tyle szczęścia, by spotkać króla Amazonii” zostało przez nich zrewidowane do formy: „Kiedy to nastąpi, w jakich okolicznościach i czy przeżyję”. Potrzeba zaopatrzenia się w broń palną stała się imperatywem. Z pilnością wsłuchiwałem się w porady lokalsów co do postępowania w przypadku bliskiego spotkania z tym mocarzem, dla którego upolowanie dużej anakondy czy kajmana nie stanowi żadnego problemu. Na pokładzie mojego Harpuna pojawiła się strzelba, którą w razie konieczności bardzo szybko można było użyć.

Pomimo tego, gdy tylko zauważyłem w oddali tę cętkowaną plamę na tle zielonych traw, pierwszą myślą, a raczej życzeniem, które sformowało się w moim umyśle, było to, żeby nie uciekł na mój widok. Jakże wtedy mógłbym mu się z bliska przyjrzeć, zrobić kilka zdjęć? W pośpiechu wylądowałem na piaszczystym brzegu, wyskoczyłem z kajaka i z aparatem w jednej ręce i strzelbą w drugiej, ruszyłem powoli w jego kierunku. W międzyczasie on wstał i zaczął leniwie poruszać się w moją stronę. Odległość dramatycznie zmalała. Nie miał zamiaru uciekać, to była jego łacha, jego rzeka i jego selwa. Nogi ugięły się pode mną. Stałem jak wryty. Od aparatu dużo ważniejsza stała się broń. Zgodnie z tym, czego nauczylem mnie Indianie i o czym też wcześniej czytałem, zacząłem pochrząkiwać, zwiększać pozorną wielkość mojego ciała, wymachiwać rękami, ale wszystko spokojnie, bez paniki i pokazywania strachu – to pewnie zdecydowałoby o jego ataku. Stał na chwilę. Trudno powiedzieć ile sekund trwało to wzajemne badanie się. Musiał być na szczęście syty. Wydawał się też młodym osobnikiem, ale zupełnie już samodzielny. Kroczek po kroczku zacząłem się wycofywać, ciągle z ciałem zwróconym w jego kierunku. Pokazanie pleców byłoby samobójstwo. Po chwili on zaczął robić to samo, ale nie w ten sam sposób. Odwrócił się do mnie bokiem i dumnie przemierzył pas piachu oddzielający go od traw. Tam położył się i od czasu do czasu zerkał w moją stronę.

Rozdygotany dotarłem do Harpuna. Ciągle zwrócony do niego twarzą wsiałem do kajaka i zacząłem powoli odpływać „na wstecznym”. Jaki dzielił nas dystans w chwili

największego zbliżenia? Zmysły w takich chwilach zupełnie zawodzą. Oprzyjmy się więc na w miarę obiektywnych przesłankach. Szerokość odsypów meandrowych na tym odcinku Madidi nigdy nie przekraczała 50 metrów, eksplorowałem je każdego dnia wybierając najlepsze miejsce na obóz. W chwili największego zbliżenia linia nas łącząca biegła pod kątem prostym do rzeki – widać to wyraźnie na serii zdjęć. Oddaliłem się od kajaka na około 10 metrów. Zdjęcia wykonane obiektywem o ogniskowej 300mm. W takim razie jaki dystans nas dzielił? Całkiem racjonalną wartością wydaje się być nie więcej niż 25 metrów. To połowa szerokości odsypu meandrowego. Wielkość jaguara na oryginalnej klatce kliszy wskazuje bardziej na około 20 metrów.

A co z subiektywnym odczuciem? Spojrzenie mu głęboko w oczy. Poczucie jego oddechu. Zarejestrowanie pracy mięśni pod skórą. Możliwość policzenia wąsów. Biel odstoniętych na chwilę kłów. Wrażenia, które chyba na zawsze odcisnęły jakieś piętno na mojej psychice. Długo nie mogłem się opanować. Kilka kilometrów dalej wylądowałem na innej łasze i nie wiem dlaczego zacząłem strzelać ze strzelby. Weryfikacja, że bym trafił, że strzelba działała? Huk, który miał pokazać mieszkańcom dżungli, że potrafię się obronić? Odręgowanie olbrzymiego napięcia? To byłem ja i jaguar, a dookoła nas setki kilometrów lasu deszczowego i żadnej nadziei na pomoc.



Paulina Hoppe-Gołębiwska



Mitologia macierzyństwa

W poprzednim numerze Prowincji poruszyłam ciężki motyw depresji, więc pomyślałam sobie, że zacznę optymistycznie. Zresztą, już wtedy wybierając temat, Jolka uprzedziła mnie, że kolejny tekst musi być o nadziei. Optymistyczny.

Uwielbiam wiosnę. Czas, kiedy przyroda budzi się do życia, kiedy w końcu jest słońce. Słońce dające energię i chęci do działania. Kiedy szare myśli jakoś tak same uciekają z głowy, a pod kółką zaczyna mieszkać świeży ogląd sytuacji i ogromna ochota na działania i zmiany. Wiosna mobilizuje. Wiosna budzi do życia nie tylko przyrodę ale także moją głowę.

Nie wiem, czy już się zorientowaliście, ale Joli z reguły się nie fika. Jola jest lojalna (haha!) i stanowcza. Uparta i do tego z sercem na dłoni. To dla mnie niedościgniony wzór planowania i organizacji. Społeczniczka, która zjadła zęby (te mentalne) na wychowywaniu cudzych dzieci w świetlicy przykościelnej. Dlatego też ten optymistyczny fragmencik musiałam zamieścić. Oczywiście, jest on zgodny z prawdą: cały rok czekam na pierwsze wiosenne oznaki, które sprawiają, że lepiej mi się funkcjonuje i jakoś tak łatwiej uśmiecha. Jednak ma niewiele wspólnego z tym, czym chciałabym się podzielić z Tobą, Drogi Czytelniku.

Czego ci matka nie powie... w założeniu miał być cyklem o rodzicielstwie, o jego radościach i trudach. Geneza tego pomysłu jest prosta: odkąd zostałam matką jedynaka, miałam dziwne przeczucie, że troszkę mnie wkręcono, że to nie do końca jest tak, że macierzyństwo to taka super łatwa i prosta sprawa. Kiedy zostałam matką dwójki, zyskałam całkowitą pewność. Całkowitą! Że z pokolenia na pokolenie przemilczane zostają ważne sprawy związane z macierzyństwem i wychowaniem dzieci. Że kobieta, która chce być matką (lub tak jej się wydaje, bo przecież wszystkiego jeszcze nie wie), znajdzie czas na wszystko, łącznie z rozwojem zawodowym, wsparciem latorośli w szkole, pasją i relaksem. Wszystko jest do zrobienia. Wszystko. No i dzieci to przecież tyle radości...

Wiecie, mitologia grecka, rzymska, słowiańska czy nordycka to całkiem fajny temat. Zresztą dwóch pierwszych uczymy się w szkołach, z większym lub mniejszym zapałem. Myślę, że z powodzeniem można by tu również umieścić mitologię macierzyństwa. To taki międzypokoleniowy trend przekazywany za pomocą krótkich haseł typu „no to kiedy dzieci?”, „latka leć!”, „im później, tym trudniej” lub „Hania/Ania/Zocha mają... a ty kiedy?”. Zwroty te mają na celu wepchnięcie delikwentki w poczucie winy, a także spowodowanie, by potrzeba *prześladowcy* stała się potrzebą *prześladowanej*. Zauważcie również proszę, że żadna dziedzina przemysłu i handlu nie ma takiego wsparcia w społeczeństwie jak ta, dedykowana niemowlakom i świeżym rodzicom. Śmiało można stwierdzić, że jest to swojego

rodzaju wolontariat na rzecz producentów poczyniony przez ciężo-namawiaczy... A skoro już o producentach mowa. To dla mnie woda na młyn. Tu mogłabym pisać godzinami na temat słodkopierdzących mamus uśmiechających się z ekranu telewizora i sugerujących, że wszystko jest prostsze z dzieckiem, gdy używa markowych Pampersów i mleka Bebi-lon Profutura. Wynosimy macierzyństwo do rangi okładkowej świętości, za której frontem znajduje się morze wyrzeczeń i zmartwień. Rzeczy, o których nie chcemy ani wiedzieć, ani nawet myśleć.

Dlaczego?

Mimo coraz większej ilości wiosennych dni i słońca, które napawają optymizmem i chęcią do działania, właśnie ta myśl nie dawała mi spokoju. Z początku mała, dotycząca tylko macierzyństwa, przerosła w coś większego: dlaczego uczymy nasze dzieci pokazując im osiągnięcia, a nie tłumacząc na czym polega droga do nich?

Ile razy słyszeliśmy od rodziców „ucz się, a będziesz miał...” albo „jak pójdziesz na studia, to będzie ci łatwiej”? Jakby sama nauka wystarczyła, by świat stał otworem, a dyplom z uczelni otwierał wszystkie drzwi sejfów bankowych. A tekst „jak będziesz mieć dzieci, to będzie kto miał ci na starość szklanekę wody podać”? Mój ulubiony. Jakby sam fakt posiadania dzieci gwarantował nam bezpieczną i stabilną starość. Niby przypadkiem zapominamy dodać, że dziecko trzeba utrzymać, wychować i wykształcić. Dać narzędzia w rękę, którymi będzie potrafiło osiągnąć to, co potrzebuje i czego chce. A na spokojną i dobrą starość pracujemy codziennie, w myśl zasady: co zasiejesz, to zbierzesz. Oczywiście, nie twierdzę, że całe pokolenia dorosłych świadomie pchało swoje dzieci w przysłowiowe maliny. Wiecie, maliny, co to wyglądają apetycznie, soczyste i nęcą zapachem, ale zapomniałam dodać, że zanim je zjesz, to pokłujesz się jak cholera. Twierdzę, że nie powinniśmy się bać mówić dzieciom, że zanim dostaną nagrodę, muszą na nią zapracować. Czasem ciężko i długo, ale czyż wtedy sukces nie smakuje lepiej?

Wiosna to wspaniały czas. Wszystko budzi się do życia: niebo jest bardziej niebieskie, trawa bardziej zielona i wszędzie słychać coraz częściej ptaki. Wraz z przyrodą do życia budzą się moje szare komórki. Czasem, gdy wydarzy się spięcie, z moich ust wychodzą różne błyskotliwe riposty. Najczęściej podczas rozmowy na Messengerze z Jolą, której, jak już wiecie, się nie fika.

– No, a co u Ciebie? – pytam, gdy Jola już zdała relację z samopoczucia całego przychówku, łącznie z mężem.

– No ja no co... nic... gary, dzieci, mąż, leki, obiady, sprzątanie, w sumie na nic innego nie mam czasu.

– Nie masz poczucia, że zostałyśmy wkręczone? – piszę szybciej, niż myślę, by wykorzystać błyskotliwą puentę zrodzoną z wiosennego zwarcia szarych komórek.

Ale tak szczerze, czy ktoś nas uprzedzał?

Maja Bilewicz



VIOLENTIAM

Kiedyś wszystko było prostsze.

Nie martwiliśmy się o nic.

Mimo naszej inności.

Każdy zaznał tutaj chwilę wolności .

Nie znaleźliśmy granic.

Przemocy się wstydziliśmy.

Ale nie wspomnieliśmy

Że się jej baliśmy.

Każda rysa na moim szkle..

Została uznana za niezauważalną.

Miałam nadzieję że w końcu odpuści. Widział me łzy słone.

Słyszał mój cichy krzyk.

Dzięki nim (łzą) miał skończyć swe grzechy.

Dzięki nim miał skończyć me męki.

On nie odważył się skończyć.

Gdyż mój ból był jego ukojeniem.

A inni zapytasz?

Moje emocje (dla nich).

Nie zaznały światła dziennego podobno należały do czegoś dziwnego.

Każda łezka była zdana na siebie szkoda, że nie było ciebie .

Nawet jeśli ludzie widzieli słyszeli, to żadno nie zdecydowało się użyć swej nadziei.

Nikt Nie widział jak mnie bolało.

Nikt Nie widział jak byłam bezbronna.

Nikt Nie widział czy nie chciał widzieć?

Bali się czy woleli milczeć?

Każde moje potknięcie-

Było wytykane.

Czyżbym za głośno milczała tym razem?

Nie piszcie na Berdyczów ani do szuflady! Piszcie do nas!

Młodość to oczywiście pojęcie względne i nie kryteriami Peselu pragniemy się jedynie kierować. Ale ci najmłodszy wiekiem, a piszący wiersze, opowiadania, często mają problemy z ich publikacją. Czasem jest to niechęć dorosłych wydawnictw, niedojrzałość tekstów, a czasem autocenzura. Najważniejsze żeby spróbować. I to jest miejsce dla WAS. Przysyłajcie swoją twórczość na **provincja@onet.pl**, a nasi redaktorzy ocenią, doradzą i pomogą w publikacji.

Janusz Ryszkowski



O CO MODLIĆ SIĘ NIE NALEŻY

Maksymos z Tyru, Konferencje filozoficzne (wybór). Z języka greckiego przełożył, wstępem i komentarzem opatrzył Marian Szarmach, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołajka Kopernika, Toruń 2022.

Niewiele wiemy o greckim retorze Maksymosie z Tyru w Libanie, należącem wówczas do rzymskiej prowincji Syria. Szczyt jego działalności przypadł zapewne na schyłek II wieku. Są wzmianki, że występował m.in. w Rzymie. Przepadłby na zawsze w mrokach niepamięci, gdyby nie to, że zachowało się w rękopisach 41 jego konferencji na różne tematy filozoficzne. Po raz pierwszy zostały wydane drukiem w Genewie w 1557 roku.

W 2022 roku nakładem Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Mikołajka Kopernika w Toruniu ukazało się 13 konferencji Maksymosa w przekładzie i wyborze Mariana Szarmacha, który także opatrzył je wstępem i erudycyjnymi komentarzami. Dodajmy, że to naturalna konsekwencja zainteresowań badawczych profesora: w 1985 roku opublikował po niemiecku pierwszą monografię tego „mówcy koncertowego” („Maximos von Tyros. Eine literarische Monographie”), na którą to do dziś powołuje się wielu filologów niemieckich i włoskich.

Maksymos miał o tyle szczęście, że choć żył pod okupacją rzymską, to jednak w czasach cesarzy dbających o rozwój cesarstwa, szczególnie jego prowincji. Syria w tym czasie dobrze

rozwickała się gospodarczo, a w ślad za tym także szkolnictwo prowadzone przez sofistów. Antiochia, Damaszek, Emesa, Samosata oraz Tyr stały się wówczas głównymi ośrodkami studiów literacko-filozoficznych.

Sofiści byli głównie nauczycielami (dobrze opłacanymi i podróżującymi po cesarstwie) retoryki, która nie tylko przygotowywała do zawodu adwokata, ale także zajęć urzędniczych, administracyjnych i politycznych. Konferencje Maksymosa są zwięzłe (ok. 20 minut), ale wymagają od słuchacza odpowiedniego poziomu wykształcenia i erudycji. Jak napisał we wstępie profesor Szarmach: „autor i odbiorca spotykają się jak dobrzy znajomi”, bo wyszli z tej samej szkoły, studiowali te same podręczniki i autorów. Dzisiejszy czytelnik musi się wspierać komentarzami i wyjaśnieniami obecnymi prawie na każdej stronie tych tekstów.

Pięknie wydane „Konferencje filozoficzne” zawierają jedną trzecią zachowanego dorobku Maksymosa z Tyru. W wyborze znalazły się m.in. rozważania „O relacji wykształcenia ogólnego z cnotą”, „Czy bogów należy czcić posągami”, „Czym jest wiedza?”, „Jaki jest cel filozofii?”, „Czy należy się modlić?”. Z tej ostatniej przytoczmy fragment końcowy: „Jeśli z życia usuniesz filozofię, zabierzesz zarzewie, zabierzesz oddech i to co je ożywia i uświadamia, czym jest modlitwa. Jeśli ciało pozbawisz duszy, stanie się skostniała, odbierając ziemi owoce, spustoszysz ją, odkradając dzień ze słońca, sprawiasz, że się kończy”.

Przekład „Konferencji...” poprzedza znamienna dedykacja: „Mojej Alma Mater, moim Mistrzom, Przyjaciołom, Kolegom i Studentom w pięćdziesięciolecie doktoratu w maju 2011”. Trudno przy okazji tego omówienia ominąć ten wątek. Z powodu pandemii Covid-19 te uroczystości jubileuszowe odbyły się z kilkumiesięcznym poślizgiem – 8 października 2021 r. w budynku Akademickiego Centrum Kultury i Sztuki „Od Nowa” w Toruniu. Wzięli w niej udział liczni uczniowie i przyjaciele Jubilata, przedstawiciele UMK i wielu krajowych ośrodków akademickich.

Prorektor UMK, prof. dr hab. Przemysław Nehring, powiedział wtedy m.in.:

Życzliwość i mądrość Pana Profesora, jaką poczułem od chwili, gdy pierwszy raz przekroczyłem próg [jego] mieszkania przy ulicy Morawskiego w Sztumie, towarzyszy mi nieustannie przez wszystkie lata naszej znajomości, która z czasem przerodziła się w przyjaźń. Oczywiście zawdzięczam mu to, co potrafię jako filolog klasyczny – pod jego kierunkiem pisałem magisterium, doktorat, to on przez wiele lat był

pierwszym czytelnikiem niemal wszystkich publikowanych przeze mnie tekstów – od juveniliów począwszy na książce habilitacyjnej skończywszy, ale jestem mu winien coś o wiele ważniejszego, coś, co określa się niestety nadużywanym dzisiaj pojęciem „świata wartości”. Nauczyłem się zatem, że nigdy nie wolno nikogo krzywdzić, że nie można żywić zawisłości, że lepiej samemu ponieść stratę, niż narazić na nią drugiego człowieka, że ludziom należy przede wszystkim pomagać, że nie należy epatować innych swoimi problemami, że to my wybieramy w życiu nasze postawy, a nie jesteśmy do nich determinowani przez tak zwane okoliczności zewnętrzne. Obserwując Pana Profesora, uczyłem się też przeżywania religijności, pełnej pokory, bez afiszowania się, ale zarazem otwartej i niewykluczającej inaczej myślących i wierzących”. („Meander” 2022, vol.77)

Aż korci, by sięgnąć raz jeszcze do „Konferencji...” Maksymosa: „Przystępując do modlitwy do bogów, stajesz przed sądem surowym. (...) Bóg nie zniesie, gdy będziesz go prosił o coś, o co modlić się nie należy, ani nie da ci tego, czego dać nie może”.

Piotr Napiwodzki



KONFERENCJE FILOZOFICZNE MAKSYMOSA Z TYRU

Wbrew kasandrycznym zapowiedziom popularnym w niektórych kręgach, to, co przychodzi po epoce chrześcijańskiej, nie jest jedynie chaosem i nihilizmem. Takie (pseudo-)apokaliptyczne myślenie jest szczególnie niebezpieczne w polityce. Jeśli bowiem jedyną drogą jest zachodnie chrześcijaństwo przeciwstawiające się

nowoczesności przynoszącej tylko upadek i zniszczenie, to nie ma wyjścia – trzeba za wszelką cenę i wszystkimi środkami bronić tzw. wartości chrześcijańskiej cywilizacji. Gdy nie ma alternatywy, powstaje dyktatura. Rozum śpi i budzą się demony. Dwudziesty wiek i dramatyczne próby siłowego przywrócenia chrześcijańskiego



światopoglądu skończyły się upadkiem (także moralnym) systemów uważających się za powołanych do obrony wartości. Jeśli to oddział żołnierzy ma uratować cywilizację przekształcając się w pluton egzekucyjny, to nie tylko jej nie ratuje, ale wraz z życiem straci także swój honor¹. Okazuje się, że ani cywilizacja, ani moralność nie kończy się wraz z chrześcijaństwem. Obierają jedynie inny kierunek i podążają innymi drogami. Nie przeżywamy ani ostatecznego zstąpienia do piekieł, ani całkowitej utraty tego, co tworzy ludzką społeczność. Jest to zmiana paradygmatu, która wcale nie jest złem (a tym bardziej złem skrajnym), ale która broni innych szlachetnych zasad. Widać to zresztą gołym okiem – czyż ludzie odchodzący od wiary z konieczności pograżają się w odmętach pozbawionych wszelkich norm światopoglądów? Czyż nie

kierują się często szlachetnymi pobudkami, a ich dobre, moralne czyny wprost zawstydzają niezłomnych obrońców tradycyjnych, chrześcijańskich wartości?

Czy chcemy tego, czy nie, musimy dzisiaj konfrontować się z tego typu dylematami. Pomoc może nadejść z nieoczekiwanej strony. Oto niewielka książeczka Maksymosa z Tyru pod tytułem „Konferencje filozoficzne” kieruje do nas z zamierchłej przeszłości (a przecież po polsku dzisiaj i to z samego centrum Sztumu) bardzo ciekawe przesłanie². Maksymos z Tyru, jak dowiadujemy się ze wstępu profesora Mariana Szarmacha, tłumacza książki, żył w II wieku po Chrystusie, był greckim mówcą i filozofem. Zachowało się 41 jego wykładów dotyczących głównie filozofii, a do naszych rąk trafił wybór tych tekstów. Ważny jest kontekst ich powstania. Grecja stanowiła wówczas prowincję cesarstwa Rzymskiego. Maksymos, jako Grek i poganin, należał do świata, który wkrótce miał przeminąć. Prawdopodobnie nie zetknął się z chrześcijaństwem, a w każdym razie nic na to nie wskazuje. Można powiedzieć, że „Konferencje filozoficzne” są świadectwem świata przedchrześcijańskiego, a dla nas są szczególnie cenne, bo czytamy je w świecie w dużej mierze już pochrześcijańskim.

Maksymos z Tyru daje nam więc próbki dawnego, pogańskiego myślenia o świecie, o religii, o filozofii, o etyce, o sztuce. To piękne myślenie, subtelne w szczegółach, wyważone w argumentacji i pełne odniesień do przebogatej tradycji mitologicznej, literackiej i historycznej. Na szczęście Tłumacz opatrzył tekst dużą ilością przypisów wprowadzających w zawilości poszczególnych odniesień do tego zapomnianego już

² Maksymos z Tyru, *Konferencje filozoficzne*, tłum. Marian Szarmach, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2022.

¹ Por. Chantal Delsol, *La Fin de la Chrétienté*, Paris 2021, s. 28.

świata. Cenne są również krótkie wstępy w formie przypisów do każdego z wykładów. We wszystkich wspólną cechą jest spokojna argumentacja, otwarcie na różne opinie, erudycja i szerokość spojrzenia. Z punktu widzenia filozofii wiele jest motywów platońskich. Ważnym punktem odniesienia jest postać Sokratesa. W kwestiach religijnych uderza podobieństwo z późniejszą myślą chrześcijańską w jej najlepszym wydaniu. Gdy Maksymos stawia pytanie o to, „czy należy się modlić?“, to jego odpowiedź zawstydziłaby niejednego ze współczesnych kaznodziejów. Modlitwa ma być „rozmową, wręcz dyskusją z bogami o rzeczywistości i wyjaśnianiem, czym jest cnota [...] (ma być modlitwą) o cnotę, o spokojne i nienagane życie, o dobrą śmierć, o wspaniałe dary bogów, jakie posiadają”³. Wszystkie inne możliwości – modlitwa o zmianę wyroków opatrności, o odwrócenie przeznaczenia, o zawodowy sukces czy o pomyślny los – jest w świetle słów Maksymosa rodzajem niedojrzałości, a w każdym razie intelektualnym błędem. Treść konferencji dotyczących różnych tematów – niektóre z nich są bardziej ogólne i zapowiadają niejako późniejsze debaty na gruncie chrześcijaństwa – jak np.: „Skąd bierze się zło?” – inne brzmią bardzo praktyczne – chociażby: „Jak odróżnić pochlebcę od przyjaciela?” – nie jest apodyktycznym przedstawieniem nieomyślnej wiedzy, ale raczej przybliżeniem tematu i prowadzeniem słuchacza/czytelnika do odkrycia pewnych prawd i zależności – wszystko w najlepszej tradycji starożytnej filozofii. Jak mówi Autor: wyżej cenię „prawdziwą pokorę wobec prawdy niż zuchwałe gadanie o niej młodych”⁴. Nie wszystko musi być i stać się do

końca jasne. Zresztą już chociażby niewielka objętość książeczki wyklucza wyczerpujące omówienie wszystkich kwestii. Skrótowość nie oznacza braku wnikliwości. Przy temacie „czy bogów należy czcić posągami” mamy na przykład bardzo interesujące, wprost religioznawcze, zestawienie wierzeń ludów sąsiadujących z Grekami. A zarazem czytamy, że „Bóg, będący ojcem i stwórcą wszystkiego, jest starszy od słońca, starszy od nieba, potężniejszy od czasu, wieczności i zmieniającej się natury. Prawodawcy nie nazywają go żadnym imieniem, bo nie ma go też w żadnym języku, nie widzi się go oczyma”⁵. Pozostaje mniej lub bardziej jasna intuicja, mniej lub bardziej udane przybliżenie, ale i tak najważniejsze jest pragnienie obcowania z bóstwem, które uwzniośla człowieka i stanowi o jego wielkości.

Maksymos w swoich rozważaniach pozostawia wiele miejsca dla poezji i mitu. Wskazuje, jak korzystać z tych źródeł, aby mogły ożywiać i sycić umysł. Widać, jak wyrafinowaną jest reprezentowana przez niego kultura myślenia, jak wysokie standardy etyczne w niej obowiązują. Oczywiście, wiele ze starożytnego stoicyzmu czy epikureizmu przejęło chrześcijaństwo i dlatego nie są to wartości nam obce (ach, ten Pitagoras z portalu królewskiej katedry z Chartres z XII wieku! – mamy go wśród ilustracji wspaniałe wzbogacających treść książki). Niemniej ważnym jest, aby uświadomić sobie raz jeszcze, że wartości te istniały i miały się dobrze na długo przed chrześcijaństwem. Dzisiaj, gdy, jak się wydaje, żyjemy w momencie kolejnego przełomu, taka świadomość pozwala na uchronienie się przed panicznym lękiem i nieuzasadnioną histerią. Okazuje się, że świat bez chrześcijaństwa sobie poradzi – gdy to wiemy,

³ Tamże, s. 129.

⁴ Tamże, s. 99-100.

⁵ Tamże, s. 30.

na przykład dzięki wykładom Maksymosa z Tyru – z tym większą wolnością będziemy w stanie myśleć o sobie i o świecie, wchodzić w dialog i rozsądnie argumentować, kształtować nasz świat na miarę potrzeb i oczekiwań, a nawet, być może, stawać się

przewodnikami dla innych, jak był nim niewątpliwie ten grecki starożytny retor.

Andrzej Kasperek



„I CÓŻ PO FILOZOFIE W CZASIE MARNYM?”

Andrzej C. Leszczyński, Okruchy, Biblioteka Kwartalnika Prowincja, Sztum 2022.

„I cóż po poecie w czasie marnym?” — pytał filozof Martin Heidegger cytując poetę Friedricha Hölderlina. Ów wers z elegii „Chleb i wino” należy do najsynniejszych cytatów z twórczości tego romantycznego poety. Czas marny to może być epoka „władzy i ideologii totalitarnej” a może być po prostu każda zła chwila w życiu człowieczym, a tych nigdy nie brak. Czy poeci lub filozofowie nadają się na złe czasy? Zwykle uważa się ich za pięknoduchy, a więc ludzi oderwanych od rzeczywistości, marzycieli bujających w obłokach. Takich we współczesnym techniczonym świecie nam nie potrzeba. Niestety, ta prostacka opinia ma wielu zwolenników. Osiem lat temu, w 21 numerze „Prowincji”, pisałem o trzech książkach Andrzeja C. Leszczyńskiego i swój szkic rozpocząłem od informacji, że Uniwersytet w Białymstoku zdecydował o likwidacji studiów filozoficznych z powodu ich „nierentowności”. Żyjemy w czasach, kiedy wszystko musi się opłacać. W czasach, gdy mieć jest ważniejsze niż być, gdy klient



zastąpił obywatela... „Mieć czy być?” – esej filozoficzny autorstwa Ericha Fromma napisany w 1976 roku okazuje się dziś jeszcze bardziej na czasie niż pół wieku temu. Ale jeśli ktoś potrafi odczytywać znaki czasu, to widzi, że głos poety i zdanie filozofa bardzo są dziś potrzebne, bo oni widzą więcej.

„W 2021 roku w Polsce do matury z filozofii przystąpiło 1345 osób. To mniej niż 0,5% wszystkich abiturientów. Tymczasem we Francji matura z filozofii jest obowiązkowa, a niedawno wielkie emocje wzbudził zamiar zmniejszenia tygodniowego wymiaru godzin filozofii w liceum. W wyniku dużego sprzeciwu filozofia w liceum utrzymała status quo, czyli cztery godziny tygodniowo na profilu ogólnym i dwie na profilu technicznym”. Cytuję za portalem – E:MI Edukacja: Można Inaczej. Aleksandra Gancarz pisze tam: „We Francji tradycja nauczania filozofii w liceum sięga XIX wieku. Wprowadzenie tego przedmiotu do programów nauczania miało na celu kształtowanie krytycznego myślenia i sztuki argumentowania. Do dziś Francuzi uczą filozofii w taki właśnie sposób, a obowiązkowa matura z tego przedmiotu wymaga napisania rozprawy. Wysoki status filozofii w szkole przekłada się na klimat społeczny w całym państwie. W telewizji co rusz jakiś filozof komentuje bieżące wydarzenia, a w sklepach, nawet prowincjonalnych, bez problemu dostaniemy czasopismo »Philosophie«”. Francuzi po prostu uznają, że nauczanie filozofii stanowi fundament republikańskiego modelu kształcenia i jest niezbędne dla wykształconego człowieka.

Na filozoficznej pustyni, jaką stała się Polska, każda próba myślenia poważnego czy rozmowy istotnej zasługuje na szacunek i docenienie. A Andrzej Leszczyński zdaje się nie doceniać swoich zapisków (może to przesadna skromność?) nadając im nazwę: „okruchy”. Według słownikowej definicji ‘okruch’ to: „1. mały, odkruszony kawałek czegoś; 2. przen. (o zjawiskach, stanach, uczuciach, informacji) bardzo mała ilość czegoś, pozostałość po czymś; 3. przen. (o utworach artystycznych) niewielka część, pozostałość czyjejs twórczości”. Mnie się te okruszki kojarzą z historią opisaną w Ewangelii według św. Łukasza, w której mowa

jest o cudownym rozmnożeniu chleba przez Jezusa i nakarmieniu nim tłumów. Na początku był raptem pięć chlebów a po najeżeniu się ludu „zebrano jeszcze dwanaście koszy ułomków”. Tu też mamy całkiem pozytywne okruchy...

Wspomniane książki to: „Ojciec człowieka. Szkice afiniczne” (Gdańsk 2012), „Owoc tamtego grzechu” (Gdańsk 2013), „Najgłębsze, spokojne morskie dno. Próby antropologiczne” (Gdańsk 2014). Doktor A. C. Leszczyński to filozof, nauczyciel akademicki, publicysta zajmujący się m.in. teatrem. Od 2014 roku współpracuje z naszą „Prowincją”. Regularnie ukazują się tu jego filozoficzne felietony, eseistyczne „okruchy”, refleksje lekturowe... Publikuje je od numeru 15. Pod koniec 2022 roku jako XI tom Biblioteki „Prowincji” ukazał się tom pt. „Okruchy”. Zbiera on dorobek z kilkunastu numerów, w których Andrzej co kwartał zamieszcza swe przemyślenia.

Sam autor nazywa je szkicami, bo ta forma otwarta, pozwalająca na niedokończenie (lub zawieszenie) myśli, jest wygodna do mówienia o problemach współczesności, skłania do namysłu a czasem pozwala czytelnikowi przyjrzeć się problemom ważnym, ale czasem nieuświadomianym. Takim, które wymagają uwagi i przemyślenia: kłamstwo, bluźnierstwo, szkoła, wygnancy... To tylko kilka z wielkiej listy podejmowanych tematów. Owe drobiazgi, przemyślenia, spostrzeżenia spisane są pięknym i bogatym językiem. Strony wprost skrzą od świetnie dobranych cytatów, które nie są tylko erudycyjnym popisem, ale wzbogacają teksty i skłaniają czytelnika do myślenia.

Leszczyński jako filozof jest nieodrodnym synem Sokratesa, który mówił: „Ateny są jak ospały koń a ja jak giez, który próbuje go ożywić”. Bo to jedno z zadań filozofa. Może Andrzej nie kęsa jak giez ateński, ale także próbuje nas wyrwać z ospałości,

pobudzić do myślenia, zainspirować... Autor pisze: „Filozofowanie, jak próbuję o nim myśleć, nie oznacza wyłącznie studiowania ksiąg ani wpisywania się w określone już myślowe nurty. To raczej każdy akt świadomej i poszukującej sensu obecności w życiowych czynnościach, nawet najbardziej zwyczajnych. Można filozofować czytając poezję, oglądając sztukę teatralną, wychowując dzieci, rozmawiając z sąsiadem, uprawiając ogródek, smakując wino czy ogarniając przed zaśnięciem miniony dzień” (cyt. za: „Ojciec człowieka. Szkice afiniczne”, s. 7). Dla niego filozofowanie jest jak oddychanie. Myśl rodzi się w tramwaju, na działce u przyjaciela, a nawet w poczekalni dentysty... Nie trzeba jej katedry uniwersyteckiej ani gabinetu czy biblioteki. Przywołałam tu fragment moich dawnych uwag, bo ich aktualność się nie zmieniała.

Policzyłem – jest 139 fragmentów, ułomków, okruchów... Miasta, osoby, zjawiska, filmy, książki, wystawy, cytaty, pojęcia... Ogromna różnorodność tematów, wiele

dzieł, wielu autorów, reżyserów, wierszy... Spektrum tematów jest ogromne, ale autor wcale nie kusi się o dogłębne ich zbadań, nie ma tu pogłębienia, bo nie takie zadanie ma do wykonania eseista. Polskie synonimy: ‘szkie’ i ‘próba’ starają się oddać istotę tego gatunku literackiego. Esej jest trudny do zdefiniowania, jest migotliwy, czasem kapryśny, pełen dygresji i cytatów, jest dialogiczny i dygresyjny. Po prostu rządzi się swoimi prawami. I takie są zapiski Andrzeja.

Jak przystało na próbę o szkicach filozoficznych zakończę parafrazą cytatu z Arystotelesa: „Słodko spożywamy matematykę te okruchy i dzieje się nam jak Lotofagom; bo skosztowawszy, nie chcemy już od nich odstąpić i owładają nami jako kwiat lotosu”.

PS. Wszystkie cztery tomy pism Andrzeja C. Leszczyńskiego mają intrygujące okładki. Wykorzystano na nich fragmenty obrazów. Tym razem jest to piękny ułomek obrazu Patricii Ospelt pt. „Drzewo poznania”.

Janusz Ryszkowski



CICHA NUTA WYJĘTA Z TOMÓW PRZESZŁOŚCI

Helena Lubińska, Wspomnienia mojego życia, Fundacja Historia.pl, Chwaszczyno 2022.

Stojący do dziś okazały dom na obrzeżach Gniewu, w pobliżu kościoła, wybudował pod koniec osiemnastego wieku kupiec Jan Bartkowski, który wywodził się z Zielonki na Ziemi Sztumskiej. Z pokoju gościnnego

znajdującego się w szczycie i dlatego nazywanego w rodzinie giblem (gibel – szczyt), rozciągał się widok na odległą o kilkaset metrów Wisłę. Za nią widać było Janowo, Ryjewo i Kwidzyn. Po I wojnie światowej rzeka na tym odcinku wyznaczała granicę Polski i Niemiec, wyjąwszy po drugiej stronie pięć wsi z Janowem, przyznanych

Polsce po plebiscycie 1920 roku. Ta „Mała Polska”, jak ją często nazywano, należała administracyjnie do powiatu gniewskiego, a po jego likwidacji (1932) – tczewskiego.

W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku w gible i sąsiednim pokoju Bartkowskich rozlokował się sztab wojska polskiego. Gdy 1 września o godz. 5 dom został ostrzelany, żołnierze wycofali się do centrum miasta. 2 września do Gniewu wkroczyły wojska niemieckie. Wkrótce duży budynek przejęli Niemcy na potrzeby wojska. Zaczęły się krwawe represje okupantów, rozstrzelano wielu z miejscowej inteligencji, kupców, urzędników, księży, działaczy narodowych i społecznych Bartkowsky musieli dom opuścić, a część rodziny musiała uciekać przed groźącym aresztowaniem. Ostrzegł ich znajomy rodziny, gniewski Niemiec o polskim nazwisku. Helena Bartkowska, wówczas 24-letnia, z bratem Stefanem dotarła do Warszawy. W styczniu 1940 roku autorka wspomnień wyjechała do Poznania, zaopatrzona przez jednego z powinowatych w dokumenty ambasady greckiej. Była przekonana, że w Wielkopolsce będzie spokojniej niż w stolicy, gdzie już trwały łapanki i masowe egzekucje. Zamieszkała u siostry Wandy. Szwagier znalazł dla niej pracę sprzątaczką w centrali nasiennej. W marcu 1941 roku została aresztowana z siostrą i szwagrem. Po pobycie w obozie przejściowym w Łodzi trafiła na roboty przymusowe do gospodarstwa Arehnsów w Meklemburgii. Nie była traktowana tam bardzo źle, podobnie jak dwaj francuscy jeńcy, ale sytuacja się mocno zmieniła, gdy zaczęła dostawać listy od najbliższych adresowane do Heleny von Bartkowski. Owo „von” podziało wręcz magicznie, bo gospodarze ulokowali ją wkrótce w gościnnym pokoju, bo do tej pory miała łóżko na strychu. Pozytywnie też ustosunkowali



się do prośby matki pani Heleny, by ta otrzymała trzydniową przepustkę, aby odwiedzić rodzinę w Gniewie. Ale to jeszcze nic. Napisali też oświadczenie, że nie jest już potrzebna w ich gospodarstwie i oddają ją do dyspozycji gniewskiego urzędu pracy. Na ile na ich postawę wpłynęło załamanie i klęska na froncie wschodnim? Tak to po czterech latach Helena Bartkowska znowu znalazła się w rodzinnym Gniewie. Została już z rodziną, bo nie było problemów, aby tamtejszy urząd pracy wziął ją do swojej ewidencji i znalazł zatrudnienie. Pomógł w tym – znowu – znajomy Niemiec, który we wrześniu 1939 roku ostrzegł o groźącym aresztowaniu. Pani Helena znalazła zatrudnienie w palarni kawy, u Niemca, który w dwudziestolecie międzywojennym przejął interesy prowadzone przez zmarłego ojca autorki wspomnień. Kolejny paradoks dziejów.

W 1945 roku kolejna ucieczka z Gniewu, tym razem przed wojskami sowieckimi. „Wyzwolenie” to gwałty, mordy,

rabunki, podpalenia... Wkrótce zostaje reaktywowana polska administracja. Pani Helena trafia do pracy w Urzędzie Gminy Gniew. Bierze udział w życiu kulturalnym miasta, prowadzi bibliotekę w rodzinnym domu. W 1950 roku wychodzi za mąż za nauczyciela Bronisława Lubińskiego. Przeprowadzają się za Wisłę – do Janowa, gdzie pan Bronisław objął kierownictwo nad tamtejszą szkołą. Dwa lata później przychodzą na świat bliźniaki Andrzej i Roman. Jest i „trzeci syn”, siostrzeniec Wiesław Geras, który w Janowie skończy podstawówkę. Stąd wyruszył w świat – do Torunia, a potem Wrocławia, by jako dojrzały działacz kultury organizować słynne nie tylko w Polsce festiwale teatrów jednego aktora... Pani Helena zajęła się domem, a po przeprowadzce do Postolina (1961) podjęła pracę w tamtejszej bibliotece aż do emerytury.

Wspomnienia zaczęła spisywać pro domo sua po śmierci męża Bronisława (1989). Trwało to z przerwami przez ponad 10 lat, zakończyła, gdy miała grubo ponad 80 lat (przeżyła 104). Polegała głównie na własnej pamięci. Pisząc, miała – jak się wydaje – nie tylko świadomość, że jest jednym ze świadków odchodzących epok (dwudziestolecie międzywojenne, wojna i okupacja, PRL i następujących po niej przemian ustrojowych), ale poczucia goryczy, że zanika zainteresowanie własnym rodowodem, tożsamością, pęka więź pokoleniowa. „(...) Wyrosłam z pewnego obszaru kulturowego – religijnego – inteligencckiego i ta spuścizna jest we mnie obecna. To dlatego mnie tak (...) razi zachowanie młodego pokolenia, sposób ich ubioru,

prześmiewanie się w wszystkiego co dawne – inteligencckie – szlacheckie, mało mam przeto wspólnego języka, nawet z niektórymi spokrewnionymi mi osobami, które wszystko z góry jednym słowem i machnięciem ręki zdystansują: „a tam, to przeżytek” i jeszcze niedelikatnie się roześmieją...”

Dlatego dzieje rodzinnego serwisu obiadowego nabierają tu symbolicznego sensu. Nie tylko ciągłości tradycji, ale i więzi rodowych. Mama pani Heleny przywiozła go do Gniewu w skrzyniach ze Skarlina zaraz po ślubie. Pochodził z Mileszew, a posiadał go pradziadek autorki, Józef Łyskowski. Tradycja rodzinna utrzymuje, że serwis pamiętał czasy Stanisława Augusta. Łyskowski ożeniony z Elżbietą Tuchołczanką zabrał go z Mileszew do majątku w Obozinie. Ich córka Józefa Leokadia (babcia autorki), która wyszła za Józefa Ubysza z Tylic i Skarlina i otrzymała go w spadku. Serwis przez dzieściolecia wielokrotnie był używany podczas uroczystościach rodzinnych (głównie wesela) i zazwyczaj po każdej z nich był nieco uszczuplany. Mimo to w 1948 roku do obiadu podanego w serwisie zasiadło jeszcze 55 osób. Zresztą sporo talerzy przetrwało do dziś u synów pani Heleny. Ale nie są używane podczas rodzinnych uroczystości.

Dobrze się stało, że bliscy autorki – Andrzej Lubiński i Jan Geras przygotowali do druku rękopis wspomnień, bo „to cicha nuta wyjęta z tomów przeszłości”, że przytoczymy fragment motto otwierającego książkę. Znajdą tu wiele ciekawych stron miłośnicy historii przedwojennego i powojennego Gniewu.

Noty o autorach

Wacław Bielecki – od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej oraz szkół medycznych w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

Maja Bielewicz – ur. w 2009 roku w Wejherowie. Obecnie uczęszcza do klasy ósmej Szkoły Podstawowej nr 1 im. Jana Pawła II w Sztumie. Pisze wiersze i czyta nie tylko poezję. Interesuje ją muzyka oraz historia Polski. Jej największym autorytetem jest Wisława Szymborska.

Jan Chłosta – dr nauk humanistycznych, wiceprezes Towarzystwa Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, autor ponad 30 książek i 500 artykułów, poświęconych przeszłości Warmii i Mazur, w tym piśmiennictwu – *Warmia i Mazury w literaturze polskiej i niemieckiej w latach 1945-1995*, leksykonów – *Słownik Warmii*, prac o Wydawnictwie ‘Gazety Olsztyńskiej’ i ludziach z nią związanych.

Krystyna Chwin (pseudonim Krystyna Lars) – ur. w 1950 r. w Elku. Żona Stefana Chwina, matka dwóch synów: Marcina i Adama. Studia filologiczne ukończyła na Uniwersytecie Gdańskim w 1972. Wydała zbiory wierszy: *Ja, Gustaw, Chirurgia mistyczna, Kraina pamiątek, Umieranki i inne wiersze, Wspólna kąpiel* (ze Stefanem Chwinem), *Zaprosimy do nieba cały świat, Proste wiersze o szczęściu, Światło w Zatoce. Wiersze gdańskie*. Redaktor naczelna Wydawnictwa „Tytuł”. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, PEN-Clubu. Laureatka m.in. Nagrody im. Sępa Szarzyńskiego, Czerwonej Róży, Nagrody Literackiej Miasta Drezna.

Krzysztof Czyżewski – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztorą i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawaną przez miasto Gdańsk.

Paulina Hoppe-Gołębiewska – ur. w 1986 roku w Malborku, mieszkanka Sztumu od 2007 roku. Związana z fundacją Damy Radę, asystentka do spraw marketingu w Malborskiej firmie So Chic. W 2013 roku założyła blog pod nazwą Radość i Partyzantka. W 2021 przemianowała go na paulapisze.pl, gdzie w dalszym ciągu z dystansem pisze o codziennych sprawach.

Andrzej Kasperk – ur. 1958, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium prof. Marii Janion), pisarz, badacz literatury, działacz opozycji demokratycznej (jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów), doktor nauk humanistycznych; od 1985 zajmuje się pracą nauczycielską (Liceum Ogólnokształcące w Nowym Dworze Gdańskim). Nominowany do Finału Nagrody Literackiej Gdynia 2011 za książkę *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010). Autor tomu esejów *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie* (2013) oraz tomu opowiadań *Koronczarka* (2013). W 2018 wydał *Mój płaski kraj Żuławy*. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Żuławiak od urodzenia.

Radosław Kubus – ur. 1991 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent historii i archeologii na Uniwersytecie Gdańskim. Specjalista ds. historii regionalnej w Bibliotece Elbląskiej, doktorant w Instytucie Historii UG. Swoje zainteresowania badawcze koncentruje wokół historii medycyny w epoce nowożytnej oraz dziejów prasy w I poł. XIX wieku.

Adam Langowski – ur. w 1981 r. w Sztumie, absolwent LO w Sztumie, ukończył historię na UMK w Toruniu. Pracuje jako nauczyciel historii w Zespole Szkół w Starym Targu. Mieszka w Sztumie.

Andrzej C. Leszczyński – urodził się w Chodzieży. Eseista, wykładowca akademicki, okazjonalnie nauczyciel licealny. Studiował pedagogikę i filozofię. Autor trzech książek i ponad 200 rozpraw i szkiców z zakresu filozofii człowieka, etyki, antropologii teatru. Promotor ponad stu prac magisterskich i licencjackich. Prowadził teatralne warsztaty komunikacji i ekspresji w kraju i za granicą.

Andrzej Lubiński – ur. 1952 r. w Gniewie. Absolwent historii w UMK w Toruniu. Prezes Towarzystwa Miłośników Sztumu. Publikacje w „Komunikatach Warmińsko-Mazurskich” „Studiach Elbląskich”, „Roczniku Elbląskim”, „Prowincji”, „Z dziejów Sztumu i okolic”. Autor książki *W ich smach powracała Polska*. Mieszka w Sztumie.

Alicja Łukawska – (rocznik 1959), absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, później pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka prasy lokalnej i krajowej, autorka książki „Duchy Kresów Wschodnich” wydanej w 2018 roku w wyd. von Borowiecky, współautorka książki „Córka organisty. Wspomnienia mieszkanki Pomorza”.

Piotr Napiwodzki – ur. w 1972 w Jeleniej Górze, teolog, filozof, tłumacz, były dominikanin. W 2005 obronił doktorat na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim. W latach 2006–2010 rektor Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Dominikanów w Krakowie. *Wydał Blżej niż się wydaje. O końcu świata, millenaryzmie i chrześcijańskiej nadziei* (2010), a także w Bibliotece Prowincji *Małe obrazy, proste scenki. Powiślańskim szlakiem Wilhelma z Modeny i losy całkiem współczesnych osadników* (2020). Od 2010 mieszka w Koślinie koło Sztumu.

Jerzy Niemczuk – prozaik, komediopisarz, autor sztuk telewizyjnych, słuchowisk i książek dla dzieci. Scenarzysta wielu popularnych seriali, z których największy sukces odniosło pisane z Robertem Brutterem „Ranczo”, okrzyknięte przez widzów serialem dwudziestopięciolecia. Z reżyserem Januszem Zaorskim stworzył sztuki telewizyjne, które weszły do kanonu tego gatunku: „Cyrograf” i „Mizerykordię”.

Wiesław Olszewski – ur. w 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof oraz Muzeum Zamkowym w Malborku.

Piotr Opacian – podróżnik, kajakarz i fotograf przyrody, zainteresowany głównie Ameryką Południową, gdzie zorganizował już wiele wypraw. Za samotne przepłynięcie kajakiem Rio Madidi, znajdującej się w Amazonii Boliwijskiej, otrzymał statuetkę Kolosa 2005 i nagrodę dziennikarzy. Podróżował również do Afryki, na Syberię, Spitsbergen. Instruktor kajakarstwa i członek Rady Kosłósów w kategorii Wyczyn Roku. Mieszka w Kwidzynie.

Marcin Owsiański – dr n. humanistycznych z zakresu historii, absolwent Wydziału Nauk Historycznych UMK w Toruniu oraz Podyplomowego Studium Muzealnictwa UJ w Krakowie. Od 1999 r. pracownik Muzeum Stutthof, kustosz dyplomowany, edukator, kierownik Działu Naukowego Muzeum. Autor i redaktor kilkudziesięciu publikacji edukacyjnych, naukowych i popularnonaukowych dotyczących historii najnowszej oraz dziejów Żuław, Stutthofu i Sztutowa.

Piotr Podlewski – absolwent historii na UW-M w Olsztynie i etnologii na UMK w Toruniu. Współzałożyciel kanału historycznego na platformie YouTube „Penetracje wokół Sztumu” i autor książki pod tym samym tytułem (2021). Nauczyciel historii i muzyk. Mieszka w Sztumie.

Janusz Ryszkowski – ur. w 1955 r. w Opaleniu. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (2014), *Morawscy – pięć pokoleń i pół. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla i Kociewia* (2014), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806–1945* (2014).

Ryszard Rząd – ur. w 1958 r., historyk, absolwent KUL. Pracownik Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor szeregu publikacji poświęconych dziejom odbudowy zamku w Malborku na przełomie XIX i XX wieku.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności* (2017) oraz *Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej* (2018).

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 r. pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 r. zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

Marek Suchar – z wykształcenia psycholog oraz absolwent studiów z zakresu judaistyki i archeologii biblijnej, nauczyciel akademicki na sopockim Wydziale Uniwersytetu SWPS w Sopocie. Autor czterech książek i licznych artykułów poświęconych historii i teraźniejszości Jerozolimy. Ostatnio ukazała się drukiem jego powieść *Kwadrat jerozolimski*.

Łukasz Walendziak – ur. w 1983 roku w Gdańsku. Pisze o sobie: „W 2015 roku stałem na skraju przepaści. Limit głupot, błędów i porażek już wyczerpałem. Za mną były spalone mosty a dookoła zgłiszcza. W akcie desperacji zdecydowałem się na ucieczkę przed samym sobą. Bilet w jedną stronę do Nepalu. Z perspektywy dnia dzisiejszego, śmiało mogę jednak stwierdzić, że cały ten trud nie poszedł na marne. Były to korepetycje w zakresie odpowiedzialności, samodzielności, radości życia czy poczucia własnej wartości”.

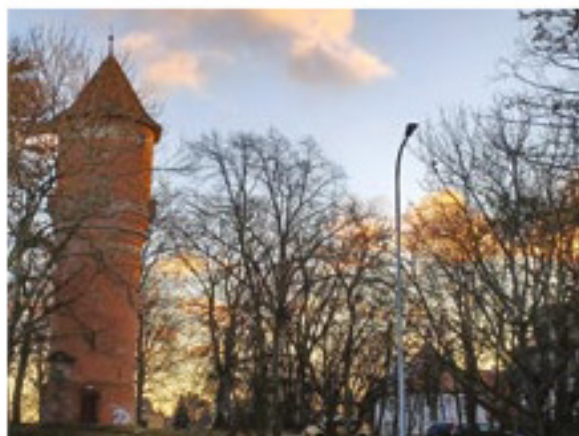
Arkadiusz Wefniak (1973) – historyk archiwista, genealog. W latach 1999-2011 kustosz i kierownik Oddziału w Archiwum Państwowym. Od 2011 roku pracujący w branży usług archiwalnych, dokumentacyjnych i genealogicznych. Aktywny członek Towarzystwa Genealogicznego Prus Wschodnich i Zachodnich. Publikował m.in. na łamach „Rocznika Elbląskiego”, „Przeglądu Zachodniego”, „Archeionu”, „Archiwisty Polskiego”. Zajmuje się problematyką polsko-niemieckiego pogranicza w XIX i XX w. Praca doktorska dotycząca kwestii migracyjnych, demograficznych i społecznych Elbląga w latach 1945-1950, obroniona na Uniwersytecie Gdańskim. Miłośnik muzyki, twórczości Günтера Grassa i literatury współczesnej.

Radosław Wiśniewski – ur. 1974 r. Absolwent psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mieszka w Kielczowie, pracuje we Wrocławiu., związany z Brzegiem. Pisze wiersze, publicystykę, prozę, krytykę. Autor między innymi: *Inne Bluesy* (2015), *Psalm dla Św. Sabiny* (2016), *Dziennik Zenona Kałuży* (2017). Współzałożyciel Stowarzyszenia Żywych Poetów w Brzegu, redaktor naczelny ex-kwartalnika „Red”, współpracownik „Odry”, „Studium”, „Undergruntu”.

**Zdjęcia uczestników
Warsztatów Fotograficznych
przy Uniwersytecie III Wieku
Sztumskiego Centrum
Kultury**



Wacław Bielecki – Stary Targ



Urszula Westfal – Sztum



Henryk Biskup – Mikolajki



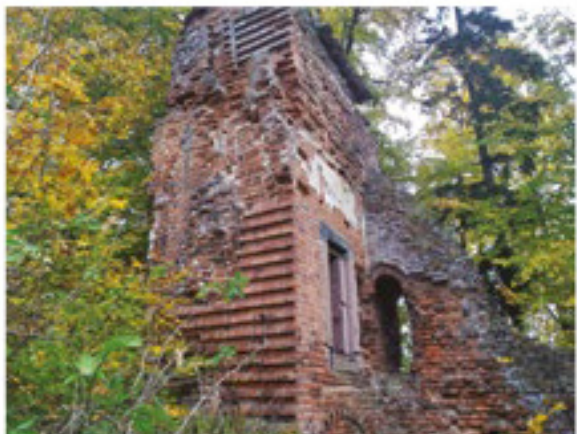
Krystyna Kogut – Krasna Łąka



Janina Zaniewska – Stary Dwór



Bożena Trzcińska – Sztum



Ewa Grzecka – Przezmark



POWISIA